

FRYDERYK NIETZSCHE

TAKO RZECZE ZARATUSTRA

PRZEDMOWA ZARATUSTRY

1.

Gdy Zaratustra trzydziestu lat dożył, opuścił kraj swój i jezioro ojczyście i poszedł w góry. Tu radował się duchowi swemu i samotności swej, a dziesięć lat tak żyjąc, nie umęczył się niemi, Wreszcie przemieniło się serce jego — i pewnego zaranku wstawszy wraz z jutrznią, wystąpił przed słońce i tak rzekł do niego:

— Światłości ty olbrzymia! czemużby było twe szczęście, gdybyś nie miała tych, komu jaśniejiesz?

Dziesięć lat wchodziłaś tu do mej jaskini; znużyłabyś się i jaśnieniem swem, i drogą swą beze mnie, bez mego orła i bez węża mego.

Lecz my oto oczekiwaliśmy ciebie każdego zaranku, i biorąc nadmiar światła twego, błogosławiliśmy cię za to.

Spojrzyj! Jam jest umęczony mą mądrością jako pszczoła, co za wiele miodu zebrała; pożądam rąk, które by się po nią wyciągnęły.

Pragnąłbym rozdarowywać i obdzielać, aż póki mądrych pośród ludzi nie uraduje ponownie własne szaleństwo, a ubogich własne bogactwo.

Lecz na to w głębię znijsć muszę, jako ty co wieczór to czynisz, gdy poza morze zstępujesz, aby i podziemnym światom swej udzielić jasności — światło ty przehojne!

Oto muszę, jako ty, z a j ś ć, wedle ludzkiego nazwania, znijsć ku tym, których wola ma pożąda.

Pobłogosławże ty mnie, wejrzenie spokojne, co nawet na nadmiar szczęścia bez zawiści patrzeć mozesz!

Błogosław kielich przepelniony, aby złotemi rozplynał się strugi i twej świetności odbłask wszędzie poroznosii.

Spojrzyj! kielich ten chce znowu być opróżnień, i Zaratustra chce znów być człowiekiem.

Tak się poczęło znijsćie Zaratustry.

2.

Zaratustra zstępował samotny z gór, nie spotykając po drodze nikogo. Gdy jednak w las się zanurzył, stanął nagle przed nim starzec, co opuścił chatę swą świętą, aby korzonków szukać po lesie. I rzekł starzec do Zaratustry temi słowy:

— Nie jest mi obcy ten wędrowiec; przed laty przechodził on tędy. Zaratustra zwie się; jednakże przeobraził się on.

Wonczas niosłeś swój popiół w góry; chcesz dzisiaj swój ogień nieść w doliny? Nie obawiasz się kary podpalacza?

O tak, poznaję Zaratustrę! Czyste jest jego oko, a wokół ust jego nie czai się wstręt. Czyż nie stąpa on jako tancerz?

Przeobrażony jest Zaratustra, dziecięciem stał się Zaratustra, ock-nięty jest Zaratustra. *I czegoż ty chcesz pośród śpiących?*

Żyłeś w samotności, jako w morzu, i morze niosło ciebie. Biada, chcesz teraz na ląd stąpić? Biada, chcesz znowu o własnych siłach wlec swe ciało?

Zaratustra odparł: — Kocham ludzi.

— Czemuż — rzekł starzec — usunąłem się i ja niegdyś w lasy i w głusz samotną? Czyż nie dlatego, że ludzi nazbyt ukochał?

Teraz miłuję Boga, nie kocham ludzi. Człowiek jest rzeczą zbyt niedoskonałą. Miłość ku ludziom zabiłaby mnie.

Zaratustra odparł: — Cóżem ja o miłości mówił! Niosę ludziom dar.

— Nie dawaj im nic — rzekł święty. — Raczej ujmij im nieco i dźwigaj z nimi społem. Tem najbardziej im wygod/isz: obyś sobie jeno tem dogodził!

A jeśli chcesz ich koniecznie obdarzać, nie dawaj więcej nad jałmużnę i każ im jeszcze zebrać o nią!

— Nie — odparł Zaratustra — nie dawam jałmużny. Nie jestem na to dosyć ubogi.

Święty zaśmiał się z Zaratustry i rzekł w te słowa: — Bacz więc, aby przyjęto twe skarby! Nieufni są oni względem samotników i nie wierzą, abyśmy przychodzili, by obdarzać.

Kroki nasze diwięczą im zbyt samotnie po pustych ulicach. A gdy po nocy w swoich łóżach, na długo przed wschodem słońca czyjeś kroki zasłyszają, pytają wówczas: dokąd zmierza ten złodziej?

Nie chodź do ludzi, pozostań w lesie! Udaj się raczej do zwierząt! Czemu nie chcesz być jako ja — niedźwiedziem pośród niedźwiedzi, ptakiem pośród ptaków?

— I cóż robi święty w lesie? — zapytał Zaratustra.

Święty odparł: — Pieśni składam i śpiewam je, a gdy pieśni składam, śmieję się i płaczę, i pomrukuje z cicha: tak Boga chwale.

Śpiewem, płaczem, śmiechem i pomrukiem chwale Boga, który jest moim Bogiem. Lecz cóż to niesiesz ty nam w darze?

Gdy Zaratustra te słowa usłyszał, pokłonił się świętemu i rzekł: — Czemże was mógłbym ja obdarzyć? Pozwólcie mi jednak odejść czem prędzej, abym wam czego nie odebrał! — I tak oto rozstali się ze sobą starzec i mąż, śmiejąc się jako dwa żaki.

Gdy Zaratustra sam pozostał, rzekł do swego serca:

„Czyżby to było możliwe! Wszak ten święty starzec nic jeszcze w swem lesie nie słyszał o tem, że Bóg już umarł!”

3.

Gdy Zaratustra zaszedł do najbliższego miasta, co u skraju lasów leżało, znalazł tam wiele ludu zgromadzonego na rynku, gdyż było obwieszczono, iż linoskok da widowisko, i Zaratustra tak rzekł do ludu:

— Ja was uczę nadczłowieka. Człowiek jest czemś, co pokonanem być powinno. Cóżście uczynili, aby go pokonać?

Wszystkie istoty stworzyły coś ponad siebie; chcecież być odplywem tej wielkiej fali i raczej do zwierzęcia powrócić, niżli człowieka pokonać?

Czemże jest małpa dla człowieka? Pośmiewiskiem i sromem bolesnym. I temże powinien być człowiek dla nadczłowieka: pośmiewiskiem i wstydem bolesnym.

Przebyliście drogę od robaka do człowieka, i wiele jest w was jeszcze z robaka. Byliście niegdyś małpami i dziś jest jeszcze człowiek bardziej małpą niżli jakakolwiek małpa.

Kto zaś jest pośród was najmędrszym, ten jest dwurodkiem i mieszańcem rośliny i upiora. Mówięż ja wam, byście się upiorami lub roślinami stali?

Patrzcie, ja wam wskazuję nadczłowieka!

Nadczłowiek jest treścią ziemi. Wasza wola niech rzeknie: nadczło-wiek niech będzie ziemi treścią!

Zaklinam was, bracia, p o z o s t a ń c i e w i e r n i z i e m i i nie wiercie tym, co wam o nadziemskich mówią nadziejach! Truciele to są, wiedni czy nieświadomi!

Wzgardziciele to ciała, wymierający i sami zatruci, którymi ziemia się umęczyła; obyż się prędzej precz wynieśli!

Niegdyś było bluźnierstwo Bogu największem zuchwalstwem, lecz Bóg umarł, a z nim zmarli i ci bluźniercy. Ziemi bluźnić jest rzeczą najstraszniejszą, jako też cenić bardziej wnętrzości niezbadanego niżli treść tej ziemi!

Niegdyś spoglądała dusza wzgardliwie na ciało; naonczas była ta wzgarda czemś najwyższem; chciała mieć dusza ciało chudem, wsręt-nem, zagłodzonem. Mniemała, iż się ciału i ziemi tak oto umknie.

O, ta dusza była sama jeszcze chuda, wstrętna i zagłodzona, i okrucieństwo było rozkoszą tej duszy!

Lecz wy nawet jeszcze, bracia moi, powiedcież wy mnie: co wam ciało wasze o duszy waszej zwiastuje? Nie jestże wasza dusza ubóstwem i brudem, i żalosną błogością?

Zaprawdę, brudnem stworzeniem jest człowiek. Trzeba być morzem, aby brudne strumienie w siebie przyjmować i samemu się nie żaka łać.

Patrzcie, ja was uczę nadczłowieka: ten jest morzem, w nim wasza wielka wzgarda zatonać zdoła.

Co jest największem z ducha, czego wy doświadczyć możecie? Jest to godzina wielkiej wzgardy. Godzina, w której wasze szczęście wstrętem was przejmie, zarówno jak rozum wasz oraz cnota wasza. Godzina, kiedy powiecie: „I cóż z mego szczęścia! Jest ono ubóstwem i brudem, i żalosną błogością. Lecz me szczęście powinno samo istnienie usprawiedliwiać!”

Godzina, kiedy powiecie: J cóż z mego rozumu! Pożądaż on wiedzy jako lew karmu? Ubóstwem jest on i brudem, i żalosną błogością!”

Godzina, kiedy powiecie: „I cóż z mej cnoty! Jeszcze mnie ona o szaleństwo nie przyprawiła. Jakżem umęczony swem złem i dobrem! Wszystko to — ubóstwo i brud, i błogość żalosna!”

Godzina, kiedy powiecie: „I cóż z mej sprawiedliwości! Nie baczę, abym się żarem i węglem stał. Lecz sprawiedliwy jest żarem i węglem!”

Godzina, kiedy powiecie: „I cóż z mego współczucia! Nie jestże współczucie krzyżem, do którego przygwożdżony zostaje ten, co ludzi ukochał? Lecz me współczucie nie jest ukrzyżowaniem”.

Mówiliście już tak? Krzyżeliście już tak? Och, gdybym ja od was już takie zasłyszał wołania!

Nie grzechy wasze — wasze przestawanie na małym woła do nieba, wasze skąpstwo nawet i w grzechu, oto co woła do nieba!

Gdzież jest ten piorun, który by was liznał swym językiem? Gdzież jest ten obłęd, który by wam zaszczepić należało?

Patrzcie, ja was uczę nadczłowieka. On jest tym piorunem, on jest tym obłędem!

Gdy Zaratustra tak zakończył, krzyknął jeden z ludu: — Słyszeliśmy już dosyć o linoskoku, pokażcież nam go wreszcie! — I lud cały śmiał się z Zaratustry. Jakoż linoskok, sądząc, że na niego przyszła kolej, imał się swego dzieła.

4.

Zaratustra jednak spoglądał na lud i dziwił się. Po czem rzekł temi słowy:

— Człowiek jest liną rozpiętą między zwierzęciem i nadczłowiekiem — liną ponad przepaścią.

Niebezpieczne to przejście, niebezpieczne podróże, niebezpieczne wstecz pogłądanie, niebezpieczne trwożne zachwianie i zatrzymywanie się.

Oto co wielkiem jest w człowieku, iż jest on mostem, a nie celem; oto co w człowieku jest umiłowania godnem, że jest on przejściem i zanikiem.

Kocham tych, którzy żyć nie umieją inaczej, jeno zachodząc, albowiem oni są tymi, którzy przechodzą.

Kocham wielkich wzgardzicieli, gdyż to są wielcy wielbiciele i strzały tęsknoty na brzeg przeciwny.

Kocham tych, którzy nie szukają aż poza gwiazdami powodów, aby zaniknąć i ofiarą się stać, lecz ziemi się ofiarują, aby ziemia własnością nadczłowieka kiedyś się stała.

Kocham tego, który żyje, aby poznawał, i który poznawać chce, aby kiedyś nadczłowiek żył. Tako pragnie on swego zaniku.

Kocham tego, który pracuje i odkrycia czyni, aby nadczłowiekowi dom wystawił, oraz mierzwę, zwierzę i roślinę jemu zgotował: gdyż tako chce on swego zaniku.

Kocham tego, który cnotę swą kocha: gdyż cnota jest wołą zaniku i strzałą tęsknoty.

Kocham tego, który ani kropli ducha sobie nie pozostawia, lecz chce być całkowicie duchem swej cnoty: tako przekracza on most jako duch.

Kocham tego, co ze swej cnoty czyni skłonność ducha i przeznaczenie własne: i tako gwoli swej cnoty chce żyć jeszcze i przestać już żyć.

Kocham tego, co nie chce zbyt wiele cnót posiadać. Jedna cnota jest większą cnotą niżli dwie, albowiem bardziej staje się onym węzłem, na którym zawiesza się przeznaczenie.

Kocham tego, czyja dusza udziela się rozrzutnie, który podzięką nie chce i nie zwraca: gdyż on obdarza ustawicznie, a siebie zachować nie pragnie.

Kocham tego, który wstydy się, gdy kości jemu na szczęście padną, i pyta: zalim jest fałszywym graczem? — gdyż on zaginać chce.

Kochani tego, który złotymi słowy swe czyny uprzedza i zawsze więcej dotrzymuje, niżli był obiecał: gdyż on swego zaniku pragnie.

Kocham tego, co przyszłych usprawiedliwia i przeszłych wyzwala: gdyż on chce od współczesnych zaginać.

Kocham tego, co Boga swego gromi, ponieważ Boga swego kocha: gdyż on od gniewu swego Boga zaginać musi.

Kocham tego, czyja dusza jest głęboką, nawet poranioną będąc, i którego drobne nawet przejście zgubić może: gdyż chętnie przez most on przechodzi.

Kocham tego, czyja dusza jest przepemą, tak iż samego siebie człowiek zapomina i tylko rzeczy wszystkie życie w nim mają: gdyż rzeczy wszystkie zanikiem jego będą.

Kochani tego, co wolnego jest ducha i wolnego serca; głowa takiego jest tylko trzewiem serca, serce wszakże prze go ku zagładzie.

Kocham tych wszystkich, co są jako ciężkie krople, spadające pojedynczo z ciemnej chmury, zawisłej nad człowiekiem: zwiastują one błyskawicę i jako zwiastuny giną.

Patrzcie, jam jest zwiastunem błyskawicy, jam jest ciężką kroplą z chmury: ta błyskawica zwie się nad człowiekiem.

5.

Gdy Zaratustra wyrzekł te słowa, spojrział na lud wokół i zamilkł.

„Oto stoją głusi — rzekł do swego serca — i oto śmieją się: nie rozumieją mnie. Jam nie jest językiem dla tych uszu.

Czyżby należało wprzódy uszy im poniszczyć, aby się nauczyli słuchać oczami? Czyżby oczekiwali, bym brutalne łaskoty czynił jako odpustowe kołty lub kaznodzieje pokutni? Lub może ufają tylko jakałom?

Wszakże mają coś, z czego się pyszną. Jakże zwie się to, co ich tak dumnymi czyni? Wykształceniem zwą ten skarb duszy swojej; toć ono wyróżnia ich od pasterzy kóz.

A więc dlatego tak chętnie słuchają słowa »wzgarda«. Niechajże i tak będzie: przemówię i ja do ich dumy.

Będę im mówił o czemś najgodniej szem pogardy, będę im mówił o ostatnim człowieku”.

I Zaratustra w te słowa zwrócił się do ludu:

— Czas, by człowiek cel sobie wytknął. Czas, by zasiał ziarno swej najwyższej nadziei.

Jeszcze ziemia dość bogata, lecz przyjdzie czas, gdy stanie się tak biedna i oswojona, że z tego ziarna nadziei żadne wyższe drzewo już nie wyrośnie.

Biada! Zbliża się czas, gdy człowiek niezdolny będzie wyrzucić strzały tęsknoty ponad człowieka, gdy zwiotczeje cięciwa łuku jego!

Powiadam wam, trzeba mieć chaos w sobie, by porodzić gwiazdę tańczącą. Powiadam wam, wiele chaosu jest jeszcze w was.

Biada! Zbliża się czas, gdy człowiek żadnej gwiazdy porodzić nie będzie zdolny. Biada! Zbliża się czas po tysiącokroć wzgardy godnego człowieka, człowieka, co nawet samym sobą już gardzić nie zdoła.

Patrzcie! wskazuję wam ostatniego człowieka.

„Czem jest miłość? Czem jest twórczość? Czem tęsknota? Czem gwiazda?” — tak pyta ostami człowiek i mruży wzgardliwie oczy.

Ziemia się skurczyła, a po niej skacze ostatni człowiek, który wszystko zdrabnia. Rodzaj jego jest nie do wytopienia, jako pchła ziemna; ostatni człowiek żyje najdłużej.

„Myśmy szczęście wynaleźli” — mówią ostami ludzie i mrużą niedbale oczy.

Opuścili okolice, gdzie życie twarde było: gdyż ciepła potrzeba. Kocha się jeszcze sąsiada i trze się o niego — gdyż ciepła potrzeba!

Cierpienie i nieufność uchodzą za rzeczy grzeszne; ostatni człowiek baczy troskliwie na siebie. Głupiec chyba tylko potyka się jeszcze o kamienie i o ludzi!

Nieco trucizny kiedy niekiedy: to darzy słodkimi snami. A w końcu — dużo trucizny, aby mile zemrzeć.

Pracuje się jeszcze, gdyż praca jest rozrywką. Dba się jednak o to, by ta rozrywka nie stała się zbyt uciążliwą.

Nikt już nie jest bogatym ani biednym: jedno i drugie jest zbyt uciążliwe. Któż by jeszcze chciał panować? Któż podlegać? To zbyt uciążliwe.

Żadnego pasterza, sama trzoda! Każdy jest równy, każdy chce dziani równego. Kto inaczej czuje, idzie dobrowolnie do domu obłąkanych.

„Dawniej cały świat był obłądny” — mówią najsubtelniejsi i mrużą mądrze oczy.

Jest się mądrym i wie się wszystko, co się zdarzyło, więc w wy-drwiwaniu wszystkiego nie zna się miary. Sprzecząją się jeszcze, lecz godzą się niebawem, gdyż niezgoda psuje żołądek.

Ma się swą przyjemnośćkę na dzień i swą przyjemnośćkę na czas nocy; lecz zdrowie ceni się nade wszystko.

„Myśmy szczęście wynaleźli” — mówią ostatni ludzie i mrużą oczy.

Tu zakończył Zaratustra swą pierwszą mowę (zwał ją również i „przedmową”), gdyż w tem miejscu przerwał mu krzyk i radość tłumu:

— Daj nam, Zaratustro, tego ostatniego człowieka — wołali razem — uczyn z nas ostatnich ludzi, a darujemy ci twego nadczłowieka.

Lud cały radował się i mlaskał językiem. Zaratustrę wszakże smutek ogarnął; rzekł do serca swego:

„Nie rozumieją mnie: nie jestem językiem dla tych uszu.

Za długo w istocie żyłem w górach, zanadto wsłuchiwałem się w szelesty drzew i w poszumy strumieni: i oto mowa ma jest dla nich mową pasterzy kóz.

Dusza ma nieporuszona jest i jasna jako wzgórze o poranku. Oni jednak sądzą, że jest zimny i że jest szyderca w żartach okrutnych.

I teraz oto spozierają wciąż na mnie i śmieją się. A śmiejąc się, nienawidzą mnie jeszcze. Lód jest w ich śmiechu”.

6.

Lecz oto wydarzyło się coś, wobec czego wszystkie usta oniemiały i wszystkie oczy słupem stanęły. Linoskok rozpoczął właśnie swe dzieło; wyszedł on spoza małych drzwiczek i posuwał się po linie rozciągniętej między dwiema wieżami, i tak oto wisiał ponad rynkiem i ludem. Kiedy się w połowie drogi znajdował, roztworzyły się nagle małe drzwi i jakiś pstry urwisz, niby śmieszek jarmarczny, wskoczył na linę i szybkimi krokami zbliżał się do poprzednika. — Naprzód, włóczynogo — wołał straszny jego głos — naprzód, ciemnego, czołgaczu, tchórze! Aby cię piętą nie połechtali! Cóż ty tu marudzisz pomiędzy wieżami? Do wieży by cię zamknąć należało, lepszemu od siebie drogę tylko zawałasz! — I z każdym słowem posuwał się bliżej, coraz to bliżej; a gdy już tylko krok jeden oddzielał obu, wówczas stała się rzecz potworna, wobec której wszystkie usta oniemiały i wszystkie oczy słupem stanęły: błazen wydał wrzask szatański i przeskoczył przez tego, co mu stał na drodze. Ów zaś, widząc zwycięstwo zapaśnika, stracił głowę, a zarazem i linę pod sobą, odrzucił drąg, który trzymał w rękach, a sam, w spadku pędzący od drąga, runął w głębię jako kłębowy wir ramion i nóg. Rynek i lud stał się jako morze, gdy weń nawałnica uderzy; rozpierzchły się tłumy i zafalowały w burzliwym ścisku, najbardziej zaś wokół tego miejsca, gdzie ciało przysło o ziemię.

Zaratustra wszakże stał na miejscu, i tuż koło niego spadło ciało, okaleczone śmiertelnie, połamane, ale jeszcze nie martwe. Po jakimś czasie powrócił zdruzgotany do przytomności i ujrzał klęczącego nad sobą Zaratustrę. — Czegóż ty tu chcesz? — rzekł wreszcie. — Wiedziałem ja dawno, że mi dyabeł nogę kiedyś podstawi. Teraz oto zawlecze mnie do piekła: chcesz mu wzbraniać?

— Na mą cześć, przyjacielu, nie masz tego wszystkiego, o czym mówisz: nie ma dyabła, nie ma piekła. Dusza twa umrze prędzej jeszcze niżli twe ciało: zbądź więc lęku!

Człowiek spoglądał nieufnie. — Jeśli prawdę mówisz — rzekł w końcu — w takim razie nie tracę nic, tracąc życie. Jestem nieomal jako zwierzę, które nauczono tańczyć kijem i skąpym kęsem.

— Zaniechaj tych myśli — odparł Zaratustra, tyś z niebezpieczeństwa uczynił powołanie, tem się nie gardzi. I oto przez swe powołanie giniesz; za to pochowam cię własnymi rękoma.

Gdy Zaratustra te słowa wyrzekł, konający już nie odpowiadał; lecz poruszała się jeszcze ręka jego i, jakby dziękując, szukała dłoni Zaratustry.

7.

Tymczasem wieczór nadszedł i ciemność zaległa rynek; wówczas rozbiegł się lud, gdyż nawet i ciekawość wraz z przerażeniem nużą się wreszcie. Zaratustra jednak, zatopiony w myślach, siedział przy trupie na ziemi, zapomniał o czasie. Wreszcie nastała noc i mroźny wiatr owiał samotnika. Wówczas podjął się Zaratustra z ziemi i rzekł do swego serca:

„Zaprawdę, piękny połów miał dziś Zaratustra! Człowieka nie złowił ani jednego, natomiast trupa złapał.

Ponure jest istnienie ludzkie i wciąż jeszcze bez ducha: śmieszek jarmarczny stać się dlań może przeznaczeniem.

Chcę ludzi nauczyć ducha ich istnienia, którym jest nadczłowiek, błyskawica z ciemnej chmury: człowiek.

Lecz jeszcze ja od nich daleki, i mój duch do ich ducha nie przemawia. Dla ludzi jestem jeszcze czemś pośrednim między błaznem i trupem.

Ciemna jest ta noc, ciemnymi drogi chadza Zaratustra. Chodźże, ty mój zimny i sztywny towarzyszu! Zawiodę cię tam, gdzie cię własnymi rękoma pochowam”.

8.

Co rzekłszy do swego serca, wziął Zaratustra trupa na plecy i ruszył w drogę. Stu kroków jeszcze nie uszedł, gdy podkradł się do niego człowiek jakiś i począł coś szeptać na ucho — był to ów śmieszek z wieży. — Uciekaj, o Zaratustro, z tego miasta — szeptał doń — zbyt wielu nienawidzi cię tutaj. Nienawidzą cię dobrzy i sprawiedliwi, i zwą cię swoim wrogiem a wzgardzicielem; nienawidzą cię wierzący wiary prawej, i zwą cię niebezpieczeństwem dla tłumu. Całe twe szczęście, że śmiano się z ciebie: i zaprawdę, mówiłeś jako śmieszek. Całe twe szczęście, żeś się do tego zdechłego psa przyłączył; a żeś się tak poniżył, uratowałeś się jeszcze na dzisiaj. Uchodź jednak precz z tego miasta, gdyż jutro przeskoczę przez ciebie ja, żywy przez umarłego. — Powiedziawszy to, przepadł człowiek. Zaratustra szedł dalej w ciemne zaułki.

U wrót miejskich zaczepili go grabarze. Zaświeciwszy pochodnią w twarz, poznali Zaratustrę i szydzili z niego. — Zaratustra wynosi zdechłego psa; pięknie, że Zaratustra stał się grabarzem! Gdyż nasze ręce są, jak na tę pieczeń, za czyste. Pragnież, Zaratustro, dyabłu kasek jego ukraść? Powodzenia! I szczęśliwej wieczery! Bodaj jednak, że dyabei lepszym jest złodziejem od Zaratustry! Porwie ich obu, pożre ich obu!” — I śmiali się tak społem, i szeptali ze sobą.

Zaratustra nie odparł ani słowa i swoją szedł drogą. Gdy tak dwie godziny skrajem lasów i bagien wędrował, za wiele nasłuchiwał się wycia zgłodniałych wilków, więc i jego głód nawiedził. Zatrzymał się przeto u samotnej chaty, w której płonęło światło.

— Głód mię opada — rzekł Zaratustra, jak zbój. — W lasach i na bagniskach opada mię głód i po nocy głębokiej.

Przedziwne kaprysy miewa głód mój. Często po posiłku nawiedza mię dopiero, dziś w ciągu dnia nie przychodził: gdzież bawił on?

To mówiąc, uderzał Zaratustra we wrota. Wyszedł starzec; światło niósł w ręku i pytał: — Któż to nawiedza mnie i zły mój sen?

— Żywy i umarły — odparł Zaratustra. — Dajcież mi jeść i pić, zapomniałem o tem za dnia. Kto głodnego karmi, duszę własną orzeźwia: tak mówi mądrość.

Stary odszedł, powrócił jednak niebawem i częstował Zaratustrę chlebem i winem. — Złe to strony dla zgłodniałych — mówił — dlatego też ja tu mieszkam. Zwierzę i człowiek przychodzi tu do mnie samotnika. Lecz każde jeść i pić towarzyszowi swemu, bardziej on od ciebie znużony.

Zaratustra odparł: — Martwym jest mój towarzysz, trudno go będzie do tego namówić.

— To mnie nic nie obchodzi — odparł stary mrukliwie — kto do mego domu zapuka, winien przyjmować, czem go ugaszczam. Jedzcież i bywajcie zdrowi!

Po czem wędrował Zaratustra jeszcze dwie godziny, zawierając się drodze i światłu gwiazd: gdyż z nawyknięcia był nocnym łazęgą i upodobał był sobie spoglądanie śpiącym w oblicza. Gdy ranek szarzeć

począł, znalazł się Zaratustra w głębokim borze, gdzie gubiły się już drogi. Wówczas złożył trupa w dziuplaste drzewo u swego wezglowia, gdyż pragnął go od wilków uchronić; sam zaś spoczął na ziemi we mchu. Niebawem zasnął, zmęczony ciałem, lecz z nieporuszoną duszą.

9.

Długo spał Zaratustra; nie tylko jutrznia, lecz i przedpołudnie zajrzało w jego oblicze. Wreszcie rozchylił powieki i ze zdziwieniem spojrzął wokół siebie: zadziwił go las i cisza samotna, ze zdziwieniem spojrzął w samego siebie. Po czym zerwał się szybko, jako żeglarz, gdy nagle ląd spostrzeże. Rozradowało się serce jego, gdyż nową prawdę ujrzał. I rzekł wówczas do serca swego:

„Nowe weszło mi światło: towarzyszy potrzebuję, ludzi żywych, nie martwych towarzyszy lub trupów, których tam niosę, dokąd zechcę.

Zywych ludzi potrzebuję, którzy dlatego ze mną pójdą, iż taka jest ich wola, by pójść tam, dokąd i ja podążam.

Nowe weszło mi światło. Nie do ludu, lecz do towarzyszy niechaj przemawia Zaratustra! Psem trzody lub jej pasterzem niechaj być nie pragnie!

Wielu z trzody wyneć — oto do czego doszedł. Niechaj mnie lud i trzoda nienawidzą. Niech się zwę zbójem u pasterzy.

Pasterzy, powiadam, lecz oni zwą się dobrymi i sprawiedliwymi. Pasterzy, powiadam, lecz oni zwą się wierzącymi wiary prawdziwej.

Patrzcie na tych dobrych i sprawiedliwych! Kogóż oni najbardziej nienawidzą? Tego, kto kruszy tablice ich wartości, tego burzyciela, tego niszczyciela: ten jednak jest twórcą.

Patrzcie na tych wierzących wszelkich wiar! Kogóż oni najbardziej nienawidzą? Tego, kto kruszy tablice ich wartości, tego burzyciela, tego niszczyciela: ten jednak jest twórcą.

Towarzyszy szuka twórca, nie trupów ani trzody, ani wierzących. Towarzyszy w dziele swem twórczem, tych, co nowe wartości na nowych wypiszą tablicach.

Towarzyszy szuka twórca, spóźniwiarzy, gdyż wszystko u niego już do żniwa gotowe. Brak mu jednak stu sierpów; z gniewem wrywa tedy kłosy.

Towarzyszy szuka twórca, takich towarzyszy, co sierpy swe ostrzyć potrafią. Nazwą ich niszczycielami, wgardzicielami dobra i zła, lecz ci są, którzy plony zna, ci są, którzy dożynki święcą.

Współtworzących szuka Zaratustra, współniwiarzy i współświę-tujących. Cóż on ma wspólnego z trzodą, z pasterzami i trupami!

A ty, pierwszy mój towarzyszu, bywaj zdrow! Dobrze pochowałem cię w pustem drzewie, dobrzem od wilków cię ukrył.

Lecz rozstać się nam pora; czas mnie woła. Między dwiema jutrzniami weszło mi światło nowej prawdy.

Nie pasterzem mi być ani grabarzem. Nie będę odtąd nawet do ludu przemawiał: po raz ostatni mówiłem do trupa.

Do tworzących, do żniwiarzy, do tych, którzy plony żną i dożynki święcą, do nich się przyłączę: wskażę im tęczę i wszystkie szczeble nadczłowieka.

Samotnikom pieśń swą zaśpiewam i samowtórom; a kto uszy ma dla niesłychanego, temu serce swoim szczęściem obciążę.

Do celu swego podążam, drogą swą idę. A przez zwlekających, przez niezdecydowanych przeskoczę. I niechaj ten pochód mój zanikiem ich będzie!"

Mówił to Zaratustra do serca swego, gdy słońce na południu stało. Nagle spojrzął pytająco w górę, gdyż usłyszał ostry krzyk ptaka. Patrzy

— oto orzeł ciągnie górą, szerokie zataczając koliska; zawisa na nim wąż, wszakże nie jako łup, lecz jako druh; gdyż owija mu się wokół szyi pierścieniami kregi.

— Moje to zwierzęta! — wołał Zaratustra, radując się serdecznie.

— Najmądrzejsze zwierzę pod słońcem i najroztropniejsze zwierzę pod słońcem — na wywiady wyruszyły one.

Wywiedzieć się pragną, zali Zaratustra żyje jeszcze. Zaprawdę, żywięz ja jeszcze?

Niebezpieczniej było mi wśród ludzi niżli pośród zwierząt, niebezpiecznymi drogi idzie Zaratustra. Niechże mię zwierzęta moje wiodą!

Gdy Zaratustra te słowa wyrzekł, wspomniął nagle na słowa świętego z lasu, westchnął i rzekł do swego serca:

„Obym był rozważniejszy! Obym był aż do głębi rozważny jako wąż mój!

Lecz o niemożliwą upraszam ja rzecz: błagam więc mą dumę, aby zawsze szła w parze z mą roztropnością!

A gdy mię ma roztropność opuści — och, lubi ona odlatywać! — wówczas niech się ma duma z szaleństwem mem poniesie!"

Tak się poczęło zniżyć Zaratury.

MOWY ZARATURY

O TRZECH PRZEMIANACH

Nazwę wam trzy przemiany ducha: jako duch wielbłądem się staje, wielbłąd lwem, wreszcie lew dziecięciem.

Wiele jest ciężaru dla ducha, dla silnego jucznygo ducha, w którym pokora zamieszka: wszystkiego, co ciężkie i najcięższe, pożąda jego siła.

Cóż jest ciężkie? — pyta juczny duch i klęka jako wielbłąd, aby go dobrze obciążano.

Cóż jest najcięższe dla was, bohaterzy? — pyta juczny duch, abym to na siebie wziął i radował się siłą swą.

Nie jesteście to: siebie poniżać, aby swą wyniosłości ból sprawić? Pozwolić świecić swemu szaleństwu, aby móc drwić ze swą mądrości?

Nie jesteście to: z własną wonczas rozstawać się sprawą, gdy ona zwycięstwo święcić poczyna. Na wysokie wspinać się góry, aby kusiciela kusić?

Lub może to: żywić się żołądźmi i trawą poznania i w imię prawdy na głód duszy cierpieć?

Lub może to: chorym być, a pocieszycieli odprawiać, z głuchymi przyjaźń zawierać, którzy nigdy nie usłyszą, czego pragniesz?

Lub może to: w brudną leżać wodę, jeśli taką jest woda prawdy, i zimnych żab oraz ropuch gorących nie odpychać od siebie?

Lub może to: kochać tych, co nami gardzą, do upiora rękę wyciągać, gdy ten straszyć nas ze chce?

Wszystko to najcięższe bierze na siebie juczny duch i jako wielbłąd, co na pustynię podąża, tako śpieszy i on na swą pustynię.

Lecz na samotnej pustyni dzieje się druga przemiana: lwem staje się tu duch, wolność pragnie sobie złupić i panem być na własnej pustyni.

Ostatniego swego władcy szuka on tutaj: wrogiem chce być, jako i Bogu swemu ostatniemu; z wielkim smokiem chce się o zwycięstwo potykać.

Czemże jest ów wielki smok, któremu duch jako panu i Bogu ulegać nie chce? „Musisz” zwi się ów smok. Lecz duch lwa mówi „chcę”.

Złotołśniące „musisz” legło mu oto w poprzek drogi — łuskowiec, a na każdej łusce lśni się złote „musisz!”

Tysiącletnie wartości lśnią się na tych łuskach. I tak oto przemawia najpotężniejszy ze wszystkich smoków: — Wszelka wartość rzeczy, ta na mnie błyszczy. Wszelka wartość stworzoną już jest, a wszelką stworzoną wartością jam jest. Zaprawdę, nie powinno być więcej „ja chcę!” — Tak mówi smok.

Bracia moi, na cóż potrzeba lwa w duchu? Czemu nie podoła jeszcze zwierzę, co samo w zaparciu i pokorze żyje?

Nowe tworzyć wartości — tego i lew nie dokona; lecz stworzyć sobie wolność nowego tworzenia — temu lwia potęga podoła.

Stworzyć sobie wolność i święte „nie” nawet o obowiązku: na to, bracia moi, lwa potrzeba.

Wziąć sobie prawo do nowych wartości — to najstraszniejszy łup dla jucznygo i pokornego ducha. Zaprawdę, łupieżna to sprawa i drapieżnygo zwierzęcia rzecz.

Jako swą największą świętość ukochał on niegdyś swe „powinieneś”: teraz oto musi dojrzeć szaleństwo i dowolność nawet i w naj-świętszym, aby swą wolność miłości swej wydrzeć: lwa do tego rabunku potrzeba.

Lecz powiedzcież mi, bracia, cóż zdoła dziecię, gdzie lew nawet nie podolał? Czemu lew drapieżny dziecięciem stać się jeszcze winien?

Niewinnością jest dziecię i zapomnieniem, jest nowopoczęciem, jest grą, jest toczącym się pierścieniem, pierwszym ruchem, świętego „tak” mówieniem.

O tak, do gry tworzenia, bracia moi, należy i święte „tak” nauczyć się wymawiać: s w o j e j woli pożąda duch, s w ó j świat odnajduje, kto się w świecie zatracił.

Nazwałem wam trzy przemiany ducha: jako duch wielbłądem się staje, wielbłąd lwem, wreszcie lew dziecięciem.

Tako rzecze Zaratustra. A bawił on wówczas w mieście zwanem „pstra krowa”.

O KAZALNICACH CNOTY

Wysławiano przed Zaratustrą mędrca, co dobrze o śnie i o cnotach mówić potrafił. Szanowano go powszechnie i nagradzano obficie; wszystka młodzież zasiadła przed jego kazalnica. Do niego poszedł Zaratustra i zasiadł wśród młodzieży. A mędrzec tak pouczał:

— Cześć dla snu i wstyd przed nim! To jest rzecz główna! Poza tem schodzić z drogi wszystkim, co źle sypiają i po nocach czuwają!

Wstydlivy jest złodziej wobec snu: cicho zakrada się wśród nocy. Bezwstydnym jest jednak stróż nocny: bezwstydnie róg swój niesie.

Niemała to sztuka spać: nie lada mozół oczekiwać na sen wśród całodziennej jawy.

Dziesięć razy na dzień samego siebie przemóc musisz: to darzy dobroczynnym zmęczeniem i jest makiem dla duszy.

Dziesięć razy z sobą pogodzić się musisz, gdyż samopokonanie jest goryczą; a źle sypia nie pogodzony ze sobą.

Dziesięć prawd za dnia osiąść musisz: inaczej prawdy po nocach szukać będziesz i dusza twa głodną pozostanie.

Dziesięć razy na dzień śmiać się musisz i weselić. Jeśli tego nie uczynisz, będzie ci po nocy dokuczał żołądek, ten ojciec przygnębienia.

Niewielu wie o tem: trzeba jednak wszystkie cnoty posiadać, by dobrze spać. Będęz ja dawał fałszywe świadectwo? Będęz cudzołożył?

Będęz pożądał służebnicy bliźniego mego? Wszystko by to dobry sen zmać mogło.

Nawet gdy się posiada wszystkie cnoty, jeszcze jedną zdobyć trzeba koniecznie: aby wszystkie swe cnoty we właściwym czasie do snu układać.

Aby się między sobą nie kłóciły te mile kobietki! I to o ciebie, nieszczęsny!

Zgoda z Bogiem i z sąsiadem: tego wymaga dobry sen. Zgoda również z dyabłem sąsiada! Inaczej po nocy straszyć cię będzie.

Zwierzchności cześć i posłuszeństwo. Nawet krętej zwierzchności! Dobry sen tego wymaga. I cóż ja na to poradzę, że władza chętnie krzywo kroczy?

Ten zwie się u mnie najlepszym pasterzem, kto owce swoje na naj-zieleńsze wyprowadza błonia: to *zgadza* się z dobrym snem.

Wielkich honorów nie żądam ani wielkich skarbów: to zapala wątrobę. Źle sypia się jednak bez dobrego imienia i bez skarbu drobnego.

Małe towarzystwo jest mi miłsze od wielkiego. Musi ono jednak przychodzić i odchodzić we właściwym czasie. Tego wymaga dobry sen.

Upodobałem sobie ubogich duchem: oni sen przyspieszają. Błodzy to ludzie, zwłaszcza gdy się im zawsze słuszość przyznaje.

Tak ubiega dzień cnotliwemu. I oto noc się zbliża. Jednak wystrzegam się przyzywać sen! Nie wołanym pragnie być ów władca dusz cnotliwych!

Leżę tedy i rozważam, com za dnia czynił i myślał. Przezuwając cierpliwie jak krowa, pytam się w duchu: jakież to były dziś twe dziesięć pokonań?

Jakież były twe dziesięć pogodzeń się ze sobą? Twe dziesięć prawd, dziesięć uśmiechów, którymi zbudowało się serce twe?

Gdy tak oto rozważam, ukołysany czterdziestoma myślami, opada mnie nagle sen, sen nie wołany, cnót władca.

Sen uderzył w powieki moje: opadają ciężko. Sen dotknął ust moich: rozchylają się wargi.

Zaprawdę, na miękkich podszwach zbliża się do mnie ten najukochańszy ze złodziei i kradnie mi myśli moje. I oto głupi stoję przed wami, jako ta kazalnica.

Niedługo jednak tak stoję: oto leżę już.

Gdy Zaratustra te słowa usłyszał, zaśmiał się w duchu, gdyż nowe światło mu wzeszło. I tak oto rzekł do swego serca:

„Błaznem jest mędrzec ten wraz ze swemi czterdziestoma myślami. Sądzę jednak, iż na spaniu zna się znakomicie.

Szczęśliwy, kto mieszka w bliskości takiego mędrca! Taki sen od niego bije, iż przez ścianę grubą zarazić może.

Urok udziela się nawet jego kazalnicy. I nie darmo siedziała młodzież przed tym kaznodzieją cnoty!

Mądrością jego: czuwać, by móc dobrze sypiać. I zaprawdę, gdyby życie żadnego sensu nie miało, a miałbym wśród bezmyślności wybierać, ta bezmyślność byłaby najbardziej godna wyboru.

Teraz pojmuję jasno, czego szukano, szukając nauczycieli cnoty. Szukano snu dobrego wraz z makowemi cnotami!

Całą wiedzę tych sławionych mędrców z kazalnicy moralności był sen bez snów: lepszego celu w życiu nie znali.

I dziś jeszcze znajdzie się niejeden taki prorok cnoty, aczkolwiek nie zawsze tak uczciwie szczerzy. Lecz czas ich mija. I niedługo stać będą: oto leżą już.

Błogosławieni są ci senni, albowiem oni zdrzemną się niezadługo”.

Tako rzecze Zaratustra.

O ZAŚWIATOWCACH

Wyrzucił raz i Zaratustra swój omam poza człowieka, jako wszyscy zaświatowcy to czynią. Dziełem cierpiącego i zamęczonego Boga wydał mi się wówczas świat.

Snem świat mi się wydał i Boga marzeniem; barwistym dymem przed oczyma bosko niezadowolonego.

Dobro i zło, radość i cierpienie, ja i ty — barwnym dymem wydać mi się to przed twórczemi oczyma. Chciał Stwórca spojrzenie od siebie precz odwrócić — i wonczas świat ten stworzył.

Pijana to rozkosz cierpiącego móc odwrócić spojrzenie od swych cierpień i siebie zatracić. Pijaną rozkoszą i samozatraceniem wydał mi się niegdyś świat.

Ten wiecznie niedoskonały, wiecznej sprzeczności obraz, obraz niedoskonały — pijana rozkosz niedoskonałego twórcy: oto czem mi się świat niegdyś wydał.

I tak oto wyrzuciłem i ja swój omam poza człowieka, jako wszyscy zaświatowcy to czynią. Poza człowieka — w prawdę?

O bracia, Bóg, któremu stworzył, był ludzkim dziełem i obłędem, jako wszyscy bogowie.

Człowiekiem był on, biednym ułamkiem człowieka i jaźni: z własnego popiołu i żaru stworzyłem ten upiór, i zaprawdę, nie nawiedził on mnie z zaświatów!

I cóż się oto stało, bracia moi? Przemogłem siebie, cierpiącego, zaniósłem swój popiół w góry, jaśniejszy wynalazłem sobie płomień. I patrzcie! u s t ą p i ł upiór ode mnie.

Cierpieniem by było mi to teraz i męką dla ozdrowiałego w takie wierzyć upiory: cierpieniem by było mi to teraz i poniżeniem. Tako mówię zaświatowcom.

Cierpieniec to było i niemoc — co stworzyło wszystkie zaświaty; i ów krótki obłęd szczęścia, którego zaznaje tylko cierpiący.

Znużenie to było, co jednym skokiem chciało dotrzeć do ostatnich krańców, krokiem śmiertelnym; biedne, w niewiedzy pozostające, znużenie, co nawet już chcieć nie chce: ono to stworzyło bogów i zaświaty.

Wierzajcie mi, bracia moi! Ciało to było, co o ciele zwątpiło — ono to palcami ogłupiałego ducha macało po ostatnich ścianach.

Wierzajcie mi, bracia moi! Ciało to było, co o ziemi zwątpiło — ono to słyszało, jako brzuch bytu doń przemawia.

Ono to chciało przebić głową ostatnie mury i przedostać się nie tylko głową — poza nie w „tamten świat”.

Lecz „tamten świat” dobrze jest ukryty przed człowiekiem, ów od-człowieczony, nieczłowieczy świat; zaś żywot bytu wcale do człowieka nie przemawia, chyba że czyni to jako człowiek.

Zaprawdę, trudno jakiegokolwiek bytu dowieść i trudno do przemówienia go zmusić. Powiedzcież mi, bracia, czyż z rzeczy wszelkich najcudowniejsza nie jest jeszcze najlepiej dowiedziona?

Tak, to „ja” i tego „ja” sprzeczność i zawrotność cała mówi jeszcze najrzetelniej o swym bycie, to twórcze, chcące wartości nadające „ja”, które jest miarą i wartością *rzeczy*.

A ten byt najrzetelniejszy, to „ja” — ono mówi o ciele i ciała chce nawet wówczas, gdy marzy, po błękitach buja i połamanemi skrzydły łopocze.

Coraz rzetelniej mówić się uczy to „ja”: zaś im więcej się uczy, tem więcej znajduje słów i chwał dla ciała i ziemi.

Nowej dumy uczyło mnie me „ja”, jej to ludzi uczyć: nie wtykać odtąd głowy w piasek rzeczy niebieskich, lecz wznosić ją wolno: głowę ziemską, co ziemską stwarza treść!

Nowej woli uczyć ja ludzi: tej chcieć drogi, którą dotychczas na oślep człowiek chadzał, uznawać ją za dobrą i nie przemyskać się nadal bo-cznymi ścieżki, jako to czynią chorzy i zamierający!

Chorzy to byli i zamierający, co wzgardzili ciałem i ziemią i wynaleźli rzeczy niebiańskie oraz zbawcze krople krwi: lecz nawet i te słodkie, a ponure trucizny zaczerpnęli wszak z ciała i ziemi!

Niedoli swej umknąć się dziś chcieli, a gwiazdy były im za dalekie. Wzdychali przeto: „O, gdybyż były drogi niebiańskie, któremi by można było się przekraść w inny byt i szczęście!” — wówczas wynaleźli sobie swe ścieżki kręte i napitki krwawe!

Marzy się im, niewdzięcznikom tym, że się ciała i ziemi wyzbyli. Lecz czemuż zawdzięczają oni dreszcz i błogość tego wyzbycia się? Ciału swemu i ziemi tej.

Łagodnym jest Zaratustra względem chorych. Zaprawdę, nie złorzeczy on ich sposobom pocieszania się i niewdzięczności. Obyż się oni ozdrowiałymi stali, przemagającymi i oby wyższe stworzyli sobie ciało!

Nie złorzeczy też Zaratustra ozdrowiałemu, gdy się za swym omamem tkliwie obziera, i gdy się o północy wokół grobu swego Boga skrada: lecz chorobą i chórem ciałem są dla mnie nawet i łyż jego.

Wiele chorego ludu bywało zawsze wokół tych, co poezye tworzą i żądni Boga są: zawziętą pałają oni nienawiścią przeciw poznającemu i przeciw tej najmłodszej nocy, która zwie się rzetelność.

Wstecz spoglądają oni zawsze ku ciemnym czasom: wówczas były oczywiście i szła, i wiara czemś innym; miotanie się rozumu było bogu-podobieństwem, a wątpienie grzechem.

Zbyt dobrze znam ja tych bogupodobnych: chcą oni, aby w nich wierzone, i aby wątpienie grzechem było. Zbyt dobrze wiem też, w co oni sami najgłębiej wierzą.

Zaprawdę, nie w zaświaty i wyzwajające krwi krople: w ciało wierzą i oni najbardziej, zaś własne ciało jest dla nich rzeczą samą w sobie.

Lecz zarazem schorzałą *rzeczą* jest ono dla nich: chętnie by więc ze skóry wyleźli. Przeto radzi słuchają karnodziei śmierci i sami każą o zaświatach.

Słuchajcież raczej, bracia moi, głodu zdrowego ciała: rzetelniejszy i czystszy to głód.

Rzetelniej mówi czyste i zdrowe ciało, ciało doskonałe i udałe: a ono o treści ziemi powiada.

Tako rzecze Zaratustra.

O WZGARDZICIELACH CIAŁA

Gardzicielom ciała chcę słowo swe rzec. Nie na to wszakże, aby siebie lub innych oduczali, lecz aby ciału swemu „bywaj zdrowe!” rzekli — i tak oniemieli.

„Ciałem jestem i duszą” — mówi dziecko. I dlaczegóż by nie należało mawiać jako dzieci?

Lecz człek ocknięty i uświadomiony rzecz: ciałem jestem na wskroś i niczem ponadto; zaś dusza jest tylko słowem na coś do ciała należącego.

Ciało jest wielkim rozumem, mnogością o jednej treści, jest wojną i pokojem, jest trzodą i pasterzem.

Narzędziem twego ciała jest twój mały rozsądek, bracie mój, który zwiesz „duchem”, narzędziem jest on i igraszką twego wielkiego rozumu.

„Ja” — powiadasz i chełpisz się z tego słowa. Lecz rzeczą większą, w co wierzyć nie chcesz, jest twoje ciało i jego wielki rozum: ono nie mówi „ja”, ono „ja” czyni.

Co zmysł wyczuwa, co duch poznaje, nigdy temu końca nie masz.

Lecz zmysł i duch przekonać by cię rade, iż one to są końcem rzeczy wszelkich: tak bardzo próżne są.

Narzędziem i igraszką jest zmysł i duch, poza nimi jest jeszcze samotność. Samotność szuka oczami zmysłów, słucha uszami ducha.

Zawsze samość słucha i szuka: porównywa, zniewala, zdobywa i burzy. Panuje i jest też władcą jaźni.

Poza twymi myślami i uczuciami, bracie mój, stoi władca potężny, - mędrzec nieznan — zwi się on „ty sam”. W twoim ciele on mieszka, rwojem jest ciałem.

Więcej rozsądku jest w twym ciele niżli w twej największej mądrości. I któż wiedzieć może, ku czemu twoje ciało swej największej właśnie potrzebuje mądrości?

Twa samość śmieje się z twego „ja” i jego dumnych skoków. „Czemże mi są te skoki i poloty myśli? — powiada sobie. — Zboczeniem podróżnem ku memu celowi. Jam jest, co twoje »ja« na pasku wiedzy i jego pojęcia weń wdycha”.

Samość mówi do jaźni: „Tu ból czuję!” I wówczas cierpi ona i myśli, jak by usunąć cierpienie — i po to właśnie myśleć p o w i n n a .

Samość mówi do jaźni: „Tu radość czuję!” I wówczas weseli się ona i myśli, jak by się częściej weselić — i po to właśnie myśleć p o w i n n a .

Gardzielom ciała chcę słowo rzec. Iż gardzą, dzieje się to dlatego, iż poważają. Boć czemże to jest, co stworzyło poważanie, wzdargę, wartość i wolę?

Twórcza samość stworzyła sobie poważanie i wzdargę, ona stworzyła sobie rozkosz i boleść. Twórcze ciało stworzyło sobie ducha, jako ramię woli swej.

Nawet w swym nierozsądku i wzgardzie, wy, ciała gardziciele, służycie swej samości. Powiadam ja wam: samość wasza umrzeć chce i odwraca się precz od życia.

Nie podoła ona już temu, czego najserdeczniej pragnie: tworzyć ponad siebie już nie zdoła. Tego ona pragnie najbardziej, to jest całym jej żarem.

Lecz za późno już na to dla niej: przeto chce wasza samość zaniknąć, wy, ciała gardziciele.

Zaniknąć chce wasza samość i temu staliście się wy ciała gardzi-cielami! Gdyż nie zdołacie wy już ponad samych siebie tworzyć.

I przeto złorzeczycie życiu i ziemi. Nieświadoma zawiść jest w kosem wejrzeniu waszej wzdargy.

Drogą waszą ja nie pójdę, wy, ciała gardziciele! Nie jesteście wy dla mnie mostem ku nadczłowiekowi!

Tako rzecze Zaratustra.

O RADOŚCI I NAMIEŃNOŚCIACH

Bracie mój, jeśli cnotę posiadasz, a jest ona twoją cnotą, masz ją nie społem z kimkolwiek, lecz dla siebie wyłącznie.

Lecz — oczywiście! — ty pragniesz ją po imieniu nazywać, pieścić, za uszy ją psotnie targać i z nią baraszkować.

I oto patrz! Posiadasz imię jej na spółkę z ludem, stałeś się tłumem i trzodą wraz z cnotą swoją!

Lepiej byś uczynił, mówiąc: „Niewypowiedzialne i bezimienne jest to, co męką jest i słodyczą ducha mego, głodem wnętrzości mych”.

Niech cnota twoja za wysoka będzie, aby się z nią przez imię spou-falać; a gdy cię zmuszą do mówienia o niej, nie wstydz się, że się wówczas jąkasz.

Jąkając się, powiedz wtedy: „To jest moje dobro, które ukochałem; upodobałem je sobie całkowicie, jakim jest, i lakiem jedynie chcę mieć dobro.

Nie pragnę go jako boskiego przykazania, jako ludzkiego przepisu lub potrzeby koniecznej; nie chcę również, aby mi było drogowskazem do zaświatów i obiecanką rajów.

Ziemska jest cnota, którą kocham; niewiele w niej mądrości, a najmniej rozsądku ogółu.

Lecz ptak ten zbudował gniazdo u mnie — polubiłem go serdecznie, i oto siedzi przy mnie na swych złotych jajach".

Tak jękać się i tak tylko chwalić swą cnotę.

Dawniej miałeś namiętności i zwał je ziemi. Teraz masz jedynie swe cnoty: wyrosły one z twych namiętności.

Wytknąłeś cel najwyższy swym namiętnościom: i oto stały się cnotami i uciechą twoją.

I choćbyś był z rodu zapalczywych w gniewie, w lubieżności tonących, z wiary się wściekających, pomsty żądnych, wszystkie twe namiętności stały się twymi cnotami, wszystkie twe dyabły — aniołami.

Dawniej dzikie psy miałeś w podziemiach swych, zmieniły się one w ptaki i śpiewaczki miłe.

Ze swych trucizn wywarzyłeś sobie balsam; doileś swoją krowę, udarczenie, dziś pijasz słodkie mleko jej wymion.

I żadne zło już w tobie nie dojrzeje, chyba to zło, które z walki twych cnót wyrosnąć może.

Bracie mój, jeśli z szczęśliwych jesteś, to posiadasz jedną tylko cnotę, a nie więcej; przez taki most łatwiej się przechodzi.

Czcigodny jest ten, co wiele cnót posiada. Ciężki to jednak los. Niejeden szedł na pustynię i zabijał się tam, gdyż umęczyło go być ciągle bitwą i pobożowiskiem cnót własnych.

Bracie mój, czyż wojna i bitwa nie jest złem? Jednak konieczne jest to zło, konieczna jest zazdrość, konieczne jest niedowierzanie, konieczna jest potwarz między cnotami.

Patrz, jak każda z twych cnót najwyższego pożąda: chce ona całego ducha twego, aby był jej heroldem, chce całej twej siły w gniewie, nienawiści i miłowaniu.

Jedna cnota drugiej zazdrości. A zazdrość jest straszną rzeczą. Nawet cnoty ginąć mogą z zawiści.

Kogo płomień zawiści obejmie, ten jako skorpion zwraca w końcu żądło przeciwko sobie samemu.

Ach, bracie mój, czyliż nie widziałeś nigdy, jak cnota cnotę spotwarzać i na śmierć zażgać umie?

Człowiek jest czemś, co powinno być pokonane; dlatego też powinienes swe cnoty kochać, gdyż przez nie zaginiesz.

Tako rzecze Zaratustra.

O BLADYM PRZESTĘPCY

Nie chcecie zabijać, sędziowie i ofiarnicy, zanim zwierzę karku nie nagnie? Patrzcież, błąd przestępca pochylał głowę: z oczu jego przemawia wielka wzgarda.

„Moje »ja« jest czemś, co pokonanem być winno, moje ja jest dla mnie wielkim wzgardzeniem człowieka" — tak oto mówią jego oczy.

Iż samego siebie on zasądził, najwznioślejszą to było jego chwilą: nie dopuścież, aby wyniosły powracał do swej niskości!

Nie masz wyzwolenia dla tego, co tak nad samym sobą boleje, prócz śmierci chyba rychłej.

Wasze uśmiercenie, sędziowie, winno być litością, a nie zemstą. A gdy zabijacie, baczcież, abyście sami życie usprawiedliwiali!

Bo nie dosyć, gdy się pojednacie z tym, kogo uśmiercacie. Waszym smutkiem niechaj będzie miłość ku nadczłowiekowi: tem tylko usprawiedliwić zdołacie wasze przy życiu pozostawianie!

„Wróg" winniście mawiać, lecz nie „złoczyńca"; „chory" winniście powiadać, lecz nie „lotr"; „głupiec" winniście głosić, lecz nie „grzesznik".

A ty, czerwony sędzio, gdybyś ty głośno powiedział chciał to wszystko coeś w myślach już popełnił, zawołałby każdy: „Precz z tym plugastwem, precz z tym czerwem jadowitym!"

Lecz czemś innem jest myśl, czemś innem czyn, a czemś zgoła odmiennym czynu obraz. Kolisko przyczyn nie toczy się między nimi.

Obraz to uczynił bladym tego bladego człeka. Dorósł on był do miary swego postępku, gdy go popełniał: lecz jego obrazu nie zniósł, gdy czyn popełnionym już został.

Odtąd widział siebie zawsze tylko jako jednego postępku sprawcę. Obłędem zwę to: wyjątek przestoczył on w zasadę.

Kreska jarzmi kurę; krycha, którą on przeciągnął, ujarzmiła jego biedny rozum: obłędem po czynie zwę ja to.

Słuchajcież, sędziowie! Jest jeszcze inny obłęd: a ten jest przed czynem. Och, nie dość głęboko wpętliliście mi w tę duszę!

Tak oto mówi czerwony sędzia: „Czemuż zamordował ten złoczyńca? Rabować chciał”. Lecz ja powiadam wam: dusza jego chciała krwi, nie rabunku: on tużył za szczęściem noża!

Jego biedny rozum nie pojął tego obłędu i podmówił go. „I cóż ci z krwi przyjdzie! — szeptał; czyż nie zechcesz co najmniej rabunku przy tem popełnić? Zemsty wyrzecz?” i usłuchał biednego rozumu swego: jako ołów ciężyla na nim ta l podmowa, i oto zrabował, zamordowawszy. Nie chciał się wstydzic r swego obłędu.

I znów ołów winy cięży na nim, i znowu jego biedny rozum jest | tak sztywny, tak drętwy, tak ciężki.

Gdybyś głową tylko potrząsnąć zdołał, zwałiby z siebie to brzemie: \$!. lecz któż tą głową potrząsie?

Czemże jest ten człowiek? Kupą chorób, co przez ducha sięgają w świat: i tam oto łupu swego szukają.

Czemże jest ten człowiek? Kłębem dzikich węży, które rzadko f w spokoju się kupią: i oto rozpełzają się one wszędy i szukają łupu po świecie.

Spojrzycież na to biedne ciało! Co cierpiało, czego pożądało, to i wszystko wyłożyła sobie ta biedna dusza — wyłożyła sobie jako roz-£ kosz i żądzę za szczęściem noża.

Kto teraz zachorzeje, tego opada to zło, które teraz jest złem: ból l chce przyczyniać tem, co jemu ból sprawia. Były jednak inne czasy, inne zło i dobro.

Niegdyś złem było wątpienie i wola samoistności. Wówczas stawał się chory kaccerzem lub czarownicą: jako kaccerz i czarownica cierpiał i pragnął sprawiać cierpienia.

Lecz to się w uszy wasze mieścić nie chce: waszemu dobru to szkodzi, powiadacie mi. Lecz czemuż mi wasze dobro!

Wiele z waszego dobra budzi we mnie wstręt, i zaprawdę nie ich zło. Chciałem wszak, abyście mieli obłęd, który by was do zaguby dowiódł, jako tego bladego przestępcę!

Zaprawdę, chciałem, aby się ten obłęd wasz prawdą zwał lub wiernością, lub też sprawiedliwością: lecz wy macie waszą cnotę, aby długo żyć, w żalonym zadowoleniu.

Jam jest poręczą ponad wartkim prądem: chwytaj się mnie, kto pochwyć mnie zdoła. Kosturem waszym nie jestem.

Tako rzecze Zaratustra.

O CZYTANIU I PISANIU

Ze wszystkiego, co czytam, lubię to tylko, co krwią było pisane. Pisz krwią, a dowiesz się, że krew jest duchem.

Niełatwo cudzą krew zrozumieć; nienawidzę też czytających leniwców.

Kto zna czytelnika, ten dla niego nic robić nie będzie. Jeszcze jedno stulecie czytelników — i duch nawet śmierdzieć zacznie.

Że każdemu wolno nauczyć się czytać, to psuje z czasem nie tylko pisanie, lecz i myśli.

Niegdyś duch był bogiem, potem przedzierzgnął się w człowieka, dziś staje się motłochem.

Kto krwią i w przypowieściach pisze, nie chce, by go czytano, żąda, by się go na pamięć uczono.

W górach najbliższą drogą jest droga od wierzchołka do wierzchołka, lecz na to trzeba mieć długie nogi. Przypowieści niechaj tu będą wierzchołkami, a ci, do których się mówi, wielcy i rośli.

Powietrze rzadkie i czyste, niebezpieczeństwo bliskie i duch pełen radosnej złościwości: to godzi się dobrze jedno z drugim.

Chcę mieć psotne duchy wokół siebie, gdyż odważny jestem. Odwaga, co upiory wystrasza, sama psotne duchy sobie stwarza — odwaga śmiać się chce.

Ja z wami razem już nic nie odczuwam: ta chmura, którą widzę pod sobą, ta czarność i ciężkość, z której się śmieję, to wasza chmura brzemienne burzą.

Wy spoglądacie w górę, gdy chcecie podniesienia. Ja patrzę na dół, bom jest wyniesiony.

Któż jest między wami, co zarazem i śmiać się potrafi, i wzniesionym się czuć?

Kto szczytów najwyższych dosięgnie, ten śmieje się z wszelkich tragiczności i tragicznych powag. Mężniami, nie dbającymi o nic, drwiącymi i gwałtownymi — takimi chce nas mieć mądrość: ona jest kobietą i pokochać zdoła tylko wojownika.

Mówicie mi: „Życie jest ciężkim jarzmem”. Lecz na cóż byście mieli rankiem swą dumę, a wieczorem swą uległość?

Życie jest ciężkim jarzmem: ale nie bądźcież mi tacy tkliwi! Jesteśmy wszyscy zdatnymi jucznymi osłami i oślicami.

Cóż mamy wspólnego z pakiem róży, który drży pod kilkoma kroplami rosy, gdy te nań padną?

Prawdą jest: kochamy życie nie dlatego, żeśmy do życia, lecz żeśmy do kochania przywykli.

Nieco obłąkania jest zawsze w miłości, lecz i w obłąkaniu jest zawsze nieco rozsądku.

I mnie, com przychylny życiu, wydaje się, że motyle, bańki mydlane oraz ludzie tego gatunku najwięcej wiedzą o szczęściu.

Widok tych lekkich, głupiutkich, zdobnych a ruchliwych duszyczek, bujających w powietrzu doprowadza Zaratustrę do łez i do pieśni.

Wierzyłbym tylko w Boga, który by tańczyć potrafił.

Gdym szatana swego ujrzał, był on poważny, ponury i głęboki: był to duch ciężkości — przezeń wszystko ginie.

Nie gniewem, lecz śmiechem się zabija. Naprzód, zabijmyż ducha ciężkości!

Nauczyłem się chodzić: odtąd biegam. Nauczyłem się latać: odtąd nie potrzebuję popchnięcia, by z miejsca ruszyć.

Teraz lekki jestem, teraz bujam, teraz widzę siebie przed sobą, teraz tańczy Bóg jakiś przeze mnie.

Tako rzecze Zaratustra.

O DRZEWIE NA WZGÓRZU

Dostrzegło oko Zaratustry, że pewien młodzieniec unika go. Gdy któregoś wieczora szedł samotny po wzgórzach okalających miasto zwane „pstra krowa”, spostrzegł wśród tej wędrowki owego młodzieńca; siedział on wsparty o drzewo i znużonym wzrokiem spoglądał w dolinę.

Zaratustra chwycił oburącz pień drzewny, o który wspierał się młodzieniec, i rzekł w te słowa:

— Choćbym wysiłkiem rąk obu wstrząsnął zapragnął tem drzewem, nie zdołam przecie tego uczynić.

Lecz wiatr, którego nie dostrzegamy, dręczy je i przegina, jako zechce. Najnielitościwiej dręczą nas i poginają niewidzialne dłonie.

I oto zerwał się młodzieniec spłoszony i rzekł: — Słyszę Zaratustrę, właśnie o nim myślałem.

Zaratustra odparł:

— I czemuż cię to przeraża? Jednak człowieka dola jest jako tego drzewa.

Im bardziej garnie się ku górze i ku jasności, tem gwałtowniej zapuszczają się jego korzenie w ziemię, w dół, w ciemnię, w głąb, w zło!

— Tak jest, w zło! — wykrzyknął młodzieniec. — Jakimże to cudem odkryłeś mą duszę?

Zaratustra uśmiechnął się i odparł: — Niejednej duszy nigdy się nie odkrywa, chyba że się ją wprzódy wymyśli.

— Tak jest, w zło! — wykrzyknął młodzieniec po raz wtóry. — Prawdę rzekłeś, Zaratustro. Nie dowierzam ja sobie od czasu, gdy się ku wyżynom gamę i nikt mi już nie dowierza, czemuż to się dzieje?

Przeobrażam się zbyt szybko: moje dziś obala me wczoraj. Przeskakuję często stopnie, wspinając się wzwyż; tego mi żaden stopień nie wybacza.

Gdy na wyżynie jestem, samego siebie tylko znajduję. Nikt do mnie nie przemawia, mróz samotności dreszczem mnie przejmuję. I czegoż ja chcę na wyniosłościach?

Moja wzgarda i tęsknota ma wzrastają równomiernie: im wyżej się wspina, tem bardziej gardzę tym, kto się wspina. I czegoż on chce na wyniosłość iach?

Jakże ja się wstydzę wspinania i potykania swego! Jakże szydę z swego gwałtownego zasapania! Jakże nienawidzę polotnych! O, jakżem umęczony na wyżynie!

Tu zamilkł młodzieniec. A Zaratustra, spoglądając na drzewo, przy którym stali, rzekł temi słowy: To drzewo stoi samotnie na wzgórzu, wyrosło ono wysoko ponad głowami ludzi i zwierząt.

A gdyby mówić zapragnęło, nie miałoby wokół nikogo, kto by je zrozumiał: tak wysoko wyrosło.

I oto wyczekuje i wyczekuje; na cóż ono czekać może? Chmur siedliska zamieszkało zbyt blisko: snadź pierwszego oczekuje ono gromu?

Gdy Zaratustra te słowa wyrzekł, zawołał młodzieniec w gwałtownym wybuchu: — O tak, Zaratustro, prawdęś ty mi rzekł! Zaniku swego pożądałem, gdynfku wyżynom chęcią zmierzał, a tyś jest piorunem,

"którego wyczekiwałem! Spójrz, czemu ja jestem od czasu, gdyś się ty zjawił? Za wiść ku tobie zniweczyła mnie! — Tak oto powiedział młodzieniec i zapłakał gorzko. Zaratustra jednak objął go ramieniem i uwiódł ze sobą.

Czas jakiś szli tak połem, wreszcie Zaratustra rozpoczął w te słowa:

— Serce mi tem rozdzierasz. Wymowniej niżli twe słowa wypowiedziały mi twe oczy całe twe niebezpieczeństwo.

Nie jesteś jeszcze wolny, ty szukasz dopiero wolności. Bezsennie czuwającym i nadczytym w nieustannej jawie uczyniło cię to poszukiwanie.

Ku wolnej garniesz się wyżynie, gwiazd łaknie twa dusza. Lecz i twe złe skłonności łakną również swobody.

Twe dzikie psy rwą się na swobodę; ujadają po twych piwnicach w ochocie szalonej, widząc jako twój duch burzy wszystkie więzienia.

Jeszcześ mi jest więźniem, co o wolności marzy: och, przebiegła staje się dusza u tych więźni, lecz zarazem wykrętną i nikczemną.

Oczyścić winien się jeszcze wyzwolony duchem. Wiele z więzienia i zatęchlizny pozostało w nim jeszcze; oko jego czystem stać się winno.

O tak, znam ja niebezpieczeństwo twoje. Lecz na miłość moją i nadzieję mą zaklinam cię, bracie, nie odrzucaj precz miłości i nadziei swej! .. Szlachetnym czujesz się jeszcze, szlachetnym czują cię jeszcze i ci co głuchą niechęć i złe spojrzenia ślą za tobą. Wiedz, iż wszyscy-stkim stoi szlachetny na zawadzie.

Nawet i dobrym stoi szlachetny na zawadzie; a jeśli go nawet dobrym zową, to pragną go tem właśnie z drogi usunąć.

Rzecz nową pragnie tworzyć szlachetny i nową cnotę. Starego pragnie dobry i aby stare zachowane było.

Lecz nie to jest niebezpieczeństwem szlachetnego, iż się dobrym uczyni, lecz że się stanie zuchwalca, szydercą i burzycielem.

Och, znalazłem ja szlachetnych, co stracili swą najwyższą nadzieję. I oto spotwarzać poczęli wszystkie nadzieje.

I oto żyją czelnie w krótkich rozkoszach, i poza granicę dnia jednego nieomalże nie wyrzucają już swych zamierzeń.

„I duch jest rozpustą” — wygłosili. I wonczas połamali skrzydła duchowi swemu: i oto pełza wszędy i plugawi wszystko dogryzaniem.

Niegdyś marzyli, żeby zostać bohaterami: lubieżnik! są to dzisiaj. Bohater jest dla nich grozą i utrapieniem.

Lecz na miłość i nadzieję moją zaklinam cię, bracie, nie wyrzucaj bohatera z swej duszy! Dzierżij święcie swą najwyższą nadzieję!

Tako rzecze Zaratustra.

O KAZNODZIEJACH ŚMIERCI

Bywają kaznodzieje śmierci, a ziemia jest przepelniona takimi, których by należało nawoływać do odwrotu od życia.

Pełna jest ziemia zbytecznych, zepsute jest powietrze od tych nader licznych. Niechże ich „żywotem wiecznym” z życia tego precz wywabią!

„Żółci” — tako zwą kaznodziei śmierci, lubo też „czarni”. Ja zaś pokażę wam ich w innych jeszcze barwach.

Okmtnicy to są, co drapieżne zwierzę w sobie kryją i żadnego już nie mają wyboru prócz chuci i samoudreczenia. Lecz nawet ich chuci są tylko rozszarpywaniem się za żywa.

Oni jeszcze ludźmi nawet się nie stali, okrutnicy ci; niechże nawołują do odwrotu od życia i niech się sami precz wynoszą!

To są suchotnicy na duszy: ledwie zrodzeni i już umierać poczynający i rozręsknieni ku naukom znużenia i samozaparcia.

Pragnęliby nie żyć, zaś my mamy przytakiwać tej ich woli! Miejsy się na bacności i nie budźmy tych trupów, nie uszkadzajmy tych żywych trumien!
Napotyka ich schorzały, starzec lub trup, wnet rzeką: „Życie jest pokonane!”

Lecz to oni jedynie są pokonani oraz te ich oczy, co tylko jedno i oblicze bytu widzieć są w stanie.
Otuleni w grubą osmętnicę udreki, chciwi tych drobnych wydarzeń, które śmierć wiodą: tako oczekują, zacisnąwszy zęby. ! Lub też chwytają się błahostek i szydzą przy tem ze swego dzieciństwa: zawieszają się na kruchej słonce swego życia i drwią, iż oto na słonice tylko wiszą.

Ich mądrość brzmi: „Głupiec, kto żyje, lecz tak bardzo jesteśmy, bezmyślni, że przy życiu trwamy! I to jest właśnie najgłupszem w życiu!”

„Życie jest tylko cierpieniem” — mówią inni i nie kłamią przy tem: baccież więc, abyście s a mi żyć przestali! Baccież, aby ustało to życie, które jest tylko cierpieniem!

Tako więc niech brzmi cnoty waszej nauka: „Powinieneś samego siebie zabić! Powinieneś sam się stąd wykraść!”

„Rozpusta jest grzechem — powiadają jedni z tych kaznodziei śmierci — usuńmy się przeto i nie płódźmy dzieci!”

„Rodzenie jest mozolne — mówią inni — i po cóż jeszcze rodzić? Rodzi się wszak tylko nieszczęśliwych!” I ci są kaznodziejami śmierci.

„Litość jest potrzebą niezbędną — wołają inni. — Bierzcie, co posiadam! Bierzcie nawet i to, czem jestem. Tem mniej wiązać mnie będzie życie!”

Gdyby ci ludzie z głębi ducha swego litościwi byli, obmierziliby raczej życie swym bliźnim. Złymi być — oto jakby im nakazywała ich prawa dobroć.

Oni jednak pragną usunąć się od życia: cóż ich to obchodzi, że swymi łańcuchy i dary wiążą innych tem mocniej! . Lecz i wy, dla których życie jest wściekłą pracą i niepokojem: czyście wy nie umęczeni życiem? Czyście wy nie dojrzelili do kaznodziejstwa o śmierci?

Wy, coście umiłowali pracę gwałtowną oraz wszystko, co prędkie, nowe, obce, samych siebie wy znieść nie możecie, wasza pilność jest kłętwą i chęcią zapomnienia o samych sobie.
Gdybyście życiu więcej ufali, nie oddawalibyście się na pastwę chwili. Nie macie jednak dosyć treści w sobie, aby móc czekać, nie dość nawet, by móc próżnować!

Zewsząd rozlegają się głosy tych, co o śmierci kaza: a ziemia jest pełna takich, którym o śmierci kazać należy.

Lub „o życiu wiecznem”: to mi na jedno wynosi — obyż tylko czem prędzej precz się wynieśli!

Tako rzecze Zaratustra.

O WOJNIE I O LUDZIE WOJENNYM

Przez swych najlepszych wrogów oszczędzani być nie pragniemy, zarówno jak i przez tych, których umiłowaliśmy w głębi duszy. Zezwólcieź mi zatem prawdę wam rzec!

Bracia moi w wojnie! Umiłowałem was z głębi duszy, byłem i jestem waszym człowiekiem. Jestem też i najlepszym wrogiem waszym. Zezwólcieź mi zatem prawdę wam rzec!

Nieobca mi nienawiść i zazdrość serca waszego. Nie jesteście mi dość wielcy, aby nienawiści i zazdrości nie znać. Bądźcież mi więc dosyć wielcy, aby się ich nie wstydzić!

A jeśli nie możecie być świętymi poznania, bądźcież mi przynajmniej jego wojownikami. Towarzysze to są i poprzednicy owej świętości.

Wielu żołnierzy widzę: obyż to byli wojownicy! „Jedno-form” nazywa się wszak ich strój, obyż to nie był jedno-kształt, który pod nim ukrywają!

Winniście mi być z tych, których oko ustawicznie wroga wypatruje — s w e g o wroga. A w niejednym z was rodzi się nienawiść z pierwszego wejrzenia.

Swego wroga szukać powinniście, swoją wieść wojnę o swoje myśli! A gdy myśl wasza polegnie, winna wasza rzetelność jeszcze tryumf tego święcić!

Winniście miłować pokój jako środek nowej wojny. Zaś pokój krótki bardziej niżli długi. Was nie wzywam ja do pracy, lecz do walki. Was nie nawołuję

do pokoju, lecz do zwycięstwa. Waszą pracą niech będzie walka, waszym pokojem zwycięstwo!

Można milczeć i siedzieć cicho tylko wówczas, gdy się ma łuk i strzały przy sobie; w przeciwnym razie gawędzi się tylko i swarzy. I Wasz pokój niech będzie zwycięstwem!

Powiadacie, iż słuszna sprawa uświęca nawet wojnę? Ja wam mówię: dobra wojna uświęca każdą sprawę.

Wojna i męstwo uczyniły więcej wielkich rzeczy niżli miłość bliźniego. Nie wasza litość, lecz waleczność wasza ratowała dotychczas w potrzebie będących.

„Cóż jest dobrem?” — pytacie. Walecznym być. Niech młode dziewczęta szepczą do siebie: „Dobre to jest to, co jest ładne i wzruszające zarazem”.

Nazywają was ludźmi bez serca, lecz wasze serce jest prawdziwe, a ja kocham wstydlivość waszej serdeczności. Wy wstydzicie się waszego przyływu, jako inni wstydzą się swego odpływu.

Szpetni jesteście? Niechże i tak będzie, bracia moi! Weźmijcież na się wyniosłość, ów płaszcz szpetności!

A gdy się dusza wasza wielką stanie, uczyni się zuchwałą, a w waszej wyniosłości jest złośliwość. Znam ja was.

W złośliwości napotykają się zuchwały z mdłym. Lecz nie rozumieją się wzajemnie. Znam ja was przecie.

Wam wolno mieć tylko wrogów, których nienawidzić należy, przenigdy takich, którymi gardzić trzeba. Winniście być dumni z wroga: wówczas stają się wroga waszego powodzenia i waszym powodzeniem.

Bunt — to dostojeństwo w niewolniku. Waszym dostojeństwem niech będzie posłuszeństwo! Wasze rozkazywanie nawet niech będzie posłuszeństwem!

Dobremu wojownikowi brzmi milej „musisz” niżli „chcę”. I wszystko, co wam jest drogie, winniście sobie wprzódy pozwolić nakazać.

Wasze umiłowanie życia, niech będzie miłością waszej najwyższej nadziei; a najwyższą nadzieją waszą niech będzie najwyższa myśl życia!

Zaś najwyższą myśl swoją winniście mnie pozwolić sobie rozkazać a brzmi ona: człowiek jest czemś, co pokonanem być winno.

Żyjcież tedy swem życiem posłuszeństwa i wojny! I cóż z długiego żywota? Jakież wojak pragnie, by go oszczędzano?

Ja was nie oszczędzam, ja was z głębi duszy miłuję, bracia moi w wojnie!

Tako rzecze Zaratustra.

O NOWYM BOŻKU

Istnieją jeszcze gdzieś narody i stada, wszakże nie u nas, bracia moi: tu istnieją państwa.

Państwo? Cóż to jest? Baczność! Uszy mi roztwórzcie, abym wam słowo rzekł o śmierci ludów.

Państwem zwie się najzimniejszy ze wszystkich zimnych potworów. Zimny kłam głosi ono, i ta oto leż pełźnie z jego ust: „Ja, państwo, jestem narodem”.

Leż to! Twórcy to byli, co stworzyli narody i zawiesili ponad nimi wiarę i miłość: i tak oto życiu służyli.

Niszczyciele to są, co sidła na wielu nastawili i przezwali je państwem; miecz zawiesili oni ponad nimi wraz z tysiącem żądz.

Gdzie jeszcze istnieje naród, tam nie pojmuje on państwa i nienawidzi go jako złego spojrzenia i grzechu w obyczajach i prawach.

Tenci znak daję ja wam: każdy naród mówi swoim językiem dobra i zła: nie rozumie sąsiad mowy tej. Własną mowę wynalazł sobie naród każdy w prawach i obyczajach.

Państwo wszakże łyże we wszystkich językach dobra i zła; cokolwiek rzeknie — skłamię, a cokolwiek posiada — skradzione to jest.

Wszystko w niem jest fałszem; kradzionymi zęby kąsa, ukąśliwe. Fałszywe są nawet trzewia jego.

Pomieszanie języków dobra i zła: tenci znak daję wam jako znak państwa. Zaprawdę, wolę śmierci znamionuje znak ten! Zaprawdę, kaznodziei śmierci nawołuje on!

Aż nazbyt wielu rodzi się: dla tych zbytecznych wynaleziono państwo!

Spojrzyjcież mi, jak ono ich przynęca tych nader licznych! Jak ono ich chłonie, żuje i przeżuwa!

„Nie masz na ziemi nic większego nade mnie: jam palec Boga rządzący” — tako ryczy potwór ten.

I nie tylko wszystko, co długouche i krótkowzrocze, pada przed nim na kolana.

Och, nawet i w was, wy dusze wielkie, syczy ono ponure swe kłamstwa! Och, odgaduje ono serca bogate, co rade się roztrwają!

Tak więc i was odgadł, pogromcy starego Boga! Znużyliście się w walce, i oto znużenie wasze służy nowemu bożkowi!

Bohaterów i czcigodnych rad by wokół siebie poustawiał ów nowy bożek! Chętnie wygrzewa się on w słonecznym świetle dobrych sumień — potwór ten zimny!

Wszystko gotów wam dać ów bożek nowy, skoro tylko jego uwielbiać zechcecie: za tę cenę kupuje on sobie blask cnoty waszej i wejrzenie waszych oczu dumnych.

Wami to przynęcić on pragnie tych nader licznych! Szatański to pomysł wynaleziono tu: konia śmierci brzęczącego w przepychu boskich czci!

O, śmierć dla wielu wynaleziono tu, śmierć, co się sama jako życie sławi; zaprawdę, serdeczna to wysługa wszystkim kaznodziejom śmierci!

Państwem zwę ja to, gdzie wszyscy trucizny piją, dobrzy i źli; państwem, gdzie wszyscy siebie zatracają, dobrzy i źli; państwem, gdzie powolne samobójstwo wszystkich „życiem” się zwie.

Patrzcież mi na tych zbytecznych! Kradną sobie wszystkie dzieła wynalazców, wszystkie skarby mędrców: wykształceniem zwą tę kradzież swą — a wszystko staje się w nich chorobą i dolegliwością!

Patrzcież mi na tych zbytecznych! Chorzy są oni zawsze: rzygają żółcią i zwą to gazetą. Pożerają się wzajemnie, a strawić się nawet nie zdołają.

Patrzcież mi na tych zbytecznych! Zdobywają bogactwa i stają się dzięki nim biedniejsi. Potęgi chcą i przede wszystkim oskardu tej potęgi, wiele złota — ci bezsilni!

Patrzcie, jak się pną, zwinne te małpy! Pną się poprzez siebie nawzajem i strącają się wzajemnie w błota i głębie.

Do tronu pchają się oni wszyscy: omam to ich — jakoby szczęście na tronie zasiada! Nieraz błoto spoczywa na tronie, a nierządki i tron na błocie.

Opętancy to są, zwinne te małpy, i gorączką przepaleni. Cuchnie mi ich bożek, ów bożek zimny, cuchną mi oni społem, ci bałwochwalcy.

Bracia moi, chciecież się udusić w wyziewach ich paszczy i żądz? Raczej okna wyłamcie i wyskoczcie na wolność.

Unikajcież tej złej woni! Uchodźcież od tego bałwochwalstwa zbytecznych!

Unikajcież tej złej woni! Uchodźcież od oparu tych ofiar ludzkich!

Otworem stoi jeszcze ziemia dla dusz wielkich. Dla samotników i samowtórów jest jeszcze wiele niezamieszanych siedlisk, wokół których wieje woń cichych mór.

Otworem stoi jeszcze dla dusz wielkich życie wolne. Zaprawdę, kto mało posiada, tem mniej będzie posiadany; błogosławione niech będzie małe ubóstwo!

Gdzie państwo się kończy, tam dopiero zaczyna się człowiek, który nie jest zbyteczny; tam się poczyna pieśń niezbędego, jedyną i niezastąpioną nutą.

Gdzie państwo ustaje, spojrzycież mi, bracia moi! Czyż nie dostrzegacie tam tęczy i mostów nadczłowieka?

Tako rzecze Zaratustra.

O MUCHACH NA RYNKU

Uciekaj, przyjacielu, do samotni swej. Widzę, żeś ogłuszony hałasem wielkich ludzi i żądłem małych. Godnie umieją milczeć wraz z tobą las i skała. Upodobnij się znów drzewu, które ukochałeś, drzewu gałęzistemu: ciche i zasłuchane zawisło oto nad morzem.

Gdzie samotność się kończy, tam się zaczyna targ, a gdzie się targi poczynają, tam się wszczyna hałas wielkich aktorów i rojne bzykanie much jadowitych.

Niczem są na świecie najlepsze nawet rzeczy bez tego, który je na widownię wywiedzie; wielkimi ludźmi zwie lud tych wystawców.

Mało pojmuje lud wszystko, co wielkie, to jest: twórcze. Ma on jednak zmysł ku wszelkim wystawcom i aktorom rzeczy wielkich.

Wokół odkrywców nowych wartości obraca się świat ten — obraca się niewidocznie. Jednakże wokół aktorów krąży lud i sława: takie są „koleje świata tego”.

Nie brak aktorowi ducha, lecz mało posiada on sumienia duchowego. Wierzy zawsze w to, czym najsilniejszą wiarę wzbudzić zdoła — wiarę w siebie!

Jutro mieć będzie nową wiarę, a pojutrze nowszą. Szybkie ma on zmysły, podobnie jak i tłum, i zmienna jest jego pogoda.

Obalić — znaczy dlań: dowieść. Rozwścieczyć — znaczy dlań: przekonać. Zaś krew jest mu wśród wszystkich dowodów najlepszym.

Prawdę, co wślizguje się tylko w subtelne uszy, zwie kłamstwem lub nicością. Zaprawdę, on wierzy tylko w tych bogów, co wielkie hałasy na świecie czynią!

Roi się rynek od uroczystych szarlatanów, a lud chełpi się wielkimi ludźmi swymi: oni są mu panami godziny.

Lecz godzina nagli ich; nagłą przeto i ciebie. I ciebie nagabują o twe „tak” lub „nie”. Biada, jeśli zechcesz między „za” i „przeciw” wcisnąć swój stołek.

Bądźże, prawdy miłośniku, bez zawiści dla tych bezwzględnych i nagłych! Nigdy jeszcze nie wieszła się prawda na ramieniu bezwzględnego.

Uchodź od tych nagłych w swe schronisko bezpieczne; tylko na rynkach grożą ci napaści o „tak” lub „nie”.

Powolne jest dożywanie wszystkich głębokich studzien; długo czekać one muszą, aby wiedziały, co w głębie ich padło.

Z dala od rynku i sławy dzieje się wszystko, co wielkie; z dala od rynku i sławy mieszkają z dawien dawna odkrywcy nowych wartości.

Uciekaj, przyjacielu, do samotni swej: widzę, żeć pokąsały muchy jadowite. Uciekaj tam, gdzie wieje ostre i tęgie powietrze!

Uciekaj do samotni swej! Żyłeś zbyt blisko małych i mizerych. Uciekaj od ich zemsty niewidocznej! Przeciw tobie są oni zemstą tylko.

I nie podnoś na nich ramienia! Niezliczone są ich mrowia, zaś nie twoim jest udziałem być oganką na muchy.

Niezliczeni są mali i mizerni; zaś niejedną dumną budowę zniszczyły krople deszczowe i chwasty czepne.

Głazem nie jesteś, a jednak jużeś mi wydrażon od licznych kropel. Połamiesz mi się i pokruszysz od tych kropel licznych.

Widzę, żeć umęczyły muchy jadowite, setki krwawych zadzierek na tobie widzę, a duma twa oburzać się nawet nie chce.

Krwi z ciebie pragnę w całej niewinności, krwi pożądam ich bez-krwiste dusze, kłują tedy w całej niewinności.

Lecz ty, głęboki, cierpisz zbyt głęboko od drobnych nawet ran; i je-szcześ się uleczyć nie zdołał, a już taki sam robak jadowity prześlizgnął się po twej dłoni.

Zbyt dumny mi jesteś, by zabijać tych złakomionych. Strzeż się jednak, abyć się nie stało przeznaczeniem fatalnem dźwiganie wszystkich tych krzywd jadowitych!

Baczą wokół ciebie chwałbą ustawiczną: natręctwo jest ich pochwałą. Chcą oni tylko bliskości krwi twej i skóry twojej.

Schlebiają tobie jako Bogu lub szatanowi; skwierczą przed tobą jako przed Bogiem lub szatanem. Nie dbaj! Pochlebce to są i skoleńce, i nic ponadto.

Jako mili i ujmujący zabiegać będą przed tobą. Ale to było zawsze mądrością trwożliwych. O, tchórze bywają mądrzy!

Wiele rozmyślają o tobie w swych duszach ciasnych — wątpliwym jesteś dla nich zawsze! Wszystko, co bardzo rozważane bywa, staje się wreszcie wątpliwe.

Pokarzą cię za wszystkie twe cnoty. Przebaczą ci z całej duszy tylko twe chybienia.

Ponieważ jesteś łagodny i sprawiedliwego ducha, mówisz przeto: „Niewinni są oni drobnego istnienia swego”. Lecz ich ciasna dusza myśli: „Winą jest każde wielkie życie”.

Nawet wówczas, gdy jesteś dla nich łagodny, czują wzgardę twoją i zwracają ci twe dobrodziejstwa z ukrytym złodziejstwem.

Twa niema duma wzbudza w nich zawsze niesmak; tryumfują, gdy twą skromność stać będzie wreszcie na próżność.

Co w człowieku poznać jesteśmy w stanie, to też w nim i rozogniamy. Strzeż się więc przed małymi!

Małymi czują się przed tobą, a ich niskość tli się i żarzy zemstą niewidoczną przeciw tobie. Czyś nie postrzegał, jako niemieją nagle, ilekroć zbliżałeś się do nich, i jak opuszczała ich siła niby dym dogasającego ogniska?

Tak więc, przyjacielu, jesteś złym sumieniem bliźnich swoich, gdyż nie są warci ciebie. Nienawidzą cię przeto i krew by twą żłopać radzi.

Bliźni twoi będą dla ciebie zawsze muchami jadowitemi; co wielkiego jest w tobie, to właśnie jadem napawać ich będzie i muchy z nich czynić.

Uciekaj, bracie, do samotni swej i tam, gdzie więcej ostre i surowe tchnienia. Nie twoim to udziałem być oganką na muchy.

Tako rzecze Zaratustra.

O CZYSTOCIE

Ukochałem las. Ciężko żyć po miastach: zbyt wielu tam jurnych. Czyż nie lepiej wpaść w ręce zbrodniarza niżli w marzenia chutliwej kobiety?

Patrzcież mi na te męża! — wszak ich oczy mówią wyraźnie: nie znają oni nic lepszego na świecie nad wylegiwanie się z kobietą.

Namuł osadził się na dnie tych dusz; biada, gdy ten namuł ducha jeszcze posiada!

Obyście byli przynajmniej jako zwierzęta doskonali! Lecz udziałem zwierzęcia jest niewinność.

Radzęż ja wam, abyście zabili w sobie zmysły? Ja wam doradzam zmysłów niewinność!

Wzywamż ja was ku czystocie? Czystota ta jest u niektórych cnotą, lecz u wielu nieomal występkiem.

Ci uprawiają powściągliwość; jednakże ta suka zmysłowość przeziera zawistnie ze wszystkiego, co czynią.

Nawet na wyżyny ich cnoty, nawet w chłód ducha wlecze się ten potwór wraz ze swym niepokojem. Jak się ta suka zmysłowość przymilać potrafi, żebrząc o żdźbło ducha, gdy jej kawała mięsa odmówią!

Lubujecie się w tragediach oraz we wszystkim, co serce rozdziera? Jam jest jednak pełen niewiary do tej suki waszej.

Macie mi za okrutne wejrzenie i spoglądacie pochutnie w stronę cierpiących. Czy tu aby nie lubieżność wasza zamaskowała się, przewawszy się uprzednio litością?

I tę przypowieść daję wam jeszcze: niejeden, co dyabła z siebie wypędzić pragnął, sam przy tem w swinię wstąpił.

Dla kogo powściągliwość jest zbyt ciężkim brzemieniem, temu odradzać ją należy: aby się dlań nie stała drogą do piekła, do namułu i rui dusznej.

Mówież ja może o sprawach brudnych? Nie jest to jeszcze dla mnie rzeczą najgorszą.

Bo nie wówczas, gdy prawda jest brudna, lecz gdy jest płytka, niechętnie zanurza się badacz w jej wody.

Zaprawdę, bywają czystomi z natury swej: ci są łagodniejszego serca, śmieją się chętniej i częściej niżli wy.

Ci śmieją się także i z czystoty i pytają: „Czemże jest czystota?”

Czyż ona nie jest głupstwem? Lecz to głupstwo przyszło oto do nas, nie zaś my do niego.

Daliśmy gościowi temu przytułek i serce: i oto zamieszkał u nas — niechże pozostaje, póki zechce!”

Tako rzecze Zaratustra.

O PRZYJACIELU

„Jednego mam wokół siebie zawsze za wiele — myślał pustelnik. — Zawsze tylko: jeden razy jeden; gdy trwa dłużej, uczyni dwa!”

Ja i mnie są zawsze w zbyt żarliwej ze sobą gawędzie: jakżeby to wytrzymać się dało, gdyby nie było przyjaciela?

Dla pustelnika przyjaciel jest zawsze trzecim: trzeci jest korkiem, nie dopuszczającym, by rozmowa dwóch zapadła w głębie.

Och, zbyt wiele głębin czyha na wszystkich pustelników. Dlatego i też tęsknią do przyjaciela i do jego wyżyn.

Nasza wiara w innych pokazuje, w co pragnęlibyśmy uwierzyć w samych sobie. Tęsknota za przyjacielem jest naszym zdracją.

Często pragnie się miłością przeskoczyć tylko zawiść. Często również urażamy, czynimy sobie wroga, aby ukryć, iż sami jesteśmy urażalni.

„Bądźże przynajmniej mym wrogiem!” — tak mówi prawdziwa pokora, co o przyjaźń prosić nie śmie.

Kto chce mieć przyjaciela, winien chcieć i wojować za niego, a kto wojny pragnie, winien potrafić być wrogiem.

Należy w druhu swoim czcić jeszcze i wroga. Czyż możesz przy-•; stąpić do przyjaciela, nie przechodząc na jego stronę? £, W przyjacielem winieneś mieć najlepszego wroga. A w sercu swoim i; najbardziej skłonnym być mu wówczas, gdy mu się opierasz.

Nie chcesz występować w szatach wobec przyjaciela swego? Maż to być uczczeniem druha, gdy mu się dajesz, jakim jesteś? Lecz on cię za to właśnie do diabła posłać gotów!

Kto się z sobą nie tai, wzbudza oburzenie: tak wielkie macie powody do lękania się swej nagości! O, gdybyście bogami byli, wówczas by wolno wam było wstydzić się szat swoich!

Dla przyjaciela swego nie możesz nigdy dosyć strojnie się przyodzierać, gdyż winieneś mu być strzałą i tęsknotą ku nadczłowiekowi.

Czyś widział przyjaciela swego, gdy śpi, abyś się wreszcie dowiedział, jak wygląda? Bo czemuż jest na jawie twarz druha twego? Własne to twoje oblicze na chropowatym i niedoskonałym zwierciadle.

Czyś widział przyjaciela swego, gdy śpi? Czyś się nie przeraził, że druha twój tak oto wygląda? O przyjacielem mój, człowiek jest czemś, co pokonanem być winno!

W odgadywaniu i przemilczaniu mistrzem powinien być przyjaciel: nie powinieneś pragnąć wiedzieć wszystko. Sen niech ci objawia, co czyni przyjaciel twój na jawie.

Odgadywanie niech będzie twym współczuciem, abyś wprzódy wiedział, czy przyjaciel twój pożąda współczucia. Może upodobał on sobie niezmażone twe oko i wejrzenie nieskończoności.

Współczucie dla druha niech się pod twardą ukrywa skorupą, winien

sobie zęb nad nim wygryźć. Tak będzie ono miało wytworność swą i słodycz.

Czyś jest powietrzem czystym i samotnością, i chlebem, i lekiem dla druha swego? Niejeden własnych kajdan zerwać nie zdołał, a stał się zbawcą dla przyjaciela.

Niewolnikiem jesteś? Tedy nie możesz być przyjacielem. Jesteś tyranem. Tedy nie możesz mieć przyjaciół.

Zbyt długo tkwił w kobiecie niewolnik i tyran. Przeto nie dojrzała jeszcze kobieta do przyjaźni, zna ona tylko miłość,

W miłości kobiety jest niesprawiedliwość i zaślepienie na wszystko, czego nie kocha. Nawet w świadomej miłości kobiety jest nagłość i błyskawica, i noc obok światła.

Nie dojrzała jeszcze kobieta do przyjaźni; kotem jest jeszcze kobieta i ptakiem. Lub, w najlepszym razie, krową. J'••

Jeszcze jest kobieta niezdolna do przyjaźni. Lecz powiedzcie wy mnie, mężczyźni, kto z was jest zdolny do przyjaźni?

O, to wasze ubóstwo, wy, mężczyźni, to skąpstwo duszy waszej! Co wy przyjacielowi dajecie, tem ja wroga mego obdarzę i jeszcze przeto nie zubożęję.

Wszak bywa kamractwo: obyż i przyjaźń była!

Tako rzecze Zaratustra.

O TYSIĄCU I JEDNYM CELU

Wiele krain widział Zaratustra i ludów wiele; tak odkrył zło i dobro wielu ludów. I nie znalazł Zaratustra większej potęgi na świecie ponad zło i dobro.

Życ by nie zdołał żaden naród, który by wprzód nie był oceniał; który wszakże zachować się pragnie, winien oceniać inaczej niżli sąsiad to czyni.

Wiele, co się zwie dobrem u jednego narodu, jest pośmiewiskiem i sromotą u drugiego. Wiele, co się tu złem zwie, ówdzie w purpurę czci zdobnem bywa.

Nigdy sąsiad sąsiada nie pojmował, zawsze dziwiła się jego dusza szaleństwu i złości sąsiada.

Tablica dóbr wisi ponad każdym narodem. Patrz, oto jest tablica jego przewyciężeń; patrz, oto głos jego woli mocy.

Chwalebne jest dlań wszystko, co jest trudne do osiągnięcia; co jest niezbędne, a ciężkie zwie się dobrem; co zaś z ostatecznej niewoli wyzwala, co najrzadsze, najtrudniejsze, czci jako świętość.

Co sprawia, iż panuje, zwycięża i olśniewa, sąsiadom na trwogę i zawisć: wszystko to jest dlań szczytne, pierwszorzędne, miarodajne, treść *rzeczy* wszelkich.

Zaprawdę, bracie mój, gdyś poznał pewnego narodu niedolę, krainę, niebo i sąsiada, odgadniesz łąco prawo jego przewyciężeń oraz przyczynę, dlaczego po tej drabinie wspina on się ku swej nadziei.

„Będziesz zawsze pierwszy, innych będziesz przewyższał: niech twa zawistna dusza nikogo nie kocha oprócz przyjaciela chyba” — drzeniem nawiedzało to duszę Greka i wiodło go na drogę wielkości.

„Prawdę mów, a dobrze łuk i strzały dzierz” — to zadanie wydawało się drogiem i ciężkiem zarazem onemu ludowi, z którego imię moje się wywodzi — to imię, które jest mi zarazem i drogiem, i ciężkiem.

„Ojca i matkę czcić i aż po korzenie duszy być skłonnym ich woli”

— tę tablicę przemożeń zawiesił oto inny lud ponad sobą i stał się przez to potężnym i wiecznym.

„Wiernym być i w imię tej wierności cześć i krew swą oddawać nawet w sprawach złych i niebezpiecznych” — tako pouczając, prze-magał się inny naród i tako przemagając się, stał się brzemionem i ciężkim od wielkich nadziei.

Zaprawdę, ludzie sami nadali sobie wszelkie swe zło i dobro. Zaprawdę, nie przejęli go, ani go nie znaleźli, nie spadało im też ono jako głos z nieba.

Wartości nadał rzeczom człowiek w potrzebie samozachowawczej — on dopiero stworzył rzeczom treść, treść człowieczą! Przeto zwie się „człowiek”, czyli oceniający.

Oceniać znaczy tworzyć: słuchajcież mi, twórcy! Ocena jest wszelkich ocenianych rzeczy skarbem i klejnotem.

Przez ocenę powstaje dopiero wartość; bez oceny pustym byłby orzech bytu. Baczcież mi, twórcy!

Zmienność wartości to zmienność tworzącego. Niszczy zawsze, kto twórcą być musi.

Twórcze były przede wszystkim ludy, znacznie później dopiero jednostki; zaprawdę, jednostka jest sama tworem najmłodszym.

Narody zawiesiły niegdyś tablice dobra ponad sobą: miłość, co chce panować, oraz miłość, co pragnie ulegać, stworzyły społem te tablice.

Starsze jest radosne poczuwanie się do trzody niżli ochotne poczucie swej jaźni, i póki dobre sumienie zwie się trzodą, złe tylko sumienie mówi: ja.

Zaprawdę, przebiegłe ja, ja bezmiłosne, co swej korzyści w pożytku wielu szuka: ono nie jest początkiem trzody, lecz jej zanikiem.

Miłujący to byli zawsze i twórcy, co stwarzali dobro i zło. Płomię miłości goreje w imionach cnót wszystkich i ogień gniewu.

Wiele krain widział Zaratustra i ludów wiele: większej na świecie potęgi nie znalazł Zaratustra ponad dzieła miłujących; „zło” i „dobro” to ich imiona.

Zaprawdę, potworna jest potęga takiego chwalenia i przyganiania. Powiedzcież mi, bracia, kto ujarzmi tę potęgę, kto temu zwierzęciu zarzuci jarzmo na tysiąc jego grzbietów?

Tysiąc celów było dotychczas, gdyż i narodów było tysiące. Brak jeszcze tylko jarzma dla tego grzbietów tysiąca, brak jednego celu.

Powiedcież mi jednak, bracia, jeśli ludzkości celu jeszcze brak, zali nie brak jeszcze jej samej?

Tako rzecze Zaratustra.

O MIŁOŚCI BLIŹNIEGO

Tłoczycie się koło bliźnich i macie piękne słowa na to. Ja zaś powiadam wam: to wasze ukochanie bliźnich jest złem umiłowaniem samego siebie.

Pierzchacie ku bliźnim przed samymi sobą i pragniecie cnotę z tego uczynić; przezieram na wskroś tę bezlicowość waszą.

Starsze jest ty niżli ja, nadto ty uświęcone już zostało, ja zaś czeka wciąż jeszcze na uświęcenie: i oto tłoczy się człowiek ku bliźniemu.

Wzywałbym ja was ku miłości bliźniego? Wołę stokroć podmawiać was ku ucieczce od najbliższych i umiłowaniu najdalszych!

Ponad umiłowaniem najbliższych stoi miłość ku najdalszym i przyszłym; a bardziej jeszcze niżli umiłowanie człowieka waży mi ukochanie rzeczy i upiorów.

Upiór, co przed tobą majaczy, o bracie mój, jest stokroć piękniejszy od ciebie; czemu ty ciała i krwi swojej jemu nie oddasz? Lecz ty oto lękasz się widma swego i pierzchasz ku bliźniemu.

Z samymi sobą podobać nie zdołacie, siebie nie dość umiłowawszy, i oto pragniecie zwieść bliźniego ku ukochaniu siebie i ozłocić siebie tem jego zbałamuceniem.

Pragnąłbym, abyście wreszcie ścierpieć nie mogli żadnych bliźnich ani ich sąsiadów, tak oto musielibyście przyjaciela dla się we wnętrzu swem stworzyć i jego serce pałające.

Zapraszacie sobie świadka, ilekroć dobrze o sobie mówić pragniecie; a gdybyście go podeszli i zwiedli ku temu, że dobrze o was sądzi, mniemacie i wy dobrze o samych sobie.

Kłamię nie tylko ten, kto wbrew własnej wiedzy mówi, czyni to stokrotaiej, kto przeciw swej niewiedzy głosi. Lecz tako głosicie o sobie w stosunkach z ludźmi i tako okłamujecie sobą sąsiada.

Rzecz sowizdrzał: „Stosunki z ludźmi psują charakter, zwłaszcza gdy się go wcale nie posiada”.

Jeden idzie do bliźniego, ponieważ siebie szuka; drugi, ponieważ siebie zatracić pragnie. Zła miłość wasza ku sobie czyni wam samotność więzieniem.

Dalsi to płacą za waszą miłość ku bliźszym; gdzie bodaj pięciu z was znajdzie się w gromadzie, tam szósty umrzeć musi.

Nie lubię was ani uczt waszych: zbyt wielu aktorów zastawałem przy nich i zbyt wielu widzów nawet o zachowaniu aktorskiem.

Nie bliźniego więc wskazuję ja wam, lecz przyjaciela. Przyjaciela niech wam będzie ucztą tej ziemi i przecuciem nadczłowieka.

Pouczam was o przyjacielu i jego sercu rozlewnem. Należy jednak umieć być gąbką, jeśli się przez serce wezbrane kochanym być pragnie.

Pouczam was o przyjacielu, w którym świat skończony na was czeka: czara dobra wszelakiego — twórczego wskazuję przyjaciela, który ma zawsze skończony świat w sobie do rozdania.

I jako się komu świat rozpieczętował i niby motek rozwinął, tak zwiąja się znowu pierścieniami nawroty, stawianiem się dobra przez zło, stawianiem się celu przez przypadek.

Przyszłość i dale co najodleglejsze niech ci będą przyczyną twego dziś, w przyjacielu swym będziesz kochał nadczłowieka jako swoją przyczynę.

Bracia moi, nie ku miłości bliźnich i bliskich wzywam ja was: wołam ku umiłowaniu dalekich i co najdalszych!

Tako rzecze Zaratustra.

O DROGACH TWÓRCY

Chcesz, bracie mój, w osamotnienie iść? Chcesz drogi ku samemu sobie szukać? Uczynź zwłokę krótką i posłuchaj mnie.

„Jcťo szuka, łatwo sam się gubi. Każde osamotnienie jest przewinieniem” — tak oto mawia trzoda. A tyś długo należał do trzody.

Głos trzody długo odzywać się w tobie jeszcze będzie. I gdy nawet mówić pocziesz: „Nie mam już z wami wspólnego sumienia”, będzie to głosem skargi i bólem twym.

Bo zważ, ten ból nawet porodziło owo wspólne sumienie; tego sumienia ostatnie przebłyski żarzą się jeszcze w twym smętku.

Chcesz więc drogą tego smętku pójść, jako iż jest to droga do ciebie samego? Pokażże mi swe prawo i swe siły ku temu!

Czyś jest nową siłą i nowym prawem? Czyś jest nowym ruchem? Z siebie toczącym się kołem? Czy możesz zmusić gwiazdy, aby wokół ciebie krążyły?

Ach, tyle jest pochutliwości ku wyżynom! Bywa tyle pokurczy próżności! Pokaż mi, żeś nie jest z pożądlivych, a próżnych!

Ach, jest tyle wielkich myśli, co są jako miechy tylko: nadymają i jeszcze bardziej pustymi czynią.

Zwiesz się wolnym? Myśl, co tobą włada, usłyszeć pragnę, nie zaś, J iż z jarzma jakiego uniknąć się zdołałeś.

Czyś jest z tych, którym z jarzma umykać się wolno? Niejeden ostatnią swą wartość precz odrzucił, gdy odrzucił swą służebność.

Wolny od czego? Lecz cóż to Zaratustrę obchodzić może! Jasno niech mi twe oczy zwiastują: k u c z e m u wolny?

Zali zdołasz nadać sobie swe zło i dobro i zawiesić wolę swą nad sobą jako zakon? Zali potrafisz sędzią być sobie i mścicielem własnego zakonu?

l Straszne jest to sam na sam z sędzią i mścicielem własnego zakonu. Tak zostaje wyrzucona gwiazda w przestrzeń pustą i w lodowate tchnie-j nie osamotnienia.

Dziś jeszcze cierpisz z powodu wielu, ty jeden; dziś jeszcze masz [całkowiłą otuchę i nadzieje wszystkie.

Lecz przyjdzie czas, gdy cię umęczy samotność, gdy się twa duma 'nagm'e, a otucha trzeszczeć pocznie. Wówczas krzyżeć będziesz: „Je-[stem sam!”

Przyjdzie czas, gdy nie dojrzysz swej wybujałości, zaś na swą niskość ebyt bliskiem okiem patrzeć poczniesz; nawet twa wzniosłość straszyć cię

ue niby upiór. I krzyżeć będziesz kiedyś: „Wszystko jest fałszem!”

Są uczucia, co samotnika zamordować pragną; gdy im się to nie fudaje, wówczas same zamrzeć muszą! Zali zdobędziesz się na to, zdołasz być mordercą?

Zali poznałeś już, bracie mój, słowo „wzgarda”? Oraz męczarnię swego poczucia słusźności, gdy zechcesz być sprawiedliwym dla tych, co tobą gardzą?

Zmuszasz wielu, aby, zbywszy dawnych o tobie mniemań, uczyli się ponownie sądzić ciebie: ciężko ci to policzają. Zbliżyłeś się do nich i minąłeś ich: tego ci nigdy nie wybaczą.

Wschodzisz ponad nich, lecz im wyżej się wspinasz, tem mniejszym widzi cię oko zawiści. Najbardziej jednak znenawidzeni bywają polotni.

„Jakżebyście wy zdołali oddać mi sprawiedliwość! — tak mawiać winieneś. — Obieram sobie waszą niesprawiedliwość jako mnie przypadający udział”.

Niesprawiedliwość i brud miotają za samotnikiem: jednakże, bracie mój, jeśli gwiazdą chcesz być, musisz im mimo to świecić.

A strzeż się dobrych i sprawiedliwych! Oni zawsze radzi ukrzyżować tych, co własną sobie wynajdują cnotę — nienawidzą samotnika.

Miej się na bacności przed świętą prostodusznością! Wszystko, co nieprostoduszne, jest dla niej nieświęte; chętnie przy tem ogniem ona igra — ogniem stosu.

I wystrzegaj się porywów swej miłości! Zbyt szybko wyciąga samotnik rękę ku temu, kogo napotyka.

Niektórym ludziom nie wolno ci podawać dłoni, lecz łapę; chcę przy tem, aby twa łapa i pazury miała.

Lecz najgorszym wrogiem, jakiego napotkać możesz, będziesz zawsze ty oto dla samego siebie; sam czyhasz na siebie po jaskiniach i iasach.

Idziesz, samotniku, drogą ku samemu sobie! Tuż obok ciebie droga twa wiedzie i tuż obok twych dyabłów!

Kacerzem będziesz dla siebie i czarownicą, będziesz i wróżbiarzem, i błaznem, i wątpicielem, i nieświętym, i złoczyńcą.

Winieneś pragnąć, abyś się spalił we własnym ogniu, bo jako odnowić się chcesz, jeśliś się wprzód w popiół nie zamienił!

Idziesz, samotniku, drogą tworzącego: boga chcesz sobie stworzyć z siedmiu dyabłów swoich!

Idziesz, samotniku, drogą miłującego: samegbs siebie umiłowal i gardzisz przeto sobą, jako gardzą, którzy kochają.

Tworzyć pragnie kochający, jako że wzgardził! Cóż ten wie o miłości, co nie musiał gardzić tem właśnie, co ukochał!

Z miłością swą idź do samotni i z twórczością swą, o bracie mój — późno powlecze się wreszcie za tobą kulawa sprawiedliwość.

I ze łzami memi idź w samotnię swą, o bracie mój! Kocham tego, co ponad siebie samego tworzyć pragnie i tak oto zanika.

Tako rzecze Zaratustra.

O STAREJ I MŁODEJ KOBIETCIE

Czemuż, Zaratustro, przemykasz się tak płochliwie o zmierzchu? Cóż to osłaniasz tak troskliwie swym płaszczem?

Jestże to skarb, który ci darowano? Czy też dziecię, które ci się narodziło? Lub też poczynasz może sam drogami złodziei chadzać, ty przyjacielu zła?

— Zaprawdę, bracie mój! — rzekł Zaratustra — darowano mi skarb: drobną prawdę, którą oto dźwigam.

Jest wszakże niesforna jak małe dziecko, a gdy dłonią ust jej nie przysłaniam, wrzeszczy zbyt głośno.

Dzisiaj, gdy samotną drogą swą o zachodzie słońca szedłem, spotkałem starą babinę, co temi słowy przemówiła do mej duszy:

„Wiele mówił Zaratustra i do nas, kobiet, wszakże nigdy jeszcze nie mówił o kobiecie”.

Odparłem jej: „O kobiecie należy mówić tylko do mężczyzn”.

„Mów i do mnie o kobiecie — rzekła — jestem dosyć stara, aby wnet o tem zapomnieć”.

Uczyniłem zadość starce i rzekłem do niej w te słowa:

„Wszystko w kobiecie jest zagadką i wszystko w kobiecie ma jedno rozwiązanie: zwie się ono brzemiennością.

Mężczyzna jest dla kobiety tylko środkiem; celem jest zawsze dziecko. Lecz czemuż jest kobieta dla mężczyzny?

Dwóch rzeczy pragnie prawdziwy mężczyzna: niebezpieczeństwa i igraszki. Przeto pożąda kobiety jako najniebezpieczniejszej igraszki.

Ku wojnie wychowany ma być mąż, niewiasta zaś ku wytchnieniu wojownika; wszystko inne jest głupstwem.

Zbyt słodkich owoców wojak nie znosi. Dlatego też pragnie kobiety; gorzka jest najśłodsza nawet kobieta.

Lepiej niżli mężczyzna rozumie dzieci kobieta, lecz mężczyzna jest bardziej dziecinny niż kobieta.

W prawdziwym mężczyźnie tkwi dziecko, co igrać rade. Dalej więc, kobiety, odkryjcież mi dziecko w mężczyźnie!

Igraszką niech będzie kobieta: czystą i subtelną jako dyament opromieniony cnotami świata, którego jeszcze nie ma.

Promień gwiazdy niechaj lśni w waszej miłości! Nadzieja wasza niech brzmi: »Obym porodziła nadczłowieka!«

W miłości waszej niech będzie waleczność! Miłością uderzajcie na tych, co w was trwożą niecą.

W miłości waszej niech będzie i cześć wasza! Mało rozumie się zresztą kobieta na czci. Lecz to winno być czią waszą: zawsze bardziej kochać, niżli bywacie kochane, i nie być nigdy wtóremi.

Niech się mężczyzna boi kobiety, gdy ta kocha: wówczas ponosi ona wszelkie ofiary, a wszystko inne wydaje się jej bez wartości.

Niech się mężczyzna boi kobiety, gdy ta nienawidzi: gdyż mężczyzna jest w głębi duszy swej tylko zły, kobieta jest tu licha.

Kogóż najbardziej nienawidzi kobieta? Rzekło raz żelazo do magnesu: »Nienawidzę cię najbardziej za to, że pociągasz ku sobie, lecz nie jesteś dość silne, aby przyciągnąć do siebie«.

Szczęście mężczyzny brzmi: ja chcę. Szczęście kobiety: on chce.

»Spójrz, jakże doskonałym stawa się oto świat!« — tak myśli każda kobieta, gdy z całą miłością ulega.

A ulegać musi kobieta, i znaleźć głębię dla swej powierzchni. Powierzchnią jest duch kobiety, ruchliwą, burzliwą powłoką płytkich wód.

Zaś duch mężczyzny głęboki jest: prądy jego szumią w podziemnych jaskiniach; kobieta przeczuwa jego siłę, lecz jej nie pojmuje".

Odparła mi tedy starca: „Wiele rzeczy uprzejmych powiedział Za-ratustra, osobliwie dla tych, które są jeszcze dosyć młode na to.

Rzecz szczególna, Zaratustra mało zna kobiety, a jednak ma słusność, gdy o nich mówi! Dziejeż się to dlatego, że w kobiecie każda rzecz jest możliwa?

A teraz weź oto w podzięce drobną prawdę! Wszak jestem dosyć stara na nią.

Otuł ją tylko i zatkaj jej usta, gdyż krzyżeć zwykła zbyt głośno ta drobna prawda".

„Dajże mi, kobieto, twą małą prawdę!" — rzekłem jej.

I rzecze tedy starca: „Idziesz do kobiet? Nie zapomnij bicza!"

Tako rzecze Zaratustra.

O UKĄSZENIU ŻMIJ

Pewnego razu w dzień upalny zasnął Zaratustra pod drzewem figo-wem, zarzuciwszy ramiona na głowę. I oto podpełzła żmija i ukąsiła go w szyję tak mocno, że Zaratustra krzyknął z bólu. Gdy odjął ramię, ujrzał żmiję, która, poznawszy oczy Zaratustry, zwinęła się niezręcznie, \$ chciała umknąć.

— Stój — rzekł Zaratustra — jeschcem ci podziękować nie zdążył. Zbudziłaś mnie w porę, długa oczekuje mnie droga.

— Krótka jest już twa droga — rzekła żmija smutnie. — Mój jad zabija.

Roześmiał się Zaratustra. — Kiedyż to umarł smok od węzowego jadu? Lecz weźże na powrót swą truciznę! Nie jesteś dosyć bogata w jady, abyś je rozdawać mogła.

I oto żmija rzuciła mu się ponownie na szyję i lizała zadana ranę. .', Gdy Zaratustra jednego razu opowiadał to uczniom swoim, pytali go: — I jakież, o Zaratustro, jest morał twej powieści?

Zaratustra odparł na to:

— Burzycielem moralności zwą mnie dobrzy i sprawiedliwi: moja opowieść jest niemoralna.

Skoro więc wroga macie, nie odpłacajcież mu dobrem za zło: to by zawstydzalo. Dowiedźcież mu raczej, iż wyświadczył wam coś dobrego.

A raczej gniewem zapłońcie, niżbyście zawstydzac mieli! A gdy was przeklinają, niechętnie widzę, gdy błogosławić w zamian chcecie. jtnijcież raczej i wy cokolwiek.

A gdy się wam wielka stała krzywda, dodajcież mi szybko pięć drobnych! Odrażający jest widok tego, kogo niegodziwość ludzka nie-podzielnie dławi"

Czyście wiedzieli już o tem? Wzajemne bezprawie jest połową prawa. I niechże mi ten tylko bezprawie na się bierze, kto je udźwignąć zdoła! • Mała zemsta jest bardziej ludzka niżli żadna. A jeśli kara nie jest również prawem i zaszczytem dla przestępcy, wówczas nie znoszę i kajania waszego.

Godniej jest odmówić sobie słusności, niżli ją zachować, zwłaszcza dy się ma słusność za sobą. Lecz trzeba być dość bogatym na to.

Nie znoszę waszej zimnej sprawiedliwości; z oczu sędziów waszych wyziera zawsze kat i jego zimne żelazo.

Powiedcież mi, gdzież jest tu sprawiedliwość, która jest miłością o oczach widzących?

Wynajdźcież mi tę miłość, co nie tylko wszelką karę, lecz i wszelką winę podźwignie!

Wynajdźcież mi tę sprawiedliwość, co każdego uniewinni, wyjąwszy sprawującego sądy!

Chcecie i tego jeszcze posłuchać? Kto z głębi duszy sprawiedliwym być pragnie, u tego nawet kłamstwo staje się przychylnością dla ludzi.

Lecz jakżebym ja mógł być sprawiedliwym z głębi duszy! Jakżebym ja mógł oddać każdemu, co jest jego! Niechże mi to wystarcza: daję oto każdemu, co jest ze mnie.

Wreszcie, bracia moi, baccie, abyście nie czynili krzywdy samotnikom! Jakżeby samotnik mógł zapomnieć! Jakżeby on mógł się odwzajemnić!

Samotnik jest jako studnia głęboka. Łatwo kamień weń wrzucić, lecz gdy dna dopadł, któż kamień stamtąd dobędzie?

Bacście, byście nie obrażali samotnika! Skoroście jednak to uczynili, dobijcież go czem prędzej!

Tako rzecze Zaratustra.

O DZIECKU I O MAŁŻEŃSTWIE

Mam jedno pytanie dla ciebie jedynie, bracie mój. Rzucam je jako ołowiankę w twą duszę, abym jej głębię zmierzył.

Jesteś młody i *życzysz* sobie dziecka, i o małżeństwie zamyślasz. Ja zaś pytam ciebie: zaliś jest człowiekiem, któremu *w o l n o* *życzysz* sobie dziecka?

Zaliś jest zwycięzcą, ujarzmicielem samego siebie, rozkazodawcą zmysłów, panem cnót swoich? O to cię pytam.

Czy też przemawia z twego życzenia zwierzę i jego potrzeba? Lub też osamotnienie? Albo też niezgoda z samym sobą?

Pragnę, by twe zwycięstwo i twa wolność tęskniły za dzieckiem. Żywe pomniki stawiać winieneś swemu zwycięstwu i swemu wyzwoleniu.

Ponad siebie budować winieneś. Lecz przede wszystkim musisz mi być sam zbudowany, umiemy na ciele i duchu.

Nie tylko w liczbę mnożyć się winieneś, lecz *wzwyż*, *l* niech ci ku temu służy ogrójec małżeństwa!

Wyższe ciało stworzyć winieneś, pierwszy ruch, z siebie toczące się koło — tworzącego stworzyć powinienes.

Małżeństwo — tak oto zwą wolę dwojga, aby stworzyć jedno, które staje się czemś więcej niżli ci, co je stworzyli. Pokorą wzajemną zwę małżeństwo, pokorą przed piastującymi wolę taką.

To niechaj będzie treścią i prawdą twego małżeństwa. Lecz co ci przeliczni, ci zbyteczni małżeństwem zową — och, jakżebym ja to nazwać miał?

O, to ubóstwo dusz we dwoje! Ten brud dusz we dwoje! Ta żalosna błogość we dwoje!

Małżeństwem zwą oni to wszystko; i twierdzą przy tem, że ich małżeństwa w niebie zostały zawarte.

Obmierzy mi niebiosa tych zbytecznych! Obmierzy mi te, w niebiańskie sieci zaplątane pary zwierząt!

Obcym niechaj mi będzie i ten Bóg, co oto przykulał, aby pobłogosławić, czego nie spoił!

Nie śmiecie mi się z tych małżeństw! Któreż by dziecko nie miało powodu płakać nad swymi rodzicami?

Godnym wydał mi się ten człowiek i dojrzałym ku ziemskiej treści fr-zycia; gdym jednak żonę jego ujrzał, wydała mi się ziemia domem *obląkanych*.

O, bodajżeby ziemia w posadach swych drżała, ilekroć się święty z gęsią parzy.

Ten oto wyruszał jak bohater na zdobycz prawd, wreszcie przyniósł l., jako łup małe strojne kłamstwo: zwie to małżeństwem swoim.

Ów był nieprzystępny i czynił wybredny wybór. Lecz oto za jednym zamachem zepsuł raz na zawsze swe towarzystwo: zwie to małżeństwem swoim.

Tamten poszukiwał dziewczki z cnotami anioła. Lecz oto za jednym zamachem stał się dziewczką kobiety; brak tylko, aby się sam w tej służbie nie rozanielił.

Pełnemi troski widzę dziś kupczących, a wszyscy oni mają przebiegłe oczy. Lecz żonę kupuje najprzebieglejszy w worku.

Wiele krótkich szaleństw — oto co się zwie u was miłością. Zaś wasze małżeństwa czynią tym wielu krótkim szaleństwom ostateczny koniec jako jedno długie głupstwo.

Wasza miłość dla kobiety i miłość kobiety dla mężczyzny: o, gdybyż one były współczuciem dla cierpiących i ukrytych bóstw! Lecz *zazwyczaj* odgaduje się wzajemnie para zwierząt.

Lecz nawet wasza najlepsza miłość jest tylko zachwytną przenośnią i żarem bolesnym. Pochodnią jest ona, co wam na wyższe drogi przyświecać powinna.

Ponad samych siebie winniście się kiedyś umiłować! Więc się wprzód *kochać* nauczcie! I dlatego właśnie winniście byli wypić gorzki kielich swego kochania.

Gorycz jest w kielichu najlepszej nawet miłości: i tem oto rodzi tęsknotę ku nadcześnikowi, tem nieci pragnienie twórcze!

Pragnieniem twórcy, strząłą i tęsknotą ku nadcześnikowi, o powiedz, bracie mój, jestże li tem twe pragnienie małżeństwa?

Święta jest niewola taka, święte takiego małżeństwa śluby.

Tako rzecze Zaratustra.

O WOLNEJ ŚMIERCI

Wielu umiera za późno, niektórzy umierają zbyt wcześnie. Obco brzmi jeszcze nauka: „Umieraj w porę!”

Umieraj w porę — tak poucza Zaratustra.

Oczywiście, kto nigdy w porę nie żył, jakżeby ten miał w porę umrzeć? Oby raczej nie był się narodził! Tak radzę zbytecznym.

Lecz i zbyteczni ważą sobie wielce swą śmierć; nawet najbardziej pusty orzech pragnie, aby go wyłuskano.

Niepomiernie ważą sobie wszyscy skon swój, lecz śmierć nie jest eszcze świętem uroczystem. Jeszcze się ludzie nie nauczyli, jako się święci najpiękniejsze gody.

Ja wam wskazuję skon dokonywający, skon, co dla żywych bodźcem Sli ślubowaniem się staje.

Własną śmiercią umiera dokonywający, umiera zwycięski w otoczeniu ślubujących i nadziei pełnych.

Tako umierać powinni się ludzie uczyć. I nie powinno być żadnej •uroczystości tam, gdzie taki ślubujący nie uświęca ślubowania żywych! Tak umierać jest rzeczą najlepszą; rzeczą wtóra jest w walce umrzeć ... i wielką duszę roztrwonić.

Lecz nienawidzona, zarówno przez wojującego, jak i przez zwyciężcę, jest śmierć, co zęby szczerzy i niby złodziej się skrada, mimo jako władca zawsze przychodzi.

Moją śmierć sławię ja wam, śmierć wolną, która po mnie przyjdzie, jonieważ ja tego chcę.

Lecz kiedyż to ja zechcę? Kto ma cel swój i puściznę po sobie, ten ragnie śmierci w porę dla celu i puścizny.

Z pokory przed celem i puścizną nie zechce zawieszać zeszlých rieców na świątyni życia.

Zaprawdę, nie chcę być jako powroźnicy, co wysnuwają nić coraz iższą, sami przy tem wstecz się cofając.

Niejeden staje się zbyt stary dla własnych prawd i zwycięstw; bez-jtębne usta nie mają prawa do każdej prawdy.

Zaś, kto sławę mieć pragnie, powinien zawczasu z czcią się pożeg-ić i ćwiczyć się w ciężkiej sztuce odchodzenia w porę.

Należy nie dopuszczać, aby nas zjadano doszczętnie wtedy właśnie, wtedy najlepiej smakujemy: wiedzą o tem ci, co pragną, aby ich długo fkocho.

Bywają wprawdzie kwaśne jabłka, których dola chce, aby oczeki-Iwały aż do ostatniego dnia jesieni: wówczas stają się jednocześnie doj-fizale, żółte i pomarszczone.

Jednym starzeje się wprzódy serce, drugim duch. Bywają wreszcie d zgrzybiałe za młodu, lecz późna młodość czyni młodość długą.

Niejednemu chybiło życie: robak jadowity toczy mu serce. Niechże więc tem bardziej baczy, aby mu się skon udał.

Niejeden nigdy słodkim się nie stanie, on już latem gnije. Tchórzostwo jedynie trzyma go na gałęzi.

Zbyt wielu żyje i zbyt długo wisi na gałęziach. Obyż przyszła nawałnica, która by to wszystko zgnie i robaczywe z drzew pootrzasała!

Obyż przyszli kaznodzieje rychłej śmierci! To by mi były wichry pożądane i otrząsające drzewa życia! Zewsząd slysę jednak tylko kaznodziei powolnej śmierci i cierpliwości na wszystko, co „ziemskie”.

Ach, wy to każecie o cierpliwości na wszystko, co ziemskie? Wszak to ziemskie zbyt długo was cierpi, wy języki bluźniercze!

Zaprawdę, zbyt wcześnie umarł ów Hebrajczyk, którego czczą kaznodzieje powolnej śmierci, dla wielu stała się fatalnością ta wczesna śmierć jego.

On poznał zaledwie łyż i posępność Hebrajczyka, tudzież nienawiść dobrych i sprawiedliwych — ów Hebrajczyk Jezus: i oto opadła go tęsknica za śmiercią.

Gdybyż on na pustyni pozostał i z dala od dobrych i sprawiedliwych! Może by wówczas nauczył się żyć i ziemię kochać, i dar pozyskałby może nadto.

Wierzajcie mi, bracia! Za wcześnie on umarł, sam by odwołał swą naukę, gdyby do mego wieku dożył! Szlachetny był dość, by odwołać!

Lecz on nie dojrzał był jeszcze. Niedojrzałe kocha młodzieniec, niedojrzałe nienawidzi ludzi i świata. Spętane i ciężkie są jego czucia oraz skrzydła ducha jego.

W mężczyźnie jest więcej dziecka niżli w młodzieńcu, i mniej po-sepności: lepiej rozumie się on na życiu i śmierci.

Wolny na śmierć i wolny w śmierci, święty głosiciel „nie”, gdy już nie czas na „tak”: oto jak się on na życiu i śmierci rozumie.

Niechże skon wasz nie będzie bluźnierstwem człowiekowi i ziemi, przyjaciele moi — upraszam to sobie od miodu dusz waszych.

W skonie waszym niech płonie duch i cnota wasza jako zorza wieczorna ponad ziemią — inaczej nie udał się wam skon.

Tak też ja sam umrzeć pragnę, abyście, przyjaciele, w imię moje tem bardziej ukochali ziemię; w ziemię się oto obróć, abym znalazł pokój w tej, która mnie zrodziła.

Zaprawdę, cel miał Zaratustra, piłkę swą wyrzucił i oto wy, przyjaciele moi, jesteście celu mego dziedzice, wam też przerzucam piłkę swą złotą.

Nade wszystko drogim jest mi wasz widok, przyjaciele, kiedy złotą rzucacie piłką! I dlatego też pobędę jeszcze nieco na ziemi; wybaczyć mi to, proszę!

Tako rzecze Zaratustra.

O CNOCIE DARZĄCEJ

1.

Gdy Zaratustra pożegnał miasto, ku któremu skłonne było serce jego — miasto zwane „pstra krowa” — podążyli za nim ci, co się uczniami jego zwali, liczną towarzysząc mu drużyną. Doszli tako do rozstaju dróg: wówczas rzekł Zaratustra, iż dalej samotny pójść pragnie, jako że umiłował był chadźanie samotne. Uczniowie wręczyli mu na pożegnanie posoch, w którego złotej rękojeści wił się wąż wokół słońca. Zaratustra uradował się posochowi i wsparł się na nim; po czym zwrócił się temi słowy do drużyny uczniów swoich:

— Powiedzcież mi: czemu złoto zdobyło sobie wartość najwyższą? Ponieważ jest niepospolite, niepożyteczne, jaśniejące i w blasku swym łagodne; ono się zawsze darowuje.

Tylko jako odzwierciedlenie najwyższej cnoty zdobyło wartość najwyższą. Jako złoto świeci spojrzenie darzącego. Złota blask czyni przymierze między księżycem i słońcem.

Niepospolita jest najwyższa cnota i niepożyteczna, jaśniejąca jest ona, a w blasku łagodna: cnota darząca jest najwyższą cnotą.

Zaprawdę, zgaduję ja was, uczniowie moi: dążycie, jako ja, ku cnocie obdarzającej. Cóż wy mieć możecie wspólnego z kotami i wilkami?

I takie jest pragnienie wasze, aby stać się ofiarą i darem, i dlatego też łakniecie zgromadzenia dóbr i bogactw wszelkich we własnej duszy.

Nienasyconie pożąda dusza wasza skarbów i klejnotów, gdyż nienasycona jest cnota wasza w pragnieniu obdarzania.

Pociągacie wszystkie rzeczy ku sobie i wmuszacie je w siebie, aby z waszych studzien były źródłem waszych darów miłosnych.

Zaprawdę, rabusiem wobec wszystkich wartości czyni cnota darząca; jednak błogosławię ja i uświęcam samolubstwo takie.

Bywa wszakże inne samolubstwo, nad miarę ubogie, głodne, zawsze kraść gotowe — chciwość chorych, samolubstwo chore.

Oczami złodzieja spogląda ono na wszystko świecące; żarłocznością głodu mierzy tych wszystkich, którzy mają obfite pokarmy; zawsze pełza ono wokół hojnych stołów.

Choroba przemawia z takiej pożądlivosti i ukryte zwyrodnienie; o mdłym ciele mówi żarłoczność tego samolubstwa.

Powiedcież mi, bracia: cóż jest dla nas złem i najgorszym? Nie jestże niem z zwyrodnienie? Zaś zwyrodnienie odgadujemy wszędzie tam, gdzie brak duszy obdarzającej.

Wzwyż wiedzie nasza droga przez gatunek do nadgatunku. Ohydę wszakże budzą w nas te zwyrodniające się skłonności, co wołają: „Wszystko dla mnie”.

Wzwyż wlatują ducha naszego zamysły i tem są one przenośnią naszego ciała; są przenośnią jego wywyższenia. Takich wywyższeń przenośnie są imionami cnót.

Tako przechodzi ciało szlakiem dziejów, jako stające się i walczące. Zaś duch — czemuż jest dlań duch? Jego walk i zwycięstw heroldem, towarzyszem i oddźwiękiem.

Przenośniami są wszystkie imiona zła i dobra: one nie dowodzą, lecz napomykają jedynie. Głupiec, kto w nich wiedzy szuka!

Baczenie mi, bracia, na tę godzinę, gdy duch wasz w przenośniach mówić zechce, gdyż owo jest zaczątek cnoty waszej.

Dźwigniętem staje się naonczas wasze ciało i wywyższonem; a błogością swoją tako ducha zachwyca, że czyni zeń twórcę, nadawcę wartości, miłującego i wszechrzeczy dobroczyńcę.

Gdy przepelne serce wasze wzburzy się rozlewnie jako strumień, co jest błogosławieństwem i trwogą dla nadbrzeżnych — owo jest zaczątek cnoty waszej.

Gdyście ponad pochwałę się wznieśli i przygany, i gdy woła wasza rzeczom wszystkim rozkazywać zapragnęła jako woła miłującego — owo zaczątek cnoty waszej.

Gdyście wzgardzili wszystkim, co przyjemne, gdy wam obmierzło miękkie łoże, gdy od wszelkiego miękczenia nigdy wam dosyć daleko łoża waszego nie ścielą — owo jest zaczątek cnoty waszej.

Gdyście jednej woli powolni i gdy ta wszelkiej odwrótnica niedoli jest wam doli musiem niechybnym — owo jest zaczątek cnoty waszej.

Zaprawdę, nowem złem i nowem dobrem jest takowa cnota! Zaprawdę, jest ona jako nowe, głębokie poszumy, nowego źródłiska podziemny głos!

Potęga to jest; myśl to władna, a wokół niej dusza mądra; złote to płoncy, a na niem w krąg poznania wąż.

2.

Tu zamilkł Zaratustra i spojrzął z miłością na uczeni swoich. Niebawem podjął w te słowa, a przemienił się głos jego:

— Pozostańcie wierni ziemi, bracia moi, wierni potęgą swej cnoty! Wasza miłość darząca i wasze poznanie niechaj służą ziemskiej treści! Tako proszę i zaklinam was.

Nie pozwalajcież jej odlatywać od ziemi i skrzydłami o ściany wieczności łopotać! Och, bywało zawsze tyle cnót w locie zbłąkanych!

Wiedźcież zbłąkaną cnotę na ziemię, jako ja to czynię, wiedźcież ją nawrotem ku ciału i ziemi, aby ziemi właściwą treść nadała, treść ludzką!

Stokrotnie zbłąkiwały się w polotach i chybiały zarówno duch, jak i cnota. Och, w ciele naszym tkwią wciąż jeszcze wszystkie te urojenia i złudy: ciałem i wolą stały się tu one.

Stokrotnie doświadczały się i błędziły zarówno duch, jak i cnota. ;O tak, próbą człowiek był. Och, ileż niewiedzy i błędu naszym stało się ciałem!

Nie tylko rozum tysiącleci, lecz i ich szaleństwo wybucha oto w nas. Niebezpiecznie jest być spadkobiercą.

Jeszcze walczymy krok za krokiem z olbrzymem przypadku, a ponad [całą ludzkością sprawowały dotychczas rządy nierozum i niedorzeczność.

Duch wasz, bracia moi, oraz cnota wasza ziemskiej niech służą treści, zaś rzeczy wszelkich wartość niech przez was na nowo nadana zostanie. Przeto winniście być walczącymi! Przeto twórczymi być powinniście!

Wiedzą oczyszcza się ciało; wśród wiedzy doświadczeń wywyższa się ono. Wszystkie popędy poznającego uświęcają się; dusza wywyższonemu radosną się staje.

Siebie zlec, lekarzu, tako i chorym najlepiej pomożesz. Niech to będzie twą najlepszą pomocą, że oczy jego ujrzą, jakieś się sam uleczył.

Jest dróg tysiące, któremi jeszcze nie chadzano, tysiączne zdrowia przejawy i tysiące ukrytych ogrójców życia. Niewyczerpany i nieodkryty jest jeszcze człowiek, a wraz i ziemia ludzka.

Bacście i czuwajcie, samotnicy! Z tajemnym skrzydeł łopotem przyszłości ciągną wiewy; czujnym uszom dobra zwiastuje się nowina.

Samotnicy dnia dzisiejszego, wy, odosobniający się, ludem wy kiedyś będziecie: z was, którzyście się sami wybrali, powstanie lud wybrany — aż niego nadczłowiek.

Zaprawdę, siedliskiem uzdrowienia stać się jeszcze winna ziemia! Oto unosi się już nad nią nowa woń zwiastującej się szczęśliwości, i nowa wróży się nadzieja!

3.

Gdy Zaratustra te słowa wyrzekł, zamilkł wonczas, jako milknie, kto ostatniego słowa jeszcze nie wygłosił; pełen niezdecydowania ważył długo posoch w dłoni. Wreszcie tak się odezwał, a przemienił się głos jego:

— Sam oto idę dalej, młodzi moja! I wy także idźcie stąd, a sa-mopas! Tak chcę.

Zaprawdę, radzę ja wam: idźcie precz ode mnie i brońcie się przeciw Zaratustrze! Lub lepiej jeszcze: wstyďte się jego! Może on was oszukał.

Człowiek oddany poznaniu winien nie tylko kochać swych wrogów, lecz i umieć nienawidzić swych przyjaciół.

Żle się wywdzięcza mistrzowi, kto zawsze tylko jego uczniem zostaje. I czemuż nie chcecie z wieńca mego uszczknąć?

Uwielbiacie mnie, lecz cóż się stanie, gdy to wasze uwielbienie któregoś dnia runie? Baczcież, aby was posąg nie przygniótł!

Mówicie, iż wierzycie w Zaratustrę? Lecz cóż zależy na Zaratustrze? Jesteście moimi wyznawcami, lecz cóż zależy na wszelkich wyznawcach?

Jeszczeście samych siebie nie szukali, a oto jużeście mnie znaleźli. Tak czynią wszyscy wyznawcy; przeto tak niewiele waży wszelka wiara.

Tak więc wzywam was, abyście mnie zgubili, a w zamian samych siebie znaleźli; i kiedy wszyscy mnie się zaprzecie, naonczas dopiero do was powrócę.

Zaprawdę, innemi oczami, bracia moi, szukać wonczas będę swych ^traconych; inną pokocham was wtedy miłością, l I raz jeszcze przyjaciółmi moimi się staniecie oraz dziećmi jednej nadziei; zaczem po raz trzeci nawiedzę was, abyśmy społem wielkie Świącili południe,

f I tem jest to wielkie południe, iż człowiek staje wówczas na połowie drogi między zwierzęciem i nadczłowiekiem i swą drogę ku zachodowi świąci jako swą najwyższą nadzieję: jako że ta jest droga wiodąca do nowego zaranku.

Naonczas zachodzący sam siebie błogosławić będzie, iż jest poza rubież przechodzącym, a słońce jego poznania stać będzie na południu.

„Pomarli bogowie wszyscy: niechże więc za wolą naszą nadczłowiek żyje" — taką niechaj będzie czasu wielkiego południa nasza wola ostatnia!

Tako rzecze Zaratustra.

TAKO RZECZE ZARATUSTRA

CZEŚĆ DRUGA

...i kiedy wszyscy mnie się zaprzecie, naonczas dopiero do was powrócę.

Zaprawdę, innemi oczami, bracia moi, szukać wonczas będę swych straconych; inną pokocham was wtedy miłością.

Zaratustra O nocioie darzącej (s. 69)

DZIECIĘ ZE ZWIERCIADŁEM

Zaczem powrócił Zaratustra w góry i do samotni swej jaskini; oddaliwszy się od ludzi, czekał jako siewca, gdy swój posiew rzuci. Wzbierała wszakże jego dusza niecierpliwością i pożądaniem tych, których ukochał, gdyż wiele miał im jeszcze do rozdania. Jakowoż najcięższą to dolą; z miłości zawrzeć dłoń otwartą i jako darodawca wstydu się nie wyzbyć.

Tako mijały samotnikowi miesiące i lata. Mądrość jego wzrastała wszelako i dolegała mu boleśnie pełnią swoją.

Lecz oto pewnego zaranku zbudził się wraz z jutrznią, myślał długo na swem posłaniu i rzekł wreszcie do swego serca:

„Jakież to sen mnie tak przeraził, żem się aż oto zbudził? Nie zjawiłoz mi się dziecię, przystępujące do mnie ze zwierciadłem?

»O, Zaratustro — rzekło do mnie dziecię — przejrzyj się w zwierciadle !«

A gdym w owo lustro spojrział, krzyknąłem z przerażenia i ścisnęło się serce moje, gdyż nie siebie tam ujrziałem, lecz dyabła maskarę i śmiech jego szyderczy.

Zaprawdę, aż nadto pojmuję tego snu przestrożę i znak: n a u k a moja jest w niebezpieczeństwie, zielsko za pszenicę się podaje! /,•" Spotęźnieli wrogowie moi i spotwornili obraz nauki tak, że najdrożsi moi wstydzic się muszą darów, którymi ich obdarowałem.

Straciłem przyjaciół swych; nastąpiła godzina, abym szukał straconych!"

Z temi słowy zerwał się Zaratustra, lecz nie jako przepłoszony, co ucieczki szuka, raczej jako jasnowidz i pieśniarz, na którego duch zstąpił. W zdumieniu spoglądały na niego orzeł i wąż, gdyż jako jutrznia promieniało mu na obliczu zbliżające się szczęście.

— Cóż to się ze mną stało, zwierzęta me? — rzekł do nich Zara-lustra. — Czyżem nie przeistoczony? Nie naszłaż na mnie ma szczęśliwość jako wichura?

Szaleńcze jest to moje szczęście i szalone *rzeczy* głosić będzie: za młode jest ono jeszcze, pobłażanie miejcie!

Ranny jestem szczęściem mojem: cierpiący wszyscy niechże mi lekarzami będą!

Do przyjaciół wolno mi zniżyć ponownie i do wrogów swoich! Wolno znowuz Zaratustrze przemawiać, darowywać, miłowanie najdroższe czynić!

Miłość ma niecierpliwa potokami zlewa się na niże, na wschód i zachód. Z milczących gór, z boleści burz prądem rwie ma dusza na doliny.

Za długo tęskniłem i wyzierałem w dal. Zbyt długo władała mną samotność: i tak oto odczyłem się milczenia.

Ustami jam się stał wskroś, wzburzonym na graniach stałem się strumieniem; chcę mą mowę zwalić na doliny, w dół!

I niechże mi ten potok miłości na bezdroża nawet runie! Jakżeby nie miał potok drogi ku morzu wreszcie odnaleźć!

Mam ja wprawdzie jezioro w duszy pustelnicze i na sobie przestające, lecz nurty mej miłości porwą je wraz z sobą — ku morzu, hen!

Nowemi drogi idę, nowa nawiedza mnie mowa; jako wszystkich twórców stare znużyły mnie języki. Nie chce mi duch mój już na zdartych podeszwach biegać.

Zbyt wolno wlecze mi się wszelka mowa — w twój wóz skaczę, nawałnico! I ciebie jeszcze chłostać będę, a naglić swą złośliwością!

Jako krzyk i zawołanie radosne popłynę po toni mórz dalekich, hen, ku wyspom szczęśliwości, gdzie przyjaciele moi bawią.

I wrogi me pośród nich! Jakże ja kocham każdego, do kogo przemawiać mi wolno! I wrogów mi trzeba do szczęścia!

A gdy najdzikszego z mych koni dosiąść pragnę, włócznia mi moja najlepiej wondrous wygadza; ona mej nodze każdego czasu rada służy.

Włócznia, którą w swych wrogów cisnę! Jakżem wdzięczny nieprzyjaciołom swoim, że wreszcie włócznią miotać mogę!

Zbyt wielkie było napięcie mojej chmury: między jednym a drugim uśmiechem błyskawicy chcę popłoch gradobicia cisnąć na doliny.

Potężnie dźwignie się ma pierś, burzą swą zadmie potężnie ponad górami; ulgę jej to przyniesie.

Zaprawdę, jako burza nadciąga me szczęście i wolność moja! Niechże myślą wrogowie, że to zły szaleje ponad ich głowami.

Lecz i wy, przyjaciele moi, przerazicie się mej dzikiej mądrości; j może mi umkniecie wraz z wrogami.

Och, bodajżebym ja potrafił fletnią pasterczą przywabić was z powrotem! Och, bodajżeby ma lwia mądrość tklivych nauczyła się pory-ków! Wszak tyle nauczyliśmy się już społem!

Ma dzika mądrość brzemienneą się stała w górach samotnych, na surowym gładzie porodziła swe młode, swe najmłodsze.

Biega tedy szalona po twardem pustkowiu, a miękkiej darni szuka i szuka daremnie — ma stara, dzika mądrość!

W serc waszych, przyjaciele, łagodną darń, w waszą miłość pragnie ona złożyć najdroższy swój płód!

Tako rzecze Zaratustra.

NA WYSPACH SZCZĘŚLIWOŚCI

Figi padają z drzew, dobre są one i słodkie; a gdy padają, pęka na nich skóra czerwona. Jestem wichrem północnym dla dojrzałych fig.

I jako figi spadają ku wam, przyjaciele, nauki me: pijcież ich sok i słodką ich miąższ! Jesień naokół, niebiosa pogodne, a pora jest popołudniowa.

Spojrzyjcież, jaka tu bujność wokół nas! A spoza tej obfitości jakże błogo wyrzeć w dal na toń morza daleką.

Niegdyś mawiano: Bóg, gdy spoglądano na dalekie morze; ja was nauczyłem mawiać: nadczłowiek. Bóg jest domniemaniem, lecz ja pragnę, aby domniemania wasze nie sięgały dalej niżli wasza wola twórcza.

Czybyście zdołali Boga stworzyć? Więc milczcież mi o wszystkich bogach! Wszakże nadczłowieka stworzyć zdołacie.

Być może nie wy sami, bracia moi! Lecz na ojców i przodków nadczłowieka przetworzyć się możecie: niechże więc to będzie waszą najlepszą twórczością!

Bóg jest domniemaniem, lecz ja pragnę, aby domniemania wasze nie wykraczały poza to, co jest do pomyslenia.

Czybyście zdołali p o m y ś l e ć sobie Boga? Lecz niech wam to wołę prawdy znamionuje, iż wszystko przeistacza się w myślne po ludzku, po ludzku widzialne, po ludzku odczuwane! Swoje własne zmysły powinniście domyśleć do końca!

Zaś to, coście światem zwali, to przez was dopiero stworzone być winno: waszym rozumem, waszą wolą i miłością, obrazem was samych stać się to winno! I zaprawdę, dla waszej szczęśliwości, wy poznający!

Jakżebyście mogli znieść to życie bez takiej nadziei, wy poznający? Wy nie powinniście być wszczępieni ani w niepojętość, ani w niedorzeczność.

Wreszcie, abym wam, przyjaciele, całkowicie swe serce objawił; jeśli by bogowie byli, jakżebym ja zniósł, abym bogiem nie był! Przeto nie ma bogów.

Wyciągnąłem wniosek, lecz oto on mnie pociąga.

Bóg jest domniemaniem, lecz któż zdoła wypić całą mękę tego domniemania, nie przypląciwszy jej życiem? Maż być odebraną tworzącemu jego wiara, orłu jego poloty po orlich dalach?

Bóg jest myślą, co wszystko proste krzywem czyni, a wszystko, co stoi, krętem. Jakże to? Czas miałby się zaprzepaścić, a znikomość być tylko kłamstwem?

Myśl taka jest krętym zawrotem dla nóg ludzkich, dla żołądka mdłością; zaprawdę, kolowaczną zwęć takie domniemania.

Złe są mi one i wrogie dla ludzkości: te wszystkie nauki o jednym, pełnym, nieruchomem, sytem i wiekuistem.

Wszystko, co nie przemija — przenośnia to tylko! A poeci łżą zbyt wiele.

Lecz o czasie i stawaniu się winny mdwić najlepsze przenośnie; chwałą winny być one i usprawiedliwieniem wszystkiego, co przemija!

Twórczość — oto jest wielkie wyzwolenie z cierpień i ulżenie życia. Lecz, żeby twórca powstał, wiele cierpień tu trzeba i wiele przeistoczeń.

Wiele gorzkiego zamierania musi być w waszym życiu, wy twórcy! I tako stajecie się orędownikami i obrońcami wszystkiego, co przemija.

Aby twórca dziecięciem się stał, dziecięciem nowo narodzonem, na •to musi być rodzicielką i bólami rodzicielki.

Zaprawdę, przez sto dusz wiodła ma droga, przez sto kołysek i boli porodowych. Niejednom pożegnanie przeżyć musiał i znam, rozdzieraące serce, ostatnie godziny.

Lecz tako chce ma wola twórcza, dola ma. Lub obym wam rzetelniej powiedział: takiej właśnie doli pożąda wola ma.

Wszystko, co czuje, cierpi we mnie i jest w więzieniu zamknięte, lecz wola ma zjawia mi się zawsze jako wybawca i zwiastun radosny.

Wola wyswobadza — oto jest prawdziwa nauka o woli i wolności - tak was uczy Zaratustra.

Już nie chcieć niczego, już niczego nie cenić nawet, już nie tworzyć więcej! Och, gdybyż to wielkie zmęczenie omijało mnie zawsze z daleka!

I w poznawaniu czuję tylko swej woli pochopność do tworzenia i stawania się; a jeśli niewinność jest w poznaniu mem, dzieje się to dlatego, iż jest w niem wola twórcza.

Precz od Boga i od bóstw wabi mnie ma wola twórcza; cóż by bo pozostawało do tworzenia, gdyby bogowie istnieli!

Lecz do człowieka pociąga mnie raz po raz ma płomienna wola twórcza; tako pociąga młot ku głazowi.

W kamieniu, o ludzie, drzemie posąg mój, posąg mych posągów! O, że też w najtwardszym gładzie tkwić on musi!

I oto wali mój młot okrutnie w to więzienie. Z gładu przyskają odłamy, lecz nie dbam ja o to!

Dzieła mego dokonać chcę, gdyż mara nawiedziła mnie: co w rzeczach wszelkich jest najcichsze, a najdoskonalsze, wszystko to nawiedziło mnie!

Piękno nadczołowieka marą ku mnie przyszło. O bracia moi! Cóż mnie wobec tego obchodzić mogą bogowie?

Tako rzecze Zaratustra.

O LITOŚCIWYCH

Przyjaciele moi, głos mowy szyderczej dobiegł do waszego druha: „Patrzcież na Zaratustrę! Czyż nie obcuje on z nami jako ze zwierzętami?”

Lecz tak oto słuszniej rzec by należało: „Poznający przebywa pośród ludzi jak o pośród zwierząt”.

Człowiek zasie jest dla poznającego zwierzęciem o czerwonych policzkach.

Jakże mu na to przyszło? Czyż nie dlatego, że zbyt często sromać się musiał?

O przyjaciele moi! Te są słowa poznającego: wstyd, wstyd, wstyd — oto dzieje człowieka!

Przeto ślubuje sobie szlachetny, iż nigdy zawstydząć nie będzie; ślubuje on sobie wstyd przed wszystkim, co cierpi.

Zaprawdę, nie znoszę ja tych miłosiernych, których własna litość błogością przejmuję: zbyt mało wstydu mają mi ci ludzie.

Jeśli litościwym być muszę, nie chcę się nim zwać, a skoro nim jestem, pragnę nim być z daleka.

Rad głowę osłonię i precz się umknę, zanim poznanym być mogę; tako i wam czynić przykazuję, przyjaciele moi!

Obyż mię doła wiodła na drogę życia ludzi wolnych od cierpień oraz takich, z którymi by w o l n o było mieć wspólny posiłek, nadzieję i miód!

Zaprawdę, tem i owem wygodziłem cierpiącym, lecz bodaj, iż zawsze rzecz lepszą czyniłem, gdym się uczył, jakbym się lepiej radował.

Od czasu, gdy ludzie istnieją, za mało weselił się człowiek: to jedynie, bracia moi, jest naszym grzechem pierworodnym!

A skoro się nauczymy lepiej weselić, oduczmy się tem najskuteczniej innym boleści przyczyniać i bolesności zamyślać.

Przeto umyвам rękę, co wspomagała cierpiących, przeto bym rad obmył i duszę.

Bo iżem cierpiącego w cierpieniu widział, tego się wstydzę w imię jego wstydu, a gdym mu pomagał, zawiniłem ciężko przed jego dumą.

Wielkie zobowiązania nie czynią wdzięcznym, lecz mściwym; zaś gdy małe dobrodziejstwo zapomnianem rychło nie bywa, staje się ono łatwo zaczerwiem toczącego robaka.

„Bądźcie hardzi w przyjmowaniu! Umieście wyróżniać tem, że przyjmować racycie!” — tako radzę tym, co nie mają nic do darowania.

Ja wszakże jestem darodawcą: rad rozdaję jako przyjaciel przyjaciołom. Obcy zaś i ubodzy niechże sobie sami owoc z mego drzewa zerwą; mniej ich to zawstydzają będzie. ! Żebraków jednakby należało całkowicie usunąć! Zaprawdę, gniewa

to, gdy im się daje, i gniewa, gdy im się nie daje. Podobnież i grzeszników oraz sumienia nieczyste! Wierzajcie mi, przyjaciele, zgryzoty sumienia uczą gryźć. Zasię rzeczą najgorszą są myśli małe. Zaprawdę, lepszy jest zły czyn niżli mała myśl!

Wprawdzie powiadacie: „Rozkosz z małych złościwości oszczędza nam nieraz wielkiego czynu”. Lecz tu nie należy chcieć oszczędzać.

Zły czyn jest jako wrzód: swędzi, drapie, wreszcie na zewnątrz przebija — mowa jego jest rzetelna.

„Patrz, jam jest chorobą” — tak mówi zły czyn; i to jest jego ucz-tciwość.

Lecz myśl mała jest jako plecha grzybja: pełnie, przeciska się i, zda się, nigdzie jej nie ma — aż póki całe ciało nie zmurszeje i nie uwied-nie od małych grzybów.

Którego zaś dyabeł opętał, temu szepnę te słowa na ucho: „Lepiej snadnie uczynisz, gdy wyhodujesz swego dyabła ku wybujałości! I dla ciebie jest jeszcze droga do wielkości!”

Och, bracia moi! O każdym wie się nieco za wiele! Zaś niejeden staje się dla nas wprost przezroczystry; wszakże mimo to przejść wskroś niego bynajmniej nie można.

Trudno żyć z ludźmi, ponieważ milczeć jest tak trudno.

A nie dla tych jesteśmy najmniej wyrozumiali, którzy nam obmierzli, lecz dla tych, którzy nas zgoła nie obchodzą.

Gdy masz przyjaciela cierpiącego, bądźże dla jego cierpienia miejscem spoczynku, lecz zarazem twardem łóżem, łóżem połowem; tak oto najlepiej mu się wysłużysz.

A gdy przyjaciel krzywdę ci wyrządzi, mawiaj wczas: „Wybaczam, coś mi uczynił, lecz żeś ty to sobie wyrządził — jakżeby ci to mógł wybaczyć!”

Tak oto mawia wielka miłość: ona przewycięża nawet i przebaczenie wraz z współczuciem.

Należy krzepko dzierżyć serce swe; jeśli mu pozwolić rządzić, jako zechce, zaprzepaści się wraz z sercem i głową!

Och, gdzież na świecie działały się większe szaleństwa niżli pośród litościwych? I cóż stworzyło więcej cierpień na świecie nad szaleństwa litościwych?

Biada wszystkim kochającym, którzy nie mają wyżyny sięgającej ponad litość!

Tak oto przemówił raz do mnie dyabeł: „I Bóg ma swe piekło: jest niem miłość ludzi”.

Zaś niedawno te słowa zasłyszałem: „Bóg nie żyje; litość nad człowiekiem przypawiła Boga o śmierć”.

Więc miejcież się na bacności przed litością: stąd oto zwiastuje się jeszcze człowiekowi ciężka chmura! Zaprawdę, znam ja się na znakach zwiastujących niepogodę!

Zważcież i to słowo jeszcze: każda wielka miłość jest ponad współczuciem, gdyż ona chce rzecz ukochania dopiero stworzyć!

„Samego siebie swą miłością darzę i swych bliźnich jako siebie” — taka jest mowa wszystkich, co tworzą.

Zaś twórcy wszyscy twardzi są.

Tako rzecze Zaratustra.

O KAPŁANACH

Razu pewnego Zaratustra dał znak uczniom swoim i rzekł temi słowy:

— Kapłani tu są, aczkolwiek to wrogowie moi; mijajcie ich w ciszy i niech spoczywa oręż wasz!

I między nimi są bohaterzy; wielu z nich cierpiało zanadto — pragną przeto innym cierpienia przyczyniać.

Żli to wrogowie: nic mściwszego nad ich pokorę. I łatwo kala się ten, kto ich dotyka.

Lecz krwią spokrewniony jestem z nimi i chcę swą krew nawet w nich uszanować.

Lecz gdy minęli ich, ból ogarnął Zaratustrę; niedługo borykał się wszakże ze swym bólem, niebawem rzekł temi słowy:

— Żalonym zda mi się ten kapłan. Nie w smak są mi też oni; wprawdzie od czasu, gdy między ludźmi bawię, jest mi to rzecz naj-błahsza.

Lecz cierpiałem i cierpię wraz z nimi: więźnie to są i piętnowani. Ten, którego zbawicielem zowią, zakuł ich w okowy.

W okowy fałszywych wartości i słów obłądnych! Och, gdybyż wy-!bawił ich kto od ich zbawiciela!

Ongi, gdy ich morze ponosiło, zdawało się im, że oto do wyspy |przybili; lecz niestety był to potwór śpiący!

Fałszywe wartości i słowa obłądne: najgorsze to potwory dla śmiertelnych — długo drzemie i ukrywa się w nich klęska.

Wreszcie jawi się, budzi się potwór, pożera i chłonie wszystkich, , co na nim pobudowali schroniska.

Patrzeź mi na te schroniska kapłanów! Świątyniami zwać oni te Isłodkowonne jaskinie.

Och, to fałszowane światło, to zdławione powietrze! Tu duszy do własnych wyżyn wzbijać się nie wolno!

Gdyż tak oto brzmi nakaz ich wiary: „Na klęczkach czołgać się ^będziecie po stopniach, grzesznicy!”

Zaprawdę, chętniej widzę bezwstydnika niżli te zezujące oczy ich fwstydu i nabożności!

Któż to stworzył sobie takie jaskinie i te stopnie pokutne? Zaliż nie byli to ci, co się ukryć pragnęli, co się jasnego nieba wstydzili?

Gdy jasne niebo znowuż poprzez zburzone sklepienie wejrzy na murawę i krasne maki, porastające rozwalone mury, wonczas dopiero serce swe skłonię ku przybytkom tego Boga.

Przezwali Bogiem wszystko, co im się przeciwiało i sprawiało ból; zaprawdę wiele bohaterskości było w tem ich bohomołstwie!

Zaś inaczej Boga swego kochać nie umieli, jeno przybijając do krzy-za człowieka!

Jako trupy żyć pragnęli, kirem czernili trupy swe; nawet w ich mowach wietrzę przykre zaduchy trupiarni.

A kto w ich bliskości przebywa, zamieszkuje w bliskości czarnych stawów, z których kumaki pieśń swą zawodzą słodkim głębokiej zadumy przyśpiewem.

Lepsze pieśni śpiewać mi winni, abym w ich wyzwoliciela uwierzyć zdołał; bardziej wyzwolonymi jawić mi się winni jego wyznawcy!

Nago pragnąłbym ich ujrzyć, gdyż piękno jedynie winno wzywać do pokuty. Lecz któż podmówi ku temu ten zakapturzony posepek!

Zaprawdę, nawet ich zbawiciele nie przybyli z wolności i z siódmego tej wolności nieba! Zaprawdę, oni nie wędrowali nigdy po kobiercach poznania!

Z luk składał się duch tych zbawicieli, a w każdą taką pustkę wtykali oni swój omam, swego pokutnika duchowych niedostatków, którego Bogiem przezwali.

W litości duch ich zatonął, a gdy pęcznieli i rozpęczniali litowaniem, wypływało zawsze ku górze wielkie głupstwo.

Krzętnie i wrzaskliwie pędzali swe trzody przez swoją kładkę: jak gdyby ku przyszłości tylko jedna ścieżka wiodła! Zaprawdę, i pasterze ci należeli do owiec!

Małe duchy, a obszerne dusze posiadali ci pasterze; lecz, bracia moi, jakże małymi krainami bywały dotychczas najobszerniejsze dusze!

Krwawe znaki wypisywali na drodze, po której chadzali, a szaleństwo ich pouczało, że krwią dowodzi się prawdę.

Lecz krew jest najgorszym świadkiem prawdy; krew zatruwa najczystsza nawet naukę, czyniąc z niej obłąd i nienawiść serc.

A jeśli ktoś dla swej nauki przez ogień przejdzie — czegoż to dowodzi? Zaprawdę, więcej waży to, gdy własna nauka z własnego rodzi się żaru!

Serce wezbrane, a głowa zimna: gdzie one się zetkną, tam rodzi się zawierucha, tam powstaje „wybawiciel”.

Bywali więksi i zaprawdę, bardziej wysoko urodzeni od tych, których lud zbawicielami zowie, te ponoszące zawieruchy!

Lecz i od tych większych niżli wszyscy wyzwoliciele winniście się wyzwolić, bracia moi, abyście drogę ku wolności znaleźli!

Nigdy nie istniał jeszcze nadczłowiek. Nago ujrzałem ich obu: największego i najmniejszego człowieka. Zbyt podobni są obaj. Zaprawdę, i największy był mi nadto ludzki!

Tako rzecze Zaratustra.

O CNOTLIWYCH

Piorunami i ogniem niebieskim należy przemawiać do śpiących i do sennych zmysłów.

Lecz głos piękności cichy jest: on wkrada się tylko do najczujniej-szych dusz.

Lekko zadrżała i zaśmiała się dziś tarcza ma; to piękna święty śmiech i drżenie.

Z was, cnotliwi, śmiało się dziś me piękno. I tak oto nawiedził mię głos jego: „Oni chcą jeszcze być zapłaceni!”

Wy chcecie jeszcze być zapłaceni, wy cnotliwi! Chcecie zapłaty za cnotę, nieba za ziemię i wieczności za wasze dziś?

I oto złorzeczycie mi za to, że pouczam, iż nie ma zapłaty, nie masz płatmistrza? I zaprawdę, uczyłem ja nieraz, że cnota jest własną swą zapłatą.

Och, tem jest smutek mój, iż na dno rzeczy włączano nagrodę i karę — i wreszcie na dno dusz waszych, wy cnotliwi!

Lecz jako kiel dzika niechaj słowa me będą i niech wam dusze aż do dna rozerwą; lemiuszem chcę wam być.

Wszystkich skrytości waszych głębi na światło dobędę; a gdy tak lemiuszem przeorani i skruszeni na słońcu legniecie, wówczas kłamstwo wasze od prawdy łąco się oddzieli.

Gdyż tem jest prawda wasza: jesteście za s c h l u d n i na brud słów takich, jak: zemsta, kara, zapłata, odwet.

Kochacie swą cnotę, jak matka dziecię kocha, i któż słyszał kiedy, żeby matka za tę miłość opłacona być chciała?

Cnota wasza to wasze najdroższe własne ja. Pragnienie pierścienia jest w was: by samego siebie osiągnąć, toczy się i obraca każdy pierścień.

Jako gwiazda, co gaśnie, jest każdy postępek cnoty waszej: światło jej wciąż jeszcze w drodze, wędruje wciąż — i kiedyż ono drogę swą ukończy?

Tak i światło cnoty waszej wciąż jeszcze jest w drodze, choć dzieło już dokonane jest. Niechaj zapomniane będzie, niech zamrze: promień światła jego wciąż jeszcze wędruje.

Ze cnota wasza jest waszą samością, nie zaś czemś obcem, ani skórą, ani płaszczem, to prawda ze dna duszy wam wydartą, wy cnotliwi!

Bywają wprawdzie i tacy, których cnotą jest kurcz pod biczem; baczyliście mi zanadto na krzyk takich cnotliwców!

Bywają i tacy, którzy cnotą zwą zleniwienie swych nałogów: gdy zemsta oraz ich zawiść członki swe prężą, ożywia się wówczas ich „sprawiedliwość”, przeciera zaspane oczy.

Bywają i tacy, którzy wstecz bywają pociągani: ciągną ich własne dyabły. Lecz im głębiej padają, tem płomienniejszą żarzą się ich oczy oraz pożądanie Boga.

Och, i takie wołania dobiegły uszu waszych, wy cnotliwi: „Czem ja nie jestem, to jest mi Bogiem i cnotą!”

Bywają i tacy, co wloką się ciężko i zgrzytliwie jako wozy kamienie w dół zwożące: ci mówią wiele o cnocie i godności, hamulec swój cnotą zowiąc!

Bywają i tacy, co są jak zegary powszedniości nakręcane codziennie: cykają i chcą, by się to cykanie cnotą zwało.

Zaprawdę, uciechę mi oni gotują: gdzie ujrzą zegar taki, będę go nakręcał swem szyderstwem; i warzeć mi one przy tem jeszcze winny!

Bywają też i dumni z pełnej garści sprawiedliwości, aby w jej imię pastwić się nad każdą rzeczą — tak iż świat w ich niesprawiedliwości tonie.

Och, jakże fałszywie wypada słowo „cnota” z ich ust! A gdy mówią: „Jestem sprawiedliwy”, brzmi to jak: „Jestem pomszczony!”

Cnotą swą radzi wrogom swoim oczy wydrapać; wywyższają się na to tylko, aby innych poniżyć. Bywają również i tacy, co w bagnie siedząc, tak z sitowia przemawiają: „Cnotą jest cicho w bagnie siedzieć”.

Nie kłamamy nikogo i schodzimy z drogi każdemu, co gryźć chce; e wszystkim jesteście tego przekonania, jakie nam da.

Bywają również i tacy, co umiłowawszy gesty, mniemają: cnota jest pewnego rodzaju gestykulacją.

Ich kolana zawsze nabożeństwa czynią; dłonie są sławieniem cnoty, lecz serce nic nie wie o tem.

Bywają wreszcie i tacy, co głośnić zwykli o cnocie: „Cnota jest konieczna”; w głębi duszy wierzą jednak w to tylko, iż policja jest niezbędna.

A niejednen, co wyżyn człowieczych dojrzeć nie jest w stanie, zwie to cnotą, iż niskość ludzką zbyt blisko ogląda — i ten zły swój wzrok chrzci mianem cnoty.

Niektórzy chcą być zbudowani i wydzwignięci i zwą to cnotą, inni znów pragną być powaleni — i zwą to również cnotą.

Tak oto mniemają nieomal wszyscy, iż uczestniczą w cnocie; zaś co najmniej każdy chce być znawcą w rzeczach „dobra” i „zła”.

Lecz nie na to przyszedł Zaratustra, by tym łgarzom i błaznom powiadać: „I cóż wy wiecie o cnocie? I cóż wy o niej wiedzieć możecie?”

Lecz obyście się starymi słowy znużyli, przyjaciele moi, słowy na-bytemi od błaznów i łgarzy. Umęczcie się słowami: „nagroda”, „odwet”, „kara”, „zemsta w sprawiedliwości”.

Umęczcie się mówieniem, „że ten postępek jest dobry, ponieważ jest nie samolubny”.

Och, przyjaciele moi! Że w a s z a samość tkwi w postępku jak matka w dziecięciu, takimi niech będą w a s z e słowa o cnocie!

Zaprawdę, zabrałem wam setkę słów miłych i lube igraszki waszej cnoty; i oto dąsacie się na mnie jak dzieci.

Igrały oto nad morzem — przyszła fala i porwała im igraszkę w głębie: płaczą tedy.

Lecz ta sama fala przyniesie im nowe igraszki i wyrzuci przed nimi nowe barwiste muszelki!

Pocieszą się wnet dzieci; podobnież i wy, przyjaciele moi, znajdziecie niebawem swe pocieszenia i nowe barwiste muszelki!

Tako rzecze Zaratustra.

O HOŁOCIE

Życie jest krynicą rozkoszy, lecz gdzie i hołota pija, tam wszystkie studnie są zatrute.

Sprzymam wszystkim, co schludne, ale tych wyszczerzonych pysków ścierpieć nie mogę, nie znoszę pragnienia niechlujnych.

Rzucili spojrzenie w głąb studni: i oto wyziera mi ze studni ich przemierzły chichot.

Świętą wodę zatruli swą lubieżnością, a gdy swe brudne sny rozkoszą nazwali, zatruli nawet i słowa.

Niechętnym staje się i płomień, gdy oni swe wilgłe serca do ognia znoszą. Nawet duch dymi i swąd dawać poczyna, gdzie się hołota do ognia tłoczy.

Mierźle słodkawym i omiękłym staje się w ich dłoniach każdy owoc; spojrzenie ich czyni każde drzewo owocne uschłym na wierzchołku i wywrotnem od lada wiatru.

A niejeden, co się z życia wycofał, wycofał się tylko od hołoty: nie chciał z nią wspólności przy studni, ognisku i owocach.

A niejeden, co na pustynię poszedł i z drapieżnymi zwierzęty pragnienie cierpiał, nie chciał tylko wraz z niechlujnymi poganiaczami wielbłądów zasiadać u cysterny.

A niejeden, co jako burzyciel przychodził, jako gradobicie pola uprawne nawiedzał, chciał tylko hołocie nogę wetknąć w paszczę i tako gardziel jej zatkać.

Owym kęsem, przy którym namordowałem się najbardziej, nie była wątpliwość, zali życie potrzebuje koniecznie wróżby, śmierci i krzyżów męczeńskich,

Lecz, żem się pytał samego siebie i dusił nieomal swem pytaniem; czyżby? czyżby życie p o t r z e b o w a ło nawet i hołoty?

Sąże konieczne studnie zatrute, ogniska cuchnące, marzenia skalane i czerwie w chlebie życia? Nie nienawiść moja, lecz mój wstręt żerował głodny na życiu! Och, i ducham sobie obmierzył, gdym spostrzegł, że i hołota miewa błyskotliwego ducha!

I do panujących tyłem się odwróciłem, gdym ujrzał, co oni zwą anowaniem swem: szacherkę i targi o władzę — z hołotą! , Wśród ludów obcej mieszkałem mowy z zatulonymi uszy: aby mi yk ich szacherki obcym pozostawał oraz ich targi o władzę.

Nos sobie przystaniając, mijałem niechętny wszelkie wczoraj i dziś; zaprawdę, wszelkie dziś i wczoraj cuchnie piszącą hołotą!

Jako kaleka, głuchy, niemy i ślepy, tak oto przeżywałem długie czasy, abym nie potrzebował żyć pośród hołoty rządzącej, piszącej i używającej.

Mozolnie wspinał się duch mój na stopnie i ostrożnie przy tem; iche jałmużny rozkoszy orzeźwieniem mi były; przy kiju spełzło ślepcowi życie.

I cóż się stało ze mną? Jakżem się ja wyzwolił ze swego wstrętu? Jakżem odmłodził swe oko? Jakżem się ja wzbił na te wyżyny, gdzie żadna hołota u studzien nie zasiada?

Nadarzyłże mnie wstręt własny skrzydły i źródlika wyczuwającemi ily? Zaprawdę, na najwyższe szczyty wlecieć musiałem, aby odnaleźć krynicę rozkoszy!

O, znalazłem ja ją, bracia moi! Tu na wyniosłościach najwyższych tryska mi krynica rozkoszy! Jest więc życie, do którego spragniona nie ciśnie się hołota!

Zbyt gwałtownie bijesz ty mi, rozkoszy źródle! I często kielich opróżniasz dlatego tylko, że go ponownie napełnić pragniesz!

I uczyć się jeszcze muszę z większą do ciebie zbliżać się skromnością; zbyt gwałtownie rwie się me serce ku tobie.

To serce moje, na którym lato w słońcu płonie, lato krótkie, gorące i posępne, a tak ogromnie szczęśliwe; jakże me serce latowe twojej żąda ochłody!

Minął ociągający się smutek mej wiosny! Minęła złośliwość płatków niegu czerwcowych! Latem stałem się na wskroś i letniem południem!

Latem na wzniesieniach najwyższych i chłodnemi źródły, i błogą ciszą; o, chodźcież, przyjaciele moi, aby się ta cisza jeszcze bardziej błogą stała!

Gdyż to jest n a s z a wyżyna i nasza ojczyzna: za wysoko i zbyt stromo mieszkamy dla wszystkich niechlujnych oraz dla ich pragnienia.

Czyste oczy wasze, przyjaciele, niechże wejrzą w krynicę mojej rozkoszy! Jakżeby się ona tem zmacić miała! Odeśmieje się ona wam w ł a s n ą s w ą czystością.

Na drzewie przyszłości zbudujemy swe gniazdo; orły niech samotnikom pokarm w dziobach znoszą!

Zaprawdę, nie jest to strawa, którą by i niechlujni spożywać z nami mogli! Zdawałoby się im, że ogień żrą i pyski popalić sobie gotowi!

Zaprawdę, nie masz tu u nas przytułku dla niechlujnych. Lodową jaskinią zda się nasze szczęście ich ciałom i duchom!

I jako wichry ponad nimi przebywać będziemy, sąsiedzi orłów, sąsiedzi śniegu, sąsiedzi słońca: tako żyją wichry.

I jako wichry wionę ja kiedyś między nich, a własnym duchem odbiorę tchnienie ich duchowi: przyszłość ma tego chce.

Zaprawdę, wichrem jest Zaratustra dla wszelkich nizin; i tą radą radzę wrogom swoim oraz wszystkiemu, co tam pluje i śliną miota: „Strzeżcie się plucia pod wiatr!”

Tako rzecze Zaratustra.

O TARANTULACH

Patrz, oto jest jaskinia tarantul! Chceszże samo zwierzę ujrzyć? Tu wisi jego pajęczyna: dotknij tylko, aby zadrżała.

Otóż i ona: witaj, tarantulo! Czarno tkwi na twym grzbiecie twój trójkąt i znak wróżebny; ja zaś wiem nawet, co w twej duszy tkwi.

Zemsta tkwi w twojej duszy: gdziekolwiek ugryziesz, tam wzrasta czarny strup; jadem swoim o kołowaciznę zemsty pripraviasz ty duszę!

Tako mówię w przypowieści do was, którzy o kołowaciznę pripraviacie dusze, wy kaznodzieje r ó w n o ś c i ! Tarantulami jesteście wy dla mnie i ukrytymi mściwcami!

Lecz dobędę ja wnet na jaw kryjówki wasze: i przeto rzucam wam w twarz swój wyżyn śmiech. I przeto szarpnię tę waszą pajęczynę, aby wasza wściekłość wywabiła was z jaskini kłamstwa, i aby zemsta wasza wyskoczyła spoza waszego słowa „sprawiedliwość”.

Gdyż w y z w o l e n i e c z ł o w i e k a z e m s t y — oto co mi jest mostem ku najwyższej nadziei i tęczę po drugiej słońce.

Lecz tarantule pragną oczywiście inaczej. „To właśnie niech nam będzie sprawiedliwością, że świat się wypełnia burzami zemsty naszej” — tak oto mawiają między sobą.

„Darzmy zemstą i spotwarzaniem tych wszystkich, którzy są nam równi” — tak oto ślubują sobie serca tarantul.

Nadto „wola sprawiedliwości” — ona to winna być nadal imieniem cnoty; zaś przeciw wszystkiemu, co władzę posiada, wszczynajmy swój krzyk!

Kaznodzieje wy równości, tyraństwa to obłąd w niemocy woła tak przez was o „sprawiedliwość”: wasze najskrytsze zachcianki tyraństwa kapturzą się tak oto słowami cnoty!

Utrapięcza pycha i tłumiona zawiść, może ojców waszych pycha i zawiść — oto co z was płomieniem bucha i zemsty obłądem.

Co ojciec przemilczał, to się w synu głosi; i nieraz był mi syn tylko obnażoną tajemnicą ojca.

Zdają się pełnymi zapału, lecz nie serce zapał w nich nieci — lecz zemsta. A gdy się subtelni i zimni stają, nie duch, lecz zawiść subtelny i zimnymi ich czyni.

Zawiść wie ich na ścieżki myślicieli; i to jest znamię ich zawiści — zawsze wie ich ona za daleko, aż wreszcie ich znużenie zlec musi na śniegu.

W każdej ich skardze brzmi zemsta, w każdej pochwalę dokuczliwość; a być sędzią zda im się snadnie najwyższą błogością.

Aliści radzę ja wam, przyjaciele moi: nie dowierzajcie nikomu, w kim popęd do karania jest zbyt silny!

Lud to złego obyczaju i złego rodu: z twarzy jego wyziera kat i wy-żeł tropiący.

Nie dowierzajcie nikomu, co o swej sprawiedliwości mawiać rad! Zaprawdę, ich duszom brak nie tylko miodu.

A gdy się sami za „dobrych a sprawiedliwych” podają, nie zapominajcie, że aby stać się faryzeuszami, brak im tylko władzy!

Przyjaciele moi, ani pomieszany być z innymi, ani uchodzić za kogo innego nie pragnę.

Bywają i tacy, co głoszą mą naukę o życiu, lecz są zarazem kaznodziejami równości i tarantulami.

A że kwoli życia przemawiają, aczkolwiek z życia wycofani w norach swych tkwią, pająki te jadowite! Czynią to dlatego, że chcą tem właśnie bólu przyczyniać.

Dokuczyć chcą tym, co teraz władzę mają, gdyż u tych ludzi kaznodziejstwa śmierci najchętniej bywają widziane.

Gdyby inaczej było, inaczej by też pouczały i tarantule; wszak to one właśnie były niegdyś najlepszymi oszczercami życia i podpalaczami stosów kacerskich.

Z tymi kaznodziejami równości pomieszany być nie chcę, ani za jednego z nich uchodzić nie pragnę. Gdyż tak oto mówi mi sprawiedliwość: „Ludzie równi nie są”,

I stać się równymi nawet nie powinni! Czemżeby była ma miłość nadczłowieka, gdybym pouczał inaczej?

Na tysiącu mostów i po stopni tysiącu winni się tłoczyć ku przyszłości, coraz więcej wojny, a nierówności nieci między nimi należy: tak mi ma wielka miłość kazać!

Wynalazcami obrazów i upiorów stawać się winni w zwalczaniu się wzajemnem, i tymi obrazami a upiorami winni najwyższe walki staczać!

Dobro i zło, bogactwo i ubóstwo, wyniosłość i gminność oraz wszystkie imiona wartości — orężem winny być one, a zbrojnym swym poszczę-kciem znamionować, iż życie samo siebie ustawicznie przezwyciężać musi!

Na wysokościach w stopnie i kolumny spiętrzać się pragnie życie samo; w odległe chce spoglądać dale; ku błogim chce wyzierać pięknościom — p r z e t o wyży potrzebuje!

A że wyniosłości wymaga, wymaga też i stopni oraz przeciwieństwa stopni i wstępujących! Wspinąć się pragnie życie, a wspinając, przezwyciężać siebie.

I patrzcież mi, przyjaciele! Tu oto, gdzie tarantuli nora, wznoszą się ku górze ruiny starej świątyni — spojrzycież mi tylko rozjaśnio-nemi oczy!

Zaprawdę, kto tu niegdyś myśli swoje w kamieniu spiętrzył, ten życia tajemnicę pojmował, jako najwięksi pojmują mędrcomie!

Że walka i nierówność w pięknie nawet bywa oraz wojna o moc a przemoc, o tem poucza on nas w dobitnej przenośni.

Jakże się tu bosko załamują w zapasach łuki i sklepienia; jakże światłem i cieniem prą i dążą przeciw sobie, boskimi usiłowaniami dążne!

Tako pewnie i tak pięknie bądźmyż i my wrogami sobie, przyjaciele moi! Dążmyż bosko wzajem p r z e c i w sobie!

Biada! oto ugryzła mnie tarantula, ma stara nieprzyjaciółka! Z boską pewnością i pięknie ugryzła mnie w palec!

„Kara być musi i sprawiedliwość, myśli tarantula, nie darmo będziesz mi na cześć wróżdy swe pieśni tu głosił!”

Zemściła się przecie! I biada! teraz jej jad zemsty mą duszę o kołowaciznę przypawić gotów!

Ażeby w ów kołowrót nie wpadł, przywiążcie mnie, przyjaciele, do tego słupa! Wolę być raczej świętym u słupa niżli wirem mściwości!

Zaprawdę, zawieruchą ani wichurą Zaratustra nie jest; a jeśli tancerzem bywa, przenigdy być nie chce tarantul tancerzem!

Tako rzecze Zaratustra.

O SŁAWNYCH MĘDRCACH

Ludowi służyliście i ludu przesądom, mędracy wy wszyscy sławni! — n i e zaś prawdzie! I za to właśnie hołdowano wam w pokorze.

I dlatego też cierpiano i waszą niewiarę, gdyż była ona wybiegiem i wykrętem w stronę ludu. Tako pan niewolnikom swoim na niejedno zezwala i raduje się jeszcze ich zuchwalstwu.

Lecz kto przez lud nienawidzony bywa jako wilk przez psy, oto duch wolny, ten wróg pęt, nieczłobitnik ten, ów po lasach mieszkający.

Jego z kryjówek przepędzić — to nazywało się u ludu zawsze „mieć poczucie sprawiedliwości”: przeciw niemu szczał on zawsze swe psy o najostrzejszych zębach.

„Gdyż prawda jest: skoro lud jest przecie! Biada, biada szukającym!” — tak oto rozbrzmiewało z dawien dawna.

Ludowi swemu chcecie wywalczyć słuszność dla jego uwielbień: to było waszą „wołą prawdy”, mędrcomie wy sławni!

A serce wasze mawiało zawsze do siebie: „Z ludu pochodzę, stamtąd też i głos Boga mnie dochodzi”.

Upomi a roztropni, na podobieństwo osła, byliście mi zawsze jako ludu orędownicy.

Zaś niejednen możny, co dobrze z ludem wychodzić pragnął, zaprzęgał przed swe rumaki jeszcze i osiołka — mędrca sławnego.

I oto pragnę, mędracy wy sławni, abyście nareszcie skórę lwa precz z siebie zrzucili!

Futro zwierza drapieżnego barwiste oraz kudły badacza, poszukiwacza, zdobywcy!

Och, ażeby ja w waszą „prawdziwość” uwierzyć miał, musielibyście mi wprzódy skruszyć swoją wolę uwielbiającą.

Prawdziwy — tak oto zwę tego, co w bezbożną pustynię idzie i swe żądne uwielbień serce kruszy.

Z żółtych piasków, spod słonecznej spiekoty spoziera i on wprawdzie, spragniony, w stronę źródłopłynnych ogrójców, gdzie żywe twory pod ciemnymi spoczywają drzewy.

Lecz pragnienie nie skusi go nigdy, ażeby się zrównał z tymi opieszalymi, bo gdzie oazy, tam są i bożyszcz posągi.

Zgłodniałą, przemoc czyniącą, samotną i bezbożną — taką chce się mieć lwia wola.

Wyzbytą ze szczęścia pacholków, wyzwoloną od bogów i bogomolstwa, nieustraszoną i straszliwą, wielką a samotną — taką jest wola prawdziwego.

Na pustyni przebywały z dawien dawna rzetelne duchy wolne, jako pustyni władcy; lecz po miastach mieszkają dobrze odkarmieni mędrzy sławni — zwierzęta pociągowe.

Jakoż zawsze ciągną oni niby osły — l u d u taczkę!

Nie przeto powiadam, abym im za to złorzeczył: wszakże służebnymi i zaprzęgowymi pozostają mi oni mimo wszystko, nawet wówczas, gdy ich uprząż od złota połyskuje.

Dobra to bywała nieraz służba i ceny swej warta. Gdyż tak mówi cnota: „Skoro masz być sługą, szukajże takiego, komu twa służba największą przyniesie korzyść!

Duch i cnota twego pana winny wzrastać przez to, że tyś jest jego sługą: tak oto wzrastasz i sam, wraz z jego duchem i cnotą!”

I zaprawdę, wy sławni mędracowie, wy ludu sługi! Wyście wzrosli ludu duchem i cnotą — a lud przez was wzrastał! Temi słowy godność wam świadczę!

Lecz ludem jesteście mi nawet w cnotach swoich, ludem z głupa-wemi oczy, ludem nie wiedzącym, czym jest duch!

Duch jest życiem, co się sam w życie wrzyna: we własnej męce mnoży on swą wiedzę — czyście wiedzieli już o tem?

Zaś szczęściem ducha jest namaszczone być i uświęconym łzami na zwierzę ofiarne — czyście wiedzieli już o tem?

I ślepotą ślepcy, i jego szukanie, i błąkanie omackiem winny świadczyć o potędze słońca, w które wejrzał — czyście wiedzieli już o tem?

Górami winien poznający uczyć się budować! Zbyt mało to, że r(duch góry z posad porusza — czyście wiedzieli już o tem? Wy znacie zaledwie ducha błyski, lecz nie widzicie kowadła, którym [on zasie jest, oraz okrucieństwa jego młotu!

i Zaprawdę, obca wam jest duma ducha! Lecz tem bardziej nie znie-~~jp~~Ubyście skromności ducha, gdyby ona przemówić zechciała!

I nigdy jeszcze nie wolno wam było rzucić ducha w jamę śniegową: nie jesteście na to dosyć gorący! Przeto obce wam są też jego chłodu oczarowania.

A we wszystkim zbyt poufale obcujecie mi z duchem, a z mądrości czynicie często przytułek i szpital dla złych poetów.

Orłami nie jesteście, przeto nie zaznaliście i szczęścia w przerażeniu [ucha. A kto orłem nie jest, nad przepaściami spoczywać nie powinien.

Jesteście mi letni, lecz zimnym jest prąd głębokiego poznania. Jako ad mroźne bywają najgłębsze studnie ducha: orzeźwienie cudowne dla :oni gorących, czynnych.

Czcigodnie stoicie mi oto tutaj, sztywno i z wyprostowanym kar-Vkiem, mędrzy wy sławni! — was żaden silny wichur i wola silna nie porywa.

Czyście nie widzieli nigdy żagla, jak po morzu sunie: wypuklony, papiery i drżący od niepohamowania wichrowego pędu?

Jako żagiel od niepohamowania ducha, drżąca ponosi się ma mądrość po morzu — dzika ma mądrość!

Lecz wy, ludu sługi, sławni wy mędrzy — jakżeście z d o ł a l i za mną podążyć?

Tako rzecze Zaratustra.

PIEŚŃ PO NOCY

Nastała noc: zagadały głośniejsze wszystkie źródła bijące. I dusza moja jest źródłem bijącym.

Nastała noc: ocknęły się wszystkie pieśni kochających. I dusza moja jest pieśnią kochającego.

Coś nieukojonego, ukoić się nie dającego jest we mnie; i owo głosić się pragnie. Pożądanie miłości jest we mnie; onoć to mową przemawia miłości.

Jam światłem jest; och, gdybymż ja był nocą! Lecz tem jest samotność moja, żem światłem w krąg opasan.

O, bodajżebym ja był ciemnym a ponocnym! Jakżebym ja ssał u piersi światła!

I was błogosławiłbym nawet roziskrzone gwiazd mrowia i łuki świetlne na podniebiu! — a błogosławiąc, uszczęśliwiał ducha waszymi dary świetlnymi.

Lecz ja we własnym świetle żyję, spijam z powrotem te płomienie, co ze mnie buchają.

Nie znam ja szczęścia biorących; i nieraz marzy mi się, iż kradzenie bodajże bardziej jeszcze uszczęśliwiać winno niżli branie.

Tem jest me ubóstwo, że ma dłoń od obdarzania nigdy nie wypoczywa; tem jest ma zawiść, że wyczekujące widzę oczy i rozjaśnione noce tęsknoty.

O niedolo wszystkich obdarzających! O przyćmienie słońca mego! O upragnienie pożądania! O głodzie trawiący w sytości!

Biorą wprawdzie ode mnie, lecz czy poruszam ja też ich dusze? Rozłam jest między dawaniem a braniem, a najmniejszy rozłam przekroczyć bywa najtrudniej.

Głód wyrasta z mego piękna: ból radbym sprawiać tym, komu świecę, zrabować pragnąłbym swoich obdarzonych — tak oto łaknę złośliwości.

Radbym cofał rękę w chwili, gdy się ku niej cudza dłoń już wyciąga; ociągając się jako w dół lecąca kaskada, co się w spadzie swoim wciąż jeszcze ociąga — tak oto łaknę złośliwości.

Taką zemstę wydumała ma pełnia; taka przebiegłość wyłania się z mej samotności.

Me szczęście obdarzania zmarło w obdarowywaniu, umęczyła się sobą ma cnota w nadmiarze własnym!

Kto zawsze obdarza, niebezpieczeństwo mu grozi, iż wstyd zatraci; kto zawsze rozdaje, tego dłoń i serce mają twarde odciski od ustawicznego rozdawania.

Nie zwilża się już me oko wobec wstydu proszących; ręka moja stała się zbyt twarda na drzenie wypełnionych dłoni.

Skądże ta łza na mem oku i to serca zmiękczenie nagłe? O samotności wszystkich obdarzających! O niemowna skrytości wszystkich świecących!

Wiele słońc krąży w pustej przestrzeni: do wszystkiego, co ciemne, przemawiają one swem światłem — mnie nic one nie mówią. : O, taka jest wróżda światła względem wszystkiego, co świeci: bezlitośnie krąży ono swemi drogi.

Niesprawiedliwe w głębi serca względem wszystkiego, co świeci, .e dla słońc innych — tak oto krąży każde słońce.

Jako nawałnica ponoszą się słońca drogi swemi, i tem jest ich krążenie. Nieubłaganej woli swej ulegają one, i tem jest ich chłód.

O, wy to wszak, ciemni i ponocni, wytwarzacie dopiero ciepło ze wszystkiego, co świeci! O, wy to wszak spijacie dopiero mleko i błogie nektary z wymion światła!

Och, lód jest naokół mnie, dłoń moją lodowate parzą dotknięcia! Och, pragnienie mi dolega, a łaknie ono waszego pragnienia!

Nastala noc: och, że też światłem ja być muszę! I pragnieniem pragnień ponocnych! I samotnością!

Nastala noc: i oto wytryskiem krynicy zrywa się we mnie pożądanie me — przemawiać pragnę.

Nastala noc: zagadały głośniejsze wszystkie źródła bijące. I dusza moja jest źródłem bijącym.

Nastala noc: ocknęły się wszystkie pieśni kochanków. I dusza moja jest pieśnią kochanka.

Tako rzecze Zaratustra.

PIEŚŃ TANECZNA

Pewnego wieczoru szedł Zaratustra wraz z uczniami przez las, a gdy zboczył z drogi w poszukiwaniu źródła, ujrzał się nagle na zielonej polanie, otoczonej zacisznie drzewami i zarośla. Na murawie tańczyły dziewczęta, lecz skoro tylko spostrzegły Zaratustrę, zaniechały tańca. Zaratustra wszakże zbliżył się do nich przyjaźnie i rzekł w te słowa:

— Nie przerywajcież sobie tańca, miłe dziewczęta! Nie zbliża się ku wam psowacz zabawy o złem spojrzeniu ani też dziewcząt wróg.

Jam jest Boga obrońcą przed dyabłem: ten zasię jest duchem ociążałości. Jakżebym ja, o lekkie, mógł być wrogiem boskich tańców? Lub też nóżek dziewczęcych o pięknych kostkach?

Lasem wprawdzie jestem i nocą drzew ciemnych, lecz kto się ciemni mej nie trwoży, znajdzie i girlandy róż pod mymi cyprysami.

Znajdzie również i tego boga małego, który dziewczętom jest najdroższy: przy źródle spoczął on cicho z zamkniętymi oczyma.

Zaprawdę, wśród jasnego dnia zasnął mi nicpoń! Czyżby za motylami zbyt się uganiał?

Nie dąsajcież się na mnie, piękne tanecznice, jeśli skarcę nieco małego boga! Krzyżeć pewno będzie i płakać, lecz śmiechu wart on i wtedy nawet, gdy płacze!

Ze łzami w oczach winien was w tan prosić; zaś wam do tańca ja sam zaśpiewam.

Pieśń taneczną i naigrawającą się z boga ociężałości, mego prze-najwyższego, wielce potężnego dyabła, o którym powiadają, jakoby był „panem świata”.

Taka jest pieśń, którą zaśpiewał Zaratustra, gdy Kupido z dziewczętami tańcowali razem:

I W oczyma twoimi spojrziałem niedawno, o życie! I w bezdeń, zda mi się, spadłem.

Lecz ty wyciągnęłaś mnie złotą swą wędką, śmiejąc się drwiąco tego, że cię zwał bezdenem.

„Taka jest mowa wszystkich ryb — rzekłaś — czego o n e nie jębią, jest bezdenne.

A ja jestem tylko zmienna, dzika, i we wszystkim kobieta, i bynaj-lej nie cnotliwa.

Aczkolwiek pośród was, mężczyzn, uchodzę za »głęboką«, »wierną« .»tajemniczą«.

Lecz wy, mężczyźni, obdarzacie nas zawsze własnymi cnoty — wy cnotliwcy!”

I tak oto śmiała się, niepojęta; lecz ja nie dowierzam ani jej, ani jej śmiechowi, ilekroć źle o sobie mówi.

A gdy raz z swą dziką mądrością sam na sam o niej rozmawiał, Iparła mi gniewnie: „Ty pragniesz, ty pożadasz, ty kochasz i dlatego o c h w a l i s z życie!” Omalże w złość nie wpadłem i nie powiedziałem prawdy nadąsanej; nie można złośliwiej odpowiedzieć, niż kiedy się własnej prawdzie raz prawdę w oczyma powie”.

Między nas trojgiem tak oto *rzeczy* stoją: z głębi serca kocham r f k o życie — i, zaprawdę, najbardziej wówczas, kiedy go nienawidzę! Że zaś jestem skłonny i mądrości, często zbyt nawet skłonny, dzieje ę to dlatego, że tak bardzo przypomina mi ona życie!

Ma ona jej oczyma, jej uśmiech, a nawet jej złotą wędkę czarownicą — cóżem ja winien, że one obie tak bardzo są do siebie podobne!

A gdy mnie raz zagadnęło życie: „Któż to jest ta twoja mądrość?”, Odpowiedziałem czym prędzej: „Ach! mądrość!”

i Pragnie się jej, lecz się nigdy nią nie nasycy; widzi się przez zasłony, Sfhwyta przez sieci.

Czy jest piękna? Alboż ja wiem! Lecz najstarsze karpie brano na przynętę.

Jest zmienna i uparta; nieraz widziałem, że gryzła wargi lub wiodła zebień pod włos.

Może jest złą, fałszywą i zgola kobietą, lecz gdy o sobie źle mówi, wówczas nęci najbardziej”.

Gdy to życiu powiedział, roześmiało się złośliwie i przymrużyło oczyma. „O kimże ty to mówisz? Czy nie o mnie czasem?”

A gdybyś nawet miał słuszność, to czyż t a k i e *rzeczy* mówi się prosto w oczyma? No, ale teraz mówże wreszcie i o swojej mądrości!”

Och, i znowuż oczyma swe rozchyliło, o życie ukochane! I w otchłań bezdenną, zda się, znowuż zapadłem.

Tako śpiewał Zaratustra. Lecz gdy taniec się skończył i dziewczęta się rozeszły, nawiedził go smutek.

— Słońce dawno już zaszło — rzekł wreszcie — rosną stała się łąka, a z lasów chłodem powiało.

Coś nieznanego jest wkoło mnie i spoziera w zadumie. Jak to? Więc ty żyjesz jeszcze, Zaratustro?

Dlaczego? Po co? Przez co? Dokąd? Gdzie? Jak? Czyż to nie szaleństwo żyć jeszcze?

Och, przyjaciele moi, wieczór to we mnie tak smutnie pyta. Wybaczcież mi to zaspienie!

Wieczór nastał: wybaczcież mi, że wieczór nastał!

Tako rzecze Zaratustra.

PIEŚŃ GROBOWA

„Tam wyspa grobów leży milcząca, na niej są też i groby młodości mej. Nie wędnący wieniec życia zaniosę ja tam”.

Co postanowiwszy w sercu swoim, przeprowiłem się przez morze.

O wy, młodości mojej oblicza i zjawy! O wy, wejrzenia miłości, o boskie wy mgnienia! Jakżeście rychło mi pomarli! I oto wspominam was jako nieboszczyków swoich.

Od was to, najdrożsi zmarli, bije ku mnie błoga woń, co serce i łzy zniewala. Zaprawdę, wstrząsa ona do głębi i zniewala serce samotnego żeglarza.

Otom jest wciąż jeszcze najbogatszy i najbardziej zazdrości godny ja, najbardziej samotny! Gdyż ja m i a ł e m was przecie, zasię wy jnacie mnie jeszcze; powiedzcież, komu padły, jako mnie, takie jabłka różane z drzewa?

Otom jest wciąż jeszcze waszej miłości dziedzicem i światem jej całym, ku waszej pamięci kwitnący w barwiste, dziko wzrosłe cnoty, o wy serdecznie umiłowani!

O, wszak my stworzeni byliśmy do bliskiego współżycia, wy miłe, dziwne cuda; bo nie jako ptactwo płochliwe zbliżacie się ku mnie i ku mojej żądzy — szliście, jako idą żałobnicy ku żałobnikowi!

Ku wierności niezłomnej stworzeni byliście jako i ja, i ku tkliwym wiecznościom: mamże was teraz wedle sprzeniewierzeń waszych zwać, boskie wy wejrzenia i mgnienia? Otom nie nauczył się jeszcze innych dla was imion.

Zaprawdę, za wcześniej pomarliście mi, zbiegowie pierzchliwi. Wszakże ani wy odbieglście mnie, anim ja was nie opuścił: bez winy jesteśmy wobec siebie w sprzeniewierzeniu swoim.

Aby m n i e zabić, duszono was, ptaki śpiewające mej nadziei! Ku wam, umiłowaniu memu, padała zawsze strzała złośliwości, aby w me serce trafić!

I trafiała przecie! Wyście to wszak byli zawsze mego serca miąszą, władaniem i obezwładnieniem mojem: d l a t e g o t e ż umrzeć musieliście za młodu i nazbyt wcześniej!

W coś najboleśniej wrażliwego ze wszystkiego, com posiadał, miotano strzały: wyście to byli, wy, których naskórek jest jako puch wrażliwy lub jak ów uśmiech, co od jednego spojrzenia zamiera!

Lecz to słowo chcę wrogom swoim rzec: czemże są wszystkie morderstwa ludzkie wobec tego, coście mnie uczynili! ;, Rzecz gorszą uczyniliście mi niżli wszystkie morderstwa ludzkie; [t2ecz niepowetowaną odebraliście mi — wam to mówię, wrogowie moi!

Zamordowaliście mi mej młodości oblicza i umiłowane cuda! Rówieśników dziecięctwa odebraliście mi, te błogiej pamięci duchy! Im ku pamięci składam ten wieniec i klątwę tę.

Tę klątwę na wasze głowy, wrogowie moi! Wyście to wszak uczynili mą „wieczność” kruchą jako glina, co pęka w mroźną noc! Zaledwie jako olśnienie boskich oczu nawiedziło mnie ono — jako oka mgnienie!

Temi słowy mówiła raz w dobrą godzinę ma czystość: „Boskiemi niechaj mi będą wszystkie istoty”.

Wówczas opadliście mnie brudnymi upiory; och, dokądże pierzchła owa dobra godzina!

„Dnie wszystkie niech mi uświęcone będą” — mawiała niegdyś mądrość mej młodości; zaprawdę radosnej mądrości to mowa!

Lecz wówczas ukradliście mi, wrogowie, me noce, aby je zaprzedać męce bezsennej; och, dokądże pierzchła owa mądrość radosna?

Pożądliwie wyglądałem niegdyś z ptasich polotów znaków szczęścia na niebie wróżebnych: wówczas wywiedliście mi w poprzek drogi potwora — sowę ohydną. Och, dokądże pierzchło me tkliwe pragnienie?

Ślubowałem niegdyś wyrzec się wszelkiego wstrętu: i oto zamieniliście mych bliskich i najbliższych we wrzody ropne. Och, gdzież się podziała najszlachetniejsza ma obiata?

Jako ślepiec szedłem niegdyś błogostawionemi drogi: wówczas rzucaliście plugastwa ślepemu na drogę: i oto obmierzył sobie stare ścieżki ślepca.

A gdym najcięższą rzecz czynił i swych przemożeń zwycięstwa święcił, działaliście tako, iż ci, których miłowałem, zawodzić jęli, iż im to sprawiam ja ból najdokuczliwszy.

Zaprawdę, takimi były zawsze działywania wasze: zatruliście mi żółcią me najlepsze miody i pilność mych pszczoł naj skrzętniej szych.

Memu miłosierdziu nasyłaliście zawsze najbezczelniejszych żebraków; wokół mej litości czyniliście zawsze natłok nieuleczalnie bezwstydných. I tako okaleczyliście mą cnotę na jej własnej wierze.

A gdym swą największą świętość na ofiarę złożył, wasza „pobożność” dołożyła czem prędzej swych tłustych datków: tak, że w wyparach waszych tłuszczu zdusiła się ma żertwa najświętsza.

I zatańczyć chciałem niegdyś, jakom nigdy jeszcze nie tańcował: poprzez wszystkie nieba w tan pójść chciałem. Wówczas podmówiliście najdroższego mi śpiewaka.

I oto wszczął pieśń ohydną, zahuczała mi ona w uszach jako głuchy róg!

Śpiewaku morderczy! złośliwości narzędzie! ty najniewinniejszy! Otom stał już w pogotowiu do najlepszego tańca: zamordowałaś nutą swoją me zachwytiliwe natchnienie!

W tańcu tylko wypowiadać potrafię najwyższych rzeczy przenośnie — i oto ma najwyższa nadzieja utkwiała nie wypowiedziana w członkach mych!

Nie wypowiedziana i nie wyzwolona pozostała ma najwyższa nadzieja! A zmarły mi wszystkie oblicza i ukojenia młodości!

Jakżem ja to zniósł? Jakżem przeboleł i zmógł takie dopuszczenia? Jakże powstała ma dusza z tych grobów?

Jest we mnie coś nierannego, co się pogrześć nie da, a skały kruszyć zdolne — zwie się to mą wola. Milcząc kroczy ona niezmienna przez lata.

W swoim pochodzie na moich nogach kroczyć ona pragnie, wola ma stara; hartownego jest ona ducha i nierannej siły.

Nieranny jestem jedynie na pięcie swojej. Wciąż żyjesz ty mi jeszcze, ma wolo, i zawsze mi jednaka — ty przenajcierplivsza! Zawszeć przebijałaś mi się poprzez wszystkie groby!

W tobie żywię jeszcze wszystko dotychczas nie wyzwolone z mej młodości; jako młodość i życie siedzisz, nadziei pełna, na żółtych grobów rumowiskach.

Jeszcze ty mi jest wszystkich grobów burzycielką; chwała ci, ma wolo! A gdzie groby, tam tylko bywają zmartwychpowstania.

Tako rzecze Zaratustra.

O PRZEZWYCIEŻENIU SAMEGO SIEBIE

„Wola prawdy” zwiecie wszak, wy najmędrsi, to, co was zapałem i gorliwością darzy?

Wola wyrozumienia wszelkiego bytu: tak oto mianuję wola waszą!

Wszelki byt chcecie u c z y n i ć dającym się pomyśleć, gdyż wątpicie dobrem niedowierzaniem, zali on da się już pomyśleć.

Lecz musi się on nakłonić i nagiąć! Tak chce wola wasza. Wygładzić się on musi i stać się duchowi uległy jako jego zwierciadło i obraz lustrzany.

Tem jest wola wasza cała jako wola mocy; i nawet wówczas, gdy 1,0 złem i dobrem mówicie oraz o nadawaniu wartości. Stworzyć chcecie dopiero świat, przed którym byście ulęknąć mogli: tem jest wasza ostatnia nadzieja i upojenie ostatnie.

Nieuczni oczywiście, lud — ci są jako rzeka, po której łódź się niesie: w łodzi zaś siedzą uroczyste i zakapturzone wyobrażenia wartości.

Waszą wolę i wasze wartości rzucacie na rzekę stawania się; starą wolę mocy znamionuje mi to, w co lud, jako w zło i dobro, wierzy.

Wyście to byli, wy najmądrzejsi, którzy tych gości w łodzi umieścili, nadawszy im świetność oraz dumne imiona — wy oraz wola wasza władna!

Rzeka dalej łódź waszą unosi: unosić ją musi. Nic to, że się rozbita fala pieni i gniewnie statkowi przeciwi!

Nie rzeka jest waszym niebezpieczeństwem i końcem waszego zła i dobra, wy najmędrsi, lecz własna wola wasza, wola mocy — niewyczerpana, twórcza wola życia.

Lecz abyście pojęli me słowo o dobru i złu, chcę wam ku temu me słowo o życiu rzec oraz o przyrodzeniu wszystkiego, co żyje.

W ślady żyjącego szedłem, chadzałem wielkimi i małymi drogi, abym jego przyrodzenie poznał.

Stokrotnymi zwierciadły łowiłem jego spojrzenie, wondrous gdy usta miał zamknięte: aby mi oko jego mówiło. I mawiało do mnie oko jego.

Lecz gdzie żywe znalazłem istoty, tam też słyszałem i mowę o posłuszeństwie. Wszystko, co żyje, jest posłuszne.

A to jest rzeczą wtóra: rozkazuję temu, kto samemu sobie ulegać nie zdoła. Takie jest przyrodzenie wszystkiego, co żywię.

Zaś to jest rzecz trzecia, którą zasłyszałem: iż rozkazywanie cięższe jest niżli uleganie. I nie przeto tylko, iż rozkazujący bierze na się brzemień wszystkich posłusznych, i że go to brzemień łatwo zmiażdżyć może.

Próbą i wazaniem się zuchwałem wydawało mi się zawsze rozkazywanie; ilekroć kto żywy rozkazywał, zawsze swe istnienie ważył on zuchwale.

I wówczas nawet, gdy samemu sobie rozkazywał: i wtedy jeszcze odpokutować musiał swe rozkazywanie. Własnego prawa stać się musi sędzią, mścicielem i ofiarą.

Jakże się to dzieje! — pytałem się nieraz. Któż to zdoła nakłonić wszystko, co żyje, aby ulegało, rozkazywało i, rozkazując nawet, posłuszeństwo świadczyło?

— Baczcież mi na to słowo moje, wy najmędrsi! Zgłębcież poważnie, załim ja życiu w serce nie wpełznął, w najskrytsze tego serca kryjówki! Gdzie żywe istoty znalazł, tamem też znajdował wolę mocy; i na-: w woli służebnych znajdowałem wolę panowania. Aby silniejszemu słabsze służyło, ku temu podmawia własna wola iląbszego, która jeszcze wątlejszego panem w zamian być pragnie; bez ;j jedynie rozkoszy obejść się ono nie może.

I jako się małe większemu oddaje, w zamian za rozkosz przewagi nad najmniejszym, tak też oddaje się i największe, poświęcając, kwoli życie własne.

Tem jest poświęcanie się największego, iż ono jest zuchwałem pokuszeniem i niebezpieczeństwem, grą w kości o cenę śmierci.

I gdzie jest ofiarność, usłużność i wejrzenia miłosne, tam też wola panowania. Na krętych ścieżkach wkrada się tu słabszy w warownię i serce potężniejszego i wykrada przemoc.

I z tej tajemnicy zwierzyło mi się życie samo: „Patrz, jam jest tem, ;Co się zawsze samo pokonywać musi.

Aliści zwiecie wy to wolą tworzenia, popędem ku celowi, ku czemuż wyższemu, odległemu, wielorakiemu: wszakże wszystko to jednym jest tylko i jedną tajemnicą.

Raczej zaniknę, niżli się tego jednego wyrzeknę; i zaprawdę, gdzie bywa zanik i liści opadanie, spojrzj! tam oto życie w ofierze się daje — w zamian za moc!

Iż walką być muszę i stawaniem się, i celem, i wielu celi sprzecznością: och, kto wolę moją odgadnie, odgadnie zarazem, jak k r ę t e m i drogi chadzać ja muszę!

Cokolwiek stwarzam i jakkolwiek to umiłuje, wnet przeciwnikiem stawać się muszę tworowi swemu i miłości swej: tak chce ma wola.

I nawet, ty poznający, jesteś tylko ścieżką i miedzą mojej woli: zaprawdę, ma wola potęgi chadza na nogach twej woli prawdy!

Aliści prawdy nie utrafił, kto za nią strzelił słowami »wola istnie-nia«: takiej woli nie masz!

Jakowoż: czego nie ma, to chcieć nie może; zaś co w istnieniu już jest, jakżeby to mogło do tego istnienia chęcią się jeszcze wyrwać!

Tam tylko gdzie życie, tam jest i wola: wszakże nie wola życia, >lecz — tak oto ucę ciebie — wola mocy!

Niejedno ceni sobie żyjący wyżej ponad własne życie, lecz nawet i z tejsze oceny przemawia wola mocy!"

Tak oto pouczało mnie niegdyś życie, a z tego pouczenia wyłuszczyć ja wam, najmędrsi, jeszcze i zagadkę serc waszych.

Zaprawdę, powiadam ja wam: zło i dobro, które by nieprzemijające być miało — tego nie masz! Ze zła i dobra wyrastać muszą ich pokonania.

Waszemi wartości i słowy o złem i dobrem czynicie przemoc, wy twórcy wartości: i tem jest wasza ukryta miłość i dusz waszych blaski, drżenia i rozlewność.

Lecz silniejsza jeszcze przemoc wyrasta z wartości waszych i nowe przewycięzenie: na niej kruszy się jaje i skorupa.

A kto twórcą być musi w złem i dobrem: zaprawdę, burzycielem być on wprzódy musi i winien kruszyć wartości.

I tak oto nieodłączne jest najwyższe zło od najwyższej dobroci: ta jednak jest twórcza.

Mówmy wszakże o tem, wy najmędrsi, aczkolwiek i to jest zgubne. Milczenie jest gorsze; wszystkie przemilczane prawdy stają się jadowne.

I niechże się wszystko pokruszy, co w prawdach naszych pokruszyć się może! Niejeden dom zbudować nam jeszcze należy!

Tako rzecze Zaratustra.

O LUDZIACH WZNIOSŁYCH

Ciche jest dno mego morza: któż by odgadł, że kryją się na nim kapryśne potwory!

Nieporuszona jest ma głębia, jednakże lśni się ona od pływających zagadek i uśmiechów.

Wzniosłego widziałem dziś, uroczystego, pokutnika ducha: o, jakże śmiała się ma dusza z jego brzydoty!

O piersi wzdętej jako ów, co oddech w sobie zaparł: tak oto stał tutaj wzniosły i milczący.

Obwieszony szpetnemi prawdy, tym łupem łowów swoich, w potargane szaty zasobny; wiele też i cierni na nim widziałem — wszakże róży jeszcze nie dostrzegłem.

Nie nauczył się on jeszcze śmiechu i piękna jeszcze nie pojął. Ponury powrócił ten łowca z lasu poznania.

Powrócił on z walki z dzikimi zwierzęty, lecz z jego powagi wyziera jeszcze dzikie zwierzę — nieprzewyciężone!

Oto stoi on tu jako tygrys, gotów do skoku; nie znoszę ja jednak tych napiętych dusz, nie do gustu są mi ci wszyscy powściągliwi!

Powiadacie mi, przyjaciele, że o gusty i smaki spierać się niepodobna? Ależ wszelkie życie jest waśnią o gusty i smaki!

Smak: to jest waga zarazem i ciężarki, i ważący; a biada żyjącemu, który by żyć zechciał bez waśni o wagę, ciężarki i ważących!

Bodajżeby się on znużył swą wzniosłością, ów wzniosły; wówczas dopiero jego piękno wznosić się pocznie — wtedy go skosztuję i zasmakuję w nim.

I wówczas dopiero, kiedy się od siebie odwróci, przeskoczy on swój cień własny — i zaprawdę! we własne skoczy on słońce.

Zbyt długo w cieniu siedział, wyblakły lica pokutnikowi ducha; nieomalże się nie zagłodził oczekiwaniem swemi.

Wzgarda kryje się jeszcze w jego oku, a wstręt okala usta jego. Spoczywa wprawdzie teraz, lecz jego spokój nie ułożył się jeszcze w słońcu.

Jako byk czynić powinien; a szczęście jego ziemią pachnieć powinno, nie zaś wzgardą ziemi.

; Jako białego byka widzieć bym go pragnął, gdy parszkając i rycząc, lemiesz wiedzie, a ryk jego powinien wszystko, co ziemskie, sławić!

Ciemne jest jeszcze jego oblicze; cień dłoni błąka się po niem. Ocienionym jest jeszcze zmysł oka jego.

Czyn jego jest jeszcze cieniem na nim samym: dłoń zaćmiewa działacza. Jeszcze czynu swego on nie przewyciężył.

Lubię ja wprawdzie jego kark byka: chcę jednak i oczy anioła w nim ujrzeć.

I swej woli bohaterskiej oduczyc się jeszcze musi; wyniesionym być mi powinien, a nie wzniosłym: sam eter winien go unosić — bezwolnego.

Poskramiał potwory, rozwiązywał zagadki, lecz wyzwolić winien on jeszcze nawet i swoje potwory oraz zagadki, niebiańskimi dziećmi uczynić je winien.

Jeszcze się jego poznanie śmiać nie nauczyło i bez zawiści być; jeszcze się jego rwąca namiętność nie ukojła w pięknie.

Zaprawdę, nie w sytości winno zamilknąć i zatonać jego pożądanie, lecz w pięknie! Wdzięk jest we wspańiałomyślności wielkodusznego.

Ramię założywszy ponad głowę — tak oto wypoczywać powinien bohater, tako winien przemagać i wypoczynek nawet.

Lecz właśnie dla bohatera piękno jest rzeczą najtrudniejszą. Niedościgłe jest piękno dla wszelkiej woli gwałtownej.

Nieco mniej, nieco więcej: to właśnie stanowi tu wiele, jest niemal wszystkim.

O zwiotczałych mięśniach stać i o wyprężniętej woli: to jest dla was wszystkich rzecz najcięższa, wy wzniośli!

Gdy się moc łaskawą staje i zniżyć raczy ku widoczności, pięknem mianują zniżście takie.

Od nikogo tak piękna nie pragnę, jak od ciebie, ty potężny; dobroć twa winna być twem ostatniem pokonaniem samego siebie.

Posądzam cię o zdolność do wszelkiego złego: przeto właśnie chcę dobra od ciebie!

Zaprawdę, śmiałem się nieraz z tej słabizny, co się za dobrą uważa, ponieważ ma wątle łapy!

Cnotę kolumny naśladować winieneś: w miarę jak wzwyż sięga, staje się ona piękniejszą i coraz to bardziej smukłą, a wewnątrz coraz to twardszą i wytrzymałą.

Pięknym stać mi się jeszcze winieneś, ty wzniosły, a pięknu własnemu zwierciadło w pogotowiu trzymać.

Wówczas dusza twoja boskimi zapłonie pożądaniem, a uwielbienie będzie nawet i w twej próżności!
 Gdyż to jest tajemnicą duszy: wprzódy bohater opuścić ją musi, zanim nawiedzi ją w marzeniu — nadbohater.
 Tako rzecze Zararustra.

Z KRAINY OŚWIATY

Za daleko wybiegłem w przyszłość: dreszcz zgrozy mnie przejął.
 Bo kiedym się obejrzał, oto czas tylko był jedynym moim współczesnikiem!
 Pierzchnąłem czem prędzej wstecz, w czasy ojczyste i z coraz to większym pośpiechem: takem do was trafił, współcześni moi, w krainę oświaty.
 Po raz pierwszy przyniosłem ze sobą oczy skłonne i szczere pożądanie: zaprawdę, z tęsknotą w sercu przybyłem między was.
 Lecz cóż się ze mną stało? Choć trwożę czuję, śmiać się muszę! przenigdy oczy moje nie widziały takiej pstrokaczyny! Śmiałem się, wciąż się śmiałem, choć nogi mi jeszcze drżały, choć serce się zżymało. „Ależ to jest ojczyzna garnków z farbami!” — rzekłem do siebie.
 Pięćdziesięcioma kleksami pomazani na twarzy i członkach: takimi ujrzałem was ze szczerem zdumieniem, współcześni moi!
 I pięćdziesiąt luster wokół was, co te pstre plamy powtarzają bez końca i schlebiają wam niemi!
 Dalibóg, lepszych byście masek nie mogli znaleźć, moi współcześni, nad własne swe twarze! I któż by mógł was poznać!
 Zapisani od góry do dołu znakami przeszłości, zaś te znaki zasma-rowane nowymi znakami: takeście się znakomicie ukryli przed wszystkimi, co znaki tłumaczyć umieją!
 I choćby się było badaczem nerek, któż by uwierzył, że wy nerki posiadacie! Z farb was upieczono i ze sklejonych świstków.
 Wszystkie czasy i ludy wyzierają pstro spoza waszych zasłon; wszystkie obyczaje i wiary wołają natrętnie z gestów waszych.
 'A gdyby kto z was wyzywał się swych zasłon, zawoi, barw swych i gestów swoich, pozostałoby właśnie dość, aby straszyć ptaki tą pozostałością.
 Zaprawdę, sam jestem takim wystraszonym ptakiem, co niegdyś nago was ujrzał i bez farby, uciekałem w popłochu, gdy ten kościotrup miłośnie mnie przyzywał.
 Wolałbym raczej być wyrobnikiem w jakimś dawnym piekle u cie-iów! Pełniejsi, jędrniejsi od was byli z pewnością nawet ci podziemcy!

To, tak, to jest goryczą trzewi moich, że — nagich czy odzianych — znieść was nie mogę, współcześni moi!
 Cała tajemnicza groza przyszłości i to wszystko, co kiedykolwiek trwożyło ptaki zabłąkane w polotach, jest stokroć pewniejsze, przytulne niemal, w porównaniu z tą waszą „rzeczywistością!”
 A gdy mówicie: „Jesteśmy rzeczywiści, na wskroś prawdziwi, bez wiary i bez przesądów”, wydymacie chępliwie piersi — ach, piersi nawet nie mając!
 Jakżebyście wy mogli wierzyć, wy pstrokaczną wszelaką zbryzgani! — wy, co jesteście malowanymi obrazami wszystkiego, w co kiedykolwiek wierzone!
 Jesteście żywym zaprzeczeniem samej wiary i torturowem kołem dla wszelkich myśli. Nie wiarogodni! tako zwę was, wy rzeczywiści!
 Wszystkie czasy swarzą się kłótnie w waszych duchach; a wszystkich czasów sny i gawędy były stokroć prawdziwsze od waszych rzeczywistości!
 Bezpłodni jesteście: dlatego wiary wam brak. Kto tworzyć musiał, ten miewał zawsze swe sny prawdziwe i znaki gwiazdne na swoim niebie — on wierzył w wiarę!
 Jesteście na pół uchylonymi wrotami, u których czuwają grabarze. I to jest wam rzeczywistością: „Wszystko wokół jest godne, aby niszczało”.
 O, gdy tak na was patrzę, wy jałowi, na tę nędzę żeber waszych! A niejednen z was wejrzał zapewne nieraz już na tę nędzę swoją.
 I rzekł do siebie: „Czy jakiś bóg nie zabrał mi czegoś tajemnie podczas snu mego? Zaprawdę, dość, aby sobie z tego ulepić samiczkę!
 Przedziwne jest ubóstwo żeber moich!” — tak mawiał zapewne niejednen ze współczesnych.
 O, pośmiewiskiem jesteście mi, współcześni moi! I osobliwie, gdy samym sobie się dziwujecie!

!^ biada mi, gdybym śmiać się nie umiał z waszych zdumień nad sobą, gdybym wszelką obrzydliwość z czar waszych wypijać musiał!

Lecz oto lżej was brać muszę, bo mam r z e c z c i ęż k ą do dźwigania. Krzywdy mi nie czynią żuki i robactwo skrzydlate, gdy na mym węzélku osiadą!

Zaprawdę, nie zaciąją mi one w pochodzie moim! I nie przez was, współcześni moi, ogarnie mnie zmęczenie wielkie.

O, dokądże dążyć mi jeszcze, dokąd się wspinać z tęsknotą swoją! 2 gór wszystkich, ze szczytów wszelkich spozieram na ziemię ojczyste j macierzyste.

Ale ojczyzny nie znalazłem nigdzie. Przechodniem jestem w każdym ^mieście* tułaczem pod każdą bramą.

Obcy mi są i .godni pośmiewiska współcześni, do których niedawno „jeszcze rwało się serce! I oto wygnany jestem z ziem ojczystych i ma-
— eizystych.

I kocham jeszcze tylko ziemię d z i e c i s w o i c h, tę nie odkrytą, na wielkich rozłogach mórz dalekich. Tej ziemi, tej krainy nakażę żaglom swoim szukać i szukać bez końca.

Na dzieciach swoich chcę naprawić to, zem jest dzieckiem ojców swych: na wszelkiej przyszłości — t a k ą terażniejszość!

Tako rzecze Zaratustra.

O NIEPOKALANEM POZNANIU

Wczoraj gdy księżyc wschodził, mniemałem, że chyba słońce po-3zi: tak szeroko i brzemienne zaległ on na widnokręgu. Lecz kłamcą był on wraz ze swoją brzemiennością i zaś ja raczej owego chłopca na księżycu gotów jestem uwierzyć niżli w kobietę. Oczywiście, niewiele z męża jest, w tym płochliwym łąędzie nocni. Zaprawdę, z nieczystym sumieniem snuje on się po dachach. Jako że lubieżny i zazdrosny jest ów mnich w księżycu, tuzy za aemią i za wszystkimi uciechami kochanków.

Nie! znieść ja nie mogę tego koczura na dachach! Wstręt budzą we mnie ci wszyscy, co wokół odchylonych okiennic szwendają się po nocach!

Pobożnie i milcząco sunie oto księżyc po gwiazdnym dywanie — nie cierpię jednak cicho stąpających męskich nóg, przy których ostroga Je szczęka.

Krok rzetelnego głosi się; kot wszakże pomyka ponad ziemią. Patrz, kocieciem pomykaniem zbliża się oto księżyc, zbliża się nierzetelnie.

Tę przypowieść daję wam, tkliwe obłudniki „czystego poznania"! Was to zwę — lubieżnikami!

I wy kochacie ziemię oraz wszystko, co ziemskie: przejrzałem ja was przecie! — lecz wstyd jest w tej waszej miłości i nieczyste jest jej sumienie — jesteście mi jako księżyc!

Ku wzdargzie rzeczy ziemskich podmówiono ducha waszego, lecz nie trzewia wasze: one jednak potężniejszymi w was są!

I oto sroma się duch wasz, iż trzewiom powolnym być musi i ze wstydu bocznymi skrada się ścieżki i kłamliwymi drogi.

„To by było dla mnie najszczytniejsze — mawia do siebie zakłamanym duch — móc spoglądać na życie bez pożądania, a nie jako pies z wywieszonym językiem.

„Szczęśliwym się czuć w przypatrywaniu, z obumarłą spozierać wolą, bez zachwyty i żądry samolubstwa — zimny, spopielyony na całym ciele, lecz z pijanymi księżycowemi oczy!

„To by było dla mnie najmiłsze — zwodzi siebie zwiedziony — ukochać ziemię, jako księżyc ją kocha, i tylko oczyma dotykać jej piękna.

I niech mi będzie rzeczy wszelkich n i e p o k a l a n e m poznaniem, iż niczego od nich nie pożadam, oprócz możności spoczywania przed niemi jako zwierciadło o stu źrenicach".

O, wy, tkliwe obłudniki, wy, lubieżni! Brak wam niewinności pożądania: oto dłaczego spotwarzacie pożądanie!

Zaprawdę, niejako tworzący, płodzący, stawający się ochotnie, ukochaliście mi ziemię!

Gdzież jest niewinność? Tam, gdzie jest wola płodzenia. Kto ponad siebie tworzyć pragnie, ten ma mi wolę najczystsza.

Gdzież jest piękno? Tam, gdzie całą wolą chcieć muszę, gdzie kochać i zginać pragnę, aby obraz nie tylko obrazem pozostał.

Kochać i zginać: od wieków idzie to w parze. Wola miłości — znaczy to być powolnym i śmierci wezwaniu. Wam to mówię, tchórze!

Lecz to wasze niemieckie zezowanie ma się zwać „rozpamiętywaniem"! A co się tchórzliwemi oczyma omacać pozwala, ochrzczone ma być jako „piękno"! O, wy, brudzicie imion szlachetnych!

Lecz to niechaj klątwą waszą będzie, wy, niepokalani, czystego po-znania hołdownicy, iż nigdy rodzić nie będziecie: chociażbyście nie . wiem jak szeroko i brzemienne zalegli na widnokręgu!

Zaprawdę, pełne są usta wasze słów szlachetnych, a my wierzyć mamy, iż wam, igarze, serce tak wezbrało?

; Lecz słowa moje, to słowa Uche, wzgardzone, ułomne; chętnie podejmuję, co z ust waszych pod stoły padło.

Aliści zdołam ja niemi jeszcze — wam, obłudnicy, prawdę w oczy rzec! O tak, te ości moje, małżowiny i liście kolczaste — jeszcze one wam, obłudnicy, nosy połączą!

Złe powietrze jest zawsze wokół was i wokół uczt waszych: wasze myśli lubieżne, wasze kłamstwa i skrytości obciążają powietrze!

Odważcie się wreszcie samym sobie zaufać — sobie i trzewiom własnym! Kto sobie nie ufa, kłamie zawsze.

Boga maskę zawieszacie przed własnym obliczeni, wy, „czyści": w larwę Boga wpełznąła wasza ohydna pierścienica.

Zaprawdę, łudziacie wy się, wy, „rozpamiętujący"! I Zaratustra był niegdyś blaznem boskich wylin waszych; nie odgadł przecie węzowych pierścieni, którymi one wypchane były.

Zdawało mi się, że tu Boga jakiegoś dusza gra, w tej grze waszej, wy, mistrze „czystego poznania"! I mniemałem, że nie masz sztuki lepszej ponad te wasze sztuki!

Plugastwo węzowe i woń nieznośna utaiły przede mną dale: oraz i to, że tu gdzieś jaszczurcza chytrłość przemykała się lubieżnie.

Lecz z b l i ż y ł e m ja się ku wam; i oto dzień mi nastał — nastaje on wreszcie i dla was — przyszło wreszcie na koniec księżycowym miłostkom!

Spojrzyjcież bo tylko! Przydybany i blady stoi oto księżyc — wobec jutrzni!

Gdyż oto nadchodzi już płomienna! — nadchodzi j e j miłość ku ziemi! Niewinnością i twórczem pożądanem jest wszelka miłość słoneczna!

Patrzcież, jak niecierpliwa wschodzi ona ponad morzem! Nie czujecież jej pragnienia i gorącego oddechu jej miłości?

Morze chce ona wyssać i głębię jego ku swojej wyżynie wypić; i oto morza pożądanie podnosi się ku niej tysiącami piersi.

Całowane c h c e być ono i pite przez słoneczne pragnienie; poi l i wietrzem stać się c h c e i wyżyną, ścieżką światła być pragnie i samo światłem się stać!

Zaprawdę, jako słońce kocham ja życie i wszystkie morza głębokie Zaś dla m n i e poznaniem jest to: wszelka głębia dźwignięta ma być — ku mojej wyżynie!

Tako rzecze Zaratustra.

O UCZONYCH

Gdym we śnie spoczywał, pożerała owca wieniec bluszczowy z mego czoła — pasła się i mówiła przy tem: „Zaratustra nie jest już uczonym".

Co rzekłszy, odeszła precz, nadęta i dumy pełna. Opowiedziałp mi to dziecko.

Chętnie spoczywam tutaj, gdzie dzieci igrają, pod rozwalonym murem pośród pokrzyw i maków krasnych.

Uczonym jestem jeszcze dla dzieci, dla pokrzyw i dla maków krasnych. Niewinne są one nawet w złościwości swej.

Lecz dla owiec już nim nie jestem: dola ma tak chciała — błogosławiona niech będzie ma dola!

Gdyż prawdą jest to: wyprowadziłem się z domu uczonych i drzwi za sobą zatrzasnąłem w dodatku.

Zbyt długo siedziała ma dusza o głodzie przy ich stole; nie jestem, jak oni, ułożony do poznawania, niby do łuskania orzechów.

Swobodę kocham i świeże tchnienie ziemi i raczej na skórach wołowych spoczywać zechcę, niżli na ich godnościach i dostojnościach.

Jam jest zbyt gorący, własnymi myślami spalony: nieraz mi oddech one zapierają. Wówczas na wolne powietrze uciekać muszę, z dala od wszystkich zakurzonych pokoi.

Oni jednak siedzą chłodni w chłodnym cieniu: zawsze pragną być tylko widzami i wystrzegają się, aby tam nie sięść, gdzie słońce stopnie przypała. Jako ci, co na ulicach wystawają, gapią się na przechodniów, tako wyczekują i oni, gapiąc się na te myśli, które inni pomyśleli.

Gdy się ich dłońmi chwyci, pyłą jako wory mączne, pyłą niewolnic; lecz któż odgadnie, że ten pył z ziaren pochodzi i z żółtego przepychu letnich pól?

Gdy się za mędrców podają, wówczas mrozi mnie od ich drobnych powiedzeń i prawd; i taka woń czepia się nieraz ich prawd, jak gdyby one z bagna pochodziły: zaprawdę, słyszałem również i żabę, co z nich rechocze!

Zręczni są i mają mądre palce: czemże jest mój a prostota w ujęciu wobec ich złożonych chwytów. Na wszelkiem nizaniu, supłaniu i sno-waniu rozumieją się ich palce — i tak oto zgotowują pończochy ducha!

Dobre to zegary: należy je tylko umiejętnie nakręcać! Wówczas bez omyłki wskażą godzinę, czyniąc przy tem skromny zresztą hałas.

Pracują jako młyny stępakowe, należy im tylko płodnych ziaren dorzucać! — sami już umieją rozemleć na drobne owe ziarna i biały kurz z nich uczynić.

Dobrze baczą sobie wzajem na palce i nie dowierzają sobie nadto. Wynalazczy w małych podstępach czyhają na tych, których wiedza na chromych nogach stąpa — czyhają jako pająki.

Widziałem, jak zawsze z wielką przezornością przyrządzali trucizny, nakładając przy tem na swe palce szklane rękawice.

I w fałszywe kości grać także potrafia; widziałem ich tak gorliwie Idanych grze, iż pocili się aż przy tem.

Obcymi jesteśmy dla siebie, zaś ich cnoty obrażają mój smak bar-siej jeszcze niżli ich fałszywe i kości fałszywe.

A gdym u nich mieszkał, mieszkałem ponad nimi. To ich rozgory-ło ku mnie.

Słyszeć o tem nie chcą, że ktoś ponad ich głowami kroczy; ułożyli Kto drwa, mierzwę i śmieć wszelaki między mną i głowami swemi.

I tak oto zagłuszyli oddźwięk kroków moich: najgorzej słuchano lie dotychczas pośród najbardziej uczonych.

Wszystkie ludzkie słabostki i niedomagania ułożyli między mną i so-

— „fałszywą posadzką” zwą to w domach swoich.

Lecz mimo to krocze oto wraz z myślami swemi p o n a d ich gło-rami; i gdybym nawet po własnych błędach kroczył, znajdowałbym feę wciąż jeszcze ponad nimi i ponad ich głowami.

Gdyż ludzie jednakowymi nie są: tak mówi sprawiedliwość. I czego ja chcę, tego im chcieć nie wolno!

Tako rzecze Zaratustra.

O POETACH

— Od czasu, gdym ciało lepiej poznał — mówił Zaratustra do jednego z uczeni swoich — jest mi duch już tylko niejako duchem; zaś wszystko „nieprzemijające” — przenosią jest tylko.

— Słyszałem już raz o tem — odparł uczeń — lecz wówczas dodałeś: „poeci jednak kłamią za wiele”! Dlaczego rzekłeś wówczas, iż za wiele kłamią poeci?

— Dlaczego? — odparł Zaratustra. — Pytasz dlaczego? Nie należę do tych, których wolno nagabywać o ich „dlaczego”.

Czyż me doświadczenia datują się od wczoraj? Dawno już temu, gdy przeżywałem powody swych zapatrywań.

Czyżbym nie musiał się stać beczką pamięci, abym swe powody miał zawsze przy sobie?

Już mi tego nieomal za wiele, że wszystkie swe zapatrywania zachowywać muszę; wymyka mi się przy tem niejeden ptak.

Przytrafia mi się też, że znajduję w mym gołębniku obce mi zwierzę, co drży, gdy nań dłoń położę.

Lecz cóż takiego rzekł Zaratustra? Ze poeci kłamią za wiele? Lecz i Zaratustra jest poetą.

Wierzyszże wobec tego, że on tu prawdę mówił? Czemu w to wierzysz?

Uczeń odparł: — Wierzę w Zaratustrę.

Zaratustra jednak kiwał głową i uśmiechał się.

— Wiara nie zbawia — odparł — zwłaszcza wiara we mnie. Przypuśćmy jednak, że ktoś z całą powagą twierdzi, że poeci kłamią zbyt wiele: ten człowiek ma rację — my kłamiemy zbyt wiele.

Umiemy zbyt mało i licha jest nasza ochoczość do nauki: przeto kłamać musimy.

I któryż z nas, poetów, nie fałszował swego wina? Niejedna trująca ;; mieszanina zdziałana była w naszych piwnicach, stała się tam niejedna rzecz nie do opisania.

A ponieważ mało wiemy, upodobaliśmy sobie ubogich w duchu, osobliwie zaś młode niewiasty!

I nawet tych rzeczy jesteśmy pożądlivi, o których stare babiny wieczorami gawędzą. A zwiemy to w sobie wieczną kobiecością. • Jak gdyby było jakieś tajemnicze dojsie do wiedzy, które za s y p u j e s i e przed każdym, kto się czegokolwiek nauczył: tak mocno, wierzymy w lud i w jego „mądrość”.

Wszakże w to wierzą wszyscy poeci: że kto na samotnym skłonie w trawie legnie i uszu nastawi, dowie się czegoś o rzeczach, które są między niebem a ziemią.

A gdy ich tkliwe nawiedzają wzruszenia, wierzą wówczas poeci, że sama natura jest w nich zakochana.

I że oto przyłazła się do ich uszu, aby w nie szeptać skrytości tajemnicze i miłosne pochlebstwa: z tego tak się pysznia i chełpią przed wszystkimi śmiertelnikami!

Och, tyle jest rzeczy między niebem i ziemią, o których tylko poetom coś niecoś śnić się raczyło!

A zwłaszcza p o n a d niebem, gdyż wszyscy bogowie są poetów .przenosią, poetów podejściem!

Zaprawdę, wiecznie nas coś pociąga — mianowicie w krainę chmur; na nich też królować każemy jaskrawym bałwanom swoim, zwąc je bogami i nadludźmi.

Wszakże są dosyć lekcy na takie właśnie trony! — ci wszyscy bogowie i nadludzie.

Och, jakżem ja znużony tem wszystkim nieosiągalnem, co koniecznie ma się stać zjawiskiem! Och, jakżem znużony poetami! I, Gdy Zaratustra te słowa wyrzekł, zachnął się nań uczeń, wszakże mnie odzywał się. Milczał też i Zaratustra, zaś oczy jego obróciły się ku wnętrzu, jak gdyby w odległe patrzyły dale. Wreszcie westchnął i zaczerpnął oddechu.

— Jam jest z dzisiaj i niegdyś — rzekł wreszcie — lecz jest we mnie coś, co jest z jutra, pojutra i kiedyś.

Umęczyli mnie poeci, starzy i nowi: powierzchwie to są tylko i płytkie morza.

Nie myśleli dostatecznie w głąb: przeto ich uczucie nie spadło aż do dna rzeczy.

Nieco rozpusty i nieco znudzenia: to było dotychczas ich najlepszym zastanowieniem.

Upiorne tchnienia i widm upiorne pomykania — tem są dla mnie ich harfowe pobrzęki; cóż oni wiedzieli dotychczas o wnętrznym żarze tonów!

V j

I nie dość mi są scmudni: mącą swe wody, aby się głębszemi wydały.

A chętnie podają się przy tem jako pojednawcy, lecz dla mnie są to zawsze ludzie połowiczni, zgatawiacze mieszanin, jako tako zbywający i nierzetelni!

Och, zanurzałem i ja swe sieci w ich morze w nadziei dobrego połowu, lecz zawsze wyciągałem z toni głowę starego boga.

Tak oto zgłodniałemu dawało morze kamień. I oni sami bodajże z morza pochodzą.

Oczywiście, i perły znajdują się w nich: tem bardziej podobni są do twardych małży. I zamiast duszy znajdowałem w nich często słony śluz.

Od morza nauczyli się przy tem jego próżności, bo czyż morze nie jest pawiem pawi?

Przed naj szpetniej szym ze wszystkich bawołów roztacza ono swój ogon, nie nużąc się nigdy swym koronkowym wachlarzem z jedwabiu i srebra.

Tępo spogląda na to bawół, czując się w swej duszy bliskim piachów, jeszcze bliższym gąszczy, a najbliższym bagna.

Bo czemże jest dlań morze i czem są pawie ozdóbki? Tę przypowieść dają poetom.

Zaprawdę, ich duch jest pawiem pawi i morzem próżności!

Widzów pragnie duch poety, chociażby to były nawet woły!

Lecz umęczon jestem duchem tym i przeczuwam, że on sam sobą się umęczy.

Przeistoczonych widziałem już poetów i zwracających wzrok przeciw samym sobie.

Pokutników ducha widziałem nadchodzących: z poetów oni wyrosli.

Tako rzecze Zaratustra.

O WIELKICH ZDARZENIACH

Leży wyspa na morzu — niedaleko wysp szczęśliwości Zaratustry, na której góra ognista dymi ustawicznie; opowiada o niej lud, osobliwie stare spośród ludu babiny, że jest to zwał skalny położony u wrót podziemia, zaś wskroś przez górę prowadzi w głąb wąska ścieżyna aż do wrót podziemnego świata.

Czasu, gdy Zaratustra bawił na wyspach szczęśliwości, przyjezdny okręt zarzucił kotwicę u wyspy z górą ognistą, a załoga jego przybiła do lądu na łowy królików. W południowej porze, gdy kapitan z ludźmi swymi powrócił już na pokład, ujrzano nagle w powietrzu postać czło-

ka i usłyszano zarazem głos wyraźny: „Czas już! czas najwyższy!” dy postać owa zbliżyła się do okrętu — a niosła się ona chyżo, sunąc jako cień w stronę góry ognistej — poznano ku wielkiemu przerażeniu, że to Zaratustra, gdyż widzieli go już oni wszyscy, wyjąwszy kapitana, polubili go nawet, jako lud zwykły kochać: uczuciem, w którym miłość obawą w parze idą.

— Patrzcież mi! — wołał stary sternik — oto Zaratustra pomyka do piekła!

O tymże czasie obiegała na wyspach szczęśliwości pogłoska, że Zaratustra zniknął, a gdy pytano jego przyjaciół, odpowiadali, że poszedł nocą na okręt, nie mówiąc, dokąd odjechać zamierza.

Tak oto zrodził się niepokój; po trzech dniach przyłączyła się do tego niepokoju opowieść marynarzy — że wreszcie lud cały rozpowiadać jął, iż dyabeł porwał Zaratustrę. Uczniowie jego śmiali się z tej gadaniny; jeden z nich rzekł nawet: „Uwierzyłbym raczej, że to Zaratustra porwał sobie dyabła”. Jednak w głębi duszy byli wszyscy uczniowie pełni troski i tęsknoty, toteż wielką była ich radość, gdy piątego dnia zjawił się nagle Zaratustra pośród nich.

I oto jest opowieść o rozmowie Zaratustry z psem ognistym:

— Ziemia — mówił on — ma skórę; na skórze tej są choroby. Jedną z tych chorób zwie się, na przykład „człowiek”.

Inną znowuż spośród tych chorób zwie się „pies ognisty”: o nim nakłamali ludzie zbyt wiele i nad miarę obełgiwać się pozwalali.

Aby tę tajemnicę zgłębić, przeprowiłem się przez morze: ujrzałem prawdę naga, zaprawdę! bosą aż po szyję.

Co znaczą gawędy o psie ognistym, wiem teraz, wiem również, co mniemać o tych wyrzutowych i przewrotowych dyablach, których obawiają się nie tylko stare babiny.

„Żywaj psie ognisty, wołałem, wylaż ze swej głębi! Wyznaj, jak głęboka jest twa głębia! Z jakich to czeluści ziejiesz ku górze?”

Obficie poisz się u morza: świadczy o tem twa przesolona wymowa! Zaprawdę, jak na psa z głębin, czerpiesz karm nadto z powierzchni!

Mam cię co najwyżej za brzuchomówcę. ziemi: ilekroć przewrotowych i wyrzutowych dyablów słyszę mi się zdarzało, bywali mi zawsze jednacy: słoni, kłamliwi i płytycy.

Potrąficie ryczeć i popiołem przyciemniać! Jesteście najlepszymi py-skaczami i posiadliście aż nadto sztukę warzenia błota aż do rozgaru.

Gdzie wy jesteście, tam błoto musi być w pobliżu i wiele plecho-wego, jaskiniowego, zdławionego, co się na swobodę rwie.

»Wolność« — ryczycie najchętniej, lecz ja wyzbyłem się wiary w »wielkie wydarzenia«, ilekroć wiele ryku i dymu wokół nich się wszczynają.

I wierzaj mi, luby wrzasku piekielny! Największe wydarzenia — to nie nasze najgłośniejsze, lecz nasze najcichsze godziny.

Nie wokół wynalazców nowej wrzawy — wokół twórców nowych wartości obraca się świat ten; obraca się ni e s ł y s z a l n i e.

I wyznajcież mi! Niewiele stawać się zwykło w końcu, gdy wrzawa i dym rozwiały się wreszcie. I cóż z tego, że jedno miasto mumią się stało, że jeden posąg w błocie legł!

I to słowo jeszcze powiadam posągoburcom. Największe to szaleństwo sól w morze sypać i posągi w błoto zwałać.

W błocie wzgardy waszej leżał posąg, lecz to właśnie jest jego prawem, że wzgardy wykwiła. dlań nowe życie i nowe żywe piękno! Z boskimi swymi rysy powstaje on oto, tak boleśnie ponętny; i zaprasza, dziękować on Wam jeszcze będzie, żeście go wywrócili, wywrotowcy! Tą radą służę królom, kościołom oraz wszystkiemu, co na uwiad • starości i cnoty cierpi — pozwólcie się tylko wywrócić! Abyście zno-vwuż do życia powrócili, a do was — cnota!

Tak oto mówiłem przed psem ognistym — wówczas przerwał mi 'mrukliwie i pytał: „Kościół? Cóż to jest?” „Kościół, odpowiedziałem, jest rodzajem państwa, i to najbardziej Zakłamanym. Lecz milcz, ty psie obłudny! Znasz przecie najlepiej to 9pszystko, co twego jest pokroju!

Państwo jest jako ty, psem obłudnym; jako ty głosi się ono chętnie lem i rykiem, aby, jako ty to czynisz, wzbudzić mniemanie, iż prze-lawia z brzucha *rzeczy* wszelkich.

Gdyż chce być najważniejszym zwierzęciem na ziemi; i ludzie wiemu”.

Skórom to wyrzekł, pies ognisty jął się zachowywać jak opętany zawiści. „Co?! — krzyczał — najważniejszym zwierzęciem na ziemi?! I ludzie wierzą mu na domiar?” I tyle pary i ohydnych wygłosów ^obywać się poczęło z jego gardzieli, że myślałem, iż gniewem i zawiścią udławi się wnet.

Wreszcie uciszył się i uspokoił się jego krztusiec. Skoro się wreszcie ispokoił, rzekłem do niego ze śmiechem: „Gniewasz się, psie ognisty: słuszne są zatem mniemania o tobie!

Abym tę słuszność zachował, posłuchaj i o innym psie ognistym: przemawia rzeczywiście z serca ziemi. Złoto wyziewa tchnienie jego i deszcz złocisty: tak chce serce jego. Czemże dlań popiół, dym i namuł gorący!

Śmiech wylatuje z niego jak obłok barwisty; niechętny jest on wszel-riemu rżężeniu, pluciu oraz zżymaniu się trzewi!

Złoto wszakże i śmiech czerpie on z serca ziemi, gdyż — abyś wiedział o tem — serce ziemi jest ze ziota”.

Gdy pies ognisty usłyszał to, nie mógł słuchać dłużej. Pełen zawstydzienia podwinął ogon, rzeki cienko i żałośnie: ham, ham! i wpeł-lał z powrotem do swej jaskini.

Tak opowiadał Zaratustra. Uczniowie jego zaś nieomalże puszczały to wszystko mimo uszu: tak wielka była ich pożądlwość opowiadania mu o żeglarzach, królikach i o latającym człowieku.

— I cóż mam sądzić o tem! — rzekł Zaratustra. — Zaliż jestem upiorem?

Lecz był to może mój cień. Słyszeliście chyba coś niecoś o pielgrzymie i jego cieniu?

To pewne tylko: krócej muszę go trzymać, gdyż gotów mnie on jeszcze znieślawić.

I po raz wtóry potrząsł Zaratustra głową i dziwił się. — I cóż mam sądzić o tem! — rzekł powtórnie.

— Czemu to krzyczał ów upiór: „Czas już! Czas najwyższy?”

Na cóż to — czas najwyższy?

Tako rzecze Zaratustra.

WRÓŻBIARZ

— ...i widziałem, jako wielkie zasmucenie nawiedziło ludzi. Najlepsi umęczeni się dzieły swemi.

Nastała nauka, wiara tuż obok śpieszyła, iż „wszystko puste, wszystko jednakie, wszystko już było!”

I ze wszystkich pagórków odzywało się echem: „Wszystko puste, wszystko jednakie, wszystko już było!”

Zebrałiśmy wprawdzie plon, lecz czemu owoce nasze wszystkie stały się gnilne, a brunatne? Jakiz to urok padł z księżycy ostatniej nocy?

Daremna była cała praca, trucizną wino stało się nasze, złe spojrzenie zwarzyło pola i serca nasze na wiedła żółciznę.

Suchymi staliśmy się wszyscy; nawet gdy ogień na nas padnie, pylimy jako popiół — i ogień nawet umęczyliśmy sobą.

Studnie wszystkie wyschły nam i morze nawet się cofnęło. Wszystkie podwaliny zawaleniem grożą, a głębia nie chce pochłaniać!

„Och, gdzież jest to morze, w krórem by zatonać można”: tak roz-rzmiewa skarga nasza — ponad płytkimi bagnymi.

Zaprawdę, nawet na skon nas nie stać, zbyt jesteśmy umęczeni: Szujemy przeto wciąż jeszcze i żyjemy wciąż — w komorach grobowych!

Temi słowy mówił wróżbiarz do Zaratury; a te jego proroctwa padły Zaraturze na serce i przeistoczyły je. Chadzał smutny i zmęczony; i stał się podobnym do tych, o których wróżbiarz powiadał.

Zaprawdę, rzekł do swych uczni, niewiele brakuje, a nastanie ów długi zmrok. Och, jakże tu uratować swe światło!

Aby się ono nie zdusiło w tem zasmętnieniu! Odległym wszak winno światom świecić i nocom jak najdalszym!

Tako w sercu zatroskany chadzał Zaratur, trzy dni napoju i pokarmu nie przyjmował, spokoju nie zaznał i utracił mowę. Wreszcie stało się, iż zapadł w sen głęboki. Uczniowie jego zasiedli wokół łoża i w drugich nocnych czuwaniach wyglądali w niepokoju, zali się nie zbudzi, mówić znów nie pocnie i nie zleczy swej osmętnicy.

Lecz oto jest mowa, którą wygłosił Zaratur, gdy się był przebudził; zaś głos jego dochodził do uczni jakoby w wielkiej dali:

— Posłuchajcież, przyjaciele, snu, który mi się przyśnił, i pomóściez odgadnąć jego znaczenie!

Zagadką jest mi jeszcze ten sen; znaczenie jego tkwi w nim ukryte, lub polatuje ponad nim na wolnych skrzydłach.

Wszelkiego życia wyrzekłem się był we śnie. Stróżem nocy i grobów stałem się, tam na samotnej opoce, gdzie śmierci zamczysko.

Jej trumien strzegłem tam na górze: pełne były głuche sklepienia tych znaków zwycięstwa. Ze szklanych trumien spoglądało ku mnie 'pokonane życie.

Wdychałem zakurzonych wieczności woń: w zaduchu i w kurzu spoczywała ma dusza. I któż by tam zdołał przewietrzyć swą duszę!

Jasność północy była wokół mnie, samotność przyczała się tuż i obok, a w samotności rechotała cisza śmiertelna, najdokuczliwsza -z mych przyjaciółek.

Kluczem dźwigał najbardziej ordzewiałe ze wszystkich kluczy; i potrafiłem najbardziej skrzypiące wrota nimi otwierać.

Jako złowieszcze krakanie przebiegał dźwięk długimi lochy, gdym skrzydła wrót podźwignął: niechętnie dał się ten ptak, nierad dawał się on budzić.

Lecz straszniejszą jeszcze i bardziej przytłaczającą stawała się chwila, gdy echa milkły, cisza zalegała naokół i gdy sam oto pozostawałem w przyczajonem milczeniu.

I tak oto włókł się i pełzył czas, jeśli czas był jeszcze: lecz cóżem ja o tem wiedział! Wreszcie stało się to, co mnie zbudziło.

Trzykrotny łom uderzył we wrota jako piorun; zahuczały i zawyły sklepienia we wtór trzykrotny: wówczas zbliżyłem się do wrót.

„Alpa! wołałem, kto niesie swój popiół na górę? Alpa! Alpa! Kto wnosi swój popiół na górę?”

Obróciłem klucze, próbuję podźwignąć wrota, mozołę się. Lecz je-szczem ani na szczelinę rozewrzeć ich nie zdołał.

Gdy wicher huczący rozerwał na oścież oba skrzydła wrót, gwizdząc, świszcząc i mroźnem tchnieniem bicując, odrzucił mnie na czarną trumnę.

Z łoskotem, poświstem i skowytem załamała się trumna i zionęła tysiącrotnym chichotem.

Tysiącne dziwotwory dzieci, aniołów, sów, błaznów, jak dzieci wielkich motyli śmiały się, szczyły i huczały ku mnie.

Okrutnie przerażonego powaliło mnie na ziemię. Począłem krzyczeć ze zgrozy, jakem nigdy jeszcze nie krzyczał.

Lecz własny krzyk zbudził mnie — i otom przyszedł do siebie.

Tako opowiedział Zaratur swój sen i zamilkł potem, gdyż nie wiedział, jako ma sobie wykładać to widzenie sennie. Lecz uczeń, którego najbardziej miłował, powstał szybko, schwycił rękę Zaratury i rzekł:

— Twe życie, o Zaratur, wykłada nam twój sen!

Nie jesteś ty wihrem, co z ostrym poświstem wywala wrota w zamczysku śmierci?

Nie jesteś trumną pełną jaskrawych szyderstw i anielskich dziwo-tworów życia?

Zaprawdę, tysiącrotnym śmiechem dziecięcym nawiedza Zaratur wszystkie konury śmierci, śmiejąc się ze wszystkich stróży nocy i grobów, i z każdego, kto tam głuchymi poszczekuje kluczy.

Przerazić i obalić pragniesz swym śmiechem; bezwładny opad i przebudzenie dowiedzie twej nad nimi potęgi.

A nawet i wonczas, gdy ów długi zmrok i znużenie śmiertelne nadejdą, nie zajdziesz ty nam jeszcze na niebie naszym, życia ty orędowniku!

Nowe gwiazdy ujrzeć nam pozwoliłeś i nowe czary nocy; zaprawdę, śmiech rozpiąłeś ty ponad naszymi głowy, jako sklepienie barwiste.

Odtąd śmiech dziecięcy z trumien tryskać będzie, odtąd wszystkie Biuzenia śmiertelne wicher zwycięski zawsze nawiedzi: tegoś ty nam jest poręką i wróżbiarzem!

Zaprawdę, o nich to właśnie śniłeś, o wrogach swoich — i sen to był twój najcięższy!

Lecz jakoś ty się zbudził i do siebie przyszedł, tako i oni ze swego istnienia przebudzić się winni i przyjść — do ciebie!

Tako mówił uczeń, zaś wszyscy inni cisnęli się do Zaratustry, chwytała jego ręce, pragnąc go namówić, aby porzucił łożo, zaniechał posępnicy i powrócił do nich. Zaratustra siedział jednak wyprostowany na łożu i spoglądał nie swoim wejrzeniem. Jako ten, co z długiej obczyzny powraca, przypatrywał się swym uczniom, badał ich oblicza i nie poznawał ich. Gdy go wszakże podnieśli z łoża i postawili na nogi — patrz! — aż tu przemieniły się nagle jego oczy; pojął wszystko, co się przytrafiło, pogładził brodę i rzekł mocnym głosem:

— Dalej więc! czas bo najwyższy zaniechać tego! Baczcież mi, drodzy, abyśmy dobrą spożyli wieczerzę, a rychło! Tako chcę czynić pokutę za niedobre sny!

Wróżbiarz zasie niech przy moim boku je i pije: i zaprawdę, wskażę ja mu jeszcze morze, w którym zatonać można!

Tako rzecze Zaratustra. Po czerń wszakże spojrzął na ucznia, co jako wykładacz snu wystąpił, długi mu w oblicze patrzył i kiwał przy tem głową.

O WYZWOLENIU

Gdy Zaratustra przechodził pewnego dnia przez most, otoczyli go kalecy i żebracy, a pewien garbaty zagadnął go tętni słowy:

— Spójrzyj, Zaratustro! Oto i lud uczy się od ciebie i zaczyna ufać twej nauce, lecz aby całkowicie w ciebie uwierzył, potrzeba na to jednego — winienesz przekonać i nas, kaleki wszelkie. Tu oto masz piękny dobór i sposobność do roboty z niejednym czubem! Ślepców możesz zleczyć, kulawych do biegu przysposabiać; zaś temu, co zbyt wiele na sobie dźwiga, mógłbyś ująć coś niecoś z grzbietu. Oto, według mnie, najwłaściwsza droga, aby i kalecy uwierzyli w Zaratustrę!

Zaratustra zaś odparł onemu w te słowa: — Gdy się garbatemu odbiera jego garb, odbiera mu się jego ducha — tak uczy lud. Gdy się ślepmu wzrok przywraca, widzi zbyt wiele złego na świecie: tak, iż przeklina tych, co go zleczyli. Ten zaś, kto kulawemu zdolność biegu przywróci, czyni mu największą krzywdę: gdyż ledwo biegać się nauczy, a rozbiegną się wraz z nim i jego niecnoty — tak oto poucza lud o kalekach. I czemuż by nie miał Zaratustra uczyć się od ludu. skoro lud uczy się od Zaratustry?

Jest mi to jednak rzeczą najbłahszą jeszcze, iż od czasu, gdy pośród ludzi przebywam, widzę raz po raz, że temu brakuje oka, tamtemu ucha, trzeciemu nogi; lub też, że inni stracili język, nos lub głowę.

Widuję i widywałem rzeczy gorsze, nieraz tak ohydne, że nie o każdej mówić mogę, a niejednej bym nawet widzieć nie pragnął: widuję mianowicie ludzi, którym brak wszystkiego oprócz jednego członka, który jest w takich razach zwykle za wielki, ludzi, którzy niczem już więcej nie są, tylko wielkiem okiem, wielkim pyskiem, wielkim brzuchem, zgoła czem bądź wielkiem — kalekami na wywrót zwę ja takich.

Gdy, powracając z mej samotni, po raz pierwszy przechodziłem przez ten most, nie dowierzałem oczom własnym: spoglądam, patrzę i mówię wreszcie: „Toż to jest ucho! ucho wielkości człowieka!” Przyglądam się jeszcze lepiej: pod uchem porusza się coś żałośnie małego, ubożuchnego i mizernego. I rzeczywiście, potworne uszysko było osadzone na malutkiej, cienkiej łądyżce; łądyżka ta była — człowiekiem! Gdym szła do oczu podniósł, mogłem dojrzeć nawet maleńką, zazdrosną twarzyczkę i to nawet, że na łądydze kiwała się nadęta duszyczka. Lud zaś pouczył mnie, że to wielkie ucho to nie tylko człowiek, lecz człowiek wielki, geniusz. Lecz ja nie dowierzam nigdy ludowi, gdy o wielkich ludziach mówi, i pozostałem przy swoim przekonaniu, że to jest kaleka na wywrót, który ma wszystkiego za mało, a jednego za wiele. Gdy Zaratustra tak oto odparł garbusowi oraz tym wszystkim, których on był głosem i orędownikiem, zwrócił się pełen głębokiej goryczy do uczeni swoich i rzekł:

— Zaprawdę, przyjaciele moi, obracam ja się między ludźmi jak pośród ułomków i członków ludzkich!

To jest dla mego oka rzeczą najstraszniejszą, iż widzę człowieka podruzgotanego o porozprasanych członkach niby na pobojuwisku lub na podwórzu rzeźni.

A gdy się me oko umknie od „teraz” ku „niegdyś”, znajduje zawsze „to samo”: ułamki, członki i okrutne przypadki — ludzi nie widzi! | Owo „teraz” i „niegdyś” na ziemi — och! przyjaciele moi — to jest moje brzemie, najdokuczliwsze, i żyć bym przecie nie zdołał, gdybym nie był jasnowidzem tego, co przyjść musi.

Wieszczący, chcący, tworzący, sam przyszłością i sam sobie mostem ku przyszłości — i niestety! również i kaleką przy tymże moście: oto czem jest Zaratustra.

I wy zagadywaliście nieraz samych siebie: „Kimże jest Zaratustra? Czemże ma być on dla nas?” I dawaliście sobie, jako ja to czynię, w odpowiedzi — pytania.

Jestże on zwiastunem? Czy dokonawcą? Zdobywcą? Czy też dziedzicem? Jestże jesienią? Lemieszem? Lekarzem? Czy też ozdrowiałym?

Jestże on poetą? Czy też prawdomówcą? Wyzwolicielem? Czy też pogromcą? Jestże dobrym? Złym?

Błąkam się między ludźmi jak pośród ułamków przyszłości: przyszłości, którą ja oglądam.

I tem jest ma twórczość i dążenie, iż w jedno przetwarzam i w całość skupiam, co jest ułamkiem i zagadką, i okrutnym przypadkiem.

Jakżeby ja zniósł, żem jest człowiekiem, gdyby człowiek nie był wieszczem i zagadek odgadywaczem, i wyzwolicielem przypadku!

Przeszłych wyzwolić, wszelkie „było” przetworzyć w „takom ja właśnie pragnął!” — oto co bym dopiero wyzwoleniem zwał!

Wola — tako zwie się oswobodziciel i zwiastun radosny; tako i ja was pouczam, przyjaciele moi! Douczcież się wszakże i tego jeszcze: wola sama jest jeszcze więźniem.

Chęć oswabada: lecz jakże się to zwie, co nawet i oswobodziciela w kajdany zakuwa?

„To było” — oto zębów zgrzytanie i najsamotniejsza zgrzyzota woli. Bezsilna wobec wszystkiego, co już dokonane, jest wszelkiej przeszłości wrogim widzem.

Bo że wstecz wola chcieć nie może; że czasu przełamać nie zdoła ani czasu pożądlivości — tem jest woli zgrzyzota najsamotniejsza.

Wola oswabada; cóż więc obmyśli sobie ona, aby się pozbyła własnego posepku i szydziła z własnego więzienia?

Och, błaznem staje się każdy więzień! Szaleńczo wyzwala się też i więziona wola.

Że czas wstecz się nie cofnie, to rodzi jej gniew zawzięty. „To, co było” — tak zwie się kamień, którego nie zdoła potoczyć.

Toczy więc kamienie zawziętości i niechęci i wywiera zemstę na wszystkim, co wraz z nią nie odczuwa zawziętości i niechęci.

I tak oto staje się wola, oswobodzicielka, sprawczynią bólu: na wszystkim, co cierpieć zdolne, wywiera zemstę za to, iż cofnąć się nie może.

I tem oto, wyłącznie tem tylko, jest i z e m s t a sama: woli niechęcią do czasu i jego „to było”.

Zaprawdę, wielkie szaleństwo tkwi w naszej woli; zaś dla wszystkiego, co ludzkie, kłatwą się stało, iż to szaleństwo ducha sobie zdobyło!

D u c h z e m s t y, przyjaciele moi, to było dotychczas najlepszym zastanowieniem się człowieka; a gdzie cierpienie było, tam kara zawsze być musiała.

„Kara”, tem słowem przezwala zemsta samą siebie: słowem kłam-liwem udaje ona obłudnie czyste sumienie.

A że w chcącym jest wiele cierpienia, iż wstecz chcieć nie może przeto i chęć sama, i życie wszelkie winny być karą!

I oto chmura za chmurą zachodziły na ducha, aż wreszcie obłąd kazać począł: „Wszystko zanika, przeto wszystko zaniku jest warte!”

„I tem jest sprawiedliwość sama: owo prawo czasu, co dzieci swoje pożerać musi” — tak kazał obłąd.

„Moralnym stoją *rzeczy* ładem wedle prawa i kary. Och, gdzież jest wyzwolenie z toku rzeczy i z kary »istnienia«? Tako kazał obłąd.

„Czyż możebne jest wyzwolenie, skoro istnieje wieczne prawo? Och, nie do dźwignięcia jest ów kamień »to było«: wieczne muszą być też i wszelkie kary!” Tako kazał obłąd.

Żaden czyn zgładzonym być nie może: jakżeby on mógł dzięki karze stać się niedokonanym! To, właśnie to, jest wiecznem w karze „istnienia”, iż istnienie wiecznie i czynem, i karą być musi!

Chyba że wola wreszcie samą siebie wyzwoli, że chcenie niechceniem się stanie, lecz wszak wy znanie, bracia moi, tę starą piosnkę obłądu!

Odwoziłem was od tych starych baśni, gdym uczył: „Wola jest twórcą”. Wszelkie „to było” jest ułamkiem, zagadką, okrutnym przypadkiem, póki wola twórcza na to nie powie: „Lecz tak ja właśnie chciałam!”

Aż póki wola twórcza na to nie rzeknie: „Lecz tako chcę właśnie! Tako chcieć będę!”

Lecz czyż mówiła ona już tak? I kiedyż się to stanie? Czy wola jest już odprzęgnięta od własnego szaleństwa?

Stałaż się już wola zbawcą i zwiastunem radosnym dla samej siebie? Oduczyłaż się ona ducha zemsty i zębów zgrzytania?

I któż nauczył ją pojednania z czasem i czegoś wyższego ponad wszelkie pojednanie?

J Czegoś wyższego ponad wszelkie pojednanie chcieć musi wola, któ-JJB jest wolą mocy — lecz jakże jej na to przyjdzie? Któż pouczył ją iiaawet i o chceniu wstecz?

Lecz w tem miejscu przerwał Zaratustra nagle swą mowę i czynił Wrażenie człowieka, którego ostateczne przerażenie ogarnia. Przestrawionemi oczami wodził po uczniach swoich, a oczy te przebijały jak jltrzały ich myśli jawne i ukryte. Po chwili zaśmiał się jednak i rzekł ;W dobroci:

*: — Trudno żyć z ludźmi, ponieważ milczeć jest tak trudno. Osobliwie dla gaduły.

.-! Tako rzecze Zaratustra. Garbus jednak przysłuchiwał się rozmowie, ^przysłoniwszy przy tem twarz; gdy usłyszał śmiech Zarustry, wejrzał ciekawie i rzekł powoli:

— Lecz dlaczegóż to Zaratustra mówi inaczej do nas niżli do uczeni twoich?

Zaratustra odparł: — Cóż w tem dziwnego! Z koszlawym wolno koszlawo pogadać!

— Pięknie — odparł garbus — zaś wobec uczeni wolno bając jak uczelni.

Lecz czemuż to Zaratustra mówi inaczej do swych uczeni niżli do samego siebie?

O ROZTROPNOŚCI LUDZKIEJ

Nie wyż — urwą jest rzeczą straszną!

Urwą, gdzie spojrzenie w d ó ł zapada, a ręka w z w y z chwyta. Zawrót wówczas serce ogarnia od tej podwójnej jego chęci.

Och, przyjaciele, odgadujecież serca mego wolę podwójną?

Tem jest m o j e urwisko i niebezpieczeństwo moje, że spojrzenie me wzwyż pada, podczas gdy dłoń trzymać się pragnie i wesprzeć — na głębi!

Człowieka czepia się ma wola, kajdanami skuwam się z człowiekiem, ponieważ porywa mnie wzwyż ku nadczłowiekowi, jako że tam pragnie inna ma wola.

I d l a t e g o t e ż żyję ja ślepy między ludźmi; jakobym ich nie znał wcale: aby ma dłoń nie straciła wiary w mocne oparcie.

Nie znam was, ludzie: ta oćma i otucha rozściela się wokół mnie.

Siedzę przy gościńcu dla każdego łotra dostępny i pytam: kto chce mnie oszukać?

Tem jest ma pierwsza roztropność ludzka, że się oszukiwać pozwalam, aby nie mieć się na baczności przed oszustami.

Och, gdybym na baczności przed człowiekiem mieć się musiał: jakżeby mógł człowiek być bani mej kotwica! Zbyt łatwo oderwałoby mnie wzwyż i odniosło precz!

Ta opatrność jest nad mą dolą, że bez przezorności być muszę.

Zaś kto pośród ludzi zmarnieć nie chce, musi się nauczyć z każdej pijać szklanicy; kto zaś między ludźmi czystym pozostać pragnie, winien potrafić i w brudnej umywać się wodzie.

I tak oto mawiałem nieraz ku swej otusze: „Dalejże! Dalej! Stare serce! Chybiło ci nieszczęście: zażywaj go więc jako swego szczęścia!”

Lecz oto ma druga roztropność ludzka: oszczędzam p r ó ż n y c h bardziej niżli dumnych, Czyż urażona próżność nie jest matką wszelkich tragedii? Lecz duma urażona bywa, tam zwykło wyrastać jeszcze i coś lepszego. Aby widok życia znośnym się wydał, winna być gra życiowa dobrze rozgrywana, lecz na to dobrych potrzeba aktorów. .i Dobrymi aktorami byli mi zawsze ludzie próżni: oni grają i pragną, tjjiby im się chętnie przyglądano — cały ich duch tkwi w tej chęci. Oni wystawiają się na widowni, oni odkrywają samych siebie: lubię W ich bliskości przyglądać się życiu — to leczy z przygnębienia. !&• Przeto oszczędzam próżnych, iż mi są lekarzami w przygnębieniu J przywiązują do człowieka jako do widowiska.

A wreszcie: któż wymierzy w próżnym całą głąb skromności! Jestem dlań dobry i pełen współczucia — dla tej jego skromności. .v Od was pragnie on zaczerpnąć wiary w samego siebie; on pasie się waszemi spojrzzeniami, pożera pochwały z waszych rak.

Nawet i kłamstwom waszym rad uwierzy, jeśli dobrze o nim kłamiecie, gdyż w najskrytszej głębi wdycha jego serce: „Czemżejako jestem!”

A skoro ta cnota jest prawdziwa, która nie wie o sobie — otóż, próżny nie wie o swej skromności! " I tem jest ma trzecia roztropność ludzka, że widoku ludzi złych nie pozwalam obmierzyć sobie waszą lekliwością. Szczęśliw widzę te dziwy, które wylega słońce upalne: tygrysy, paly i grzechotniki.

I pośród ludzi jest wiele pięknego wylegu upalnego słońca i w złych •Wiele godnego podziwu.

, • Wprawdzie, jako i wasi najmędrsi nie wydają mi się bynajmniej tak Jfearczo mądrymi, podobnie i złość ludzka jest mi znacznie mniejsza swego osławienia.

I nieraz dziwiłem się, kiwając głową: I czegoż wy jeszcze grzechocie, grzechotniki?

Zaprawdę, i zło nawet ma przyszłość przed sobą! A najgorętszych tudni jeszcze nie odkryto dla człowieka.

Wszakże niejedno zwie się dziś ostateczną złością, co jest zaledwie jiwanaście stóp szerokie i trzy miesiące długie! Kiedyś będą się większe lodziły smoki.

Aby nadczłowiekowi nie zbrakło swego smoka nadsmoka, który by jego był godzien, lecz na to wiele słońca upalnego prażyć musi puszcze wilgotne!

Wasze koty dzikie przedzierzgnąć się wprzód muszą w tygrysy, a wasze ropuchy jadowite w krokodyle, aby dobrego myśliwca dobre oczekiwały łowy!

Zaprawdę, wy dobrzy i sprawiedliwi! Wiele w was śmiechu jest godne, a osobliwie wasz lęk przed tem, co się dotychczas „dyabłem” zwało!

Tak dalecy jesteście w duszach swoich wszelkiej wielkości, że nawet nadczłowiek w swej dobroci wydałby się wam s t r a s z n y m !

Zaś wy, mędrzy i uczeni, ucieklibyście przed słonecznym pożarem mądrości, w której nadczłowiek ochoczo swą nagość pławić będzie!

Wy najszczytniejsi, których oczy me napotkały! Tem oto jest nie zwątpienie o was i śmiech mój ukryty: przewiduję wszak — nadczło-wieka nazwalibyście dyabłem!

Och, umęczyłem się tymi najszczytniejszymi i najlepszymi: z ich „szczytów” parło mnie wzwyż, w dal, precz — ku nadczłowiekowi!

Dreszcz zgrozy przebiegł mnie, gdym tych najlepszych ujrzał nago: i oto wyrosły mi skrzydła, aby odlecieć w dalekie przyszłości!

W dalsze przyszłości, w bardziej południowe południa, niżli je kiedykolwiek jaki twórca wymarzył: tam, gdzie bogowie szat wszelkich się wstydzą!

Lecz w a s w przebraniu widzieć pragnę, wy bliscy i bliźni moi. pięknie przyobleczonymi i próżnymi, i godnymi chcę was widzieć, jako „dobrych i sprawiedliwych”.

I sam w przebraniu pośród was zasiądem, abym was i siebie n i c p o z n a w a ł — oto ma ostatnia roztropność człowieka.

Tako rzecze Zaratustra,

W NAJCICHSZĄ GODZINĘ

Cóż to się ze mną stało, przyjaciele? Patrzcie, jakem jest wzburzony,

ieś przed się party, niewolnic uległy, gotów do odejścia — och, do odejścia od was!

Niestety, raz jeszcze musi Zaratustra do swej powracać samotni: lecz niechętnie wraca tym razem niedźwiedz do swej jaskini!

Cóż to się ze mną stało! Któż mi to nakazuje? — Och, ma gniewna pani życzy sobie tego, przemówiła ona do mnie. Czyż nie nazwałem wam jeszcze jej imienia?

Wczoraj pod wieczór przemówiła do mnie ma najcichsza godzina — oto imię mej strasznej pani.

A stało się to tak, gdyż wszystko opowiedzieć wam muszę, aby się nie zasklepiły serca wasze dla nagle odchodzącego!

Znacie przestrasz w chwili zasypiania?

, Aż po palce stóp przeraża się zasypiający, iż ziemia usuwa się przed nim, a sen się poczyna.

Mówię to wam jako przenośnię. Wczoraj, w najcichszą godzinę usunęła się pode mną ziemia: sen się rozpoczął.

Pomknęła się wskazówka, zegar mego życia zaczerpnął oddechu — nigdy takiej ciszy wokół siebie nie słyszał: aż przeraziło się serce. f Naonczas rzecze bez głosu do mnie: „Ty wiesz wszak o tem, Zaratustro?”

Jam krzyknął w przerażeniu, zasłyszawszy to szeptanie, a krew mi ? oblicza precz odbiegła: milczałem przecie.

Rzecze raz wtóry bez głosu do mnie: „Ty wiesz o tem, Zaratustro, A jednak nie mówisz!”

Jam odparł nareszcie, rzekąc przekornie: „Wiem ci ja, lecz mówić e chcę!”

I rzecze znowuż bez głosu do mnie: „Ty nie chcesz, Zaratustro? 'estże to prawda? Nie chowaj ty mi się poza swą przekorność!”

Płacząc, drzę jako dziecko i powiadam: „Och, radbymja, lecz jakże to mogę! Uchyl to tylko ode mnie! Ponad moje to siły!”

Jam odparł: „Och, jestże m o j e to słowo? Kimże j a jestem? Godniejszego czekam; jam nawet niegodzien złamać się na onem”.

I rzecze znowuż bez głosu do mnie: „I cóż po t o b i e ? Nie jesteś mi jeszcze dosyć kornym. Pokora ma najtwardszą skórę”.

Jam odparł: „Czegóż nie zniosła skóra mej pokory! U podnóża swej jaskini mieszkam: jak wysoko wybujały me wierzchołki? Nikt mi o tętń jeszcze nie powiadał. Atoli dobrze znam swe doliny”.

I rzecze znowuż bez głosu do mnie: „O Zaratustro, kto ma góry z posad wywazywać, ten przynosi także doliny i niże”.

Jam odparł: „Jeszcze me słowo nie wyważyło żadnej góry, zaś to, co mówię, ludzi jeszcze nie dosięga. Wyszedłem ja wprawdzie ku ludziom, jeszczem ja jednak do nich nie dotarł”.

I rzecze znowuż bez głosu do mnie: „Cóż ty o t e m wiesz! Rosa pada na murawę, gdy noce są w przemilczeniach najcichsze”.

Jam odparł: „Szydzili ze mnie, gdym własną drogę znalazł i nią poszedł; i prawdziwie drżały w onczas nogi moje.

To widząc, powiadali: zbyteś drogi, zbędziesz i chodzenia!”

Rzecze znowuż bez głosu do mnie: „I czemuż ich szyderstwa! Jesteś z tych, co się posłuszeństwa oduczyl: teraz winienesz rozkazywać!

Zali nie wiesz, kto im wszystkim jest najbardziej ku potrzebie? Kto rzecz wielką rozkaże.

Ciężko rzeczy wielkiej dokonać: przecie ciężej rzecz wielką rozkazać.

To jest najbardziej niewybaczalnem w tobie: posiadasz moc, a panować nie chcesz”.

Jam odparł: „3rak mi głosu lwa do rozkazywania”.

Rzecze znowu, jakby szeptem do mnie: „Najcichsze to słowa są. co burzę niosą. Myśli, co gołębiem przychodzą krokiem, światem kierują

O Zaratustro, tyś powinien iść jako cień tego, co przyjść musi — tako będziesz rozkazywał, a rozkazując przodował”.

Jam odparł: „Wstydzę się”.

I rzecze znowuż bez głosu do mnie: „Dziecięciem stać się jeszcze musisz, a niewstydliwem. Duma młodzieńcza jest jeszcze w tobie, poznoś młodym się stał, lecz kto dziecięciem stać się chce, ten i młodość swoją przezwyżyć powinien”.

I rzecze znowuż bez głosu do mnie: „I cóż po tobie, Zaratustro! :owo swe powiedz i złam się!”

Namyślałem się długo i drżałem w sobie. Wreszcie rzekłem, com wprzódy był powiedział: „Nie chcę ja”.

W onczas uczynił się śmiech wokół mnie. O jakże mi ten śmiech trzewia targał i serce rozdzierał!

I rzecze po raz ostatni co mnie: „O Zaratustro, dojrzały twe owoce, lecz tyś nie dojrzał do owoców swoich!

Przeto do samotni ponownie iść musisz, abyś omiękł”.

Zaśmiało się ponownie i pierzchło: w onczas cisza uczyniła się wokół : mnie w zdwojonej jakby cichości. Ja zaś na ziemi leżałem i pot spływał mych członków.

Otoście wszystko słyszeli, i czemu do samotni iść muszę. Niczegom irzed wami, przyjaciele, nie zataił.

Więc i to usłyszeliście ode mnie, którym jest przed wszystkimi ludźmi najskrytszy — i nim pozostać pragnący.

Och, przyjaciele moi! Miałbym wam jeszcze coś do powiedzenia, miałbym jeszcze coś do darowania. Czemuż więc nie daję? Byłżebym skąpy?

Gdy Zaratustra te słowa wyrzekł, opanowała go tak boleśnie potęga bólu i bliskość rozłąki z przyjaciółmi, że zapłakał głośno. A nie było, kto by go ukoić umiał. Nocą wszakże odszedł samotny i opuścił swych przyjaciół.

TAKO RZECZE ZARATUSTRA CZEŚĆ TRZECIA

Wy spoglądacie w górę, gdy chcecie podniesienia. Ja patrzę na dół, bom jest wyniesiony.
Któż jest między wami, co zarazem i śmiać się potrafi, i wzniesionym się czuć?
Kto szczytów najwyższych dosięgnie, ten śmieje się z wszelkich tragikomedyi i tragicznych powag.

Zaratustra O czytaniu i pisaniu (s, 34)

PIELGRZYM

Południe było, gdy Zaratustra wstąpił na drogę, wiodącą przez gó-izystry grzbiet wyspy, aby wczesnym rankiem na przeciwległym stanać wybrzeżu i na okręt się przepawić. Dobra tam była przystań w zatoce j obce okręty chętnie zarzucały w niej kotwice, odpływając brały one ga pokład tych, co z wysp szczęśliwości przez morze przepawić się pragnęli. Gdy Zaratustra wspinał się pod górę, wspominał po drodze wiele swych wędrowek samotnych w młodości oraz wszystkie te wzgó-lita, grzbiety górskie i wierzchołki, na które się niegdyś wspinał.

— Pielgrzymem jestem i ochotnym po górach wędrownikiem — rzekł do swego serca — nie lubię płaszczyzn i zda mi się, że niedługo na miejscu wysiedzieć zdołam.

I wszelka dola, wszelkie wydarzenie, które mi się przytrafić może — coś z pielgrzymki w nich będzie i z wędrowań po szczytach — przeżywa bo wszak człowiek samego siebie jedynie.

Spłynął już czas, kiedy przypadki napotykać mnie mogły; cóż by jeszcze przytrafić, mi się mogło, co by nie było. już mojein! Nawróci ona tylko, ku swej siedzibie cofnie się wreszcie — ma samość oraz to wszystko, co z niej na obczyźnie przebywało, rozproszone pośród wszelkich rzeczy i przypadków.

I to jedno wiem jeszcze: oto staję przed swym ostatnim szczytem, przed tem, co mi najdłużej zaoszczędzonym było. Och, na najtwardszą swą drogę wstępuję obecnie! Och, począłem ja swą najsamotniejszą Wędrowkę!

Lecz kto z mego jest rodu, ten się takiej nie umknie godzinie, go-Izinie, która doń rzecze: „Aliści teraz dopiero idziesz drogą swej wiel-lfeości! Szczyt i przepaść — w jedno się to teraz zwarło! Idziesz drogą swej wielkości: ostatnią twą ucieczką stało się to, co było dotychczas największem niebezpieczeństwem! Idziesz drogą swej wielkości: odtąd najlepszą winno ci być otuchą, poza tobą nie ma już drogi!

Idziesz drogą swej wielkości: nikt tu za tobą nie popełni! Twa)ga gasiła sama ślady drogi poza sobą, drogi, nad którą widnieje napis: loźebność.

A gdy ci obecnie wszelkich drabin zbrakło, winienes się rozumieć i na tem, jako się na głowę własną wspinać należy: jakżebyś ty inaczej wspinać się zdołał?

Na głowę własną i ponad własne serce! Co najłagodniejszego jest w tobie, największą tężyzną stać się to jeszcze musi.

Kto się zanadto zwykł oszczędzać, chorzeje wreszcie z oszczędzania tego. Chwała wszystkiemu, co twardym czyni! Nie sławię ja krainy w miód i mleko opływającej!

Od siebie — w dal nauczyć się spoglądać, aby w i e l e m ó c widzieć — ta oto tężyzna niezbędna jest dla każdego, kto się na góry wspina.

Kto zaś, jako poznający, oczyma natrętny bywa, jakżeby on mógł dojrzeć w rzeczach coś więcej nad ich powierzchowne zarysy.

Ty jednak, o Zaratustro, chcesz dojrzeć rzeczy wszelkich spody i podspody: musisz więc przeto ponad samego siebie się wspinać — w górę, wzwyż, aż póki gwiazd własnych nie ujrzysz p o d sobą!"

O tak! Na dół spozierać na samego siebie i na gwiazdy własne: to niechaj mi dopiero szczytem moim będzie, pozostało mi to jeszcze do osiągnięcia jako szczyt mój ostatni!

Tak przemawiał do siebie Zaratustra, wspinając się na górę, twar-demi przypowieściami krzepiąc swe serce, gdyż okaleczone było one, jako nigdy przedtem nie bywało. Gdy zaś na przełęcz wstąpił, patrzy, oto w dali widnieje rozłogiem inne morze: Zaratustra stanął i milczał długo. Noc zaś mroźna była na tej wysokości, widna i gwiaździsta.

— Poznaję dolę mą — rzekł wreszcie w smutku. — Niech się stanie! Jam gotów. Oto poczęła się w tej chwili ma ostatnia samotność.

Och, to czarne, smutne morze pode mną! Och, ten brzemienny po-nocny smutek mój! O dolo ma i morze! Ku wam to z s t ą p i ć muszel

Przed najwyższą swą górą staję i przed najdłuższą pielgrzymką, przeto głębiej zstąpić muszę, niżlim kiedykolwiek zstępował — głębiej w ból, niżlim kiedykolwiek to czynił, w najczarniejszą zanurzać się muszę falę! Dola ma tego chce. Niech się ma wola dokona! Jam gotów.

Skąd pochodzą najwyższe góry? — pytałem się niegdyś. Nauczono mnie, że z morza one pochodzą. Świadectwo to w głazie wypisane mają i w skalnych ścianach swych wierzchołków. Z największej głębi muszą najwyższe szczyty ku swojej wydzwigać się wyży.

E. Tak mówił Zaratustra, stojąc na szczycie góry, gdzie chłód panował; pty jednak w pobliże morza zeszedł i gdy wreszcie samotny pośród przybrzeżnych stanął, zdrożonym się wówczas poczuł i jeszcze rdziej roz tęsknionym.

— Oto wszystko we śnie jeszcze spoczywa — rzekł — i morze JH jeszcze. Sennie i obco spoziera ku mnie jego żrenica.

Oddycha wszakże ciepło, czuję to. I to czuję jeszcze, że ono śni. to wije się śniące na twardem podłożu.

Słuchaj! bacz! Jak od złych wspomnień jęczy ono! Lub od złych zeczuc może?

Och, jam jest pełen smutku wraz z tobą, ciemny ty potworze; trapię również i o ciebie. Och, że też ma dłoń nie dość siły posiada! Chętnie, zaprawdę, wygoliłbym ja cię ze złych snów twoich!

Gdy Zaratustra te słowa rzekł, zaśmiał się z samego siebie pełen lętku i goryczy. Jakże to, Zaratustro! więc i morzu nawet chcesz jiewać ukojenia?

Och, ty szaleńcze, z nadmiaru miłości, radosnem zaufaniem pijany! ;z takim byłeś mi zawsze: zbliżałeś się zawsze ufnie ku wszelkim ropnościom.

Każdego potwora nawet radbyś głąskać. Jedno tchnienie ciepłego lechu, nieco miękkih kudłów na łapie — a wnet gotów bywałeś cochać to i ku sobie wabić.

M i ł o ś ć jest niebezpieczeństwem samotnika, miłość ku wszystkie-ju, co t y l k o żyj e! Śmiechu warto, zaprawdę, me szaleństwo i me liarkowanie w miłości!

Tako rzekł Zaratustra i zaśmiał się po raz wtóry, lecz oto wspomniął mszczonych przyjaciół i zdało mu się, że swemi myślami im się sprze-swierzył, zapłonął przeto gniewem przeciw własnym myślom. I stało niebawem, że śmiejący się płakał — z gniewu i tęsknoty płakał arzko Zaratustra.

O WIDMIE I ZAGADCE

1.

Gdy pośród żeglarzy gruchnęła wieść, że Zaratustra bawi na okręcie, wraz z nim wsiadł był na okręt jeden człowiek z wysp szczęśliwości. powstała wondrous ciekawość wielka i oczekiwanie. Lecz Zaratustra mil-czał dwa dni, był tak zimny i głuchy w zasmuceniu swem, że na spojrzenia i pytania nie odpowiadał zgoła. Pod wieczór wszakże dnia drugiego, aczkolwiek milczał wciąż jeszcze, rozwarł przecie uszy swoje: gdyż wiele rzeczy dziwnych a niebezpiecznych usłyszeć można było na tym okręcie, co z dalekich stron wracając, w dalekie udawał się kraje. Zaratustra zaś miłował tych wszystkich, co dalekie podróże czynią i bez niebezpieczeństwa żyć nie potrafią. I tak oto w słuchaniu rozwiązał się wreszcie i jego język, a lody wokół serca stopniały — wondrous w te przemówił słowa:

— Warn, odważni poszukiwacze, usiłowacze, wam wszystkim, którzy, podstępny powierając się żaglom, na groźne wypływacie morza.

Wam, upojeni zagadką, radośni zmrokiem, wam, których dusze w każdą błędną czeluść fletnie wabią, bo tchórzliwą dłonią dzierżyć się nici przewodnich wy wszak nie pragniecie; a gdzie o d g a d n ą ć zdołacie, tam nienawidzicie d o c h o d z e n i a .

Wam to wyłącznie opowiem zagadkę, którą u j r z a ł e m — widmo naj samotni ej szego.

Ponury szedłem oto poprzez trupio siny zmierzch, ponury i twardy na duchu, z zaciśniętymi wargi. Niejedno bo słońce zaszło było już dla mnie

Ścieżka, co hardo po żwirze się wspina, ścieżka złośliwa, samotna, której już ani chwast, ani krzew nie dogadza; perć górską zgrzytała pod hardem stąpieniem nogi mojej.

Kroczyłem niemy pośród szyderczego zgrzytu krzemieni, depcząc nogą kamienie, które w ruch wprawiałem: tak oto zmagaly się me nogi ku górze.

Wzwyż — temu duchowi na przekorę, co je wstecz, w przepaść ciągnął, duchowi ciężkości, szatanowi memu i wrogowi najzaciętszemu, Wzwyż — aczkolwiek na mnie on siedział, na poły karzeł, na poły kret, bezwładny, obezwładniający; ołów w uszy mi sączący, kroplisto ołowiane myśli w mózg mój.

— O Zaratustr — syczał szyderczo zgłoska w zgłoskę — ty ka mieniu mądrości! Wysokość ty się wyrzucił, lecz każdy wyrzucony kamień musi padnąć! "

O Zaratustro, kamieniu mądrości, ty kamieniu z kuszy, gwiazdy druzgoczący kamieniu! Samegoś siebie wyrzucił tak wysoko, lecz każdy wyrzucony kamień opadnąć musi!

Skazany na samego siebie i na samoukamenowanie: o Zaratustro, wysokość kamień ty wyrzucił, lecz na c i e b i e kamień ten opadnie!"

Po czym zamilkł karzeł i przycichł na długo. Milczenie jego dławiło mnie wszakże; będąc tak oto we dwóch, jest się zaprawdę samotniej-szym niżli sam ze sobą!

Wspinałem się, wspinałem wciąż, marzyłem, rozmyślałem, lecz r wszystko przygniatało mnie. Byłem jak człowiek chory, którego bolesne katusze męczą, a zły sen raz po raz z zasypiania budzi.

Jest we mnie jednak coś, co się odwagą zowie: zabijała ona zawsze : wszelkie pogębienie. Odwaga ta nakazywała mi wreszcie stanąć i zapytać: „Karle! Ty! Albo ja!"

Odwaga jest najlepszym zabójcą — odwaga, która n a c i e r a : gdyż 'w każdym natarciu dźwięczy surma.

Człowiek jest najdzielniejszym zwierzęciem: tem przemaga każde ^zwierzę. Dźwiękiem surmy przemagał nawet ból każdy; a ból człowieczy jest bólem najgłębszym.

Odwaga zabija również i zawrót nad przepaścią; a gdzież nie staje człowiek nad brzegami przepaści! Nie jestże widzenie — widzeniem przepaści?

Odwaga jest najlepszym zabójcą — odwaga zabija nawet litość. Za-się litość jest najgłębszą przepaścią: im głębiej człowiek wejrzy w życie, tem głębiej wgląda w cierpienie.

Odwaga jest najlepszym zabójcą — odwaga, co n a c i e r a : ona zabija nawet śmierć, gdyż mawia: „Byłoż to życie? Dalejże! Jeszcze raz!"

A w takim rzeknięciu jest wiele z dźwięcznej surmy. Niech słuca, kto ma uszy!

2.

— Stój! karle! — rzekłem. — Ja! Albo ty! Jam silniejszy z nas dwóch; ty nie znasz mej myśli przepaścistej! J e j b y ś udźwignąć nie zdołał!

Wówczas stało się coś, co mnie lżejszym uczyniło: zeskoczył mi z ramion karzeł ciekawy! I przykucnął na kamieniu tuż przede mną. Gościniec wiódł właśnie pod bramę w tem miejscu, gdzieśmy się zatrzymali.

— Spójrz, karle, na ten gościniec pod bramą — mówię do niego — dwa oblicza ma on w tem miejscu. Dwie drogi zbiegają się tutaj: nikt jeszcze dróg tych do końca nie zeszedł.

Ta długa droga wstecz: po wieczność ciągnie się ona. Owa zaś droga przed się — to druga jest wieczność.

Przeczą sobie te drogi; zderzają się one ze sobą głowami: i tu oto przy tej bramie zbiegają się ze sobą. Imię podbramia stoi oto wypisane: Chwila.

Lecz gdyby ktoś jedną z tych dróg poszedł dalej, jeszcze dalej i wciąż jeszcze dalej, sądzisz, karle, że te drogi wiecznie sobie przeczą?

— Wszystko proste kłamie — odparł karzeł wzgardliwie. — Wszelka prawda jest krzywa, czas nawet jest.-kołem.

— Ty duchu ciężkości! — odparłem gniewnie — nie ułatwiałże sobie zbyt! Albo cię tu pozostawię, gdzie utkwieś, kuternogo! A zaniósłem cię wszak w y s o k o !

Spójrz — mówię dalej — na tę chwilę! Od tego podbramia chwili bieży druga wieczna droga wstecz: poza nami leży wieczność.

Nie przebiegłoż wszystko, co z rzeczy wielkich biec tylko zdoła, już raz tej drogi? Nie musiałoż wszystko, co pośród rzeczy wszelkich stać się może, już raz się stawać, dokonywać, przebiegać?

A skoro wszystko już było, co sądzisz, karle, o tej oto chwili? Czyż to podbramie nie było już raz niegdyś?

I czy rzeczy wszelkie nie są tym ładem ze sobą zwiłkane, że ta oto chwila w s z y s t k i e przyszłe rzeczy za sobą wlecze? A w i ę c i samą siebie na domiar?

Gdyż co z rzeczy wszelkich biec może: i tę długą drogę, przed się wiodącą, raz jeszcze przebiec musi!

I ten pajak powolny, co w świetle księżycowem pełza, i ta poświata księżycowa, i ja, i ty na gościńcu pod bramą zaszeptani obaj, o rzeczach wiecznych zaszeptani, czyż my wszyscy nie musieliśmy już niegdyś tu oto być? i czyż nie musieliśmy powrócić, tą oto drogą wciąż na nowo biec, aby t a m t ą długą, okrutną drogą wiecznie na nowo powracać?

Takom mówił, a coraz to ciszej, gdyż trwożyły mnie myśli me jawne ukryte. I oto, nagle, usłyszałem psa wyjącego.

Czyżbym ja już słyszał psa tak wyjącego? Myśl ma wstecz pobiegła. Tak jest! Ongi, gdy dziecięciem byłem, w najodleglejszym dzieciństwie, wówczas słyszałem psa tak oto wyjącego. I widziałem go wówczas o zjeżonej sierści, z głową do góry zadartą, drżącego na ca-łem ciele, w te. najcichszą widziałem go noc, kiedy i psy, zda się, w upiory wierzą, aż mnie litość zdjęła.

Właśnie księżyc o tę porę w pełni wschodził, w milczeniu grobowem stanął ponad domem krągłą zagwią, stanął cicho na płaskim dachu jako na cudzej własności, przeto przeraził się w onczas pies: gdyż psy wierzą w upiory i złodziei. A gdy go po raz drugi tako wyjącego słyszał, zdjęła mnie litość ponownie.

Lecz gdzie się karzeł podział teraz? Gdzie podbramie? I pajak? I szeptanie nasze? Sniłbymże ja? Czyżbym się przebudził? Oto pośród dzikich zwałów skalnych staję nagle samotny w głuszy okólnej, w naj-głuchszej poświacie księżycyca.

Lecz tam oto leży człowiek! Zaś tu! Pies najeżony skacze do pana, a skoro mnie tylko ujrzał, zawył ponownie, z a k r z y c z a ł — czyżbym już słyszał niegdyś psa tak o pomoc wołającego?

I, zaprawdę, com ujrzał, tegom nigdy jeszcze nie widział. Ujrzałem młodego pastucha, miotającego się po ziemi, dławiącego się w kurczowych podnietach, o twarzy potwornie wykrzywionej: długi czarny wąż zwisał mu z gęby.

Czyżem widział kiedykolwiek tyle wstrętu i bladego przerażenia w cudzej twarzy? On spał zapewne? I wąż wpełził mu w gardziel, i wgrzył się w nią mocno.

Dłoń moja targąła węża, targąła co sił — daremnie! wyrzecz węża z gardzieli nie zdołała. Wówczas krzyknęło coś ze mnie: Ukaś! Gryź!

Głowa precz! Gryź! — tak oto krzyczały ze mnie przerażenie, nienawiść, wstręt i litość spodem: wszystko me zło i dobro krzyknęło ze mnie tym jednym okrzykiem.

Do mnie, odważni! Wy poszukiwacze, usiłowacze, wy wszyscy, co, podstępny powierając się żaglom, na niezbadane wypływacie morza! Wy zagadką weselni!

Zgadnijcież mi oto zagadkę, na którą w onczas patrzałem, wytłumaczcież mi to widmo największego samotnika!

Gdyż widmem to było i przyszłości widzeniem, c om w onczas w przerośni widział? I k i m jest ten, co kiedyś przyjąć jeszcze musi?

K i m jest ów pastuch, któremu wąż w gardziel wpełził? K i m jest ten człowiek, któremu tak oto wszystko, co najcięższe, najczarniejsze w gardziel wpełźnie?

Pastuch wszakże ugryzł, jak mu to krzyk mój radził; przygryzł dobrym kęsem! Daleko od siebie wypłuł głowę węża i skoczył na nogi.

Nie pasterz to, nie człowiek już — przeistoczony, olśniony, c o ś m i a ł się wraz! Przenigdy nie śmiał się na świecie człowiek, jako t e n się śmiał!

O bracia moi, śmiech jam słyszał, co człowieczym nie był śmiechem — i oto pragnienie mnie pali, tęsknota, co się nigdy nie ukoi.

Tęsknota za owym śmiechem trawi mnie: och, jakże ja zdołam żyć jeszcze! I jakżeby zdołał teraz umrzeć!

Tako rzecze Zaratustra.

O SZCZĘŚLIWOŚCI W BREW WOLI

Z takimi zagadkami i goryczami na dnie serca przeprowiał się Zaratustra przez morze. Gdy jednak cztery już tylko doby oddzielały go od wysp szczęśliwości i od przyjaciół, wówczas pokonał wszystek ból swój — zwycięską i pewną nogą stanął znowuż na swej doli. I wówczas przemówił Zaratustra temi słowy do swego weselnego sumienia:

— Sam jestem znowuż i sam chcę pozostać, sam z niebem czystym i morzem wolnym; i znowuż popołudniowa stoi wokół pora.

W popołudniową godzinę spotkałem po raz pierwszy swych przyjaciół, o teje porze po raz wtóry — w godzinę, kiedy się wszelkie światło ucisza.

Gdyż wszystko, co ze szczęścia jest jeszcze w drodze między niebem i ziemią, szuka sobie przytułku w świetlanej duszy: w s z c z ę ś c i u uciszyło się teraz światło wszelkie.

O popołudniu życia mego! Niegdyś zstąpiło i m o j e szczęście w niziny, aby przytułku sobie poszukać, i znalazło te oto otwarte i gościnne dusze.

O popołudniu życia mego! Czegóżem ja nie oddał, com niegdyś posiadał; ten żywy posiew swych myśli i ten blask poranny swej najwyższej nadziei!

Towarzyszy szukał niegdyś twórca i dzieci s w e j nadziei — i oto tego się wreszcie doszukał, że ich nigdzie znaleźć nie zdoła, chyba że ich wprzód sam potworzy.

I tak oto jestem w połowie dzieła swego: od dzieci moich idący i do nich powracający: kwoli dzieciom swym winien Zaratustra samego siebie wydoskonalać.

Gdyż z głębi duszy kocha się tylko własne dziecko i dzieło własne; a gdzie jest wielka miłość ku samemu sobie, tam jest i wróżebne znamię brzemienności: takom ja znajdował.

Zielenią mi się jeszcze działki moje w pierwszej wiosnie swej, w gęstej gromadzie skupione i społem jednymi miotane wichry: owe drzewa ogrodu mego i mej nadziei ogrójca.

I zaprawdę! Gdzie drzewa takowe zwarto stoją, tam są wyspy szczęśliwości!

Lecz rozsadzę kiedyś drzewa swoje i każde na osobności postawię, aby się tako samotności uczyło, zuchwałstwa a baczenia.

Sękaty a pokrzywiony, jako drzewo górskie o podatnej twardości, niechaj nad morzem stoi niby wieża ogniowa niepokonanego życia.

Tam, gdzie nawałnice w morze się walą, gdzie olbrzymia trąba gór wodę spija, tam oczekują każdego dzienne straże i nocne czuwania, aby s a m e g o s i e b i e poznał i doświadczył.

Poznanym i doświadczanym ma być każdy, zali jest z mego rodu i pochodzenia, zali jest panem woli długiej, milczącym nawet wówczas, gdy mówi, i ustępstwa w taki sposób dającym, że w dawaniu bierze.

Aby kiedyś moim towarzyszem się stał, współtwórcą Zaratustry i wspólnym z nim świętującym — aby się stał takim, co moją mi wolę na moich wypisze tablicach: ku *rzeczy* wszelkich doskonalszemu dokonaniu.

W imię więc jego i jemu podobnych samego siebie udoskonalić muszę, przeto szczęścia się swego teraz oto uchylam i wszelkiej ofiaruję niedoli — kwoli s w e m u ostatniemu doświadczeniu i poznaniu.

I zaprawdę, czas był już po temu, abym dalej szedł: i pielgrzymy cień, i najdłuższa chwila, i najcichsza godzina — wszystko mówiło mi: czas to najwyższy!

Wionął mi wiatr poprzez szczelinę zamku i powiedział: „Chodź!” Rozwarły się drzwi podstępnie i rzekły: „Pójdź!”

A jam leżał, skowany miłością ku dzieciom swoim: pożądanie zarzuciło na mnie te pętle — pożądanie miłości, abym się dzieciom własnym łupem stał i dla nich zaprzepścił.

Pożądać — znaczy mi to: już się zaprzepścić. Ja w a s mam, d z i e c i m o j e! W tem posiadaniu niechaj wszystko będzie pewnością i niepożądaniem niczego.

Zapładniając leżało na mnie słońce mej miłości, we własnych sokach prażył się Zaratustra — i oto pomknęły ponad mną cienie i wątpliwości.

Stałem się już żądny zimy i mrozu: „O, gdybyż mróz i zima zżymać się znów i parskać mi kazały!” — tak oto wzdychałem i wnet lodowate mgły wystąpiły ze mnie.

Ma przeszłość groby swe zburzyła, ocknął się niejeden za żywa pochowany ból — przespał on się tylko w całuny spowity.

I tak oto nawoływało mnie wszystko wiecznymi znaki: „Czas już!” Lecz ja nie baczyłem na to, aż wreszcie przepaść ma drgnęła i ukąsiła mnie myśl moja.

O myśli przepaścista, któraś moją jest myślą! Kiedyż znajdę tę siłę, aby słysząc, jak się przekopujesz, nie drzeć w sobie?

Aż pod gardło tłucze się we mnie serce, gdy słyszę, jak się przekopujesz! Nawet twe milczenie dusi mnie, ty, przepasnie milcząca!

Jeszcze się nigdy nie ważył wywołać ciebie: wystarczyło mi już to, żeś cię dźwigał! Nie dosyć jam jeszcze silny był na to lwie zuchwalstwo i ochoczość hardą.

Dosyć grozy było mi zawsze w twoim ciężarze, lecz znajdę ja kiedyś siły ku temu i ten głos lwa znajdę, co ciebie wywoła!

Gdy się ku temu przewycięzę, przemogę się jeszcze ku czemuś wyższemu, a zwycięstwo niech mi będzie pieczęcią dokonania!

Tymczasem snuję się jeszcze po niepewnych morzach; zdradliwy schlebia mi przypadek; przed się i wstecz spozieram — wszakże końca jeszcze nie widzę.

Jeszcze nie wybiła godzina mej ostatniej walki — lub czyżby się ona teraz oto zbliżała? Zaprawdę, podstępem pięknem spogląda na mnie zewsząd morze i życie!

O popołudniowa życia mego godzino! O szczęście me przedwieczne! O przystani na pehiem morzu! O spokoju wpośród niepewności! Jakże ja wam wszystkim nie dowierzam!

Zaprawdę, nie ufam ja podstępnemu pięknu waszemu! Jestem jak ów kochający, co na zbyt aksamitny uśmiech podejrzliwie baczy.

I swą kochankę od siebie odpycha, w surowości nawet jeszcze tkliwy, zazdrośnik ten — tako i ja odpycham od siebie tę błogą godzinę.

Precz mi stąd, błoga ty godzino! Wraz z tobą nawiedza mnie szczęśliwość wbrew woli! Oto staję tu gotów do najgłębszego cierpienia — nie w porę nawiedzasz mnie ty!

Precz mi stąd, błoga ty godzino! Zagość raczej tam — pośród dzieci mych! A śpiesz się! i błogosław je przed wieczorem i m o j e m szczęściem!

Lecz oto wieczór się zbliża: chyli się słońce. Przepadło me szczęście!

Tako rzecze Zaratustra. I oczekując noc całą na swą niedolę, oczekiwał daremnie. Noc była jasna i cicha, i oto szczęście zbliżało się ku niemu: bliżej, coraz bliżej. Nad ranem zaśmiał się Zaratustra z całego serca i rzekł drwiąco: „Szczęście ugania się za mną. Pochodzi to stąd, że nie uganiam się za kobietami. Szczęście wszakże jest kobietą”.

PRZED WSCHODEM SŁOŃCA

O niebo ponade mną przeczyste! Głębokie! Świetlana ty przepaści! Ku tobie spozierającego, dreszcz boskich przejmuję mnie pożądań.

W twą wyz siebie rzucić — oto m o j a głębia! W twą czystość siebie ukryć — oto m o j a niewinność!

Boga własne przysłania piękno: tako i ty gwiazdy swe ukrywasz. Ty się mową nie głosisz: i tak oto zwiastujesz mi swą mądrość.

Nieme nad rozfalowaniem weszło mi dziś morzem, twa miłość i wstyd twój rzecze objawieniem do mej rozfalowanej duszy.

A żeś piękne ku mnie weszło, przysłonione pięknem swem, że niemo do mnie przemawiasz, objawione w swej mądrości.

O, jakżebym ja mógł nie odgadnąć całej wstydlivosti twej duszy! Przed słońcem weszło ku mnie, najsamotniejszemu.

Myśmy przyjaciele od przedpoczątku: nam troska, groza i dno rzeczy jest wspólne; i okrom tego słońce naszą jest spólnotą.

My nie przemawiamy do siebie, jako że zbyt wiele wiemy — wza-jemnym milczeniem i uśmiechy ślemy sobie wiedzę swoją.

Nie jesteś ty światłem mego ognia? Nie maszże ty siostrzanej duszy dla mego wnikania?

Społem uczyliśmy się wszystkiego, społem nauczyliśmy się ponad siebie ku sobie wstępować i bezobłocznie uśmiechać — uśmiechać bezobłocznie z świetlanych źrenic, a milowych dali, wczas gdy na niżach przymusy, cele i winy jako deszcze dymią.

A gdym samotny wędrował, czyż nie łaknęła ma dusza po nocach i na ścieżkach swych błędnych? A gdym na góry się wspinał, czyż nie szukałem ja na górach?

A wszystkie te mfeje wędrowania i po górach wędrowki — niedołęstwą były wszak one i wybiegiem niezaradnego: latać chciała jedynie wola ma cała, w c i e b i e oto wlecieć!

I czegożem ja bardziej nienawidził ponad rozwłócone chmury i wszystko, co ciebie plami? I swą nienawiść nienawidziłem ponadto, iż ona ciebie kalała!

Dla tych rozwłóconych chmur ziobym ja pełen, dla tych pełzających kotów drapieżnych: mnie i tobie kradną one nasze wspólne, olbrzymie, nieogarnięte „tak!” i „amen!”

Dla tych pośredników i mątw pełni jesteśmy żłoby, dla tych chmur rozwłóconych: dla owych połowicznych, co ani błogosławić, ani kłać nie potrafią.

Raczej pod zamkniętem niebem w beczcze tkwić, raczej bez nieba na dnie przepaści trwać, niżli ciebie, świetlany niebios stropie, rozwłóczonemi chmury zbrukany widzieć!

Po tylekroć brała mnie ochota złotym zygzakiem błyskawicy przygwoździć je do nieba, aby jako piorun na ich kałdunach, niby na kotłach, zabębnić — tym gniewem mściwy pałkierz, że mi twe „tak!” i twoje „amen!” kradną — niebios ty stropie ponade mną przeczyste! Świetlany! Światła ty przepaści! — że mi m o j e „tak!” i m o j e „amen!” zrabować chcą.

Bo ścierpię ja raczej łaskoty, gromy i wszystkie kłątwy nawałnicy niżli ten przebiegły, wąpiący spokój kotów; a i pośród ludzi najserdeczniej nienawidzę wszystkich lekko stających, połowicznych i wąpiących: te ociągające się rozwłócone chmury.

„A kto błogosławić nie umie, niechaj kłać się n a u c z y !” — ta jasna nauka z jasnego spadła mi nieba, ta gwiazda pośród czarnych nawet nocy świeci na moich niebiosach.

Ja zaś jestem błogosławiącym i zawołanie „tak” głoszącym, skoro ty tylko jesteś ponade mną, przeczyste! Świetlane! Światła ty przepaści! — we wszystkie otchłanie wniosę ja jeszcze me błogosławiące „tak”!

Błogosławiącym jam się stał; zawołanie „tak” głoszącym: przełom tak długo się borykał, aby mieć kiedyś wolne dłonie ku błogosławieństwu.

A tem jest błogosławieństwo moje: ponad *rzeczą* wszelką jako własne jej niebo stać, jako dach jego krągły, jako dzwon jego lazurowy i pewność jego wieczna: błogosławiony zasię ten, kto tak błogosławi!

Gdyż rzeczy wszelkie ochrzczone są przy krynicy wieczności i poza złem a dobrem: dobro zaś i zło międzycienie są to tylko, i wilgłe smętki, i chmury rozwiózone.

Zaprawdę, błogosławieństwo to, a nie lżenie, gdym pouczał: „Ponad rzeczami wszystkimi stoi niebo przypadku, niebo bezwiny, niebo trafu, niebo zuchwałego pokuszenia”.

„Z łaski trafu” — oto najstarsze szlachectwo świata, jam je zwrócił rzeczom wszelkim, wyzwoliłem *rzeczy* spod jarzma celu.

Tę swobodę i niebios radosność postawiłem jako dzwon lazurowy ponad rzeczami wszelkimi, gdym pouczał: „Wśród wszystkiego jedno niemożliwe — rozsądek!”

Nieco rozumu wprawdzie, siemię mądrości rozproszone jest od gwiazdy do gwiazdy — zacyzn ten domieszany jest rzeczom wszelkim: w imię szaleństwa domieszana jest mądrość rzeczom wszelkim!

Nieco mądrości jest wprawdzie możebne, lecz tę błogą pewność znalazłem pośród *rzeczy* wszelkich: że one bardziej jeszcze rade na nogach przypadku z a t a ń c z y ć.

O niebios stropie ponade mną przeczyste! Wyniosły! Tem jest mi oto twa czystość, że wieczne pająki rozumu i rozumu pajęczyny nie istnieją wcale, i żeś tanecznem ty boiskiem dla boskich przypadków, żeś mi boskim jest stołem dla boskich kości i graczy!

Lecz ty rumienisz się oto? Zalimż powiadał o niewypowiadalnym? Zalimż bluźnił, chcąc ciebie błogosławić?

Lub jest to może ów wstyd we dwoje, co nam rumienić się każe? Nakazujesz mi może odejść i zamilknąć, jako że d z i e ń się zbliża?

Świat głębią jest — a głębszą, niżli myślał dzień. Nie wszystkiemu wobec dnia słowem głosić się wolno. Wszakże dzień nadchodzi: roz-łączmyż się tedy!

O niebios stropie ponade mną wstydlivy! Płomienny! O szczęście ty moje przedstoneczne! Idzie dzień: nam się rozstać należy!

Tako rzecze Zaratustra.

Zda się, ogłupiałe dziecko wyjęło je z pudełka swych zabawek? Obyż czem prędzej przyszło drugie, by je nazad do pudła schować!

Och, te pokoiki i komory: mogąż tu krzątać się m ę ż c z y ź n i? Wydają mi się one raczej zrobione dla lalek jedwabnych lub dla tych kotek łakomiś, co rade łasoniom same za łakotkę wyshżyć.

Zaratustra zatrzymał kroku i popadł w zadumę. Wreszcie rzekł chmurnie: — W s z y s t k o z m a ł a ł o !

Wszędzie widzę niższe wrota: kto m o j e g o jest rodu, przejdzie przez nie wprawdzie, lecz pochylić się musi!

Och, kiedyż powrócę do swej ojczyzny, gdzie nie będę potrzebował przechylać się, pochylać p r z e d m a ł o ś c i ą ! — Zaratustra westchnął i spojrzął w dal.

Wszakże tegoż dnia jeszcze wygłosił mowę swą o cnocie zmniejszającej.

O CNOCIE ZMNIEJSZAJĄCEJ

1.

Gdy Zaratustra znowuż do stałego ładu przybił, nie ruszył on na schwał w góry ku jaskini swej, lecz na drogach okólnych i wśród pytań wielu czynił wywiady o tem i owem, aż wreszcie zaśmiał się z siebie w te słowa: „Patrzcie mi na rzekę, która w wielu skrętach płynie wstecz, ku źródłom!” W wywiadach swych pragnął zasięgnąć języka, co w czasach nieobecności jego stało się z c z ł o w i e k i e m: zali większym się stał, czy też zmałał jeszcze. Razu pewnego ujrzał szereg nowych domów; zadziwił się wówczas i rzekł:

— Co oznaczają te domy? Zaprawdę, niewielka postawiła je dusza, sobie na podobieństwo!

Chadzam ja pośród tego ludu i otwartemi spoglądam oczyma: nie wybaczą mi tego nigdy, że nie jestem zazdrosny o ich cnoty.

Gryźć mnie chcą za to, że pouczam: dla małych ludzi potrzebne są małe cnoty, oraz że z trudem przyswajani sobie tę mądrość, iż mali ludzie są p o t r z e b n i !

Ileszczem jest jako kogut na cudzem podwórzu, którego kury nawet dziobem bodą; wszakże nie jestem tym kwokom niechętny.

Jestem dla nich pełen ugrzecznienia, jak dla każdej małej zgryźli-wości; najeżać się wobec błahostek wydaje mi się mądrością jeży.

Wszyscy oni mawiać zwykli o mnie, gdy wieczorem wokół ogniska zasiądą — mówią o mnie, lecz nikt o mnie nie myśli!

Oto nowa cisza, której zaznałem: „Ich gwary wokół mnie rozpościerają płaszcz na myślach moich”.

Czynią więc gwary między sobą: „Co znaczy ta ponura chmura? baczmyż, aby nam zarazy nie przyniosła!”

Zaś niedawno porwała kobieta dziecko, co się do mnie garnęło: „Zabierajcie dzieci precz! — wołała — takie oczy urzekają dusze dziecięce”.

Pokasłują, gdy przemawiam: mniemają, że kasłanie jest zarzutem przeciw silnym wiatrom — nie odgadują mi wzburzenia mego szczęścia!

„Nie mamy jeszcze czasu na Zaratustrę” — przeciwiają mi się; lecz cóż należy na takim czasie, który dla Zaratustry nie ma czasu?”

A nawet gdy mnie stawiają: jakżebym ja mógł na i c h sławie spocząć? Kolczastym pasem jest mi ich chwalba: drapie mię wówczas jeszcze, gdy go precz odrzucę.

I tego jeszcze nauczyłem się pośród nich: chwalcący, zda się, zwraca, w rzeczywistości chce być jeszcze bardziej obdarzonym!

Zapytajcie stopy mej, zali jej dogadzają te wabienia i chwaleb sposoby! Zaprawdę, w taki takt i w rytmy takie ani tańczyć nie zechce, ani w miejscu stać nie zapagnie.

Ku małej cnocie chcieliby mnie przywabić i przychwalić; do taktu małego szczęścia radzi by stopę mą podmówić.

Chadzam pośród tego ludu i otwartemi oczyma spoglądam: zmaleli mi oni i maleją coraz bardziej — s p r a w i a t o i c h n a u k a o s z c z ę ś c i u i c n o c i e .

Albowiem i w cnocie nawet skromni są — gdyż dążą do błogiego zadowolenia. Z błogością wszakże godzi się wyłącznie skromna cnota.

Uczą się wprawdzie i oni kroczyć na swój sposób, kroczyć naprzód: c h r o m a n i e m z w ę t o w n i c h . Tem stają się też przeszkodą dla każdego, komu pilno.

A niejedyn z nich przed się patrzy, a prężąc szyję, wstecz się obziera. Takiego w mym biegu rad z nóg powalam.

Noga i oczy kłamać nie powinny, ani sobie kłamu zadawać. Wiele jest wszakże kłamliwości pośród małych ludzi.

Niektórzy pośród nich mają chęci, większość wszakże ulega chęciom. Niektórzy z nich są prawdziwi, większość jest złymi aktorami.

Bywają między nimi aktorzy wbrew wiedzy i aktorzy wbrew woli — prawdziwi są zawsze rzadkością, osobliwie prawdziwi aktorzy.

Męskości w tem wszystkim niewiele i dlatego też zmęzniają swe kobiety. Lecz ten tylko, kogo na twardą męskość stać, zdoła w kobiecie — kobietę wyzwolić.

Zaś ta obłuda zda mi się u nich najgorszą: że nawet i ci, którzy rozkazują, naśladowują cnoty tych, co służą. „Służę, służysz, shiżymy — tak modli się ta obłuda panujących — a biada, gdy pierwszy pan jest tylko pierwszym sługą!”

I śladem ich obrady wybiegało również oko mej ciekawości; i do-brzem ja odgadł całe to ich szczęście musze oraz to ich bzykanie po słonecznych szybach.

Ile dobroci, tyle słabości widzę. Ile sprawiedliwości i współczucia, tyle słabości.

Głacy, poczciwi i dobrodusznicy bywają między sobą; jako ziarnka piasku, gładko, poczciwie i dobrodusznie przylegają do ziarn piasku.

Skromnie małe szczęście przygarnąć — to się u nich nazywa „poddaniem się!”, a przy tem już zerkają skromnie w stronę nowego małego szczęścia.

Z głębi serca pragną najpoczciwiej jednego tylko: aby im nikt dolegliwości nie przyczyniał. Uprzedzają tedy każdego, czyniąc mu miło.

Jest to wszakże tchórzostwem: aczkolwiek zwie się cnotą.

A gdy nagle szorstko przemówią owi ludzie mali, ja słyszę wówczas tylko ich chrypkę — każde wiatru tchnienie przyprawia ich o chrypkę.

Roztropni oni są, ich cnoty mają mądre palce. Lecz brak im pięści, ich palce nie potrafią pod pięściami się przyczajać.

Cnotą jest dla nich to, co skromnym i obłaskawionym czyni: i tak oto robią z wilka psa, a z człowieka najlepsze zwierzę domowe.

„My w złotym usadawiamy się środku — tyle mi mówią ich umizgi — równie daleko od umierających zapaśników, jak i od zadowolonych świni”.

Jest to wszakże mierzność: aczkolwiek zwie się umiarkowaniem.

3.

Chadzam ja pośród ludu tego i niejedno słowo po drodze rzucam: lecz oni brać nie potrafią, ani zachować nie umieją.

Dziwią się, że nie przyszedł chuci i występków gromić; i zaprawdę, nie na tom ja przyszedł, abym przed złodziejami kieszonkowymi ostrzegął!

Dziwią się, że nie jest pohopny do wysubtelniania i zaostrzania mędrkowań ich rozsądku: jak gdyby nie dość mieli tych mędrków, których głos jest dla mnie jak zgrzyt szyfra po tablicy!

A gdy wołam: „Przekleństwo wszystkim tym tchórzliwym dyabłom w was, co skwierczą, ręce składają i bogomolstwa czynić gotowi”, won-czas krzyczą: „Zaratustra jest bezbożnikiem”.

Osobliwie mistrze poddania się, lecz im to właśnie najchętniej w uszy krzyczą: „Tak! Jam jest Zaratustra, bezbożnik!”

Ci mistrze poddania się! Gdziekolwiek jest tylko mizernie, choro-wicie i parszywie, tam pełzają jak wazy; i wstręt jedynie powstrzymuje mnie od ich rozgniatania.

Oto jest moje kazanie dla ich uszu: jam jest Zaratustra, ów bezbożnik, który powiada: „Któż jest bardziej bezbożnym ode mnie, abym się od niego pouczał?”

Jam jest Zaratustra, bezbożnik: gdzież znajdę równych sobie? Zaś równymi są mi ci wszyscy, którzy nadadzą sobie własną wolę i wyzbędą się wszelkiego poddania.

Jam jest Zaratustra, bezbożnik: przypadkowe nawet zdarzenia prze-gotowuję we własnym garnku. I wówczas dopiero, kiedy mi się ugotowały, rad je pożywam jako swój pokarm.

I zaprawdę, niejednen przypadek zbliżał się do mnie władczo: lecz bardziej jeszcze władcza przemawiała doń ma wola — i oto leżał wnet błagalnie na klęczkach, błagając, zali przytułku i serca u mnie nie znajdzie, i przymawiając się pochlebnie: „Spojrzyjże, Zaratustro, jak druh do druha przychodzi!”

Lecz po cóż ja to głoszę, skoro nikt moich uszu tu nie ma! Będę więc wołał na wszystkie wiatry:

Malejcie mi coraz bardziej, wy, ludzie mali! Odkruszacie się, wy, zadowoleni! Zniszczycie wy mi jeszcze zgoła od tych wielu małych cnót swoich, od wielu swoich małych zaniechań, od wielu małych poddań się!

Nazbyt oszczędzające, nazbyt ulegające: takim jest królestwo wasze! Lecz, aby drzewo na wielkie wyrosło, winno wokół twardych skał twarde zarzucić korzenie!

I to nawet, czego nie chcecie, snowa tkaninę wszelkiej przyszłości człowieczej; nawet wasze nic jest pajęczyną i pajakiem, co z krwi przyszłości żywie.

A gdy bierzecie, jest to jako kradzież, wy, mali cnotliwcy; lecz nawet pośród łotrów powiada honor: „Nie należy kraść tam, gdzie zrabować można”.

„Jakoś to będzie” — taka jest nauka waszego poddania się. Lecz ' powiadam ja wam, wygodni poczciwcy: coś u bę d z i e i pocznie z was coraz bardziej ubywać!

Och, bodajżeście się wyzbyli wszelkiego półchcienia i stali się wolą stanowczą, zarówno do bezczynnu, jak i do dzieła!

Och, bodajżeście to słowo me pojęli: „Czyńcież mi, co zechcecie, lecz bądźcież mi wprzód takimi, co chcieć mogą!”

„Kochajcież swych bliźnich jako samych siebie, lecz bądźcież mi wprzód takimi, którzy samych siebie kochają wielką miłością i wielką wzdargą miłujący!” Tak mówi Zaratustra, bezbożnik.

Lecz po cóż ja to głoszę, skoro nikt moich uszu tu nie posiada! Jeszcze ja tu o godzinę za wczesny.

Własnym ja tu poprzednikiem pośród tego ludu, własnym kura pieniem po ciemnych zaułkach.

Lecz ich godzina wybije! Nadejdzie wondrous i moja! Z godziny na godzinę stawać się będą mniejsi, ubożsi, bezpłodniejsi — biedne zielsko, biedna kraina!

I nie b a w e m będą mi jak sucha trawa i step, i zaprawdę! sobą umęczeni i bardziej niżli wody, o g n i a żądni!

O błogosławiona godzino błyskawicy! O tajemnico przedpołudniowej pory! Biegnące ognie uczynię z nich kiedyś i zwiastunów o płomiennych językach, aby zwiastowały kiedyś płomiennymi języki: „Oto idzie, zbliża się, w i e l k i e idzie p o ł u d n i e!”

Tako rzecze Zaratustra.

NA GÓRZE OLIWNEJ

Zima, gość dokuczliwy, przebywa w domu moim, pośmiały dłonie me od jej przyjacielskiego uścisku.

Godność ja mu świadczę, gościowi memu złemu, lecz rad pozostawiani go samego. Rad precz go odbiegam; a kto s z y b k o biega, ten umknąć mu się zdoła!

Na ciepłych nogach i z gorącem! myślami biegnę tam, gdzie wiatr się ucisza, do słonecznego zakątka mej Góry Oliwnej.

Tam śmieję się z surowego gościa i wdzięczny mu nawet jestem, że mi muchy z domu powymiała i wiele małych zgiełków uciszy.

Cierpieć on mianowicie nie może, gdy komar śpiewać zechce, lub zgoła dwa komary; i ulicę tak mi przy tem osamotni, że księżycowa poświata trwoży się w niej po nocy.

Surowy to gość — cześć mu wszakże oddaję, bo nie modłę się ja jako piecuchy do kałduniastych bałwanów ogniska.

Raczej zębami nieco podzwonić niżli bałwanom się kłaniać! — mój to obyczaj. A osobliwie złobym jest pełen dla tych gnuśno kiernożących się, pełnych swędu i zatęchlizny bałwanów ogniska.

A gdy kocham, kocham lepiej zimą niżli latem; lepiej i serdeczniej drwię ja z wrogów swoich od czasu, gdy zima u mnie gości.

Serdecznie, zaprawdę, czynię ja to nawet o tej jeszcze porze, gdy w łożę z a p e ł z n ę — wówczas śmieje się jeszcze i swawoli me za-petźle szczęście; śmieje się jeszcze sen mój ływy.

Ja — pełzaczem? Przenigdy nie pełzałem przed potężnymi, a jeśli kłamał kiedy, kłamałem z miłości. Przetom jest radosny i w zimowym nawet łożu.

Liche łożę grzeje mnie lepiej niżli łożę bogate, gdyż jestem zazdrosny o ubóstwo swoje. Zaś zimą jest mi ono najwierniejsze.

Złośliwością dzień każdy poczynam: drwię z zimy chłodną kąpielą, mruży przeto surowy mego domu przyjaciel.

Rad go przy tem łechczę świeczką woskową, aby mi niebo wreszcie wyzwolił z popielistego zmierzchu.

Osobliwie złośliwy bywam rankiem: o wczesnej godzinie, gdy kubel przy studni zgrzyta, a konie ciepło po szarej ulicy parskają.

Niecierpliwie wyczekuję wonczas, póki mi jasne nie wszędzie niebo, niebo zimy śnieżnobrode, starzec ów białogłowy, niebo zimy milczące, co nieraz i słońce swe przemilcza!

Zali od niego nauczyłem się ja długiego światłego milczenia? Lub ono ode mnie przejęło je może? Lub czyżby każdy z nas sam je sobie wynalazł?

Wszelkich dobrych rzeczy poczynanie tysiąckrotnem bywa, wszelkie dobre, ochocze rzeczy w skok się ujawniają, sama ochota do istnienia je woła: jakżeby one miały czynić to raz jeden tylko!

Dobrą, ochoczą rzeczą jest i długie milczenie; jako zimowe niebo spozierać światłem krąglookiem obliczem, jak ono, słońce swe przemilczać i swą nieugiętą wolę słoneczną: zaprawdę, sztukę tę i tę zimy swawolę przejąłem ja dobrze!

Najdroższą mą złościwością i sztuką mą jest to, że się me milczenie nauczyło, jakby się milczeniem nie zdradzać.

Słowem i kośćmi grzechocząc, zwiodłem wszystkich wyzyskiwaczy uroczystych: wszystkim tym surowym baczycielom wymknąć się winna ma woła i cel mój.

Aby mi nikt na dno me i wolę ostatnią nie zajrzał, ku temu oto wynalazłem swe długie światłe milczenie.

Niejednym widział z przezornych, co lice swe przysłaniał i wodę swą mącił, aby go nikt wskroś i w głąb nie przejrzał.

Lecz do niego to właśnie zbliżali się najprzebieglejsi z nieufnych i orzechów najlepsi wyluskiwacze: jemu to właśnie wylawiano najbardziej ukryte ryby!

Lecz ci jaśni, ci żwawi, ci przejrzysci — oto mi są najmądrzejsi z przemilczających, których dno tak głębokie bywa, że nawet najjaśniejsza woda dna tego nie zdradzi.

Śnieżnobrode, milczące zimy ty niebo, krąglooka biała ty głowo ponade mną! O ty niebiańska przenośnio duszy mojej oraz jej swawoli!

Zalim nie p o w i n i e n się ja ukrywać jako ktoś, co złoto połknął, aby mi duszy nie rozplatano?

Zalim ja koszturów dźwigać nie powinien, aby długie me nogi przeoczyli, wszyscy ci zawistnicy i litośnicy wokół mnie będący?

Te dymiące, piecuchowe, zużyte, przekwitłe, utrapione dusze — jakżeby ich zawiść m o g ł a znieść me szczęście!

Przeto pokazuję im tylko lody i zimę na wierzchołkach swych — zaś n i e to, że góra moja jeszcze i słońca wszystkie zawoje wokół siebie zarzuca!

Słyszają wszak tylko mych zimowych zamieci poświsty: zaś n i e to, że i ja ponad ciepłemi niosę się wody jako tęskne, ciężkie i gorące wichry południa.

Litują się nad mymi wypadki i przypadki — lecz m o j e słowo brzmi: „Pozwólcie przypadkowi przyjść do mnie: niewinny jest on jako dziecię!”

Jakżeby me szczęście oni znieść m o g ł i, gdybym wypadkami, zimy niedolą, czapicami niedźwiedzi białych i śnieżnego nieba osłonami szczęścia swego nie osłaniał!

I gdyby mnie samemu luto się nie stało od ich litowania: od litości tych zawistników i litośników!

I gdybym sam się przed nimi nie uskarżając i zębami nie podzwaniając, nie z e z w a l a ł cierpliwie, aby mnie ich litość otulała!

Tem jest mej duszy swawola i dobra dla ludzi woła, że swej zimy i mroźnych swych zamieci n i e u k r y w a; nie ukrywa ona i odmrożeń swoich.

Samotność jednych, to ucieczka chorego, samotność innych jest ucieczką p r z e d chorym.

Niechże więc słyszą, jak oto zębami podzwaniem i wzdycham na zimowym mrozie, niech słyszą ci wszyscy, krzywo na mnie spozierający pocziwcy! Z takim oto wzdychaniem i zębów podzwaniem uciekam precz od ich nagrzanym izb.

Niechże mi współczują i współ wzdychają nad temi odmrozinami memi: „Przy lodzie poznania z a m a r z n i e on nam jeszcze!” — tak oto wyrzekają.

Tymczasem biegam ja na ciepłych nogach tam i siani po wzgórzu swem — w słonecznym zakątku swej Góry Oliwnej śpiewam i szydę z wszelkiej litości.

Tako śpiewał Zaratustra.

O MIJANIU

Drogi okólne wiodły Zaratustrę przez ludów i miast wiele, w powolnej wędrówce zbliżał się tak oto ku górcom swym i ku jaskini. Aż tu nagle ujrzał przed sobą bramę wielkiego miasta: wyskoczył z niej błazen spieniony i, rozwarłszy ramiona, zastąpił mu drogę. Był to ten sam błazen, którego lud zwał „małpą Zaratustry”, gdyż przejął był on nieco ze zdań Zaratustry i zapożyczał się chętnie ze skarbicy jego mądrości. Błazen zwrócił się do Zaratustry w te słowa:

— O Zaratustro, tu jest wielkie miasto, ty nie znajdziesz tu niczego, a stracić możesz wszystko.

Czemuż to chcesz w tym mule grząźć? Pożałowanie miej dla nogi własnej! Spluń lepiej na bramę miejską i zawróć!

To piekło jest dla myśli samotnika: tu wielkie myśli za żywa warzą i na mialkość gotują.

Tu gniją wszystkie wielkie uczucia: tu wolno tylko wyschłym na wióry czułościowościom kołatać!

Zali nie czujesz już rzeźni i garkuchni ducha? Czyż nie dymi to miasto wyparem zarżniętego ducha?

Zali nie widzisz, jak tu dusze wiszą niby zwiotczałe, brudne łachmany? A oni jeszcze gazety z tych łachmanów robią!

Zali nie słyszysz, jak się tu duch stał już tylko stów igraszką? Wstrętne słowa pomyjami rzyga on tylko! A oni jeszcze gazety z tych pomyj robią!

Szczują się nawzajem, a nie wiedzą, dokąd? Gorączkują się wzajemnie, a nie wiedzą, czemu? Pobrzkują swemi brzękadły, podzwaniają swem złotem.

Bywają zimni i szukają ciepła w wodach wysokowych; bywają rozpaleni i szukają ochłody u duchów zamarzłych; wszyscy oni są mdli i ochorziali od opinii publicznych.

Wszystkie występki i chuci są tu u siebie w domu; lecz i tu bywają cnotliwi, jest tu wiele podatnej, urzędy sprawującej, cnoty.

Wiele cnoty podatnej o palcach piszących, o wysiadach twardych i cierpliwych, cnoty błogosławionej maiemi gwiazdy na piersiach i wy-pchanemi bez kupra córami.

Jest tu też i wiele pobożności, a wśród bohomołstwa wiele śliny połykania i pochlebstw zgotowywania dla Boga hufów orężnych.

Z góry wszak pada gwiazda na pierś i ślina łaskawa; ku gorze tęskni każda bezgwiazdna pierś.

Za księżycem gwiazdy, a za dworem dworskie cieleća: do wszystkiego, co z dworu, modli się plemię żebracze i podatna żebraków cnota.

„Służę, służysz, służymy” — takie oto modły zanosi każda podatna cnota ku księciu, aby zasłużona gwiazda uczepliła się wreszcie wąskiej piersi!

Księżyc obraca się wokół wszystkiego, co ziemskie: tako obraca się książę wokół *rzeczy* najbardziej ziemskiej — jest nią złoto kramarzy.

Bóg hufów orężnych nie jest bogiem targów pieniężnych; książę układa, zaś kramarz włada!

Na wszystko, co jasne, silne, dobre w tobie, o Zaratustro! spluń na miasto kramarzy i zawróć czem prędzej!

Tu przez wszystkie żyły płynie krew gnilna, ciepława, pienna: spluń na wielkie miasto, które jest wielkim ściekiem, gdzie wszystkie szumowiny spieniają się do kupy.

Spluń na miasto wgniecionych dusz, wąskich piersi, zawistnych oczu i lepkich palcy — na miasto natrętów, bezczelników, krzykaczy a baz-graczy i próżnością rozjątrzonych, gdzie wszystko skażone, osławione, zmurszałe, owrzdzone, spiskujące, w ropień wielki zbiera — spluń na wielkie miasto i zawróć!

Tu przerwał Zaratustra spienionemu błaznowi i zatkał mu usta dłonią.

— Zaprzeżaj wreszcie! — krzyknął Zaratustra — mierzi mnie i mowa twoja, i osoba twoja!

Czemuś tak długo u bagna przebywał, żeś sam zabłądził i ropuchą się stał?

Czy w twoich oto żyłach nie płynie już ta gnilna i pienna krew bagniska, żeś się nauczył tak rechotać i złorzeczyć?

Czemuś w lasy nie poszedł? Czemu ziemi nie orzesz? Wszak pełne są morza ogródców zielonych?

Gardzę ja twem gardzeniem; a zanim mnie ostrzegać, przecz siebie samego nie ostrzegłeś?

Z miłości jedynie winna wzbijać się ma wzgarda i ptak mój ostrzegawczy, lecz nie z bagna!

Zwą cię małpą moją, błaznie ty spieniony, lecz ja zwę cię świnia mą rechczącą — rechtaniem swem popusujesz ty mi me sławienie błazeństwa.

Lecz cóż to cię przede wszystkim rechać nauczyło? Że ci nie dość schlebiano — i przetoś przy tym ścieku zasiadł, abyś miał powody do rechantania, abyś miał powody do wielorakiej zemsty! Zemstą oto, błaznie ty próżny, jest twe pienienie się całe — odgadłem ja cię przecie!

Lecz twe słowa błazeńskie szkodę mi czynią, nawet wówczas, gdy słusność jest za tobą. I gdyby słowo Zaratustry po stokroć prawem było: jedno twoje słowo zawsze by tylko — nieprawość czyniło!

Tako rzekł Zaratustra; spojrzął na miasto wielkie i zamilkł na długo. Wreszcie w te odezwał się słowa:

— Obmierze jest mi to miasto wielkie i nie tylko błazen ten. I tu, i tam nic polepszyć, nic pogorszyć się nie da.

Biada temu wielkiemu miastu! Chciałbym już widzieć ten słup ognisty, w którym ono spłonie!

Gdyż takie słupy ogniste poprzedzać muszą wielkie południe. Lecz to ma własnych dziejów czas i dolę swą własną.

Lecz tę ci naukę daję, błaznie, na pożegnanie: gdzie kochać nie można, tam należy mijać!

Tako rzekł Zaratustra i minął błazna oraz miasto wielkie.

O ODSZCZEPIENCACH

1.

Biada! wędło i brunatnie rozpościera się oto błonie, tak niedawno jeszcze zielone i barwiste! Ileż miodu i nadziei zebrałem ja z niego !w ule swe!

Postarzała się cała ta młodzież — lub bodajże nie postarzała się nawet! Stała się tylko zmęczona, popospolita, wygodna — zwą to oni: „Pobożnymi staliśmy się znowu”.

Wszak niedawno jeszcze patrzałem na to, jak na skore nogi o wczesnym zrywali się zaranku: lecz pomęczyły się ich nogi, a teraz oto wypierają się nawet męstwa swego jutrzeznego!

Zaprawdę, niejedyn z nich podnosił niegdyś swe nogi jako tancerz, / wabił go śmiech w mej mądrości — lecz oto namyślił się inaczej. Widziałem go właśnie, jak w pałąk zgięty — do krzyża się czołgał.

Wokół światła trzepotali się niegdyś jak ćmy i młodzi poeci. Nieco starsi, nieco chłodniejsi, a już oto zacofańcy, nury i piecuchy.

Struchlało im może serce na widok, jak mnie oto samotność, niby wieloryb, połknęła? Lub może uszy ich oczekiwały długo tęsknie, a d a - r e m n i e na mojej trąbki głos i heroldowe wołania?

Och! niewielu zawsze takich bywało, których serce zdolne jest do długiej odwagi i otuchy: takich ludzi duch cierpliwym bywa. Pozostali to tchórze.

Pozostali — to są zawsze ci najliczniejsi, ci codzienni, zbyteczni, ci, których jest o wiele za wiele — oni wszyscy tchórzami są!

Kto mojego jest zachowania, temu tylko moje wydarzenia przytrafiać się mogą: tak, że za pierwszych towarzyszy mieć będzie trupa i poliszynela.

Wtórymi towarzyszami zaś będą mu jego wyznawcy: żywotny to rój, wiele tam miłości, wiele szaleństwa, wiele golowatego uwielbienia.

Do tych wyznawców sercem lgnąć nie powinien, kto między ludźmi mojego jest zachowania; w te wiosny i łany barwiste wierzyć nie powinien, kto płochość i tchórzliwość ludzkiej zna natury!

Gdyby inaczej mogli, inaczej by też chcieli. Połowiczni psują wszystko całe. A że liście wędną — czegoż tu biadać!

Zaniechaj więc ich, o Zaratustro, i nie biadaj już! Raczej zamij gwałtowniejszymi wichry między nich.

Zamij między te liście, o Zaratustro, aby wszystko p o w i ę d l e jeszcze prędzej ciebie odbiegło!

2.

„Pobożni staliśmy się znowu” — wyznają dziś ci odszczepieńcy; zaś niejedyn z nich jest nawet zbyt tchórzliwy, aby to wyznał.

Takim w oczy zaglądam — takim powiadam w oczy i w sromny krasę ich policzków: jesteście tacy, którzy się znowu modlą!

Aliści hańbą jest modlenie się! Acz nie dla wszystkich, wszelako dla ciebie i dla mnie oraz dla tych, którzy swe sumienie w głowie mają. Dla ciebie hańbą jest modlenie się!

Wiesz wszak o tem: tchórzliwy to dyabeł w tobie rad ręce składa, rad ręce zakłada i wygodniej sobie czyni — dyabeł ten tchórzliwy szepcze ci: „Istnieje Bóg!”

Lecz tem oto zaliczyłeś się do onego plemienia, pierzchającego przed światłem, które wobec światła nigdy spokoju nie zaznaje; i oto musisz nurzać głowę coraz głębiej w noc i oćmę!

I zaprawdę, dobrą obrałeś sobie porę, gdyż właśnie nocne wylatują znów ptaki. Nastąpiła godzina wszelkiemu stworzeniu, które płoszy się przed światłem, wieczorna godzina odpoczynku, kiedy ono nie spoczywa.

Słyszę ja to i czuję: nastąpiła godzina łowów i krążenia; nie dzikich wszakże to łowy, lecz swojskie, niemrawe cuchanie ostrożnych i cichych świętoszków.

Nastąpiła godzina łowów na uczuciowych utrapieńców: wszystkie pułapki na serca nastawiono znowuż! A gdziekolwiek zasłony uchyle, zewsząd ćma nocna wypada.

Ukrywała się tam snadź wraz z inną ćmą? Gdyż wszędzie węszyć małe ukryte gminy; a gdzie tylko komórki są, tam bywają też i bractwa oraz tuman bogomolców.

W długie wieczory zasiadają oni społem i mawiają: „Bądźmy znowuż jako dzieci i wołajmy: »Panie Boże!«” — rozkapryszony mają oni wargi i popsute żołądki przez pobożnych lukierników.

Lub też przypatrują się długimi wieczory, jak chytry przyczajony pająk krzyżak pająków rozumu uczy i każe: „Pod krzyżami dobrze snuć pajęczyny!”

Lub też całymi dniami z wędką nad bagnami siedzą, mając się za głębokich; lecz kto tam wędkę zarzuca, gdzie ryb nie ma, ten nawet powierzchownym dla mnie nie jest!

Lub też uczą się pobożnie i ochoczo o harfę brząkać u poety pieśniarza, który by młodym samiczkom rad w serce się wharfił, gdyż znużyły go stare samiczki oraz ich chwalby.

Lub też uczą się trwożnych dreszczy u na poły obłąkanego mędrka, oczekującego w ciemnych pokojach, aż go duchy nawiedzą — a duch zgoła go opuści!

Lub też przysłuchują się staremu bzdurnemu mruczydłu, które od ponurych wichrów posepku tonów się nauczyło; a teraz oto wichrom tym we wtór w swe dudy dmie i w ponurych tonach posepek wieści.

Niejedni z nich stali się nawet nocnymi stróżami: potrafią w rogi dać, po nocy błąkać i budzić stare rzeczy, co już dawno zasnęły.

Pięć słów o starych rzeczach zdarzyło mi się słyszeć wczoraj nocą pod murem ogrodowym: pochodziły one z ust tych oto starych, posepnych, zasuszonych stróży nocnych.

„Jak na ojca, troska się on zbyt mało o swe dzieci: ojcowie pośród ludzi czynią to lepiej!”

„Za stary już on! Nie troszczy się już wcale o swe dzieci” — odparł drugi stróż.

„Ma on aby dzieci? nikt tego nie dowiedzie, jeśli on sam tego nie uczyni! Pragnąłem z dawna, aby dowiódł on tego niezbiecie”.

„Dowieść? Jak gdyby on czegokolwiek dowodził kiedy! Dowodzenie z trudem mu przychodzi; wielce on sobie ceni, aby mu w i e r z o n o”.

„Oj, tak! tak! Wiara go uszczęśliwia, wiara w niego. Rzecz zwykła u starych ludzi! I nasza to dola!”

Tak oto mówili dwaj starzy nocni stróże i płoszydła światła, po czem smętnie w rogi swe zadęli; działo się to wczoraj nocą pod murem ogrodowym.

Mnie wszakże skręcało się serce ze śmiechu i pęknać chciało, nie wiedziało kędy? i wreszcie w przepoń zapadło.

Zaprawdę, śmiercią to moją kiedyś będzie, że się śmiechem udławię, patrząc na pijanych osłów lub słuchając, jak oto stróże nocy o Bogu swoim wątpią.

Czy nie minął już dawno czas i na takie wątpiwości? Komuż bo wolno budzić dziś jeszcze te stare śpiące rzeczy, trwożące się światła?

Starym bogom już dawno na koniec przyszło: i zaprawdę, na dobry weselny koniec bogów!

Nie „zmierzchli” oni na śmierć — kłamliwe to powieści! Raczej razu pewnego na śmierć się oni z a ś m i a l i !

Stało się to w onczas, gdy najbardziej bezbożne słowo z ust Boga padło — słowo: „Jam jest Bóg, nie będziesz miał innych bogów obok mnie!” — stary ponury Bóg, Bóg zawistny, zapomniał się tak dalece.

A wszyscy bogowie śmiali się w onczas, chwiali się na swych stolcach, wołając: „Nie jestże to właśnie boskością, że są bogowie, a nie ma Boga?”

Kto uszy ma, niech słucha!

Tak mówił do siebie Zaratustra w mieście, które ukochał, a które mianowanem jest „pstra krowa”. Stąd pozostawało mu już tylko dwa dni drogi do jaskini i do zwierząt nań oczekujących; dusza jego weseliła się nieustannie rychłym powrotem.

POWRÓT

O samotności! Ojczyzno ty moja, samotności! Za długom ja 'przebywał na głuchej obczyźnie, abym bez łez do ciebie miał powracać!

Pogróżże mi palcem, jako matki grozą, uśmiechnij mi się, jako matki uśmiechać się zwykły, i rzeknij: „Któż to był, co niegdyś jak wichura stąd się wyrwał? Co, rozstając się, wołał: »Za długo siadywałem przy boku samotności, otom milczeć się oduczył!« Teraz nauczyłeś się chyba .tego?

O Zaratustro, wiem ci ja wszystko: wiem, że pośród wielu bardziej byłeś o p u s z c z o n y niżli u mnie!

Rzeczą inną jest opuszczenie, inną zaś samotność — to pojąłeś szak teraz! Oraz i to, że pomiędzy ludźmi coraz to bardziej głucho ti obco czuć się będziesz: głucho i obco i tam nawet jeszcze, gdzie cię kochają, gdyż przede wszystkim chcą oni, aby ich o s z c z e d z a n o!

Tu wszakże jesteś u siebie i w domu; tu wszystko wypowiedzieć ożesz, wszystkie swe racje wynurzyć, nic się tu nie sroma utajonych, atamowanych uczuć.

Tu rzeczy wszelkie garną się pieściwie ku tobie i przymilają ci się, gdyż pragną one na twoich barkach pocwałować. Na każdej przenośni cwałujesz ku jakiejś prawdzie.

Prostomównie i otwarcie wolno ci tu do rzeczy wszelkich przemawiać: i zaprawdę, brzmi to ich uszom jak pochwała, gdy ktoś z rzeczami wszelkimi gada prosto!

Inną wszakże rzeczą jest opuszczenie. Wszak pomnisz jeszcze, Zaratustro? Wówczas, gdy ptak ponad głową pokrzykiwał, gdy w lesie Stałeś niezdecydowany, dokąd? nieświadom, kędy? z trupem zbratany, i gdy rzekłeś: »Niechże mnie zwierzęta me powiodą! Niebezpieczniej ;było mi pośród ludzi niżli pośród zwierząt« — o to było opuszczenie!

Wszak pomnisz jeszcze, Zaratustro? Gdyś na wyspie swej siedział iędzy próżnymi kubry, wina studnia, dając i rozdając pomiędzy sprag-inionymi, darując i rozdarowując, aż póki nie znalazłeś się sam spragniony pośród pijanych, by po nocy zawodzić: »Zali branie nie jest bar-idziej błogie niżli dawanie? Zali kradzenie nie czyni bardziej szczęśliwym niżli branie?« — o to było opuszczenie!

Wszak pomnisz jeszcze, Zaratustro? Gdy twa najcichsza godzina nadeszła i od samego siebie cię poniosła, złym szeptem mówiąc: »Rzek-nij i złam się!«, i gdy się nad twem czekaniem i milczeniem rozżaliła, rozbrajając otuchę twą pokorną — o to było opuszczenie!

O samotności! Ojczyzno ty moja, samotności! Jak błogo i pieściwie przemawia do mnie twój głos!

Nie zwykliśmy rozpytywać się wzajemnie, ani użalać się przed sobą, między nami drzwi wszystkie otworem wszak stoją.

Gdyż widne i jawne jest u ciebie wszystko; i godziny nawet na lżejszych biegają tu stopach. Albowiem po ciemku ciężej czas się znosi niżli w świetle.

Tu wszelkiego bytu słowa i słów skrzynie rozwierają się przede mną: wszelkie stawanie się uczyć się chce u mnie, jakby się głośli.

Tam na dole jednak — tam mowa jest daremna! Tam zapominanie i mijanie jest najlepszą mądrością — i t e g o nauczyłem się przecie'

Kto by w człowieku wszystko zrozumieć zechciał, wszystkiego by dotykać się musiał. Lecz na to mam ja zbyt schludne dłonie.

Oddechu ich nawet wdychać ja już nie mogę; och, że też tak długo żyć zdołałem w tym ich gwarze i w złych oddechach!

O ciszo wokół mnie błoga! O czyste wokół mnie wonie! O, jakże ta cisza z głębokiej piersi czysty oddech czierpie! O, jakże ona nadśluchuje, cisza ta błoga!

Lecz tam na dole — tam wszystko gada, tam puszcza się wszystko mimo uszu. Choćby kto swą mądrość dzwonami wydzwaniał, kramarz na rynku zagłuszy ją brzękiem miedziaków!

Wszystko u nich gada, nikt rozumieć już nie potrafi. Wszystko w wodę spływa, nic w głębokie nie wpada studnie.

Wszystko u nich gada, nic im się już nie udaje i niczemu końca już nie patrzeć. Wszystko gdacze, lecz któż w gnieździe siedzieć chce i jaja wylęgać?

Wszystko u nich gada, wszystko bywa zagadywane. I co wczoraj jeszcze było za twarde dla czasu samego i jego zęba, rozżute i roz-mamlane wisi dziś na pyskach współczesnych.

Wszystko u nich gada, wszystkiemu zdrada się gotuje. I co wczoraj jeszcze było tajemnicą i skrytością dusz głębokich, należy dziś do trą-bowców ulicznych oraz innych motyli.

O naturo ty ludzka, przedziwna! Hałasie ty pośród ulic ciemnych! Z dała poza sobą pozostawiłem cię wreszcie — minąłem swe największe niebezpieczeństwo!

Oszczędzanie i współczucie było zawsze mem największym niebezpieczeństwem; zaś każda istota ludzka chce, aby jej oszczędzano i cierpiano z nią społem.

Z przytłumionemi prawdy, z ręką głupca i ogłupiałem sercem, zasobny w małe kłamstwa współczucia — tak oto żyłem ja między ludźmi.

W przebraniu siedziałem pośród nich, gotów samego siebie nie poznawać, aby ich móc znieść, i rad w siebie wmawiając: „Głupcze, ty nie znasz ludzi!”

Przestaje się ludzi rozumieć, gdy się między ludźmi żyje: za wiele planów przednich jest we wszystkich ludziach — cóż by miały tu do czynienia daleko widzące, dalekoduszne oczy!

A gdy mnie oni nie poznawali, oszczędzałem ich, głupiec, bardziej niżli siebie samego: nawykły do surowości dla siebie i nieraz jeszcze na sobie się mszczą za to oszczędzanie.

Od much jadowitych zakłuty, wydrażony jak kamień od wielu kropel złośliwości, tak oto tkwiłem między nimi, mawiając jeszcze do się: „Niewinne jest wszystko małe małości swej!”

Osobliwie zaś między tymi, których „dobrymi” zwa, znajdowałem muchy najjadowitsze: ci kłują z całą niewinnością, kłamią z całą niewinnością; jakżeby oni zdołali być dla mnie sprawiedliwi!

Kto między dobrymi żyje, tego litość uczy kłamać. Litość zagęszcza powietrze wszystkim wolnym duszom. Głupota dobrych jest snadź niezgłębiona.

Samego siebie ukrywać i własne swe bogactwo — oto, czego się nauczyłem tam na dole: gdyż każdy okazał mi się tam ubogim na duchu. I tem było kłamstwo litości mej, żem co do każdego świadom był, żem widział i przeczuwał, ile z ducha było dlań dosyć, a ile z ducha było już za dużo!

Sztywnych mędrców ich zwałem mędrkami, nie sztywnymi — i tak oto nauczyłem się słowa połykać. Grabarzy ich zwałem badaczami i zgłębiaczami — tak oto nauczyłem się słowa zmieniać.

Grabarze chorób się dokopują. Pod starym gruzem złe czyhają woni. Nie należy poruszać bagniska. Na górach żyć należy.

Radosnemi nozdrzami rad górską wdycham swobodę! Wyzwolony jest mój nos od wszelkiej woni człowieczej!

Ostrem łachtana powietrzem, niby winem piennem, kicha ma dusza — kicha i wota do się radośnie: „Zdrowia!”

Tako rzecze Zaratustra.

O TRZECH ZŁACH

1.

We śnie, w ostatniem śnieniu przedporannem stałem na wzgórzu — poza rubieżą świata i ważyłem świat.

O, że też tak wcześniej jutrznia dziś weszła: zbudziła mnie, zazdrosna, płomieniem swym! Zazdrosna bywa ona zawsze o żar mych snów przedporannych.

Wymierny dla tego, kto ma czas, dobremu wazycielowi zważyć się dający, skrzydłom potężnym dosiężny, boskim orzechów wyhiskiwa-czom odgadnąć się dający: takim jawił mi się świat we śnie moim.

Sen mój, żeglarz zuchwały, na poły okręt, na poły wietrznica, jak motyl milczący, jak łowczy sokół niecierpliwy: jakże go to stać było na cierpliwość i skupienie do światów ważenia!

Zachęciła go snadź ma mądrość, ma śmiejąca się mądrość dziennej jawy, co z „nieskończonych światów” sztydzi? Gdyż mawiać ona zwykła: „Gdzie jest siła, tam i liczba stanie się mistrzynią: ona ma więcej siły”.

Jakże pewnie spozierał mój sen na ten świat skończony, ani ciekawie, ani starczo pożądliwie, ani lękliwie, ani też błagalnie.

Niby krągłe jabłko, co się dłoni mej podaje, złote jabłko dostałe o chłodnie łagodnym aksamitnym naskórku — takim jawił mi się świat.

Niby drzewo mnie wabiące, drzewo gałęziste, wołą mocne, wygięte w oparcie i podnóże dla zdrożonego — tak oto stał świat na przedgórzu mem. Niby wążtemi dłońmi podawana mi skrzynia — skrzynia otwarta dla zachwyty wstydlivych uwielbiających oczu — takim jawił mi się dziś świat.

Nie dosyć zagadkowy, aby miłość ludzką od siebie przepłoszyć, nie dość odgadnięty, aby ludzką mądrość uspić — człowieczą, dobrą rzeczą zdał mi się dziś świat, o którym tyle powiadają złego!

Jakżem ja wdzięczny sennemu zwidzeniu, żem o tak wczesnej porze świat dziś ważył! Jako człowiecza dobra rzecz nawiedził mnie dziś ten sen i serca koiciel!

I aby za jawy dziennej nauczyć się jego *rzeczy* najlepszej i naśladować go w niej: rzucę na wagę trzy rzeczy najgorsze i postaram się „dobrze po człowieczemu je odważyć.

Ktokolwiek błogosławić uczył, uczył i przeklinać: jakież więc są na riece najdoskonalej klęte *rzeczy*? Chcę je na wagę rzucić.

Rozkosz, żądza panowania, samolubstwo — te trzy oto były dotychczas najbardziej przeklinane, osławiane i zniesławiane — chcę je dobrze, po człowieczemu odważyć.

Dalej więc! Tu me przedgórze, tam zaś morze się roztacza: przewala się oto ku mnie kudłate i łaszące się — wierny, stary stugłowy potwór, którem umiłowiał.

Dalej więc! Wagę mą trzymać będę ponad przewalającym się morzem: i świadka obieram sobie, aby baczył na mnie — ciebie, drzewo pustelnicze wonne i szerokopienne, ciebie, którem umiłowiał!

Po jakim to moście przechodzi obecność ku kiedyś? Jakim to musiem zmusza się wzniosłość ku niskości? I co znaczy, że największej nawet wyniosłości — w górę jeszcze rósć?

Oto równo i spokojnie stoi teraz waga: trzy ciężkie pytania rzuciłem na nią, trzy ciężkie odpowiedzi dźwiga druga szala.

2.

Rozkosz: dla wszystkich włosiennicowych ciała gardzieli ich żądło i pręgierz, jako świat klęta przez wszystkich zaświatowców, gdyż sztydzi ona i drwi ze wszystkich błędnych i obłądnych mistrzów.

Rozkosz: dla hołoty ogień powolny, na którym się ona spala; dla wszelkiego robaczywego drzewa, wszystkich łachmanów cuchnących gotowy piec do grzania i wrzenia.

Rozkosz: dla serc wolnych niewinna i wolna, ogrójkowe szczęście ziemi, wszelkiej przyszłości nadmiar dziękczynienia składany chwili.

Rozkosz: dla wędłych tylko słodka to trucizna, dla lwią wolą sobą władnych wielkie to serca skrzepienie i kornie strzeżone wino win.

Rozkosz: wielka szczęścia przenośnia dla wyższego szczęścia i najwyższej nadziei. Gdyż wielu rzeczom sądzonem jest małżeństwo i coś więcej niż małżeństwo — rzeczom bardziej sobie obcym niżli mężczyzna i kobieta: a któż pojął kiedy całkowicie, jak o b c y m i są niewiasta i mąż!

Rozkosz: lecz chcę wokół myśli swych opłoty mieć i wokół słów swoich, aby mi w ogrody me nie wtargnęły świni i gnuśniki!

Żądza panowania: różga to płomienna najtwardszych z zatwardziałych serc, okrutne męczarnie, które najokrutniejsi dla samych siebie zachowują, ponury płomień żywych stosów.

Żądza panowania: złośliwy hamulec, nakładany najpróżniejszym ludom, szyderczym z wszelkiej cnoty niepewnej, co na każdym rumaku i na każdej dumie cwałuje.

Żądza panowania: trzęsienie ziemi, co wszystko zmuszała i czcze obala, gromem się tocząca, karząca pobielanych grobów burzycielka; błyskawicowy znak zapytania obok przedwczesnych odpowiedzi.

Żądza panowania: pod jej to wzrokiem człowiek gniew się, pełza, parobcze służby sprawuje i nikczemniejszym się staje od węża i świni — aż póki wielka wzdarda krzykiem z niego nie buchnie.

Żądza panowania: okrutna mistrzyni wszelkiej wzdardy, która miastom i państwom w oblicza każe: „Precz z tobą!” — aż póki ich krzyk nie odpowie: „Precz ze mną!”

Żądza panowania: ta, co wabiąco aż do czystych i samotnych, aż ku samym sobie wystarczającym wyżom sięga, płomienna jako miłość. co purpurowe szczęśliwości na ziemskim maluje niebie.

Żądza panowania: lecz któż by to żądza zwał, gdy się wyże w dół ku mocy pociągane czują! Zaprawdę, nie masz nic chorowitego ani schorzałego w pożądaniach i znijsciach takich!

Aby samotna wyż nie osamotniała się wiecznie i samej sobie wystarczała; aby góra w dolinę zstąpiła, a wichry wyżyn na niziny.

Och, któż znajdzie mi właściwe imię chrzestne, imię cnoty dla takiej i tęsknicy! „Cnota darząca” — temi słowy rzecz nienazwalną nazwał

niegdyś Zaratustra.

I w onczas stało się — i zaprawdę, stało się to po raz pierwszy! — że słowo jego uświęciło s a m o l u b s t w o, krzepkie, zdrowe samolub-stwo, co z potężnej duszy tryska.

Z duszy potężnej, z którą ciało bujne w parze chodzi — piękne, zwycięskie, rześkie, wokół którego rzecz każda zwierciadłem się staje; , ciało giętkie i przekonywujące, ciało taneczne, którego przenośnią i stre-
Szczeniem jest dusza ochocza. Takich ciał i dusz ochoczość zwie się r sama „cnotą”.

Swemi słowy o dobru i złu osłania się taka ochoczość niby gajami | świętymi; imieniem szczęścia swego rzuca kłutwę na wszystko, co po-l gardy godne.

Rzuca kłutwę na wszystko, co gnuśne; powiada ona: „Złe — to [; znaczy tchórzliwie!” Pogardy godnymi zdają jej się ci zawsze troskający się, wzdychający, żalosni i co najlichszej korzyści nie omieszkają ;, skrzętnie zebrać.

Gardzi ona również wszelką do biadań skorą mądrością, gdyż bywa, l zaprawdę, i taka mądrość, co w ciemności rozkwita — mądrość nocnych cieni, a wzdycha ona nieustannie: „Wszystko jest marnością!”

Lękliwa nieufność wydaje się jej czemś miaikiem, oraz każdy, co pragnie przysiąg, zamiast spojrzeń i rąk: podobnież i wszelka zbyt nie-ufna mądrość, gdyż jest ona właściwością tchórzliwych dusz.

Podlejszym snadnie od rychło przypochlebnego zda się jej człek psi, co wnet na grzbiecie leży, pokorny; a bywa i mądrość taka: pokorna, fipsia, pobożna i rychło przypochlebna.

Nienawistnym i wstrętnym jest dlań ten, co bronić się nie chce, kto Jadowitą ślinę i złe spojrzenia połyka, ten nazbyt cierpliwy, wszystko znoszący, na byle czem przestający, gdyż służalczego ducha to rzecz. A czy kto przed bogami i boskimi pomiataniami służalczo się gnie, * czy też przed ludźmi i matofkowatymi sądami ludzkimi, na w s z e l k i e służalstwo ducha piwa ono, samolubstwo owo błogosławione!

„Złe” — tem słowem zwie ono wszystko, co w pałak zgięte, czo-łobitnie służalcze, owe niewolnic mrużące się oczy, zdławione serca i ów : fałszywej uległości obyczaj, co szerokiemi, gnuśnemi wargami całuje.

Oraz mędrkostwo — tem słowem zwie wszystko, co służalcze, starce i zmęczeni mędrkują, osobliwie to zgubne, przebiegłe, przechytne kuglarstwo kapłanów!

Zaś półmędrki te, ci kapłani, ci światem umęczeni, oraz ci wszyscy, których dusza ma coś z kobiety i niewolnika — o jakże ich chóry dawały się samolubstwu we znaki!

I to właśnie cnotą miało być oraz cnotą się zwać, że się samolubstwu wstręty czyniło! I „w zaparciu się siebie” — takimi widzieć się pragnęli nie bez powodu wszyscy ci światem umęczeni tchórze i krzyżaki w pajęczynach!

Lecz wszystkiemu temu wybije godziną, nastanie odmiana i miecz nastanie sędziowski, przyjdzie wielkie południe, w którym niejedno objawionem będzie!

A kto ludzkie „ja” uzdrowi i uświęci, samolubstwo wyzwoli, zaprawdę, wywróży on wróżbiarz i to, co się jemu zwiastuje: „Patrzcie, oto idzie, oto się zbliża, wielkie idzie południe!”

Tako rzecze Zaratustra.

O DUCHU CIĘŻKOŚCI

1.

Me usta — ludu to usta: nadto zgruba, nadto serdecznie gadam ja dla jedwabistych zajęcy. A bardziej jeszcze obco brzmi ma mowa atra-mentnicom oraz lisom biurkowym.

Ma dłoń — sowizdrzała to dłoń: biada wszystkim stołom i ścianom oraz wszystkiemu, co miejsca użyczyć gotowe sowizdrzalskim ozdób-kom i pisankom!

Ma noga — konia to noga: nią to stęgam i cwałuję poprzez wykrot i głąz: przed się, w pola, wschwal; a dyabła uciechy pod skórą mam w szalonym pędzie tym.

Żołądek mój — snadź orła to jest żołądek? Gdyż najchętniej żywi się on jagnięciną. Więc po prawdzie, ptaka to tylko żołądek.

Niewinnym karmem syty, karmem nieobfitym, zawsze gotów i niecierpliwy do lotu, do odlotu — mego to obyczaju rzecz: jakżeby więc we mnie coś z ptaka być nie miało!

Osobliwe, zem jest duchowi ciężkości tak wrogi: ptasiego rodu to znamię — i zaprawdę, temu duchowi jam wrogiem śmiertelnym, pierwotnym wrogiem od prapoczątku! Och, dokądże nie latała i nie po-latywała ma wróżda!

O tem niejedną mógłbym zaśpiewać pieśń i zaśpiewam ją wraz: aczkolwiek sam jeden w pustym siedzę domu i własnym tylko uszom śpiewać muszę.

Bywają wprawdzie inni śpiewacy, którym dopiero pełne sale rozmiękczają gardło, czynią im dłoń wymowną, oko wyrazistem, serce czujnym — jam nie jest jak ci śpiewacy.

2.

Kto człowieka kiedyś latać nauczy, ten wszystkich rubieży kamienie przesunie; wszystkie kamienie graniczne w powietrze mu się uniosą, a ziemię na nowo ochrzcić on będzie musiał jako „lekką”.

Struś biega prędzej niżli najbystrzejszy koń, wszakże i on w ciężką ziemię ociężale głowę chowa: tako i człowiek, co latać nie potrafi.

Ciężką jest mu ziemia, ciężkiem życie; tak duch ciężkości chce! Kto zaś lekkim chce się stać i ptakiem być, samego siebie kochać powinien — tako ja pouczam.

Aliści nie miłością schorzałych i chorzejących, gdyż u nich cuchnie nawet i miłość własna!

Należy nauczyć się samego siebie miłować — tako ja pouczam — czerstwą i zdrową miłością, aby człek z samym sobą rad przestawał i nie wałęsał się wszędy.

Takie wałęsanie się chrzci siebie „miłością bliźniego” — słowem tem dotychczas i kłamano, i obłudy wszelkie czyniono najudatniej, osobiwie pośród tych, którzy całemu światu ciążyli.

I zaprawdę, przykazanie to nie na dziś i nie na jutro, samego siebie kochać się n a u c z y ć. Sztuka to raczej najwykwintniejsza, w podstępny najbardziej zasobna, sztuka ostatnia i najcierpliwszą.

Przed swym właścicielem jest wszelka własność dobrze ukryta, a ze wszystkich skarbów bywa ten własny najpóźniej odkopanym — duch ciężkości to sprawa.

Nieomalże w kołysce dają nam już ciężkie słowa i wartości, jak oto: „dobro” i „zło” — tak się posag nasz zwie. W imię jego wybaczą nam to, że żyjemy.

I przeto pozwala się dziatkom do siebie przychodzić, aby ich zawczasu ostrzec, by siebie nie kochały: tako zdziaływa duch ciężkości.

Zaś my wlecemy sumiennie to, co nam przydano, na twardych wlecemy barkach i poprzez ciężkie drogi! A gdy potniejemy w trudzie, powiadają nam: „O tak, życie jest ciężkiem brzemieniem!”

Lecz człowiekowi samego siebie tylko dźwigać jest ciężko! Jako że zbyt wiele obcego władował na swe barki. Jako wielbłąd przykłęka on i pozwala się dobrze obładowywać!

Osobiwie silny, juczny człowiek, w którym pokora zamieszka, za wiele c u d z y c h ciężkich słów i wartości władowuje on na siebie — i oto życie pustynią mu się zdaje!

I zaprawdę! Nawet niejedna rzecz w ł a s n a jest ciężka do dźwigania! A wiele wewnętrznego w człowieku jest jako ostryga: wstrętne, śliskie i trudne do uchwycenia tak, że szlachetna skorupa ze szlachet-nemi ozdoby orędować tu musi. I tej jeszcze sztuki należy się nauczyć: małżowinę swą m i e ć i piękny pozór, i ślepotę przezorną!

Tysiąckrotnie zwodzi co do człowieka i to, że niejedna skorupa bywa pospolita i smutna, i przy tem zanadto skorupą. Za wiele dobroci i siły nigdy odgadniętem nie bywa; najsmakowitsze kęski nie znajdują smakoszy!

Wiedzą o tem kobiety najsmakowitsze: nieco tustsza, nieco chudsza — och, ileż doli jest w takiej błahostce!

Ciężko odkryć człowieka, najciężej zaś samego siebie; nieraz duch o duszy kłamie. Duch ciężkości to sprawa.

Ten zaś samego siebie odkrył, kto powiada: „Oto jest mój e dobro i zło” — tem zmusił do milczenia kreta i karła, mówiącego: „Dla wszystkich dobry, dla wszystkich zły”.

Zaprawdę, nie znoszę ja i tych, dla których rzecz każda jest dobra, a świat zgoła najlepszy. Takich zwę ja nadto skromnymi. Niewybredność, co wszystko smakować potrafi, to nie jest smak najwykwintniejszy! Szanuję odporne i wybredne języki i żołądki, które nauczyły się mówić „ja”, „tak” i „nie”.

Wszystko w gębę kłaść i wszystko trawić — prawdziwie świński to obyczaj! Zawsze „ta-ak” mówić, tego się osieł tylko nauczył oraz kto z jego jest ducha!

Głęboka żółtość i czerwień gorąca: tak mi smak m o j nakazuje — krew on miesza do wszystkich barw. Zaś kto dom swój pobiela, o pobielaney mówi mi to duszy.

Ci w mumiach zakochani, tamci w upiorach; i jedni, i drudzy wrodzy ciału i krwi — och, jakże się to z moim kłóci poczuciem! Gdyż ja lubię krew.

I tam też mieszkać ani przebywać nie chcę, gdzie wszystko spluwa i piwa — raczej bym żył pośród złodziei i krzwoprzysięzców. Nikt złota w ustach nie nosi.

Wstrętniejszymi są mi jednak śliny zlizywaczy; zaś naj ohydniej sze zwierzę ludzkie, którem kiedykolwiek spotkał, nazwałem pasożytem: zwierzę, co kochać nie chciało, a z miłości żyć pragnęło.

Nieszczęsnymi zwę tych, którym jedno tylko do wyboru pozostaje: albo złemi zwierzętami się stać, albo złymi poskramiaczami; pośród nich nie zbudowałbym ja chaty.

Nieszczęsnymi zwę i tych, którzy ciągle czekać muszą — i ci sprzeciwiają się smakowi memu: wszyscy ci celnicy, kramarze i króle oraz inni krain i sklepów dozorczy.

Zaprawdę, poznałem ja do głębi czekanie — lecz tylko czekanie na siebie. A przede wszystkim uczyłem się stać i chodzić, i biegać, i skakać, wspinać się, a tańczyć.

Lecz oto ma nauka: kto się kiedyś chce lotu nauczyć, winien się wprzód nauczyć stać, chodzić, biegać, wdrapywać i tańczyć — nie .wzlatujeż bo się od razu do lotu!

Po węzłowych drabinach do niejednego wdrapywałem się okna, rą-czemi nogi wspinałem się na niejeden wysoki maszt: na wysokich masztach poznania siadywać wydało mi się niemałą rozkoszą.

Jako małe płomyki na wysokich masztach migać: drobne wprawdzie to światła, lecz wielkie pocieszenie dla zbłąkanych i rozbitków!

Na wielu drogach i wieloma sposoby doszedłem do swojej prawdy:

nie na jednej tylko drabinie wspiąłem się na swą wyżynę, skąd me oko w moje dale wybiega.

I niechętnie o drogi pytałem — przeciwiało się to zawsze smakowi memu! Chętniej zapytywałem drogi same i doświadczałem ich.

Doświadczaniem i pytaniem było wszelkie me chadzanie — i zaprawdę, n a u c z y ć się też trzeba odpowiadać na pytania takie! Lecz takim jest mój smak: ni zły, ni dobry to smak, lecz m o j własny, czego się nie wstydzę i z czym się nawet nie taję.

„Oto — m o j a droga, a gdzież jest wasza?” — tak odpowiadam tym wszystkim, którzy mnie o drogę pytają. Drogi? — nie masz jej zgoła!

Tako rzecze Zaratustra.

O STARYCH I NOWYCH TABLICACH

1.

Oto siedzę tu i czekam, wokół mnie stare potrzaskane tablice, zarówno jak i nowe na poły zapisane. Kiedyż godzina ma nadejść? — godzina mego zniższenia i zająszenia, gdyż raz jeszcze chcę do ludzi zejść.

Czekam tedy: gdyż wprzód znak zwiastować mi musi, że mój a to godzina — lew nadejść winien uśmiechnięty w chmarze gołębi.

Tymczasem jak ktoś, co czas ma jeszcze, mówię z samym sobą. Nikt mi nic nowego nie opowiada: opowiem więc siebie sobie samemu.

2.

Gdym między ludzi poszedł, zastałem ich osiadłych na starej pysze: wszyscy mniemali, że wiedzą już z dawien dawna, co dla człowieka jest dobrem, a co złem.

Starą zamęczoną rzeczą wydawały im się wszelkie gawędy o cnocie; a kto dobrze spać pragnął, ten przed pójściem na spoczynek rozprawiał jeszcze o „dobrem” i o „złem”.

Śpiączkę tę zakłóciłem ja, pouczając: co jest złem, a co dobrem, tego nikt jeszcze nie wie — wyjąwszy twórcę jedynie!

Ten ci zaś jest twórcą, kto człowieczy cel stwarza, ziemi zaś treść i przyszłość nadaje: on dopiero st w a r z a, że coś jest dobrem lub złem.

Wzywałem ich, aby stare obalali kazalnice oraz wszystko, na czym stara rozpierała się pycha; wzywałem ich do śmiechu z ich wielkich mistrzów cnoty, ich świętych, ich poetów, ich świata odkupicieli.

Z ponurych nut tych mistrzów śmiać się nakazywałem i zgoła ze wszystkiego, co, niby czarne na ptaków straszyla, obsiadało drzewo życia.

Na ich wielkim gościńcu grobowców przysiadłem między padliną i sępy — i śmiałem się z całej grobów powagi oraz ich zmurszałej, w gruzy rozpadającej się świetności.

Zaprawdę, jako kaznodzieje pokutni lub sowizdrzały, zawodziłem w gniewie i lamencie nad wszystkim, co w nich jest wielkie i co małe, i że ich najlepsze bywa tak mizerne! I że ich najgorsze jest tak bardzo małe! — oto jakom się śmiał.

Ma mędrca tęsknica wyrывała się ze mnie krzykiem i śmiechem, na górach zrodzona tęsknica, dzika, zaprawdę, ma mądrość! — ma wielka skrzydlata, a rwąca tęsknica.

I porywała mnie nieraz wzwyż i precz wpośród śmiechu mego: i poniosła mnie przecie, trwogą oczekiwania zdjętego, poniosła strzałą poprzez słonecznoupojne zachwycenie.

Hen, w dalekie przyszłości, których żaden sen jeszcze nie oglądał, w gorętsze południe, niżli je kiedykolwiek malarze śnili: tam, gdzie bogowie tańczący szat wszelkich się wstydzą.

Abym wam to w przenośni rzekł, i jako poeta ślaniał się i jękał: i zaprawdę, wstydę się ja, że poetą być jeszcze muszę!

Tam, gdzie wszelkie stawanie się bogów tańcem i bogów swawolą mi się zdało, gdzie świat wolny i rozpętany, i do samego siebie ponownie pierzchający — był jak wieczne pierzchanie i odnajdowanie się wielu bogów, jako szczęśliwości pełne przeczenie sobie, ponowne uleganie i ponowne do się przynależenie wielu bogów.

Gdzie czas wszelki zdał mi się błogim szyderstwem z chwili, gdzie konieczność wolnością snadnie była, kolcem wolności błogo igrająca.

Gdziem szatana swego i prawiecznego wroga odnalazł: ducha ciężkości i wszystkie jego stwory: przymus, przepis, troskę i skutek, i cel, i wolę, i dobro, i zło.

Bo czyż nie powinno istnieć to, p o n a d c z e m tańczyć i płaszać się będzie? Czyż gwoli lekkim i najlżejszym nie powinny — krety i karły ciężkie istnieć?

3.

Tam też i słowo „nadczłowiek” na drodze podjąłem, oraz i to, że człowiek jest czemś, co przewyższonym być winno — że człowiek jest mostem, a nie celem: sławiącym swe szczęście za to południe i wieczór, jako że to jest droga ku nowym jutrzniom.

Podjąłem słowo Zarastury o wielkim południu wraz z tem wszystkim, com ponad człowiekiem zawiesił, niby purpurowe wtórne zorze.

Zaprawdę, nowe ich oczom odkryłem gwiazdy i nowe noce; a ponad chmurami, ponad dniem i nocą rozpiąłem nadto śmiech jako namiot gwiazdzisty.

Nauczyłem ich wszystkich s w y c h myśli i zabiegów: marzeniem i czynem w jedność sprzęgać, co ułomkiem było w człowieku, i zagadką, i okrutnym przypadkiem.

Jako poeta, zagadek odgadywacz i wyzwoliciel przypadku uczyłem ich, jak dzieła przyszłości twórczo się imać, i wszystko, co b y ł o — tworząc wyzwolić.

Przeszłość w człowieku wyzwolić i wszelkie „Tak było” przetworzyć, póki wola nie rzeknie: „Tak właśnie chciałam! Tak chcieć będę” — wyzwoleniem to nazwałem, to jedynie wyzwoleniem zwać ich nauczyłem.

A teraz s w o j e g o czekam wyzwolenia, abym po raz ostatni do nich poszedł.

Gdyż raz jeszcze chcę ja między ludzi: p o ś r ó d nich umrzeć pragnę, konając, chcę im dać dar swój najbogatszy!

Od słońcam się tego nauczył, gdy zachodzi przebogate: złoto sypie podówczas w morze z niewyczerpanej skarbnicy bogactwa, że najuboższy nawet rybak z ł o t e m wiosłem wiosłuje! Ujrzałem ja to niegdyś i przy tem patrzeniu łzami nasycić się nie mogłem.

Jako słońce, tako zająć chce Zarastura: oto siedzi teraz i chwili swej czeka, a wokół niego stare potrzaskane tablice, zarówno jak i nowe — na poły zapisane.

4.

Patrz, oto jest nowa tablica: lecz gdzież są bracia moi, aby mi ją pomogli w doliny znieść i w mięsne serca?

Tak mi ma wielka miłość ku najdalszym nakazuje: n i e o s z c z e d z a j s w y c b l i ż n i c h ! Człowiek jest czemś, co przewyższonym być winno.

Jest wiele dróg i sposobów przewyższenia: bacz więc! Bo tylko kuglarz myśli: „Człowieka można również przeskoczyć”.

Przewyższaj samego siebie nawet i w bliźnim swoim: zaś prawo, które zrabować sobie możesz, dawanem ci być nie powinno!

Co ty czynisz, tem ci nikt odwzajemnić nie może. Zważ, odwetu nie ma.

Kto samemu sobie rozkazywać nie potrafi, ten ulegać powinien. Zaś niejeden u m i e sobie rozkazywać, aliści wiele do tego brak, aby siebie usłuchał!

5.

Takim jest oto szlachetnych dusz obyczaj: niczego nie chcą mieć one darmo, najmniej zaś życia samego.

Kto z motłochu jest, darmo żyć ten pragnie; my zaś, którym się życie dało, rozważamy nieustannie, co byśmy w z a m i a n dać mogli!

I zaprawdę, dostojna to mowa, co powiada: „Co n a m życie obiecuje, dotrzymajmyż tego ż y c i u !”
Nie należy chcieć używać, gdy się samego używania nie daje. I — nie należy c h c i e ć używać!
Użycie i niewinność to najwstydlivsze są twory: nie powinno się ich szukać. Należy je m i e ć — lecz bardziej jeszcze należy winy i bólu s z u k a ć !

6.

O bracia moi, kto pierwszym jest płodem, ten na ofiarę zawsze idzie. Lecz oto my pierworodnymi jesteśmy.

Krwawimy wszak wszyscy od utajonych razów ofiary; płoniemy i spalamy się wszyscy na cześć starych bożyszcz.

Co najlepsze jest w nas, młode to jest jeszcze: drażni to stare podniebienia. Ciało nasze jest wątłe, skóra jest futrem jagnięcia — jakżebyśmy starych bożyszcz kapłanów drażnić sobą nie mieli.

W n a s s a m y c h mieszka on, ten starych bałwanów kapłan, który wszystko, co w nas jest najlepszego, na ucztę sobie warzy. Och, bracia moi, jakżeby pierwsze płody ofiarami być nie miały!

Lecz tego właśnie ród nasz pragnie; kocham zaś tych, co trwać nie chcą. Kocham zachodzących całą swą miłością, gdyż oni to za rubież przechodzą.

7.

Prawdziwymi być m o g ą tylko nieliczni! Kto zaś nim być może, daleki jeszcze jest od chęci! Najmniej zaś być nimi potrafią ludzie dobrzy.

Och, ci dobrzy! — Dobrzy ludzie nigdy prawdy nie m ó w i ą ; dla ducha jest taka dobroć chorobą.

Ustępują oni, ci dobrzy, poddają się wnet, ich serce ulega, ich natura do dna posłuszna bywa: lecz kto innych słucha, ten samego siebie nie słyszy!

Wszystko, co się w dobrych złem zwie, zjednoczyć się musi, aby jedna prawda zrodzona była; och, bracia moi, jesteścież wy mi aby dosyć źli ku t e j o t o prawdzie?

Zuchwałę pokuszenie, długa nieufność, okrutne „nie!”, przesył i cięcie w żywe ciało — jakże to rzadko społem się zbiega! Z takich jednak pasion prawda się rodzi!

O b o k złego sumienia wyrastała dotychczas wszelka w i e d z a ! Łamcie, poznający, łamcie mi stare tablice!

8.

Gdy kłody na wodzie leżą, gdy kładki i poręcze przerzucają się ponad rzeką: zaprawdę, nikt w onczas wiary nie znajdzie, kto głosić zechce: „Wszystko płynie!”

Bo nawet i matolki przeczyć mu wówczas zechcą. „Jakże to? — powiadają matolki — wszystko by rzeką płynąć miało? Wszak kłody i poręcze są p o n a d rzeką!”

„P o n a d rzeką wszystko jest nieruchome, wszystkie wartości rzeczy, mosty, pojęcia, »dobro« i »zło« wszelkie: to wszystko jest n i e r u c h o m e !”

A gdy surowa zima nadejdzie, ów rzek poskramiacz, wówczas i najprzemysłniejsi uczą się nieufności; i zaprawdę, nie tylko matolki powiadają wówczas: „Nie miałoby wszystko w m i e j s c u s t a ć ?”

„W gruncie *rzeczy* wszystko w miejscu stoi” — oto prawdziwa nauka zimowa, rzecz dobra dla czasów bezpłodnych, dobra pociecha dla zapadających w sny zimowe i dla piecuchów.

„W gruncie *rzeczy* wszystko w miejscu stoi” — p r z e c i w t e j nauce każe wiatr wiosenny!

Wiatr wiosenny, ów byk, co wołem do orki nie jest — byk rozwścieczony, burzyciel, co gniewnym rogiem lód rozbija! Lód jednak — k ł a d k i burzy!

O bracia moi, czyż t e r a z wszystko nie p ł y n i e ? Czyż poręcze i kładki w rzekę nie wpadły? Któż by się teraz utrzymać zdołał, „dobra” i „zła” się chwytając?

„Biada nam! Sława nam! Wiatr wiosenny wieje!” — Tak oto głosicie, bracia moi, po wszystkich drogach!

9.

Istnieje stary omam, co się dobrem i złem zowie. Wokół wróżbiarzy i gwiazdździarzy obracało się dotychczas koło tego omamu.

Niegdyś wierzono w gwiazdździarzy i wróżbiarzy, przeto wierzono też, iż „Wszystko jest przeznaczeniem: powinienes, gdyż musisz!”

Po czem nie ufano znów wróżbiarzom i gwiazdździarzom: i przeto wierzono: „Wszystko jest wolnością: możesz, ponieważ chcesz!”

O bracia moi, o gwiazdach i przyszłości rojono dotychczas, brakło jeszcze o nich wiedzy; i przeto o dobru i o złu rojono tylko, nic o nich nie wiedząc!

10.

„Nie będziesz rabował! Nie będziesz zabijał!” — słowa te uważano niegdyś za święte, przed nimi chylono kolana i głowy, zzuwano obuwie z nóg.

Lecz pytam ja was: gdzież byli gorsi na świecie rabusie i zabójcy niż te słowa święte?

Czyż wszelkie życie nie jest samo przez się rozbojem i zabójstwem A gdy słowa powyższe uświęcono, czyż tem samem p r a w d a nie została zabita?

Lub byłoż to może kaznodziejstwo śmierci, uświęcające wszystko, co życiu przeczyło, od życia odmawiało?

O bracia moi, łamcież mi, łamcie stare tablice!

11.

Tem jest me współczucie dla wszelkiej przeszłości, iż oto widzę: na pastwę oddana jest ona — na pastwę łaski, ducha i urojeń pokoleń następnych, które wszystko, „co było”, na most swój przetwarzają!

Wielki, przemocny władca nastać by mógł, niecnotą przemyślny, co by swą łaską i niełaską wszelką przeszłość przemógł i zmógł, póki jego mostem nie stałaby się ona, jego zwiastowaniem, heroldem i koguta pianiem.

Lecz oto drugie niebezpieczeństwo i wtóra litość moja: kto z motłochu jest, tego myśli sięgają wstecz do dziada, a z dziadem i czas się kończy.

I tak oto wszelka przeszłość na łup jest wydana: gdyż zdarzyć się może kiedyś, że motłoch panem się stanie i w płytkich wodach czas wszelki zatopi.

Przeto, o bracia moi, n o w e g o potrzeba szlachectwa, które wszelkiemu motłochowi i wszelkim przemocom — władnym przeciwnikiem będzie i na nowych tablicach wypisze słowo „szlachetnie”.

Wielu szlachetnych potrzeba i wielorakich szlachetnych, aby s z l a c h t a była! Lub, jak to już niegdyś w przypowieści rzekłem: „To właśnie jest boskością, że są bogowie, a Boga nie ma!”

12.

O bracia moi, wyświęcam ja was i wiodę ku nowemu szlachectwu: bądźcież mi rodzicielami i hodowcami, i siewcami przyszłości.

Zaprawdę, nie ku temu wiodę ja szlachectwu, które kupić możecie, jako kramarze, za grosz kramny: gdyż małej wartości jest to wszystko, co cenę posiada.

Nie to, skąd się wywodzicie, cześć waszą odtąd stanowić ma, lecz dokąd zmierzacie! Wasza wola i noga wasza, co ponad was samych wywieść pragną — oto co nową cześć waszą stanowić będzie!

I zaprawdę, nie to, żeście się księciu wysługiwali — cóż na książętach zależy! — lub żeście byli przedmurzem tego, co stoi, aby mocniej jeszcze stało!

I nie to, że wasz ród na dworach dworackim się stał, a wyście się nauczyli, podobni do pstrego czerwona, długie godziny na płytkich wystawach wodach — gdyż u m i e ć stać jest zaletą dworaków; wszyscy zasię dworacy wierzą, że błogości pośmiertnej należy — m ó c siedzieć!

I nie to również, że duch, którego oni świętym zowią, wiódł waszych przodków do ziemi obiecanej, której ja nie sławię, krainy, w której rosło najgorsze ze wszystkich drzew — krzyż; takiej krainy nie ma czego sławić!

I zaprawdę, gdziekolwiek ów „duch święty” rycerzy swoich wiódł, tam pochodom p r z o d o w a ł y zawsze kozy i gęsi, i wszelkie krzyżowe dziwadła i półgłówki!

O bracia moi, nie wstecz szlachectwo wasze oglądać się powinno, lecz przed się wyzierać! Banitami być powinniście ze wszystkich ojczyzn i praocowizn!

Ziemię dzieci waszych ukochać powinniście: ta miłość niechaj będzie waszem nowem szlachectwem — ziemią dzieć waszych nie odkrytą, na rozłogach mórz najdalszych! Krainy tej żaglom waszym nakazuję szukać i szukać bez końca!

Na dzieciach waszych n a p r a w i ć macie to, żeście dziećmi ojców swoich: wszelką przeszłość tak oto wyzwolić winniście! Tę nową tablicę stawiam nad wami!

13.

„Po cóż żyć? Wszystko jest marnością! Życ — to słomę młócić; żyć — to spalać się nieustannie i nigdy się nie zagrzać”.

Takie staroświeckie gadanie uchodzi wciąż jeszcze za „mądrość”; a że stare jest i stęchła ma woń, tem bardziej czczona bywa. Nawet zbutwiałość uszlachca.

Dzieciom wolno by tak mawiać: one t r w o żą się ognia, ponieważ ogień je sparzył! Jest wiele dzieciństwa w starych księgach mądrości.

A kto wiecznie „słomę młóci”, jakżeby ten młóćbie złorzeczyć miał! Takiemu błaznowi należałoby gębę zatkać!

Tacy zasiadają do stołu, nic ze sobą nie przynosząc, nawet głodu nie przynoszą — i oto złorzeczą „wszystko jest marnością!”

Lecz dobrze jeść i pić, o bracia moi, nie jest to czcza sztuka. Łamcież mi, łamcie stare tablice tych nigdy niezadowolonych!

14.

„Dla schludnego wszystko schludne” — powiada lud. Ja zaś rzekę wam: „Świnia wszystko oświni!”

Przeto każą gnuśniki i zwieszające głowę świętoszki, którym i serce już obwisło: „Świat jest plugawym potworem”.

Gdyż oni wszyscy są niechlujnego ducha, osobliwie zaś ci, co nie zaznają ani wytchnienia, ani spoczynku, aż póki świata od t y ł u nie zajdą — ci zaświatowcy!

T y m to powiadam w oczy, aczkolwiek niemiło im to zadźwięczy: świat jest w tem podobny do człowieka, że ma zad — i t y l e waszej słuszności!

Jest wiele plugastwa na świecie i t y l e waszej słuszności! Lecz nie jest świat przeto plugawym potworem!

Mądrość tkwi w tem, że tyle rzeczy na świecie cuchnie: sam wstręt stwarza skrzydła i siły wyczuwające krynice!

W najlepszym jest jeszcze coś wstrętnego; i najlepszy jest czemś, co przewyciężonem być winno!

O bracia moi, wiele mądrości jest w tem, że tyle plugastwa jest na świecie!

15.

Takimi gawędy — słyszałem — przemawiają pobożni zaświatowcy do swego sumienia, i zaprawdę, bez złości i fałszu, aczkolwiek nic fałszywego i bardziej złego na świecie nie ma.

„Niech świat swoją idzie koleją! Palca przeciw temu nawet nie podnoś!”

„Niech tam kto chce ludzi dusi, żga, łupi i skórę z nich zdziera: palca nawet przeciw temu nie podnoś! Nauczycie się wyrzeczenia się świata”.

„Zaś rozum swój własny — tyś sam zdławić i zdusić powinien; gdyż jest to rozum z tego świata — tako będziesz się uczył wyrzeczenia się świata”.

Łamcież mi, łamcie, o bracia moi, te stare tablice świętoszków! Rozsadźcież mi słowy te gawędy czernieli świata!

16.

„Kto uczy się wiele, wyzbywa się wszystkich gwałtownych pożądań” — szepczą to sobie dziś po wszystkich ciemnych zaułkach.

„Mądrość nuży, nie oplaca się nic zgoła; nie powinieneś pożądać!” — tę nową tablicę widywałem nawet na tłumnych targach.

Połamcie, o bracia moi, skruszcie mi i tę nową tablicę! Znużeni światem zawiesili ją, oraz śmierci kaznodzieje, zarówno jak i mistrze kija: gdyż patrzcie, jest ona zarówno kaznodziejstwem, do uległego wzywającym służalstwem.

Ze się źle uczyli, a najlepszego zaniechali, że uczyli wszystkiego za wcześnie i za szybko: że źle ją dali, oto co im zepsuło żołądek.

Zepsutym żołądkiem jest snadź ich duch, co śmierć doradza! Gdyż, zaprawdę, bracia moi, duch jest żołądkiem!

Życie jest krynicą rozkoszy, lecz z kogo zepsuty przemawia żołądek, ten rodzic przygnębienia, dla tego wszystkie źródła są zatrute.

Poznawać: oto rozkosz dla lwia władającego wołą! Lecz kto znużonym się stał, ten już „pastwą woli” bywa, tym wszystkie igrają fale.

I taka jest zawsze słabych ludzi kolej: gubią się oni na własnych drogach. A na ostatek pyta wreszcie ich zmęczenie: „i po cóżeśmy chadzali jakimikolwiek drogi! Wszystko jest zarówno obojętnem!”

Im to miłe w uszach dźwięczy, gdy słyszą kazania: „Nie opłaca się nic! Nie powinniście chcieć!” Lecz to są kazania wzywające do uległego służalstwa.

O bracia moi, świeżym wiatru zawiewem jest Zaratustra dla wszystkich zdrożonych; wiele nosów przyprawi on jeszcze o kichanie!

Nawet i poprzez mury dmie to świeże tchnienie rnoje, w więzienia się przedostaje i do więzionych duchów!

Chcienie oswobadza: gdyż chcieć, znaczy tworzyć. I ty lko ku tworzeniu uczyć się winniście!

I nawet uczenia się ode mnie nauczyć się winniście, dobrego uczenia! — Kto uszy ma, niech słucha!

17.

Oto czeka łódź — tędy to w wielkie Nic płynie się może. Lecz któż w to „być może” zstąpić zechce?

Nikt z was w łódź śmierci zstąpić nie pragnie! Jakże to znużonymi światem chcecie wy się zwać! Światem znużeni! A nawet wyrzekającymi się świata nie staliście się jeszcze! Pełnymi lubieżności ku ziemi widywałem was zawsze, zakochanymi nawet i w tem własnym znużeniu!

Nie darmo zwisa wasza warga — małe ziemskie pragnienie siedzi jeszcze na niej! Zaś w oku waszem — czyż nie snuje się tam jeszcze obłoczek nie zapomnianej rozkoszy ziemskiej?

Jest na tym padole wiele dobrych wynalazków; jedne z nich są pożyteczne, inne znów miłe: za nie też i ziemię miłować należy.

Zaś niejedno jest tak dobrze wynalezione, że jest jako pierś kobieca: i pożyteczne, i miłe zarazem.

Wy światem znużeni! Wy przyziemne leniwce! Różgami smagać by was należało! Smaganiem różeg należałoby was na ochocze postawić znów nogi.

Albowiem skoroście nie chorzy lub zużyci nędznicy, których ziemia sobie znużyła, jesteście przebiegłe leniwce lub łakome, w kątach przyczajone i lubieżne koty. A gdy mi znowu ochoczo biegacie nie zaczniecie, wówczas macie mi się z tego świata precz wynosić!

Przy wszystkim, co nieuleczalne, lekarzem być nie należy: tako poucza Zaratustra — a więc wynoścież mi się precz!

Lecz więcej od wasgi potrzeba na to, aby uczynić wreszcie koniec, niż aby wiersz nowy zrobić: wiedzą o tem wszyscy lekarze i poeci.

18.

O bracia moi, bywają tablice znużenia i tablice, które lenistwo stworzyło leniwe: aczkolwiek jednakowo one przemawiają, odmiennie słuchanemi być winny.

Spojrzyjcież na tego ginącego! Zaledwie stają drogi oddziela go od celu, a ze zmęczenia położył się oto przekornie w pyle — ten ci waleczny!

Ze zmęczenia ziewa na drogę swą, na ziemię, na cel swój i na samego siebie; ani kroku dalej uczynić już nie chce — ten ci waleczny!

I oto słońce go praży, psy pot jego liżą, lecz on leży oto uparcie i raczej zmarnieć tu gotów — o staję od swego celu zmarnieć! Zaprawdę, będziecie go jeszcze musieli wciągnąć za włosy do własnych jego niebios — bohatera tego!

Lepiej uczynicie, pozostawwszy go tam, gdzie zleżał, niechaj sen nań zejdzie, sen ukoiciel, z ochłodnym deszczu poszumem.

Zostawcież go w spokoju, póki sam się nie ocknie — póki sam nie odwoła zmęczenia oraz tego wszystkiego, czem zmęczenie zeń przemawiało!

Baczcie tylko, bracia moi, abyście psy od niego odpędzali, gnuśne płoszyli płazy i wszelkie rojne czerwie — wszelkie te rojne czerwie „wykształconych”, co się potem każdego bohatera raczyć zwykły!

19.

Kręgi wokół siebie zataczam i granice święte; coraz to nieliczniejsi wspinają się ze mną na coraz to wyższe góry: piętrzę szczyty z coraz to bardziej uświęconych gór.

Gdziekolwiek wszakże ze mną wspinąć się będziecie, o bracia moi, baczcie, aby wraz z wami nie wznosił się pasożyt!

Pasożyt: to robak pełzny, przylepny, co utuczyć się pragnie na ran waszych zatajonych cierpieniach.

I t e m jest jego sztuka, że wspinające się wietrzy on dusze, naonczas gdy je zmęczenie ogarnia: w ich trosce, przygnębieniu, we wrażliwym ich wstydzcie ściele on swe gniazdo ohydne.

Gdzie silny słabym się staje, szlachetny zbyt łagodnym — tam oto ściele on swe gniazdo ohydne: pasożyt tam się zagnieżdża, gdzie człowiek wielki ma drobne zatajone rany.

Jakiż jest najszczytniejszy rodzaj wszelkiego bytu, jaki zaś najnikczemniejszy? Pasożyt jest najnikczemniejszym; kto zaś jest najszczytniejszym, ten najliczniejsze żywi pasożyty.

Tak więc i dusza, co najdłuższe ma drabiny i najgłębiej zstępować może — jakżeby na niej pasożyty sadzić się nie miały?

Dusza najbardziej nieogarnięta, która w sobie samej najdalej biegać, błędzić i błąkać się może; dusza najbardziej musowa, która z ochoczości samej w traf na ślepo się rzuca.

Dusza istniejąca, która w stawanie się zanurza; dusza posiadająca, która chcenia i pożądaniami chce. Dusza przed sobą pierzchająca, która, najszerze zataczając kręgi, samą siebie dogania; dusza najmędrsza, dla której sowizdrzalstwo jest rzeczą najślodsza.

Dusza siebie najbardziej miłująca, w której wszystkie rzeczy swe prądy i przeciwrądy, swój przyływ i odpływ mają. Och, jakżeby na j s z c z y t n i e j s z a d u s z a najzłobniejszych pasożytów mieć nie musiała?

20.

O bracia moi, zalimż ja okrutny? Wszakże pouczam: co pada, pchnąć to jeszcze należy!

To wszystko dzisiejsze pada i rozpada się: któż by to podtrzymywać zechciał. Ja wszakże — p r a g n ę to jeszcze pchnąć!

Znacie rozkosz staczania kamieni w przepastne głębie? — Ci ludzie dzisiejsi: patrzcież, jak oni w moje staczają się głębie!

Przegrywką jestem dla lepszych graczy, o bracia moi! Przykładem jestem! N a ś l a d u j c i e ż przykład mój!

O, jako latać nie nauczycie, nauczcież mi go p a d a ć co p r ę d z e j !

21.

Kocham walecznych: nie dosyć to jednak kordem być tylko rąbiącym — należy też wiedzieć „Rąb, a bacz, k o g o z a c z !” I Często więcej waleczności jest w tem, że się ktoś przemoże i minie: laby się dla godniejszego zaoszczędził wroga!

Winniście mieć takich tylko wrogów, których nienawidzić można, nie zaś którymi gardzić należy: winniście być dumni z wroga swego — pouczałem już raz tako.

Dla godniejszego wroga, o przyjaciele moi, zaoszczędzać się winniście: przeto wiele rzeczy mijać wam należy — osobliwie wielu z tej hołoty, co wam w uszy wrzeszczy o narodzie i narodach.

Niech wam oka ich „za” i „przeciw” nie zamącą! Wiele tam słuszności, wiele niesłuszności: kto w to wejrzy, gniew go ogarnia.

Wejrzyć i bić czem prędzej — nieodłączne tam bywa: przeto w lasy idźcie i do snu miecz wasz ułóżcie!

Idźcie w ł a s n e m i drogi! I niechaj naród i narody swojemi idą — ciemne to drogi, zaprawdę, na których ani jedna nadzieja zarnicą już nie błyska!

Niechże kramarz tam panuje, gdzie wszystko, co świeci — kramarza jest złotem! Nie są to już czasy króli: co się dziś narodem zwie, nie zasługuje na króli.

Patrzcież mi, jako narody dziś nawet, niby kramarze, czynią: najmizerniejsze korzyści z każdego podejmują one śmietnika!

Dybią oto na siebie, wydybią coś niecoś od siebie — i zwą to „dobrem sąsiedztwem”. O, błogosławioneż te czasy odległe, kiedy naród mawiał do się: „Chcę nad innymi ludami p a n e m być!”

Albowiem, bracia moi: najlepsze powinno panować, najlepsze chce też panować! A gdzie inaczej brzmi nauka, tam — b r a k najlepszego.

22.

Gdybyż o n i — chleb za darmo mieli, biada! O co by krzyczeli wówczas! Ich zarobkowanie jest dla nich najlepszym zabawianiem się; niechże im więc ono lekko nie przychodzi!

Drapieżne to zwierzęta: nawet w swej „pracy” — i tam nawet jest drapieżnictwo, w ich „zarobkowaniu” — i tam jest chytryść! Przeto niech im to wszystko ciężko przychodzi!

Lepszymi drapieżnikami stać się więc mają, bardziej przebiegłymi, mądrzejszymi, bardziej c z ł o w i e c z y m i, albowiem człowiek jest najlepszym drapieżnikiem.

Wszystkie zwierzęta obrabował już człowiek z ich cnót: jako że ze wszystkich zwierząt żyło się człowiekowi najciężej.

Ptaki tylko są nad nim. A gdyby się człowiek latać jeszcze nauczył, biada! d o k ą d z e b y wzbiła się jego drapieżność!

23.

Takimi chcę mieć męża i niewiastę: bitnym on niechaj będzie, rodną ona, oboje zaś głową i nogami do tańca ochoczy.

I stracony niech dla nas będzie dzień, w którym choć raz jeden się nie pęsało! Fałszywą każda prawda, która choć jednym nie obdarzyła uśmiechem!

24.

Wasze małżeństw zawieranie — baccież, aby nie było złem zawarciem! Bo gdybyście za wcześnie zawarli, złamanie z tego wyniknie — wiary małżeńskiej złamanie!

A lepszym zasię jest ono niżli naginanie małżeństwa, kłamanie małżeństwa! Tak rzekła raz do mnie kobieta: „Złamałam ja wprawdzie wiarę małżeńską, lecz wprzód małżeństwo złamało mnie!”

Źle skojarzone pary były mi zawsze najgorszej mściwości pełne: całemu światu odwzajemnić się starały za to, że samopas iść już nie mogą.

Przeto chcę, aby rzetelni tak oto do siebie mawiali: „Miłujemy się: b a c z m y ż, abyśmy miłowali się i nadal! Nie jestże to nasze przyrzeczenie niebaczością czasami?”

„Zewólcieź nam czas próbny i małżeństwo małe, abyśmy wiedzieli, zali nadajemy się do wielkiego małżeństwa! Wielka to rzecz być zawsze we dwoje!”

Tako radzę wszystkim rzetelnym; bo czemżeby była ma miłość nad-człowieka oraz wszystkiego, co przyjść winno, gdybym inaczej mawiał a doradzał!

Bo nie pienić mi się tylko macie, lecz rozradzać w z w y ż — ku temu, bracia moi, niech wam służy ogrójec małżeństwa!

25.

Kto starych przedpoczątków świadom się stał, ten wreszcie nowych źródeł przyszłości szuka i nowych przedpoczątków.

O bracia moi, niedalekie to już czasy, gdy n o w e l u d y wytrysną i nowe źródła w nowe potoczą się głębie. Trzęsienie ziemi wszak, co wiele zasypuje studzien i wiele zagłady ze sobą niesie, ono wewnętrzne siły i tajniki na światło dzienne wydzwiga.

Trzęsienie ziemi nowe źródła objawia. W trzęsieniu ziemi starych ludów nowe wytryskają źródła.

I kto oto wołać będzie: „Spojrzyj, oto studnia dla wielu spragnionych, oto serce dla wielu tęskniących, oto wola dla wielu narzędzi” — wokół tego zbiera się naród, czyli wielu doświadczających.

Kto rozkazywać może, kto słuchać powinien — t a m s i ę t e g o d o s w i a d c z a ! Och, w jakże długim dzieje się to poszukiwaniu i zgadywaniu, pośród jakich prób nieudanych, pouczają i nowych doświadczeń!

Społeczność ludzka: próbą jest ona i doświadczeniem, tako ja pouczam — długim poszukiwaniem: szuka ona rozkazodawcy! — próbą, o bracia moi! Nie zaś „umową"! Złamcież mi, złamcie to słowo miękkich serc i dusz połowicznych!

26.

O bracia moi! Gdzież jest największe niebezpieczeństwo dla wszelkiej ludzkiej przyszłości? Nie znajduję się ono pośród dobrych i sprawiedliwych? — jako tych, co mawiają i w sercach swych czują: „Wiemy, co zacz dobrem jest i co sprawiedliwym, mamy to wszak już; biada tym, którzy tu jeszcze szukają!"

Jakąkolwiekby szkodę zrządzić zdołali źli: szkoda, czyniona przez dobrych, jest najszkodliwszą szkodą!

Jakąkolwiekby szkodę zrządzić zdołali świata zaprzańcy: szkoda, czyniona przez dobrych, jest najszkodliwszą szkodą.

O bracia moi, dobrym i sprawiedliwym ten oto w serce zajrzał, kto ongi rzekł: „Faryzeusze to są". Nie rozumiano go jednak.

Sami nawet dobrzy i sprawiedliwi zrozumieć go nie mogli: duch ich jest zniewolony przez ich dobre sumienie. Głupota dobrych jest bezdennie roztropna.

Lecz to oto jest prawdą: dobrzy m u s z ą być faryzeuszami — oni innego wyboru nie mają!

Dobrzy m u s z ą krzyżować tych, co własną sobie wynajdują cnotę! Oto co jest prawdą!

Wtórym, co ona krainę odnalazł, krainę serca i królestwa dobrych i sprawiedliwych, był ten, co oto pytał: „Kogóż oni nienawidzą najbardziej?"

T w o r z ą c e g o nienawidzą oni najbardziej: tego, kto stare tablice i stare wartości łamie, burzyciela tego — złoczyńcą zwać go oni.

Dobrzy bowiem — t w o r z y ć nie mogą: oni są zawsze początkiem końca: krzyżują tych, co nowe wartości na nowych wypisują tablicach, s o b i e przyszłość oni poświęcają — przybijają do krzyża wszelką przyszłość ludzką!

Dobrzy bywali zawsze początkiem końca.

27.

O bracia moi, czyście i to słowo pojęli? Oraz com niegdyś mówił „o ostatnim człowieku?"

Pośród jakich to ludzi czyha największe niebezpieczeństwo na wszelką przyszłość ludzką? Nie czyhaż ono pośród dobrych i sprawiedliwych?

Łamcież mi, złamcie dobrych i sprawiedliwych! — O bracia moi, czyście i to słowo pojęli?

28.

Pierzchacie przede mną? Jesteście przerażeni? Drżycie przed tem słowem?

O bracia moi, gdy m was wzywał, abyście złamali dobrych i ich tablice, wówczas dopiero wywiozłem ja człowieka na jego pełne morze.

I oto teraz dopiero opada go wielka trwoga, wielkie obzieranie się wokół, wielka choroba, wielki wstręt, wielka choroba morska.

O fałszywych łądach pouczali was dobrzy i fałszywych nauczyli pewności; w kłamstwie dobrych byliście zrodzeni i chowani. Wszystko J jest aż do dna zakłamanie i wykrzywione przed dobrych.

Lecz kto krainę „Człowiek" odkrył, ten odkrył również i krainę „Przyszłość ludzka". Żeglarzami bądźcież mi więc dzielnymi i cierpliwymi!

Zawczasu chadzajcież mi prosto, o bracia moi, zawczasu uczcie się chodzić nieugięcie! Burzy się morze: wielu przy was wyprostować się pragnie.

Burzy się morze: wszystko już w morzu! Dalej więc! Śmiało! Krzepkie serca wy żeglarskie!

I cóż nam z ziemi ojców! T a m ster nasz kierować chce, gdzie naszych d z i e c i jest z i e m i a ! Tam oto, nad morze burzliwsza, rwie się nasza tęsknica!

29.

„Czemuż tak twardo! — rzekł raz do dyamentu węglak kuchenny — czyż nie jesteśmy blisko powinowaci?”

Czemuż tak miękko? O bracia moi, ja was tak oto pytam: czyż nie jesteście braćmi mymi?

Czemuż tak miękko, tak uległe, tak ustępczo? Czemuż tyle zaprzeczeń, tyle zaparcia jest w sercach waszych? Czemuż tak mało przeznaczenia jest w waszem wejrzeniu?

A jeśli przeznaczeniami być nie chcecie nieubłaganemi: jakżebyście wraz ze mną mieli kiedyś zwyciężać?

A gdy twardość wasza ani błysnąć, ani przedzielić, a przeciąć nie zdoła: jakżebyście wraz ze mną mieli kiedyś tworzyć?

Twórcy bowiem twardzi są. I błogością zdawać się wam winno dłoń waszą na tysiącoleciach, niby na wosku, wyciskać.

Błogością na woli tysiącoleci, niby na spiżu, ryć, twardszymi będąc niżli spiż, szlachetniejszymi nad spiż. Zupełnie twarda jest tylko rzecz najszlachetniejsza.

Tę nową tablicę, o bracia moi, stawiam ponad wami: t w a r d y m bądź!

30.

O wolo ma! Wszelkiej odwrótnico niedoli, ty mojej doli musie niechybny! Uchylże ode mnie wszelkie małe zwycięstwa!

Ty duszy mojej zrządzenie, które przeznaczeniem zowię! Ty we mnie będące! Ty nade mną! Zaoszczędź i zachowajże ty mnie ku jednemu wielkiemu przeznaczeniu!

A swą ostatnią wielkość, o wolo ma, zaoszczędź na czyn swój ostatni abyś nieubłagalna była w swem zwycięstwie! Och, któż nie ulegał własnemu zwycięstwu!

Och, czyjegoż oka nie zamroczył ten zmierzch opojny! Och, czyjaż noga nie zachwiała się i nie oduczyła w zwycięstwie stania!

Abym gotów i dojrzały był w czas wielkiego południa: gotów i dojrzały jako spiż płomienny, jako chmura gromami ciężarna z obrzmiałem mleka wymieniem;

Gotów do samego siebie i do woli swej najskrytszej: łukiem strzały swej żądnym, strzałą gwiazdy swej żądną;

Gwiazdą gotową i dojrzałą ku swemu południu, płomienną, przebitą i temi niszczącymi strzały słońca — szczęsną;

Słońcem żebym był samem i nieubłaganą wolą słoneczną, gotową do zniszczenia w zwycięstwie!

O wolo, wszelkiej odwrótnico niedoli, ty doli mojej musie niechybny! Zachowajże ty mnie ku jednemu wielkiemu zwycięstwu!

Tako rzecze Zaratustra.

POWRACAJĄCY DO ZDROWIA

1.

Pewnego poranku, w jakiś czas po powrocie do jaskini, zerwał się Zaratustra ze swego posłania jak opętany, krzyczał strasznym głosem i zachowywał się tak, jak gdyby na posłaniu pozostał jeszcze ktoś, co żadną miarą powstać nie chce. Głos Zarastury rozbrzmiewał tak donośnie, że zwierzęta jego zbiegły się przestraszone; zaś ze wszystkich pieczar i kryjówek wokół jaskini Zarastury powypłaszał się zwierz wszelaki i latał, trzepotał się, pełzał lub skakał, jak mu przyrodzenie nóg lub skrzydeł pozwalało. A Zaratustra mówił temi słowy:

— Bywaj, myśli przepaścista, z mojej wynurzaj się głębi! Jam twym kogutem i świtem, zaspany nicponiu! Bywaj! bywaj! Mój głos dopieje się przecie ocknienia twego!

Zerwij więzy z uszu swoich! Słuchaj! Gdyż ja słuchać cię pragnę! Bywaj! bywaj! Gromu tu dosyć, aby i groby do słuchania zmusić!

Spędź sen oraz gnuśność i ślepotę z oczu swoich! Słuchaj mnie i oczyma swemi: mój głos jest lekiem dla ślepo urodzonych.

A gdy raz się ockniesz, masz mi czuć wiecznie. Nie mój to obyczaj prababki ze snu budzić, aby je znów do snu układać!

Poruszyłeś się, przeciągasz się, rzeżysz? Bywaj! bywaj! Nie rzeżić, lecz mówić mi masz! Woła cię Zaratustra, bezbożnik!

Ja, Zaratustra, orędownik życia, orędownik cierpienia, orędownik koliska — wołam cię, myśli ma przepaścista!

Chwała mi! Zbliżasz się — słyszeć już! Bezdeń ma przemawia, ma ostatnia głębia dobyteła się na światło dzienne!

Chwała mi! Bliżej tu! Dłoń mi podaj — ha! puszczaj! — Ha, ha! — Wstręt, wstręt, wstręt, biada mi!

2

Zaledwie jednak Zaratustra te słowa wygłosił, zwałił się z nóg jak martwy, i jak martwy długi czas na ziemi leżał. Gdy przyszedł wreszcie do siebie, blady był na twarzy, drżący na ciele, z łoża podnosić się nie chciał i wzbraniał się długo jeść i pić. Trwało to dni siedm; zwierzęta nie opuszczały go dniem i nocą, orzeł tylko wylatywał raz po raz, aby pokarm mu znieść. Co zaś znalazł i zrabował, układał na posłaniu Zaratury: tak że Zaratustra leżał wreszcie pod stosem żółtych i czerwonych jagód, gron, jabłek różanych, wonnych ziół i szyszek piniowych. U nóg zaś jego leżało jagniąt dwoje, które orzeł z trudem porwał pastuchowi.

Wreszcie po siedmiu dniach podjął się Zaratustra z łoża, wziął jabłko różane do ręki i lubował się jego wonią. Wówczas, mniemały zwierzęta, nastał czas, kiedy do niego przemówić należało.

— O Zaratustro — rzekły — oto już siedm dni z ciężką leżysz powieką: nie zechciałbyś wreszcie podjąć się na nogi?

Wyjdź z jaskini swej: świat na cię, jako ogród, czeka. Wiatr igra ięzkiemi wonnościami, co do cię garnąć się pragną; wszystkie stru-joenie gonić cię chcą.

Rzeczy wszelkie tęskniły za tobą, czasu gdyś ty siedm dni sam pozostawał, wynijdź z jaskini swej! Rzeczy wszelkie lekarzami chcą ci być!

i!. Zali nowe nawiedziło cię poznanie, gorzkie i ciężkie? Jako kwaśny zaczyn leżałeś tu oto, dusza wezbrała w tobie i pęczniała poza brzegi wszelkie.

— O zwierzęta me — odparł Zaratustra — gawędźciez dalej, a mnie słuchać pozwólcie! Skrzepią mnie to, gdy waszej słucham gawędy; gdzie się gawędzi, tam świat staje się wnet dla mnie ogrodem.

Jakże rozkosznem jest to, że słowa i dźwięki na świecie są: czyż słowa i dźwięki nie są to tęczce i mosty złudne nad wieczną rozłąką rzeczy?

•• Do każdej duszy odrębny świat przynależy; dla każdej duszy jest fena dusza zaświatem.

; Między największemi zwłaszcza podobieństwami kłamie pozór najpiękniej; zaś przez najmniejszą szczelinę najtrudniej mosty przetrzącać. : Dla mnie — jakżeby „poza mną” być mogło? Nie masz „na zewnątrz”! Lecz zapominamy o tem przy dźwiękach; i jakże rozkosznem jest to, że zapominamy!

Czyż rzeczy wszelkie nie obdarzono nazwami i dźwiękami, aby się Bzłowiek przy rzeczach orzeźwiał? Pięknaż bo pustotą jest mowa: płąsa nią człowiek nad rzeczami wszelkiemi.

Jakże rozkoszna jest wszelka mowa i wszystkie kłamstwa

ięków! Dźwiękami płąsa miłość nasza po barwistych tęczach.

— O Zaratustro — rzekły na to zwierzęta — przed takimi, co jak ty myślą, rzeczy wszelkie same płasają: wszystko to jawi się, dłońe tobie podaje, śmieje się, pierzcha — i powraca. te: Wszystko idzie, wszystko powraca; wiecznie toczy się koło bytu. Wszystko zamiera, wszystko zakwita; wiecznie rok bytu bieży. | Wszystko się łamie, wszystko znów się spaja; jednakie buduje się Wiecznie domostwo bytu. Wszystko się rozłącza, wszystko wita się ponownie; wiernem pozostaje sobie wiecznie bytu kolisko.

W każdym mgnienu poczyna się byt; wokół każdego „tutaj” toczy ię kula „tam”. Środek jest wszędzie. Krzywy jest szlak wieczności.

— O wy sowizdrzały i katarynki! — odparł Zaratustra i śmiał się znowuż — jakże wy dobrze wiecie, co się w ciągu dni siedmiu dokonać musiało i jak mi ów potwór w gardziel wpełznął i dusił! Lec? odgryzłem mu głowę i wypłułem ją precz.

A wy — wyście już piosnkę z tego uczyniły? Lecz oto leżę tu, wyczerpany ukąszeniem i wypłuciem tem, chory jeszcze z własnego wyzwolenia.

A wyście przyglądały się temu? O zwierzęta me, jesteściez i wy okrutne? Więc widokiem wielkiego bólu pragnęłyście się napawać, jak to ludzie czynią? Albowiem człowiek jest najokrutniejszym zwierzęciem.

Wobec tragedii, walk byków i ukrzyżowań czuł się dotychczas naj-rozkoszniej; a gdy piekło sobie wynalazł, patrz! stało się ono jego niebem na ziemi.

Gdy wielki człowiek krzyknie, mały wnet się tu znajdzie; i język z gęby lubieżnie wywiesi. Zwie on to wszakże „współczuciem” swoim,

Człowiek mały, osobliwie poeta — jakże on zapamiętałe życie oskarża! Słuchajcież tedy, lecz bacząc, abyście się nie przesłyszeli i wyczuli rozkosz, która w tych wszystkich oskarżeniach tkwi!

Ci oskarżyciele życia! ich życie zwycięża jednym mrugnięciem oka; „Kochasz mnie? — pyta czelnie — poczekaj nieco, jeszcze ja czasu dla ciebie nie mam”.

Człowiek jest dla samego siebie najokrutniejszym zwierzęciem; i pośród tych wszystkich, co się „grzesznikami”, „krzyża swego dźwigaczami” i „pokutnikami” zwą, bacźcie mi na tę rozkosz, która w ich skargach i oskarżeniach tkwi!

Zaś ja sam — chcęż ja temi słowy oskarżycielem być człowieka? Och, zwierzęta me, to jedno przeświadczenie zdobyłem dotychczas, że człowiekowi to jego „najgorsze” niezbędnem jest do najlepszego; że wszystko najgorsze jest najwyższą s i ł ą i najtwardszym kamieniem dla najwyższego twórcy; oraz że człowiek lepszym i gorszym stać się musi!

Nie do tego torturowego łoża przykuty byłem, iż wiedziałem „człowiek jest zły”, lecz przeciwnie — jam wołał, jako nikt dotychczas jeszcze nie wołał:

„Och, że też to jego »najgorsze« jest tak bardzo małe! Och, że też to jego »najlepsze« jest tak bardzo małe!”

Wielki przesył człowiekiem — o n to mnie dławił i w przełyk za-pełzał: oraz i to, o czym wróżbiarz wróży: „Wszystko jest obojętne, nie oplaca się nic, wiedza dławi”.

Wielki zmrok włókł się przede mną, długi, śmiertelnie znużony j śmiercią pijany smutek, co ziewającymi ustami przemawiał.

„Wiecznie powraca on, ów człowiek, którymś ty się znużył, człowiek mały” — tak ziewał mój smutek i powłóczył nogą, a zasnąć nie mógł.

W piekło przeistoczyła mi się ziemia ludzka, zapadła się pierś jej, wszystko, co żyło, stało mi się próchnicą ludzką i kością trupa, i zmurszałą przeszłością.

Siadywało me wdychanie na wszystkich grobowcach człowieczych, a wstawać nie mogło; pytania i westchnienia me rechotały, dusiły i trawiły mnie, skarżąc się dniem i nocą: „Och, człowiek wiecznie powraca! Człowiek mały powraca wiecznie!”

Nago ujrzałem raz obu, największego i najmniejszego człowieka: nazbyt podobni byli do siebie — nazbyt ludzki nawet i ten największy!

Nazbyt mały największy! — to mi omierzłym uczyniło człowieka! JA wieczny wrót nawet i tego, co najmniejsze! — omierziło mi to istnienie wszelkie!

Och, wstręt! wstręt! wstręt! — tako rzekł Zaratustra, westchnął i przeraził się, gdyż przypomniał sobie chorobę swą. Lecz zwierzęta jego przerwały mu tu dalszą mowę.

— Nie mów już, ty do zdrowia powracający! — odparły mu zwie-;rzęta — raczej wyjdź z jaskini, gdzie świat na cię, jako ogród, czeka.

Między róże i pszczoły wyjdź i między roje idź gołębie! Osobliwie do ptaków idź śpiewających: abyś się ś p i e w u od nich nauczył!

Śpiewać bo pragnie ozdrowiewający; zdrowy niech przemawia. A gdy i zdrowy pieśni zapragnie, innych zeche on pieśni niżli do zdrowia powracający.

— O wy sowizdrzały i dudy nie milknące, zamilczcież wreszcie i— odparł Zaratustra i śmiał się ze swych zwierząt. — Jakże wy dojrzą wiecie, jaką to pociechę wymyśliłem sobie w ciągu tych dni siedmiu!

Iż znowuż śpiewać oto muszę — tę pociechę wynalazłem sobie to uzdrowienie: chcecież i na to wnet piosnkę ułożyć lutniową?

— Nie mów już — odparty zwierzęta ponownie — działaj raczej, ozdrowiały, nową wprzód lutnię dla swych pieśni nowych!

Gdyż zważ to, Zaratustro! Nowym twym pieśniom nowej potrzeba lutni.

Śpiewaj i płoń, o Zaratustro, złącz nowymi pieśni duszę swą: abyś swe wielkie udźwignął przeznaczenie, które jeszcze żadnego człowieka przeznaczeniem nie było!

Gdyż zwierzęta twe wiedzą wszak, o Zaratustro, kim jesteś i stać się musiałeś: patrz, tyś jest nauczycielem wiecznego wrotu — oto twe przeznaczenie!

A żeś pierwszym, co tę naukę wieścić musi, jakżeby przeznaczenie to nie miało być snadnie twem największym niebezpieczeństwem i chorzeniem twem!

Patrz, my wiemy, czego ty uczysz: że rzeczy wszelkie wiecznie powracają, a my wraz z niemi, i że wieczne razy jużesmy tu były, a rzeczy wszelkie wraz z nami.

Uczysz, że jest wielki rok stawania się, olbrzymi, potworny rok, co jako zegar piaseczny, wciąż na nowo wrotnie nastawiać się musi, aby na nowo się osypywał i do końca dobiegał — tako, iż wszystkie te roki są sobie równe w

wielkiem i małym zarazem, tako, iż my sami w każdym wielkim roku jesteśmy jednacy w wielkiem i w małym zarazem.

A gdybyś ty teraz zemrzeć chciał, o Zaratustro, wiemy i to, jakbyś w tej chwili do się przemawiał — wszakże zwierzęta twe błagają cię, abyś jeszcze nie umierał!

Przemawiałbyś bez drżenia, raczej z przydechem błogości: gdyżby wielkie brzemie i zdławienie zdjęte były wreszcie z ciebie, ty najcierpliwszy!

„Oto umieram i zanikam — mówiłbyś wówczas — jedno mgnienie, a stanę się nicością. Dusze są równie śmiertelne, jak i ciała.

Lecz powróci ten węzeł przyczyn, w który i ja wplątany jestem -stworzy on mnie ponownie! Jąc sam należę do przyczyn wiecznego wrotu.

Powtórzę się wrotnie wraz z tem słońcem, tą ziemią, tym orłem i wężem tym — nie do nowego ani lepszego życia, ani też do podobnego: powracać będę wiecznie do zawsze jednakiego i zawsze tego

samego, zarówno w rzeczach wielkich, jak i małych, tak abym znowuż o *rzeczy* wszelkich wiecznym wrocie nauczał, abym znowuż me słowo głosił o wielkiem dla świata i ludzi południu, abym znowuż ludziom nadczłowieka zwiastował.

Rzekłem me słowo i łamię się na słowie mem: tako chce ma dola wieczna — jako zwiastun ginę!

Nastała godzina, w której schodzący samego siebie błogosławi. Tak

— k o ń c y się znijscie Zaratustry".

- Skoro zwierzęta te słowa rzekły, zamilkły i oczekiwały, aby Zaratustra do nich przemówił. Zaratustra wszakże nie słyszał, że one milczą. Leżał oto z zamkniętymi oczyma, na pozór śpiący, aczkolwiek od zaśnięcia daleki: gdyż z duszą własną rozmowę wówczas wiódł. Wąż i orzeł, widząc go tako milczącym, uszanowały wielką wokół niego ciszę i oddaliły się oględnie.

O WIELKIEJ TĘSKNICY

O duszo ma, jam cię nauczył mawiać „dziś" jak „niegdyś" lub „ongi" i ponad wszelkiem „tu", „tam" i „ówdzie" w płasach się ponosić.

O duszo ma, jam cię wyzwolił ze wszystkich starych zakamarków, omiotłem z ciebie pył, pajęczynę i mroki.

O duszo ma, omyłem cię z drobnej wstydlivosti i podmówiłem, abyś naga w oczach słońca stanęła.

Nawałnicą, która zwie się „duchem", zadąłem ponad twem rozfalowanem morzem; wszystkie chmury zdmuchnąłem precz, zdławiłem nawet tego dławca, co się „grzechem" zowie.

O duszo ma, nadałem ci prawo powiadać „nie!" jako nawałnica, i głosić „tak!" jako się jasne głoszą niebiosy: oto jesteś mi cicha jak światło, i cicha przechodzisz przez nawałnice przeczenia.

O duszo ma, zwróciłem ci wolność nad wszystkim, co stworzone i jeszcze nie zdziałane: któż zasię zna, jako ty znasz, rozkosz rzeczy przyszłych?

O duszo ma, nauczyłem cię wzdardy, co się nie rodzi jako zaczerw toczący, uczyłem cię wielkiego miłującego gardzenia, które najbardziej kocha, gdzie najbardziej gardzi.

O duszo ma, uczyłem cię tak przekonywać, abyś i słuszności same ku sobie nakłaniała: jako słońce, co nawet i morze ku swojej podmawia wyżynie.

O duszo ma, odjąłem ci wszelką uległość, wszelkie kolan uginanie i „Jasny pan" mawianie; sam ci nadałem imiona: „odwrotnica niedoli" i „przeznaczenie".

O duszo ma, dałem ci nowe imiona i jaskrawe bawidelka, zwałem cię „przeznaczeniem" i „obszarem obszarów", i „pępowiną czasu", i „dzwonem lazuruwem".

O duszo ma, krainę twą poilem wszelką mądrością, dawałem ci wszelkie nowe moszcze oraz wszystkie prastare, tęgie wina mądrości.

O duszo ma, każde słońce zlewałem na cię, każdą noc, każde milczenie i tęsknotę każdą — i oto wyrosłaś mi jako winny krzew.

O duszo ma, przebogata i brzemienneą stałaś mi się, krzewem stałaś się winnym o nabrzmiących wymionach, krzewem gęstym od brunatnozłoty gron — gęstym i uginającym się pod własnego szczęścia ciężarem, wyczekującym w nadmiarze swym, a w tem oczekiwaniu jeszcze wstydliwym.

O duszo ma, nie masz bo nigdzie duszy, która by była bardziej i miłująca, i ogarniająca, i nieogarnięta. Gdzieżby bo przeszłość i przyszłość w bliższym były zespole niżli u ciebie?

O duszo ma, dałem ci wszystko, wszystkie me dłonie opróżniły się dla cię — a teraz oto! Teraz rzeczesz mi uśmiechnięta i smętku pełna: „Któż z nas dwojga dziękować tu winien? Czyż dający nie powinien dziękować, że biorący przyjął? Czyż darowywanie nie jest potrzebą piekącą? Czyż branie nie jest zmiłowaniem?”

O duszo ma, pojmuję ja uśmiech twego smętku: nadmiar twego bogactwa wyciąga oto dłonie tęskniące!

Pełnia twa zapatrzyła się na morza wzburzone i szuka, i oczekuje; tęsknota przepelni wyziera z oczu twych niebios uśmiechniętych!

I zaprawdę, o duszo ma! Jakieżby oczy, uśmiech twój ujrzawszy, we łzach nie zatonęły? Aniołowie łzami opływają nad przedobrocią uśmiechu tego.

Dobroć i przedobroć twa, one to skarżyć się nie chcą i płakać nie umieją; a jednak uśmiech twój, o duszo ma, tęskni do łez, a drżące twe usta do załkania.

„Nie jest płacz wszelki skargą, a wszelaka skarga oskarżeniem?” Tak do się przemawiająca, wolisz, o duszo ma, uśmiechać się raczej, niżli żal swój wynurzać — wytryskiem łez wynurzać rozżalenie swe całe nad własną pełnią i nad tem krzewu winnego wnętrzem parciem do winobrańcy i noża winobrańczego!

A skoro nie chcesz płakać, nie chcesz wypłakać purpurowego smętku swego, ś p i e w a ć więc będziesz musiała, o duszo ma! Patrz, ja sam się uśmiecham, ja, coc na to wróżę.

Śpiewać będziesz musiała, śpiewem jak fala wzburzonym, póki wszystkie nie uciszą się morza, aby twojej nadśłuchiwały tęsknicy; póki na uciszonych tęsknych morzach nie zakołysze się łódź, złocisty czar, a wokół tego złota wszystkich dobrych a złych przedziwnych rzeczy płas.

I liczna rzesza wielkich i małych stworzeń oraz wszystko, co tak lekkie, przedziwne posiada stopy, że po fijołkowych ścieżkach potrafią biec.

Hen, do złocistego czaru zbiec, do łodzi ochotnej i do łodzi onej pana: ten zaś jest winobrańcą, co z dyamentowym nożem winobrania oczekuje.

Twój wielki wyzwoliciel, o duszo ma, ów bezimienny, któremu przyszłe pieśni imię dopiero nadadzą! I zaprawdę, już oddech twój niesie woń przyszłych pieśni.

Już płoniesz i marzysz, już pijesz spragniona u wszystkich głębokich, dźwięcznych studzien ukojenia, już zległ twój smętek w błogości przyszłych gęźb!

O duszo ma, oto oddałem ci wszystko, nawet to, co mi jedynie jeszcze pozostało, wszystkie me dłonie opróżniły się przy tobie — a ż e m ci ś p i e w a ć n a k a z a ł, patrz, to był dar mój ostatni!

A żem cię do śpiewu zwał, powiedz, mów: z dwojga nas — dziękować k o m u tu? — Lub słuszniej czyń: śpiewaj, o śpiewaj, duszo ma! A mnie dziękować każ!

Tako rzecze Zaratustra.

DRUGA PIEŚŃ TANECZNA

1.

W oczy twe spojrzałem wreszcie, o życie: złoto błysnęło mi w twym nocnym oku i zamarło serce me od rozkoszy tej: złota łódź błysnęła mi na nocnych wodach, tonąca, chłonąca i znów oto wabiąca złotej łodzi kołyska!

Na nogi me, które szła taneczny ogarniał, rzuciłaś jedno spojrzenie — drwiące, pytające, rozkoszą kołyszące spojrzenie.

Dwukrotnie zaledwie poruszyłaś grzechotki drobną dłonią swą: już kołyszą się me nogi, już w taneczny wpadły szła.

I wspinały się już stopy, palce już słuchały, by zrozumieć cię: bo wszak tancerz czujny słuch w palce stóp swych śle!

Kiedy żądny k tobie skoczę: wioniesz wstecz, płochliwa; jako język, szydzi zwiewna włosów twoich grzywa!

A kiedy od ciebie, od węży twych odskoczę: w półzwróconych ku mnie oczach pożądlivość zoczę.

Zdradne twoje oczy na zdradne wiodą drogi; na twych zdradnych ścieżkach podstępów uczyć nogi!

Kiedyś bliska — lękem zdjęty, gdy daleka — kochający; twą ucieczką przywabiony, a gdy szukasz, przepłoszony — cierpię, lecz czegożbym nie przeboleł dla cię bolejący!

A że chłód twój rozplómienia, nienawiść uwodzi, że ucieczka twoja pęta, twój sydz tkliwość rodzi.

Więc któż tobie nie zlorzeczy doświadczeń omocie, poszukiwań i znajdywań mistrzyni jedyna! Któż więc ciebie raz nie kochał, wichrolotny trzpiocie, ty niewinna, z okiem dziecka — ladaczna dziewczyno!

Dokąd ciągniesz mnie niestatku, dokąd, niesformico? Jużeś prysła, zło niewdzięczne, uroczone ty lico!

Wciąż za tobą błędny tańczę, płasam w każdy ślad. Gdzie jesteś?

— mów! I rękę daj! Choć palec podaj mi na zwiad!

Tu chaszczę wokół są i jamy: zblądzenia czują lęk! — Hejże, stój! I słysz: jak warczy skrzydło sów i nietoperzy sięg.

Sowo ty! — nietoperzu! Więc zwodzić chcesz mnie? — mów! Tych skoleń i brzechotań nabyłaś snadź od psów!

I już w uśmiechu ślesz swych ząbków błysk perlisty; a złe się ku mnie oczy rwą spod grzywy twej falistej!

Hej, radosny to jest tan poprzez turnie wschwał; jam łowcą! Chcesz psem mi być czy kozicą skał?

Chyżo więc! Złośliwa kozico, skacz na skalny próg! — Biada mi! W skokach tych szalonych zwałem się z nóg!

Spojrzyj na mnie, o niestatku: do nóg powalony, błagam, abym ciebie w milsze wywiódł strony! Na miłosne wywiódł szlaki, na barwisty Jan, na jeziora ciche brzegi, nad ryb złotych tan!

Bardzo widząc umęczoną: tam na dole zorze płoną, owce pasą się; wszakże śpi się tak rozkosznie, kiedy pastuch hen, rozgłośnie na fujarce dmie.

Bardzoś widzę umęczona! Opuść tylko swe ramiona, ogarnij mą szyję. Lecz gdy pragniesz mojej wody, wiem niestety, tej ochłody warga twa nie pije!

O przekłety giętki wężu! Pryśłaś, skretna czarownico! Na mej twarzy, po twych dłoniach dwie czerwone plamy świecą!

Już znużyły mnie zaprawdę pasterki fletniowe! Teraz więdmo opiewana, krzyczże, co się zowie!

W śmig biczyśka płaszająca, zaśpiewać mi chciej! Swegom bicza nie zapomniał? Nie zapomniał! Hej!

2.

A życie mi na to, przysłaniając swe wdzięczne uszka:

— O Zaratustro! nie trzaskajże tak strasznie swem biczyśkiem! Wiesz przecie: hałas myśli zabija. A nawiedzają mnie właśnie myśli łagodne.

Jesteśmy oboje prawdziwie dwoje „niedobrego” i „niezłego”. Poza rubieżą dobra i zła znaleźliśmy swą ziemię obiecaną i swe łany zielone — my oboje tylko! Wypada nam być w zgodzie!

A jeśli się nie kochamy całą duszą, to czyliż mamy się dlatego też trapić wzajemnie, że się nie kochamy całą duszą?

A żem ci jest szczerze skłonna, i niekiedy zbyt skłonna, wiesz, wszakże o tem: przyczyną jest to, żem zazdrosna o twoją mądrość Och, o tę szaloną dziewczkę — mądrość twoją!

Jeśliby cię twa mądrość kiedykolwiek odbiec miała, o, wiedz, że wówczas i miłość ma wnet cię opuści.

Potem spojrzęło życie w zamyśleniu poza siebie i rzekło cicho:

— O Zaratustro, tyś nie dość mi wierny!

Nie kochasz mnie wcale tak bardzo, jako mówisz; toć wiem, że o tem tylko myślisz, jakby mnie niebawem opuścić.

Jest jeden, prastary, ciężki, ogromnie ciężki dzwon-mruk: nocą bije głuchy jego pomruk wzwyż aż do twej jaskini.

Gdy o północnej godzinie dzwon ten słyszysz, o tem myślisz między pierwszem a dwunastem uderzeniem — o tem myślisz, Zaratustro, och, ja wiem, że mnie niebawem opuścić chcesz!

— Tak jest — odparłem z wahaniem — ale wiesz także — szepnąłem jej coś na ucho, w tę puszystą, płową, uroczną matnię złotych jej włosów.

— Więc ty w i e s z o tem, Zaratustro? Tego nikt nie wie.

Spojrzeliśmy na siebie, potem przenieśliśmy wzrok na zieloną łąkę, ponad którą biegł właśnie wieczór tchnieniem wilgotnem. I zapłakaliśmy oboje. O, wówczas było mi życie stokroć droższe nad wszystką mądrość moją.

Tako rzecze Zaratusa.

RAZ!

Człowiecze, śpisz?

DWA!

Coś brzmi z północnej głuszy wzwyż!

TRZY!

Jam spał, jam spał

CZTERY!

Z głębokich snu się budzę cisz.

PIĘĆ!

Świat — głębin zwał,

SZEŚĆ!

!Głębszych niż, jawo, myślisz, śnisz.

SIEDM!

Ból — głębi król

ÓSM!

Lecz nad ból — rozkosz głębiej drga.

DZIEWIĘĆ!

Zgiń! — mówi ból.

DZIESIĘĆ!

Rozkosz za wiecznem życiem łka —

JEDENAŚCIE!

— wieczności chce bez dna, bez dna!

DWANAŚCIE!

SIEDM PIECZĘCI

(CZYLI: PIEŚŃ NA „TAK!” I „AMEN!”)

1.

Jeśli wróżbiarzem jest, onego ducha wieszczego pełen, co na wysokim jarzmie między dwoma morzami się snuje — między przeszłością i przyszłością jako ciężka snująca się chmura — wrogi nizinom parnym oraz wszystkiemu, co znużone, co ani umrzeć, ani żyć już nie potrafi.

Do gromu z łona ciemnego gotów i do wyzwających zarnicy łśnień, w te grzmoty brzemienny, co „tak!” głoszą, „tak!” się śmieją, do wyzwających gotów błyskawic.

Błogosławion niechże będzie taki brzemienny! I zaprawdę, długo jako ciężka chmura nad górami zawisać ten musi, co kiedyś przyszłości światło rozniecić ma!

O, jakżeby ja nie miał być żądnym wieczności i weselnego pierścienia pierścieni — pierścienia wrotu nie pragnąć!

Nigdy nie napotykał kobiety, z którą bym dzieci chciał; snadź ta jest kobietą, którą kocham: albowiem kocham cię, o wieczności!

Albowiem kocham cię, o wieczności!

2.

Jeśli gniew mój groby kiedykolwiek burzył i, stare krusząc tablice, w przepastne spychał głębi.

Jeśli szyd mój zmurzałe rozpylał słowa, jeśli był jako miotła dla krzyżowych pajaków i jako wicher przewiewny dla grobowisk.

Jeśli zasiadał tryumfujący, gdzie stare pogrzebano bogi, ja światu błogosławiący, świat miłujący obok posągów starych świata oszczerców.

A kocham nawet świątynie i bogów grobowce, skoro tylko nieba jasne oko poprzez wybite przeziera sklepienie; jako murawa i maki krasne rad na zburzonych zasiadam świątyniach.

O, jakżeby ja nie miał być żądnym wieczności i weselnego pierścienia pierścieni — pierścienia wrotu nie pragnąć?

Nigdy nie napotykał kobiety, z którą bym dzieci chciał, snadź ta jest kobietą, którą kocham: albowiem kocham cię, o wieczności!

Albowiem kocham cię, o wieczności!

3.

Jeśli choć jedno tchnienie z twórczego nawiedziło mnie tchnienia, z onego musu niebiańskiego, co przypadki nawet wzmaga i w gwiazdne koliska płaść je zniewala.

Jeśli śmiałem się kiedykolwiek onym błyskawicowym śmiechem, po którym długi grzmot czynu ponuro, lecz ulegle się toczy.

Jeśli kiedykolwiek na boskim stole ziemi w boskie grał kości, aż ziemia drżała i, rozwierając się, ogniste wywnętrzniła rzeki.

A stołem boskim jest ziemia, drżącym od twórczych nowych słów i boskich kości.

O, jakżeby ja nie miał być żądnym wieczności i weselnego pierścienia pierścieni — pierścienia wrotu nie pragnąć?

Nigdy nie napotykał kobiety, z którą bym dzieci chciał, snadź ta jest kobietą, którą kocham: albowiem kocham cię, o wieczności!

Albowiem kocham cię, o wieczności!

4.

Jeśli kiedykolwiek pełnym pijał zaciągiem z onego korzennopie-nistego dzbana, w którym rzeczy wszelkie dobrze rozczynione są.

Jeśli dłoń ma dolewać kiedy dale najdalsze do bliży najbliższych i ogień do ducha, i ochotę do cierpienia, i rzecz najgorszą do najlepszej.

Jeśli jest ziarnem onej wyzwalającej soli, która sprawia, że w moszczowym dzbanie rzeczy wszelkie dobrze rozczynione są.

A istnieje sól taka, co dobre ze złem wiąże; zaś rzecz najgorsza jest zdatna do zaprawy i do ostatniego zmusowania.

O, jakżeby nie miał być żadnym wieczności i weselnego pierścienia pierścieni — pierścienia wrotu nie pragnąć?

Nigdy nie napotykał kobiety, z którą bym dzieci chciał, snadź ta jest kobietą, którą kocham: albowiem kocham cię, o wieczności!

Albowiem kocham cię, o wieczności!

5.

Jeśli morzu jest skłonny oraz wszystkiemu, co morza tchnienie z sobą niesie, a najskłonniejszy wówczas, gdy mi się ono gniewnie przeciwi.

Jeśli owa poszukiwań pochopność jest we mnie, co żagle ku nie odkrytym krainom wydyma, jeśli żeglarza pochopność w mojej jest ochocie.

Jeśli, radością pijany, wołał kiedy: „Ład sprzed oczu ginie — ostatnie opadają łańcuchy.

Bezmiar tylko wokół mnie szumi, hen w dali lśni jeno czas i przestrzeń, dalejże! przed się! dzielne ty serce!”

O, jakżeby nie miał być żadnym wieczności i weselnego pierścienia pierścieni — pierścienia wrotu nie pragnąć?

Nigdy nie napotykał kobiety, z którą bym dzieci chciał, snadź ta jest kobietą, którą kocham: albowiem kocham cię, o wieczności!

Albowiem kocham cię, o wieczności!

6.

Jeśli cnota ma tancerza jest cnotą, jeśli skokiem nóg obu wskakiwał często w złotoszmaragdowe olśnienie.

Jeśli ma złośliwość śmiejącym się jest szydem, pośród róż pnących i liliowych zagąszczy.

A w śmiechu zło wszelkie jednoczy się, lecz uświęcone i rozgrzeszone własną błogością.

Jeśli alfą i omegą mą jest, że wszystko ciężkie lekkim, każde ciało tancerzem, każdy duch ptakiem stać się winien: a zaprawde, toć jest alfą i omegą moją!

O, jakżeby nie miał być żadnym wieczności i weselnego pierścienia pierścieni — pierścienia wrotu nie pragnąć?

Nigdy nie napotykał kobiety, z którą bym dzieci chciał, snadź ta jest kobietą, którą ukochałem: albowiem kocham cię, o wieczności!

Albowiem kocham cię, o wieczności!

7.

Jeśli kiedykolwiek ciche ponad sobą rozpiął niebiosa i o własnych skrzydłach we własne wzbijał się nieba.

Jeśli, igrając, w głębokich światła pławił się dalach, gdzie mej wolności mądrość — mądrość ptaka nawiedziła mnie.

A tak oto rzecze mądrość ptaka: „Patrz, nie masz tu góry, nie ma dołu! Rzuć się tu i tam, w dal, wstecz, o lekki! Śpiewaj! mówić przestań!”

Czyż słowa wszelkie nie są dla ciężkich stworzone? Nie klamiąz lekkiemu słowa wszelkie? Śpiewaj! mówić przestań!”

O, jakżeby nie miał być żadnym wieczności i weselnego pierścienia pierścieni — pierścienia wrotu nie pragnąć?

Nigdy nie napotykał kobiety, z którą bym dzieci chciał, snadź ta jest kobietą, którą kocham: albowiem kocham cię, o wieczności!

Albowiem kocham cię, o wieczności!

TAKO RZECZE
ZARATUSTRA
CZEŚĆ CZWARTA I OSTATNIA

*Och, gdzież na świecie działy się większe szaleństwa niżli pośród litościwych? I cóż stworzyło więcej cierpień
na świecie nad szaleństwa litościwych?*

*Biada wszystkim kochającym, którzy nie mają wyżyny sięgającej ponad litość!
Tak oto przemówił raz do mnie dyabeł; „I Bóg ma swe piekło: jest niem miłość ludzi”.
Zaś niedawno te słowa zasłyszałem: „Bóg nie żyje; litość nad człowiekiem przyprawiła Boga
o śmierć”*

Zaratustra O litościwych (s. 80)

- O Zaratustro — rzekły — snadź szczęścia swego wypatrujesz?
- I cóż mi z szczęścia! — odparł — od dawna już szczęścia nie baczę, dzieła mego baczę.
- O Zaratustro — rzekły zwierzęta po raz wtóry — mówisz jak ten, co ma aż nadto dobra tego. Czyż nie pławisz się w błękitnym jeziorze szczęścia?
- O sowizdrzały — zaśmiał się Zaratustra — jakeście dobrze utrafiły tem porównaniem! Wszakże wiecie i to, że szczęście me ciężkie, że nie jest ono jako płynna fala; dławii mnie, zejść ze mnie nie chce i jest jako roztopiona smoła.
- Wówczas zwierzęta poczęły znów krążyć wokół niego w zamyśleniu i ustawiły się przed nim powtórnie.
- O Zaratustro — rzekły — więc to stąd pochodzi, że stajesz się coraz to żółtszy i ciemniejszy, aczkolwiek włos twój nabiera siwego i konopiastego wyglądu? Patrz, oto tkwisz w swej smolnej mazi!
- O czymże wy tu mówicie, zwierzęta me — zaśmiał się Zaratustra — zaprawdę, bluźnięm, gdym o smolności powiadał. To, co się ze mną staje, stawać się zwykło ze wszystkimi owocami, które dojrzewają. M i ó d to w mych żyłach zgęszcza mi krew i ucisza duszę.
- Słusznie snadź powiadasz, Zaratustro — odparły zwierzęta i garnęły się doń — czybyś nie zechciał jednak na wysoką wejść dziś górę? Powietrze czyste i widzi się dziś ze szczytów więcej świata niżli kiedykolwiek.
- Chętnie, me zwierzęta — odparł — doskonała jest wasza rada i jakby z serca mi dobyta: wejść dziś na wysoką górę! Baczcież jednak, aby miód był tam pod ręką, żółtobiały, jak lód świeży plaster miodu złotego. Gdyż wiecie, chcę tam na górze obiatę złożyć miodową.
- Kiedy Zaratustra na górze się znalazł, odprawił zwierzęta, które mu towarzyszyły, i ujrzał, że oto jest sam ze sobą — wówczas śmiał się z całego serca, obejrzał się raz jeszcze i tak przemówił:
- Żem o obiacie i o miodowej mówił obiacie, zaprawdę, mowy mej podstęp był to tylko i przydatne, zaprawdę, szaleństwo! Tu na górze wolniej mówić mogę niżli przed jaskiniami pustelników i przed domowemi pustelników zwierzęty.
- I na cóż obiady! Czyż nie roztrwaniem, co mi darowanem bywa, ja rozrzutnik o dłoni tysiącu: jakżebym ja to ofiarą mógł zwać!
- A gdym miodu pożądał, pożądałem wszak tylko przynęty, i słodkiej, a lipkiej patoki, po którą nawet mrukliwe niedźwiedzie i ponure, złe ptaki językiem sięgną.
- Najlepszej pożądałem nety, jako myśliwce i rybołowce jej łakną. Bo jeśli świat ciemną jest puszczą i wszystkich dzikich łowców ogrójcem, dla mnie jest on raczej przepaścistym i bogatym morzem — morzem

pełnem pstrych ryb i raków, wobec których bogów nawet pokusa ogarnąć może, aby rybakami i niewodołowcami się stać: tak pefen jest świat dziwotworów wielkich i małych!

Osobliwie świat człowieczy, morze ludzkie — w j e g o to wody zanurzam swą złotą różdżkę wędkową i mówię: roztwórz się, ludzka ty przepaści!

Roztwórz się, i wyrzuć mi swe ryby i raki błyskotliwe! Najlepsza netą wabię dziś najdziwaczniejsze ryby ludzkie!

Nawet szczęście swe rozrzucam na wszystkie dale i odległości, między wschodem, południem i zachodem, zali nie nauczą się ryby ludzkie dorywać do szczęścia mego i trzepotać się wokół niego, póki, wgrzyłszy się w ukryte me ostrza, nie zostaną zniewolone ku m o j e j wyży, te najbarwistsze przepastne twory dna do najzłośliwszego ze wszystkich łowców ludzi.

Albowiem tym c i jestem z głębi duszy i z przedpoczątku: pociągającym, przyciągającym, naprowadzającym — ja przywódca, hodowca, sfernego chowu mistrz, co nie darmo samego siebie niegdyś nawoływał: „Stać się, kim jesteś!”

Przeto niechaj ku mnie oto w s c h o d z ą: gdyż na znak jeszcze oczekuję, zali nie nadszedł czas mego zniżsicia; jeszcze sam między ludzi nie schodzę, jako to uczynić będą musiał.

Na toż to oczekuję podstępnie i szydyczno na wysokich górach, ani zniecierpliwiony, ani też cierpliwy, raczej jako ten, co się cierpliwości oduczył, ponieważ już nie „cierpi”.

; , Albowiem dola ma czas mi pozostawia, zapomniła mnie ona snadź? Lub też może gdzieś za wielkim głazem w cieniu przysiadła i muchy może łapie?

I zaprawdę, wdzięczny jej za to jestem, tej swojej doli wiecznej, że mnie nie szczuje i nie prze, pozostawiając czas na psoty i złośliwości: tak iż dziś dla połowu ryb na tę wysoką wspiałem się górę.

Czy ławiał człowiek kiedykolwiek ryby na wysokiej górze? I choć to nawet szaleństwem jest, co tu zamierzam i sprawuję: lepszeć to niżli tam na dole stać się w oczekiwaniu uroczystym, zzielenieć i zżółknąć przy tem — stać się w oczekiwaniu rozfukanym i gniewem dyszącym zawyciem z gór idącej, niby świętej, nawałnicy, niecierpliwcem się stać, co w doliny woła: „Słuchajcie, albo was bożym biczem wychłostam!”

Nie zlorzeczę ja wszakże gniewcom tym! śmiech mnie tylko nad nimi bierze! Niecierpliwe muszą być te wielkie hałaśliwe bębny, głoszące się tylko dziś lub nigdy!

Ja zaś i dola ma — nie przemawiamy do dziś, nie przemawiamy też i do nigdy: do przemawiań mamy i cierpliwość, i czas, i nadmiar czasu. Gdyż kiedyś nadejść musi i minąć nas nie może.

Cóż to nadejść musi i minąć nie powinno? Nasz wielki hazard oto nasze wielkie dalekie królestwo człowiecze, królestwo Zaratustry, tysiącletnie.

Jakże daleka może być ta „dal”? cóż mnie to obchodzi! Krzepko stojąc mimo to — obu nogami stoję mocno na tej podwalinie — na wiecznej podwalinie, na twardym pragłazie, na tem najwyższem, najtwardszem pragórze, do którego wszystkie wichry ciągną, jak do burzowej rubieży, pytając: Gdzie? Skąd? Kędy?

Śmieję się tu, śmieję, ma jasna, krzepka złośliwości! Z wysokich gór rzuć swój migotliwy szydu śmiech! Przynęć mi swem migotaniem najpiękniejsze ryby ludzkie!

Oraz wszystko, co w morzach wszelkich do m n i e należy, moje „dla mnie i przeze mnie” w rzeczach wszelkich — wyłówże mi to wszystko, dowiedźcie to ku mnie: na toż czekam wszak najzłośliwszy ze wszystkich rybołowców.

W dal, w dal, wędko moja! W dół, w głąb, neto szczęścia mego! Zroszę rosą swą najśłodsza serca mego miód! Zarwij, wędko ma, w brzuchy wszystkich czarnych smętków!

W dal, w dal, oko moje! O, jakaż mnogość mórz wokół mnie, ileż świtających przyszłości ludzkich! Zaś nade mną — jakaż cisza różana! Jakież bezobłoczne milczenie!

WOŁANIE NA RATUNEK

Następnego dnia siedział znowuż Zaratustra na głazie przed jaskinią swą, podczas gdy zwierzęta krążyły po świecie, szukając nowego pokarmu i nowego miodu: jako że stary miód roztrwoniał Zaratustra i rozdał doszczętnie. Tak oto siedział z kijem w dłoni i cień własnej postaci na ziemi odrysowywał w zadumie, a myślał, zaprawdę! nie o swym cieniu — wtem przestraszył się i zadrżał, gdyż obok swego cienia spostrzegł nagle drugi cień. Gdy się na nogi zerwał i szybko poza siebie obejrzał, ujrzał owego wróżbiarza, którego

ongi przy stole swym karmił i poił, zwiastuna wielkiego znużenia, co pouczał wówczas: „Wszystko jest obojętne, nie oplaca się nic, świat jest bez myśli, wiedza dławi”. Lecz oblicze jego zmieniło się od tego czasu; a gdy Zaratustra w oczy mu spojrział, przeraziło się serce jego po raz wtóry: tyle złowieszczych zwiastowań i popielnych błysków przemykało po jego twarzy.

Wróżbiarz, widząc, co się dzieje w duszy Zaratustry, przetaił dłonią swe lice, jak gdyby zetrzeć je chciał; podobnież uczynił i Zaratustra. A gdy się tak obaj w milczeniu przemogli i skrzepili, podali sobie dłonie na znak, iż pragną się sobie przypomnieć.

— Bądź mi pozdrowiony — rzekł Zaratustra — ty wróżbiarzu wielkiego znużenia, chcę, byś nie darmo zasiadał owego czasu jako gość przy stole mym. Jedźże więc i pij tedy i dzisiaj, a wybac, gdy do stołu wraz z tobą zasiądziesz ochoczy starzec!

— Ochoczy starzec? — odparł wróżbiarz i kiwał głową — kimkolwiek jesteś, lub być pragniesz, o Zaratustro, dotrwałeś do ostateczności tu na górze, łódź twa już niedługo tkwić będzie na mieliźnie!

— Tkwić na mieliźnie? — pytał Zaratustra ze śmiechem.

— Fale wokół twej góry — odparł wróżbiarz — sięgają coraz wyżej i wyżej, fale wielkiej niedoli i pogńębienia: podejmą one niebawem łódź twoją i uniosą ją w dal.

Zaratustra zamilkł na to i dziwił się.

— Czyż nie słyszysz jeszcze nic? — dopytywał wróżbiarz — czyż nie szumi i burzy się ku górze z głębi?

Zaratustra milczał wciąż i nad słuchiwał: wreszcie usłyszał długi, przeciągły krzyk, który przepaści przerzucały sobie wzajemnie, odsyłając go w dal, gdyż żadna zatrzymać go nie chciała: tak złe brzmienie było w nim.

— Ty zły zwiastunie — rzecze wreszcie Zaratustra — to jest wołanie o ratunek, krzyk człowieka, wzbija się on snadź z jakiegoś czarnego morza. Lecz cóż mnie człowiecza obchodzi niedola! Ostatnia przeznaczona mi godzina wieszże ty, jak się ona zowie?

— W s p ó ł c z u c i e ! — odparł wróżbiarz z głębi przepelnionego serca i wznosił oba ramiona. — O Zaratustro, przychodzę, abym ciebie do twej ostatniej godziny zwiódł!

Zaledwie te słowa wyrzeczone, rozległ się krzyk ponownie, tym razem dłuższy, trwoźniejszy i o wiele bliższy niż przedtem.

— Słyszysz? Słyszysz, Zaratustro? — wołał wróżbiarz — do ciebie wzbija się ten krzyk, ciebie on nawołuje: chodź, chodź, chodź, czas już, czas najwyższy!

Zaratustra milczał, zmieszany i wzburzony do głębi, wreszcie zapytał, jak ten, co się z postanowieniem waha: — I któż to jest, co mnie tam woła?

— Wszak ty sam wiesz o tem — odparł wróżbiarz — czemu się ukrywasz? Wyższy to człowiek wzywa cię krzykiem! — Wyższy człowiek? — krzyknął Zaratustra grozą przejęty. Czegóż on chce? Czegóż on chce? Wyższy człowiek! Czegóż on chce tutaj? — i cały potem się pokrył.

Wróżbiarz nie odpowiadał wszakże na trwogę Zaratustry, lecz słuchał i nad słuchiwał ku głębi. Gdy jednak przez długi czas cisza tam zalegała, zwrócił swe spojrzenie i ujrzał, jak Zaratustra, z miejsca nie poruszony, drży na całym cielem.

— O Zaratustro — wszczął więc smutnym głosem — nie wyglądasz jako ten, co szczęście swe w obrót puszcza: będziesz musiał tańczyć, abyś mi się nie obalił!

Lecz gdybyś nawet przede mną zatańczyć zechciał i wszystkie swe uskoki wyczyniał: nikt mi tu nie powie: „Oto tańczy ostatni człowiek radosny!”

Daremnie by wchodził na te wyżyny, kto by t a k i e g o tu szukał: jaskinie by znalazł on wprawdzie i w jaskiniach tylne pieczary, skrytki dla skrytek, lecz nie szczęścia podziemne krużganki i komory skarbów i nowego szczęścia złote żyły.

Szczęście — jakże tu znaleźć szczęście u takich zakopańców i pustelników! Mamże ostatniego szczęścia na wyspach szczęśliwości szukać, hen, pośród zapomnianych mórz?

Lecz nic i po tem, nie oplaca się nic zgoła, nie pomoże i szukanie, nie ma nawet i wysp szczęśliwości!

Tako wdychał wróżbiarz; przy ostatnim jego westchnieniu rozjaśniał Zaratustra i stał się znowu pewnym siebie jak ktoś, co z głębokiego podziemia na światło nagle wyjrzy.

— Nie! nie! Po trzykroć nie! — wołał głosem silnym i gładził brodę swą — o t e m ja wiem lepiej! Istnieją jeszcze wyspy szczęśliwości! Milcz o tem, wdychający ty miechu!

Zaprzestano t e m pluskać, chmuro ty deszczowa przed południem! Czy nie stoję oto już zmoczony twym utrapieniem i zalany ulewą jak pies?

Otrząsam się oto i uciekam precz, abym wysechł czem prędzej: zdumiewać cię to nie powinno! Zdam ci się nie dość dworny? Lecz na swoim jam tu dworze.

Co się zaś twego wyższego człowieka tyczy: dobrze więc! poszukam go czem prędzej w onych lasach; s t a m t a d dobiegał jego krzyk. Być może, iż złe zwierzę napastuje go.

W m o i c h jest dziedzinach: tu go nic złego spotkać nie powinno! Zaprawdę, wiele złych zwierząt mam tu u siebie.

Z temi słowy zabrał się Zaratustra do odejścia. Wówczas rzecze wróżbiarz:

— O Zaratustro, jesteś przebiegły!

Wiem ja wszak: chcesz się mnie pozbyć! Raczej w lasy uciekniesz i złe zwierzęta tropić zechcesz!

Lecz na cóż ci się to zda? Wieczorem ujrzysz mnie ponownie; w twej własnej jaskini siedzieć będę, cierpliwy i ciężki jak kłoda — na ciebie tak oczekiwać będę!

— Niechże i tak będzie! — odparł Zaratustra na odchodnym — co zaś w jaskini mego jest, należy i do ciebie, gościa mego!

A gdybyś tam i miodu nieco znalazł, śmiało! zlizze go, mrukliwy ty niedźwiedziu, i osłódź duszę swoją! Chcę, byśmy obaj wieczorem dobrej byli myśli — dobrej myśli i uradowani tem, że skończył się ten dzień! Zaś ty będziesz mi tańczył do mych pieśni jako niedźwiedź mój tańczący.

Nie wierzysz? Głową trzęsiesz? Hejże! Hej! Stary niedźwiedziu! Wszakże i ja jestem wróżbiarzem.

Tako rzecze Zaratustra.

ROZMOWA Z KRÓLAMI

1.

Zaratustra nie bawił jeszcze godziny w swych górach i lasach, gdy spostrzegł nagle dziwny pochód. Droga, którą zejść właśnie zamierzał, A chodzili dwaj królowie, w korony i pasy purpurowe strojni i barwni jak ptaki flamingi: pędzili oni przed sobą objuczonego osła.

— Czegóż chcą królowie w mem państwie? — rzecze Zaratustra w zdumieniu do swego serca i ukrył się czem prędzej w zaroślu. Gdy jednak królowie zbliżyli się doń, rzekł półgłosem, jak ten, kto do samego siebie mówi:

— Dziwne! Dziwne! Jakże to się godzi? Dwóch królów widzę i jednego tylko osła!

Wówczas zatrzymali się królowie, spojrzeli uśmiechnięci w tę stronę, z której głos dochodził, a potem sobie w oblicza.

— Takie rzeczy myśli się wprawdzie i między nami — rzekł król po prawej — ale głośno nie wypowiada się tego.

Zaś król po lewej wzruszył ramionami i odparł: — Będzie to zapewne jakiś pasterz kóz. Lub pustelnik, co zbyt długo przebywał pośród drzew i skał. Zupełny brak towarzystwa psuje bowiem również dobre obyczaje.

— Dobre obyczaje? — odparł niechętnie i gorzko drugi król — od czegóż to umykamy? Czyż nie od „dobrych obyczajów”? Od naszego „dobrego towarzystwa”?

Lepiej, zaprawdę, pośród pustelników i kóz pasterzy przebywać niżli pośród naszego wyzłoczonego, fałszywego, blichtrowego motłochu, aczkolwiek zwie się on „dobrem towarzystwem” — aczkolwiek „szlachta” się zwie. Wszak tam wszystko jest fałszywe i zgniłe, a przede wszystkim krew, dzięki starym złym chorobom i jeszcze gorszym znachorom.

Najlepszym jeszcze i najmilszym jest mi dziś zdrowy chłop: grubiański, chytry, uparty i wytrzymały: to jest dziś najdostojniejszy gatunek ludzi.

Chłop jest dziś najlepszy: chłopstwo panami być powinno! Lecz tamto, to państwo motłochu, nie dam się już ludzić co do tego. Motłoch wszakże zwie się: mieszanina.

Mieszanina motłochu: w niej wszystko wskroś i społem jest zmieszane, święty i łotr, szlachetka i żyd oraz wszelakie zwierzęta z arki Noego.

Dobre obyczaje! Wszystko w nas fałszywe i zgniłe. Nikt czić już nie potrafi: t e m u właśnie uchodzimy wszak z drogi. To są mdłe, natrętne psy, one ozłacają liście palmowe.

I ten wstręt dławii mnie, że i my, królowie, staliśmy się fałszywi, obciążeni i strojni starym wyblakłym przepychem pradziadów, że jesteśmy jako numizmaty dla najgłupszych i najprzebieglej szych oraz dla wszystkich, kto dziś szachrajstwem o władzę się trudni.

Nie jesteśmy pierwsi, a musimy pierwszych znamionować: to oszustwo przyprawiło nas wreszcie o przesyty i wstręt.

Hołocie uszliśmy z drogi, wszystkim tym gardłaczom i bazgraczom, tym muchom pstrzącym, tej woni kramarskiej, tym pokurczom próżności, temu cuchnącemu oddechowi — pfe, żyć pośród hołoty, pfe! pośród hołoty znamionować pierwszych! Och, wstręt! wstręt! wstręt! Cóż na nas królach zależy!

— Twa stara niemoc opada cię — rzekł król po lewej — wstręt cię opada, biedny mój bracie. Lecz, wiesz przecie, ktoś tu nas podsłuchuje Zaratustra, który na tę królów rozmowę oczy i uszy rozwierał, podniósł się czem prędzej ze swego ukrycia, wystąpił przed króli i rzekł:

— Ten, kto was podsłuchuje, kto rad was podsłuchuje, o królowie, zowie się Zaratustra.

Jam jest Zaratustra, który niegdyś nauczał: „I cóż po królach!” Wybaczcież mi więc, uradowałem się, słysząc was mówiących do się: „I cóż po królach!”

Tu zaś mój e jest państwo i moje władanie: czegoż w mojem szukacie państwie? A może znależłiscie po drodze to, czego ja szukam: mianowicie człowieka wyższego?

Gdy królowie usłyszeli te słowa, uderzyli się w piersi i rzekli jednogłośnie: — Przejrzano nas!

Mieczem tego słowa przebijasz serc naszych najgłębsze ciemnie. Odkryłeś niedolę naszą, gdyż patrz oto! wyruszyliśmy w drogę, aby znaleźć wyższego człowieka — człowieka, co by wyrastał ponad nas: którzy królami wszak jesteśmy. Do niego też wiemy tego osła. Albowiem człowiek najwyższy winien być najwyższym panem na ziemi.

Nie masz bo cięższego nieszczęścia w żadnej doli ludzkiej ponad to, gdy najpotężniejsi nie są zarazem pierwszymi. Wówczas wszystko staje się fałszywe, koszlawe i potworne.

A cóż dopiero gdy taki jest zgoła ostatnim i raczej bydłem niż człowiekiem: wówczas motłoch rośnie i wyrasta w cenie, aż póki cnota motłochu nie rzecze: „Patrz, ja wyłącznie jestem cnotą!”

— Co słyszę? — odparł Zaratustra — jakąż mądrość pośród króli! Jestem zachwycony i, zaprawdę, chętna mnie już bierze, by rymy na to złożyć — aczkolwiek nie będą to rymy dla wszystkich uszu przydatne. Z dawna oduczyłem się mieć wzgląd na długie uszy. Hejże więc! Słuchajcież!

(Tu stało się jednak, że osieł odezwał się nagle — oto rzekł dobitnie i ze złą wolą: „Ta-ak!”)

2.

Na tych rymach Zaratustry paśli się królowie; zaczem król po prawej rzecze: — O Zaratustro, jakżeśmy dobrze uczynili, wybrawszy się w drogę, aby ciebie ujrzyć! Albowiem wrogowie twoi pokazali nam obraz twój w swoim zwierciadle: oto spojrzaleś ku nam maskarą dyabła szyderczego: tak iż przestraszyliśmy się ciebie.

Lecz na cóż się to zdało! Przypowieści swemi zapuszczaleś raz po raz żądła w uszy i serca nasze. Aż wreszcie rzekliśmy: „Cóż z tego, jak on wygląda!”

Słyszec go musimy, tego, co poucza: „Winniście miłować pokój jako środek ku nowym wojnom, zaś krótki pokój bardziej niż długi!”

Nikt tak wojowniczych słów nie głosił: „Cóż jest dobrze? Dobrze mężnym być. Dobra to wojna każdą rzecz uświęca”.

O Zaratustro, ojców naszych krew zawrzała w ciałach naszych na te słowa: była to mowa wiosny do starych kadzi winnych.

Gdy miecze migotały jak krwawoplamiste węże, wówczas to ojcowie nasi życiu radzi bywali; każdego pokoju słońce zdawało im się mdłe, gnuśne, zaś długi pokój rodził srom.

Jakże wdychali oni, ojcowie ci nasi, gdy oglądali na ścianach białe lśniące wyschłe miecze! I jako miecze, tak krwi wówczas łaknęli. Bo krwi miecz łaknie i błyskami tej żądz płonie.

Gdy królowie tak oto o szczęściu ojców swych mówili i gawędzili, opadła Zaratustrę chętna zadrwić z ich gorliwości: gdyż najoczywiściej byli to pokojowo usposobieni królowie o starych i wytwornych obliczach. Przemógł się jednak.

— Dobrze więc! — rzekł — tędy oto wiedzie droga do jaskini Zaratustry; zaś dniu temu na długi niechaj przyjdzie wieczór! Teraz wszakże wołanie na ratunek przynagła mnie, abym was opuścił.

Zaszczyci to jaskinię mą, gdy królowie w niej zasiądą i oczekiwać zechcą: wypadnie wam wszakże długo czekać!

Chociażby! I cóż z tego! Gdzież to dziś lepiej uczy się czekać niż na dworze? Zaś królów ostatnia cnota — czyż nie zwie się ona: p o - t r a f i ć czekać?

Tako rzecze Zaratustra.

Niegdyś, zda się, w pierwszym Roku Pana

Rzekła Sybilla, bez wina pijana:
 Teraz wszystko pójdzie wspak!
 Biada! biada! Nigdy świat nie zmarniał tak!
 Rzym dziewczką, i dziewczek zamtuzem się zdał,
 Rzymu Cezar bydlęciem, Bóg — Żydem się stał!

PIJAWKA

I Zaratustra zanurzał się w zamyśleniu coraz dalej i głębiej w lasy, mijając przydroża bagienne. Jak to się temu przytrafia, co w ciężkiej zadumie przed się na ślepo idzie, nastąpił niespodzianie na człowieka. I oto w jednej chwili parsknęły mu w twarz: okrzyk bólu, dwie klątwy i ze dwadzieścia ciężkich przekleństw: tak że Zaratustra kij podniósł i zaczął bić nadeptanego. Opamiętał się wszakże natychmiast i zaśmiał się w sercu z szaleństwa, które w tej chwili popełnił.

— Daruj — rzecze do nadeptanego, który podnosił się chmurnie i przysiadł — daruj i weź przede wszystkim tę oto przypowieść.

Jako wędrowiec, o dalekich rzeczach marzący, niespodzianie na samotnej drodze śpiącego psa potrafi, psa, co się w słońcu wygrzewa: jak oba przerażeni rzucają się na siebie niby wrogowie śmiertelni, ci dwaj śmiertelnie przerażeni — tak oto i nam się przytrafiło.

A jednak! Jednak — jak niewiele brakowało do tego, aby garnęli się ku sobie, ów pies i ów samotnik! Są wszak oba — samotnikami!

— Kimkolwiek jesteś — odparł nadeptany wciąż jeszcze chmurny — następujesz na mnie i przypowieścią swą, a nie tylko nogą!

Spojrzyj, czyż psem jestem? — przy czym siedzący wyciągnął nagie ramię z bagna i podniósł się. Na początku leżał on był na ziemi ukryty i niewidoczny jak ktoś na dzicz bagienną zaczajony.

— Cóżże ty tu czynił! — krzyknął Zaratustra przerażony, ujrawszy, że nagie jego ramię spływało obficie krwią. — Cóż ci się wydarzyło? Ugryzł cię, nieszczęsny, jakie złe zwierzę?

Krwawiący zaśmiał się, wciąż jeszcze zagniewany. — Cóż cię to obchodzi! — rzekł i chciał odejść. — Jestem tu w swoich obszarach. Niech mnie pyta, kto zechce: dla gamonia wszakże odpowiedzi nie mam.

— Mylisz się — rzekł Zaratustra i zatrzymał go — mylisz się: nie u siebie tu jesteś, lecz w moim państwie, i nikomu krzywda stać; się tu nie powinna. Zwij mnie wszakże jako chcesz — jestem, kim być muszę. Samego siebie zwę Zaratustra.

Spójrz! Tędy górą wiedzie droga do jaskini Zaratustry: niedaleko ona stąd. Nie zechciałbyś u mnie ran twych doglądać?

Na złe ci przyszło, nieszczęsny, w twym życiu: naprzód ugryzł cię zwierzę, potem nadeptał cię jeszcze człowiek!

Gdy nadeptany usłyszał imię Zaratustry, przeistoczył się nagle.

— Jakaż dola mnie ściga! — wykrzyknął — k t ó ż bo obchodzi mnie jeszcze w życiu, prócz tego jednego człowieka, prócz Zaratustry i tego zwierzęcia, co krwią żyje: prócz pijawki?

Łowiąc pijawki, leżałem w tym oto bagnie i już zanurzone me ramię dziesięć razy ukąszonem było, gdy oto wgrzyza się po krew moją jeszcze piękniejsza pijawka, sam Zaratustra!

O szczęście! o cudzie! Sławię dzień, co mnie w to bagno zawiódł! Sławioną niech będzie najlepsza żywa bańka z tych, co dziś żyją, sławioną największa pijawka sumienia, Zaratustra!

Tak oto mówił nadeptany. Zaratustrę radowały te jego słowa oraz słów tych swoista pokora. — Kim jesteś? — pytał i podał mu dłoń. Między nami wiele wyjaśnionem i wypogodzonem być winno: lecz, zda mi się, już się czysty jasny dzień poczyna.

— Jam jest s u m i e n n y z d u c h a — odparł zagadnięty — a w rzeczach ducha nikt chyba sumiennie, ciałniej i twardziej sobie nie poczyna ode mnie, wyjąwszy człowieka, od którego się tego nauczył: wyjąwszy samego Zaratustrę.

Lepiej nic nie wiedzieć niżli wiele, a połowicznie! Lepiej być głupcem na własną rękę niżli mędrcom według cudzego mniemania! Ja sięgam dna.

I cóż na tem zależy, czy jest ono wielkiem, czy małym? Czy zwie się bagnem, czy też niebem? Jedna piędź podstawy wystarcza mi całkowicie: aby tylko była dnem i podstawą!

Jedna piędź podstawy: na niej utrzymać się już można. W prawej sumienności wiedzy, nie masz nic wielkiego ani małego.

— Więc jesteś może badaczem pijawek; do ostatnich den pijawkowych sięgasz może, ty sumienny?

— O Zaratustro — odparł nadeptany — to by było zbyt olbrzymim przedsięwzięciem, jakżebym na coś podobnego mógł się poważyć!

Mózg pijawki, oto w czym jestem mistrzem i znawcą — oto świat mój!

I jest to rzeczywiście świat cały! Wybacz mi, lecz w tym miejscu duma moja wypowiedzieć się pragnie, gdyż tu nie mam równego sobie, przeto rzekł: „Tu jestem u siebie”.

Jakże długo zabiegam wokół tego jednego, wokół mózgu pijawki, aby mi ta śliska prawda się nie wyslizgnęła! Tu jest m o j e państwo!

Dlatego też odrzuciłem wszystko inne; dlatego wszystko inne stało mi się obojętnym; i tuż obok mej wiedzy spoczywa ma czarna niewiedza.

Moje sumienie ducha wymaga ode mnie, abym jedno znał, a o wszystkim innym nie wiedział: wstręt budzą we mnie ci wszyscy połowiczni z ducha, mgliści, bałamutni, rojący.

Gdzie ma rzetelność się kończy, tam ślepy jestem, tam też ślepym być pragnę. Gdzie zaś wiedzieć chcę, pragnę być też i rzetelnym, a mianowicie twardym, surowym, ciasnym, okrutnym i nielitościwym.

A żeś raz wyrzekł, o Zaratustro: „Duch jest życiem, co samo w życie się wrzyna”, więc te oto słowa zwiodły mnie i przywiodły do nauki twej. Bo, zaprawdę, krwią własną mnożyłem wiedzę swą!

— Jak o tem poucza oczywistość — wpadł mu Zaratustra w słowa; gdyż krew ociekała wciąż jeszcze z nagiego ramienia człowieka sumiennego. Dziesięć pijawek wpiło się w nie.

O człeku ty dziwaczny, jakże wiele poucza mnie ta oto oczywistość, mianowicie ty sam! A nie wszystko może wolno by mi było wlać w twe uszy surowe!

Tak więc, rozstańmy się! Wszakżebym rad ujrzał cię raz jeszcze. Tędy górą wiedzie droga do mej jaskini: chcę być dzisiejszej nocy gościem był moim!

Radbym i ciału twemu wynagrodzić, że Zaratustra nogą cię nadeptał, i o tem myślę. Teraz wszakże wołanie na ratunek przynagła mnie, abym cię opuścił.

Tako rzecze Zaratustra.

WIŁA

1.

Gdy Zararustra okrążał skalę, ujrzał nie opodal na pochyłości drogi człowieka miotającego się, niby w opętaniu, i powalającego się wreszcie twarzą na ziemię. „Bacność! — rzekł Zararustra do swego serca — snadź ten jest wyższym człowiekiem, jego to krzyk rozpaczny dobiegał do mnie. Obaczę, zali mu pomóc w czym zdołam”. Gdy podbiegi do tego miejsca, gdzie człowiek na ziemi leżał, ujrzał drżącego starca o błędnym wejrzeniu; daremnie trudził się Zaratustra, aby go podnieść i na nogi postawić. Nieszczęsny zdawał się nie spostrzegać nawet, że ktoś koło niego zabiega; gdyż raz po raz oglądał się żałośnie poza siebie jak człowiek opuszczony i przez świat cały zaniechany. Wreszcie po długich drgawkach, wstrząsach i kurczach począł tak oto zawodzić:

Kto mnie ogrzeje, kto kocha mnie jeszcze? Dajcie dłonie mi gorące! Serc mi dajcie panwie żarne! Powalony, grozą drętwy, Na poły trup, któremu stopy grzeją, Trawiony, och! gorączką nieznaną, Drżący od lodowych ostrych mrozu strzał, Tobą szczuty, myśli! Nie nazwany! ukryty! przeraźliwy! Łowco zza chmur! Gromem twym powalony,

Przed tobą, oko szydce, co z ciemni ku mnie wyzierasz:

— leżę oto,

Wyginaj, wij mną, udręczony Wszystkimi męki wiecznemi, Rażony
Przez ciebie, przeokrutny łowco, O Ty, nieznany — Boże!

Ugodź głębiej,
Ugodź jeszcze raz!
Zakłuj, skrusz to serc!
Na co te męczarnie

Tępozębnych strzał?
 Więc znowu spojierasz,
 Człowieczą udręką niesyty,
 Uragliwem boskiem gromu okiem?
 Więc zabić nie chcesz,
 Tylko męczyć, męczyć?
 Po co te katusze,
 Uragliwy, nieznany ty Boże?
 Ha! ha! Więc skradasz się?
 O północy tej głębokiej
 Czegóż chcesz? Mów!
 Napierasz, ciśniesz mnie.
 O! nadto blisko już!
 Precz! Precz!
 Słyszysz oddech mój,
 Podśłuchujesz serce me,
 Zawistniku ty,
 Czemużeś zawistny?
 Precz! Precz! Na co ta drabina?
 Chceszże wniknąć
 W serce me,
 Wtargnąć w największe tajniki
 Myśli moich?
 Bezwstydy! Nieznany — złodzieju!
 Co chcesz wykraść?
 Co podśłuchać?
 Co wydręczyć chcesz,
 Dręczycielu!
 Ty, kacie i Boże!
 Lub mamże jako pies,
 Tarzać się przed tobą?
 W psiem oddaniu i zachwycie
 Miłość świadczyć ci łaszeniem?

Daremnie! Kluj że więc,
 Żądło ty okrutne! Nie,
 Nie psem — zwierzyną twoją jestem,
 Łowco ty okrutny!
 Najdumniejszy z jeńców twych,
 Łowco zza obłoków!
 Powiedz wreszcie!
 Czego chcesz, zawalidrogo, ode m n i e ?
 Gromem osłonięty! O nieznany! Mów,
 Czego ch c e s z , nieznany — Boże?

Co? Okupu?
 Jakiego chcesz okupu?
 Żądaj wiele — tak radzi дума moja!
 I krótko mów — radzi wtóra moja дума!

Ha! ha!
 M n i e chcesz więc? Mnie?
 Mnie — całego?...

Ha! ha!
 Męczarnie mi zadajesz, szaleńcze,
 Katujesz dumę mą?
 M i ł o ś c i daj — któż bo mnie ogrzeje jeszcze?

Któż bo kocha mnie dziś jeszcze? — dłonie daj gorące,
 Dajże serc mi panwie żarne,
 Mnie, najbardziej samotnemu,
 Lodu daj, och! siedmiokrotnego,
 Co wrogów nawet,
 Wrogów łaknąć chciwie uczy,
 Oddaj, poddaj,
 Najokrutniejszy wrogu,
 Poddaj mi — siebie!

Zniknął!

Oto pierzchnął już,

Ostatni towarzysz jedyny,
 Mój wielki wróg,
 Mój nieznany,
 Mój kat-Bóg! —
 — O, nie! O, powróć znów,
 Z wszystkimi męki swemi!
 Do ostatniego z samotników,
 O powróć, przyjdź!
 Wszystkie źródła moich łez
 Do ciebie płyną wszak!
 Ostatni serca mego płomień —
 T o b i e zapłonął!
 O, powróć, przyjdź.
 Nieznany Boże mój! Mój bólu! Me ostatnie szczęście!

2.

Tu jednak Zaratustra dłużej pohamować się nie zdołał, pochwyił kij i począł z całych sił bić biadającego. — Zaprzestań! — wołał z jadowitym śmiechem — zaprzestań, ty aktorze! Ty fałszerzu! Ty łgarzu z gruntu! Poznaję ja ciebie!

Zagrzeję ja ci wnet nogi, ty zły guślarzu, znam się dobrze na tem, jak takich zagrzewać!

— Dajże pokój — rzekł starzec i skoczył na nogi — nie bijże, Zaratustro! Czyniłem to tylko dla igraszki!

To wszystko należy do mojej sztuki; ciebie samego na próbę wystawić chciałem, gdym ci tę próbę zadawał! I, zaprawdę, przejrzałeś mnie na wskroś!

Lecz i ty oto — dałeś mi próbę samego siebie: t w a r d y jesteś, mądry Zaratustro! Twardo bijesz swemi „prawdy”, twój drąg wymusza ze mnie — tę oto prawdę!

— Nie schlebiaj — odparł Zaratustra, wciąż jeszcze wzburzony i chmurny — ty aktorze do cna! Fałszywy jesteś: cóż ty mi powiadasz o prawdzie!

Ty pawiu pawi, ty morze próżności, i co żeś ty grał przede mną, zły czarowniku, k o g ó ż to wyobrazić sobie miałem, widząc cię tak zawodzącego?

— P o k u t n i k a d u c h a — odparł starzec — j e g o to grałem ja: ty sam wymyśliłeś niegdyś to słowo; poetę i czarodzieja, co wreszcie przeciw samemu sobie ducha swego zwraca, przeistoczonego, którego własna zła wiedza i złe sumienie mrozi.

I wyznaj tylko: długo wszak trwało, o Zaratustro, zanim przejrzałeś mą sztukę i kłamstwo! W i e r z y ł e ś w mą niedolę, gdyś mi głowę oburącz podtrzymał.

Słyszałem, jakieś zawodził: „Nie dość go kochano, nie dość go kochano!” Żem cię aż tak dalece oszukać zdołał, radowała się w skrytości złośliwość moja.

— Przebieglej szych ode mnie mogłeś być oszukiwać — odparł twardo Zaratustra. — Ja nie mam się na baczności przed oszustami, ja m u s z ę być bez ostrożności: tak chce dola moja.

Ty wszakże — m u s i s z oszukiwać: znam cię na tyle! Ty musisz być zawsze dwuznaczny, trzy-, cztero- i pięcioletni. Nawet i to, coś mi wyznał przed chwilą, nie było mi ani dość prawdziwe, ani dość fałszywe!

Ty zły fałszerzu, jakżebyś ty mógł inaczej czynić! Ubarwiałyś nawet i chorobę swą, gdybyś nago przed doktorem stanął.

Podobnie ubarwiałeś swe kłamstwo, mówiąc mi przed chwilą: „Czyniłem to t y l k o dla igraszki!” Była i p r a w d a w tem, w tobie j e s t coś z pokutnika ducha!

Odgaduję cię wszak: stałeś się czarodziejem dla wszystkich, lecz dla samego siebie nie starczyło ci już ani kłamstwa, ani podstępu żadnego — dla samego siebie stałeś się odczarowany!

Żniwem twem był wstręt jako twa jedyna prawda. Żadne słowo w twych ustach nie jest prawdziwe, prawdą jedyną są chyba twe usta, a raczej wstręt, co do nich przywarł.

— Kimże ty jesteś! — krzyknął stary wiła hardym głosem. — Któż to ośmiela się do m n i e tak przemawiać, do największego spośród żyjących? — i zielone błyski strzeliły z jego oczu ku Zaratustrze. Lecz wnet potem przeistoczył się i rzekł smutnie:

— O Zaratustro, znudzony jestem, wstrętem przejmują mnie własne sztuki, ja nie jestem w i e l k i m , i p o cóż udawać! Jednakże, ty wiesz wszak o tem — ja szukałem wielkości!

Wielkiego człowieka udawać chciałem i obalamuciłem wielu: wszakże kłamstwo to przerasta siły moje. Łamię się na niem.

O Zaratustro, wszystko we mnie jest kłamstwem, lecz to, że się łamię, to złamanie moje jest p r a w d z i w e !

— Cześć ci to przynosi — rzekł Zaratustra ponuro, nie patrząc na niego — cześć ci to przynosi, że szukałeś wielkości, lecz zdradza cię to zarazem. Wielkim nie jesteś.

Zły stary ty wiło, oto co w tobie najlepsze i najrzetelniejsze, i co w tobie cenię: żeś się umęczył sobą i rzekłeś; „Ja nie jestem wielki”.

Za to właśnie považam cię jako pokutnika ducha, a choć to przelotne było tylko mgnienie, wszakże przez tę jedną chwilę byłeś prawdziwy.

Lecz mów, czego szukasz pośród m o i c h lasów i skał? A gdyś mi w poprzek drogi legł, na jaką to próbę wystawić mnie chciałeś? Czemu to kusiłeś m n i e ?

Tako rzecze Zaratustra, a oczy jego skry rzucały. Stary wiła milczał czas jakiś, wreszcie rzekł: — Zalim ja kusił ciebie? Ja tylko szukam.

O Zaratustro, szukam człowieka prawdziwego, prawego, czystego, • prostego, jednoznacznego, człowieka wskroś rzetelnego, naczynia mądrości, świętego w poznawaniu, szukam wielkiego człowieka!

Czyż nie wiesz o tem, o Zaratustro? J a s z u k a m Z a r a t u s t r y .

Tu nastąpiło długie między nimi milczenie: Zaratustra zatonał w myślach tak głęboko, że aż oczy przymknął. Po czem, zwróciwszy się do ;, wiły, pochwycił jego rękę i rzekł pełen ugrzecznienia i przebiegłości:

— Dobrze więc! Tędy górą wiedzie droga, tam leży jaskinia Zaratustry. W niej możesz szukać tego, kogo znaleźć pragniesz.

A pytaj zwierzęta me o radę, orła i węża mego: niech ci one szukać pomogą. Jaskinia ma wszakże wielka jest.

Ja wprawdzie — jam nie widział jeszcze wielkiego człowieka. Co wielkiem jest, na to oko najsubtelniejszego jest dziś grubym narzędziem. Motłochu to królestwo. Niejednym widział, co się przeżył i wydymał, a lud wołał: „Patrzcie, oto wielki człowiek!” Lecz na cóż się pęcherze zdały! Koniec końców powietrze z nich uchodzi.

Koniec końców pęka żaba, co się zbyt długo wydymała: dech z niej uchodzi. Nadętym brzuchy przekłuwają: nie lada to uciecha. Słuchajcież chłopaki!

To „dziś” należy do motłochu: któż tu w i e , co jest wielkiem, co zaś małym! Któż by tu mógł być szczęśliwym w poszukiwaniu wielkości! Szaleńcom chyba tylko: szaleńcom szczęści się w tem.

Wielkiego człowieka szukasz, przedziwny ty szaleńcze? Któż cię n a u c z y ł tego? Zali pora dziś ku temu? O zły poszukiwaczu, czemu doświadczasz mnie?

Tako rzekł Zaratustra, a ukoiwszy serce, śmiejąc się, ruszył w drogę.

WYŚLŹONY

Pozbywszy się wiły, ujrzał Zaratustra niebawem znowuż kogoś na drodze, po której szedł. Nie opodal siedział czarny, smukły człowiek o chudej bladej twarzy: ten przygnębiał swoją postacią. „Biada — rzekł Zaratustra do swego serca — oto siedzi zakapturzony posepek, kapłańskim zda mi się to jego zachowanie: czegoż ta cya w mojem chcą królestwie?

Cóż znowu! Zaledwie jednemu wile się umknąłem, już oto drugi czarnoksiężnik drogę mi zabiega; pewno jakiś czarownik, zamówienia czyniący, ciemny cudotwórca z bożej łaski, namaszczony świata zaprzaniec — niechby go dyabeł porwał!

Lecz dyabła nigdy nie masz na tem miejscu, gdzie by było jego miejsce właściwe: zawsze zjawia się za późno to przekłete karlisko i kuternoga ten! Tak oto kłął Zaratustra niecierpliwie w duszy i rozmyślał nad tem, jakby to z odwróconemi oczyma prześlizgnąć się obok czarnego człowieka: lecz oto stało się inaczej, niż zamierzał. W teje chwili spostrzegł go siedzący; porwał się z miejsca i zastąpił mu drogę, czyniąc nieomal wrażenie człowieka, którego niespodziane szczęście spotyka

— Kto najbardziej go kochał i posiadał, najbardziej go też i utracił. Patrz, z nas dwóch, ja jestem obecnie bardziej chyba bezbożny? Lecz któż by mógł radować się z tego!

— Służyłeś mu aż do ostatka — rzekł Zaratustra w zadumie, po długim milczeniu — czy wiesz jak umarł? Zali prawdą jest, co ludzie mówią, iż zdławiła go litość; że ujrzał, jako człowiek na krzyżu wisi, i nie zniósł, aby miłość człowieka stała się dlań piekłem i śmiercią wreszcie?

Stary papież nie odpowiadał i odводził lekliwie swe spojrzenie, ukrywając bolesny i ponury wyraz.

— Zaniechaj go — rzekł Zaratustra po długim namyśle, patrząc ciągle starcowi prosto w oczy. — Zaniechaj go, nie istnieje on już. I aczkolwiek cześć ci to przynosi, że o tym zmarłym dobrze tylko mówisz, wiesz wszakże zarówno jak i ja, kim on był, i że dziwaczni chadzał on drogi.

— Mówiąc w trzy oczy — odparł rozweselony stary papież (jako że na jedno oko był on ślepy) — rzeczy boskich jestem bardziej świadom niżli Zaratustra, i powinienem nim być.

Miłość ma służyła mu długie lata, ma wola była każdej jego woli uległa. Dobry sługa wie jednak wszystko, niejedno nawet, co jego pan przed samym sobą ukrywa.

Był to skryty Bóg, pełen tajemniczości. I syna wszak posiadał nie inaczej, jeno krętami drogi. Na progu jego wiary widnieje wiarołomstwo.

Kto go jako Boga miłości sławi, ten niezbyt Szczytnie myśli o samej miłości. Czyż Bóg ten nie chciał być zarazem i sędzią? Atoli kochający miłuje poza nagrodą i odwetem.

Za młodu był ów Bóg ze wschodnich krain twardy, mściwy i piekło sobie zbudował ku rozkoszy swych ulubieńców.

W końcu zestarzał się jednak, stał się miękki, kruchy i współczujący, raczej do dziadka podobny niżli do ojca, zaś najpodobniejszy do starej chwiejącej się babki.

I oto siedział na zapiecku, pełen zgryzoty, spowodowanej słabością nóg, światem i wolą własną umęczony i udusił się pewnego dnia nadmiarem litości.

— Mój stary papieżu — wtrącił tu Zaratustra — czyś ty to własnymi oczyma oglądał? Być może, iż tak się to działo: tak lub też inaczej. Gdy bogowie umierają, kończą zwykli wieloraką śmiercią.

Wszakże, stało się! Tak czy owak, tak i owak — nie masz go już! Uszom i oczom moim był on nie w smak; nie radbym źle o nim powiadać.

Kocham wszystko, co spoziera jasno i przemawia rzetelnie. Jednakże on — wszak wiesz o tem, stary kapłanie, coś z waszego, z kapłańskiego zachowania było w nim — był wieloznaczny.

Był też niewyraźny. Jakże gromił on nas za to gniewem pałającym, żeśmy go źle pojmowali! Lecz czemuż nie przemawiał dobitniej?

A jeśli uszu naszych w tem wina, czemuż dał nam takie uszy, co go źle rozumiały? Jeśli namuł w uszach naszych tkwił, któż go w nasze uszy włożył?

Zbyt wiele nie udało się temu garncarzowi, co wprawy jeszcze nie nabrał! Że jednak mścił się na garkach i stworzeniach swych za to, że mu się one nie udały — to było już grzechem przeciw dobremu smakowi.

Gdyż i w pobożności istnieje dobry smak, k t ó r y wreszcie powiada: „Precz z t a k i m Bogiem! Lepiej żadnego Boga, lepiej na własną rękę dołąć swą zdziaływać, lepiej szaleńcem być, lepiej samemu Bogiem się stać!”

— Co słyszę! — rzekł stary papież, nastawiwszy czujnie uszu; o Zaratustro, tyś pobożniejszy, niżli sam myślisz, wraz z taką niewiarą! Jakowyś Bóg w tobie nawrócił cię do twej bezbożności.

Czy nie rwa pobożność w Boga wierzyć ci nie daje? Zaś twa nadmierna rzetelność wywiedzie cię jeszcze poza dobro i zło!

Patrz, cóż to cię jeszcze oczekuje? Masz oczy, dłoń i usta, przeznaczone od wieków do błogosławienia. Nie samą dłonią błogosławi się.

W bliskości twej, aczkolwiek najbezbożniejszym chcesz mi być, czuję kadzidlnie woni tajemne ciągłych błogosławieństw: rozkosz i żal ogarniają mnie wobec tego.

Pozwól, o Zaratustro, abym gościem twym był bodaj na jedną noc! Nigdzie na ziemi lepiej czuć się dziś nie będę niż przy twoim boku!

— Amen! Niech się tak stanie! — rzekł Zaratustra w wielkim zdumieniu — tędy górą wiedzie droga do jaskini Zaratustry.

Chętnie, czcigodny, zawiódłbym cię sam, gdyż kocham wszystkich ludzi pobożnych. Wszakże teraz wołanie na ratunek zmusza mnie, abym cię opuścił.

W królestwie mem nikt krzywdy zaznać nie powinien; jaskinia ma dobrą jest przystanią. Zaś najchętniej każdego smutnego na twardą stawiałbym ziemię i na mocne nogi.

Któż jednak zdejmie ten posępek z ramion twych? Jam na to za słaby. Długo, zaprawdę, czekać będziesz, aż póki ci ktoś twego Boga wskrzesi.

Gdyż stary ten Bóg nie żyje; zgoła martwy jest on już.

Tako rzecze Zaratustra.

NAJSZPETNIEJSZY CZŁOWIEK

I znowuż bieżyły stopy Zaratustry przez góry i lasy, a oczy jego szukały wokół, wszakże nigdzie dojrzeć nie mogły tego, kogo znaleźć pragnęły: wielkiego cierpiącego i wołającego na ratunek. W drodze tej radosnego był serca i pełnego wdzięczności. „Ileż dobrego — mówił — darował mi dzień ten, wynagradzając swój zły początek! Z jakimiz dziwnymi ludźmi wiodłem dziś rozmowy!

Długo przeżuwać pragnę ich słowa, jako dobre ziarna; niechże mi zęby tak drobno je zmielą i rozetrą, aż mi one mlekiem w duszę spłyną!”

Gdy droga znowuż koło skał zatoczyła, zmienił się widok od razu, i Zaratustra wstąpił w krainę śmierci. Sterczały tu czarne i czerwone turnie: naokół ani źdźbła, ani krzewu, ani ptasiego głosu. Była to dolina, której unikał zwierz wszelki, stroniły od niej nawet drapieźniki; tylko pewien gatunek szpetnych, grubych, zielonych węży, przepłyzywać tu zwykł w starości, aby zdechnąć. Dlatego też zwali tę dolinę pastuchy: Wężym Skonem.

Zaratustrę ogarnęły czarne wspomnienia, gdyż zdało mu się, iż niegdyś był już w tej dolinie. I wiele ciężkich myśli przytłaczało mu ducha: siedł tedy powoli i zwalniał kroku coraz bardziej, wreszcie przystanął.

Wówczas, otworzywszy oczy, ujrzał coś na drodze siedzącego: z kształtu nibyczłowiek, wszakże mało do człowieka podobne, ujrzał coś niewypowiedzianego. I w jednej chwili opadł Zaratustrę wielki wstyd, iż coś podobnego własnymi oczyma oglądać musi: zarumienił się aż po siwy włos, odwrócił spojrzenie i uniół już nogę, aby to złe miejsce opuścić. Lecz oto martwa głusz ocknęła się głosem: na ziemi zabuzowało coś w bełkocie i rżeniu, jak woda, gdy nocą w na wpół zatkanym rurach bełkocze i rżęzi; wreszcie wyłonił się z tego głos ludzki i ludzka mowa — brzmiała ona tak:

— Zaratustro! Zaratustro! Zgadnij mą zagadkę! Powiadaj! Mów! Czem jest z e m s t a na ś w i a d k u ?

Ja cię wstecz przywabiam, gładki tu jest lód! Baczże, bacz, aby duma twa nóg tu nie połamała!

Mądrym się mniemasz, dumny Zaratustro! Odgadnijże mi tę zagadkę, ty twardy orzechów łuskaczu, zagadkę, którą ja przedstawiam! Powiadaj więc, kimże jestem ja!

Gdy Zaratustra te słowa usłyszał — jak sądzicie, co działo się w duszy jego? Opadła go litość;! runął nagle, jak się powala dąb, co długo licznym drwalom się opierał — ciężko, raptownie, ku trwodze tych, którzy go ściąć pragnęli. Lecz za chwilę stał znów na nogach, a oblicze jego przybrało twardy wyraz.

— Poznaję ja cię — rzekł spizowym głosem — t y ś j e s t m o r d e r c ą B o g a ! Puśćże mnie.

Nie zniosłeś tego, kto ciebie widział, kto cię zawsze na wskroś przezierał, ty najszpetniejszy człowieku! Zemściłeś się na tym świadku!

Tak rzekł Zaratustra i chciał odejść precz; lecz ów niewypowiedzialny pochwyił go za brzeg szaty, począł znów bełkotać i szukać słów. — Pozostań! — rzekł wreszcie — pozostań! Nie mijaj mnie! Zgadłem, jaka to siekiera powaliła cię z nóg. Chwała ci, o Zaratustro, że znowu stoisz!

Odgadłeś, wiem to dobrze, jak temu jest na duszy, co jego zabił — mordercy Boga. Pozostań! Przysiądź się do mnie, nie będzie to daremne.

Do kogóż bo udać się pragnąłem, jeśli nie do ciebie? Pozostań, siądź tutaj! Nie patrz jednak na mnie! Uczcij w ten sposób brzydotę moją!

Prześladują mnie oni: tyś się stał mą ostatnią ucieczką. Nie swą

nienawiścią, nie szpiegi swymi — z takich prześladowań szydząc, stałbym się dumny i radosny!

Czyż wszelkie powodzenie nie było dotychczas po stronie dobrze prześladowanych? Zaś kto dobrze prześladuje, iacno się uczy śla dem chadzac: wszakże zwykł się znajdować z tyhi! Lecz ich litość to zdziałała. Od ich litości umknąłem i do ciebie przystałem. O Zaratustro, chrońże mnie, ostatnia ty moja ucieczko, ty jedyny, któryś mnie odgadł: tyś odgadł, jak temu na duszy, kto jego zabił. Pozostań! A jeśli odejść chcesz, niecierpliwy: nie idź tą drogą, którą ja przybyłem. Ta droga jest zła.

Złorzeczysz mi może w duchu, że cię tak długo gawędą swą udęcę? Że ci rad już udzielam? Wiedz jednak, jam jest najszpetniejszym człowiekiem, co ma zarazem największe i najcięższe nogi. Kędy ja przechodziłem, droga złą się stała. Ja wszystkie drogi zdeptuję na śmierć i pohańbienie.

A że mijając mnie milczący; żeś się zaczerwienił na mój widok, widziałem wszak to dobrze: po tem poznałem, żeś jest Zaratustra.

Każdy inny rzuciłby mi jałmużnę litości wejrzeniem i mową swoją. Lecz na to jam nie dość żebraczy, tyś to odgadł — na tom zbyt bogaty, bogaty we wszystko, co wielkie, okrutne, najszpetniejsze, najbardziej niewypowiedzialne! Wstydem swym, o Zaratustro, uczciłeś mnie!

Z wysiłkiem dobyłem się z natłoku litościwych, aby znaleźć jedyne, co dziś poucza: „Litość jest natrętna” — aby znaleźć ciebie, o Zaratustro! — natrętna, zarówno Boża, jak i człowiecza litość: litość wstydomi się przeciwi. Zaś nie chcieć pomóc bywa nieraz rzeczą dostojniejszą niżli owa cnota, zawsze do pomocy skora.

Lecz ona to jest dzisiaj imieniem samej cnoty pośród wszystkich ludzi małych, litość owa; ci nie znają czci wobec wielkiego nieszczęścia, wielkiej brzydoty, wielkiego chybienia.

Ponad tymi wszystkimi spozieram ja górą jako pies ponad grzbietami rojnego stada owiec. Drobne to, miękką wełną porośłe, dobrochętne i szare plemię.

Jako czapla, z zarzuconą w tył głową, wzdardliwie na miałkie spogląda stawy, tako spozieram ja ponad miałkie fale, chęci i dusze.

Zbyt długo przyznawano słuszność tym małym ludziom: tak, iż wreszcie dano im nawet i władzę — i oto pouczają teraz: „Dobre jest to, co ludzie mali dobrem zwą”.

Zaś „prawdą” zwie się dziś to, o czem mawiał ów kaznodzieja, co sam z nich pochodził, ów przedziwny święty i orędownik małych ludzi, który o samym sobie świadczył: „Ja jestem prawda”.

Ten nieskromny z dawna wbija już w pychę małych ludzi — on, co nie lada błąd głosił, pouczając: „Ja jestem prawda”.

Czyż nieskromnemu odpowiedziano kiedykolwiek grzeczniej? Tyś, o Zaratustro, przeszedł mimo niego, mówiąc: „Nie! Nie! Po trzykroć nie!”

Tyś ostrzegał przed tym błędem, tyś pierwszy ostrzegał przed litością — ostrzegałeś nie wszystkich ani też nikogo, lecz siebie jedynie oraz tych, co z twego są rodu.

Wstydziłeś się, patrząc na wstyd wielkich cierpiących, i zaprawdę, skoro mówisz: „Od strony litości zbliża się wielka chmura, miejcie się na bacności, ludzie!”

Skoro pouczasz: „Wszyscy twórcy twardzi są, każda wielka miłość jest wyższa od swego współczucia” — o Zaratustro, snadź świadom ty jesteś znaków zwiastujących burzę!

Sam jednak przestrzeż siebie przed własną swą litością! Gdyż wielu jest już w drodze ku tobie: wielu cierpiących, wąpiących, rozpaczających, tonących, marznących.

Ostrzegam cię i przed sobą. Odgadłeś wszak mą najlepszą i najzgubniejszą zagadkę, odgadłeś mnie samego i wszystko, com czynił. Znam ja siekierę, która ciebie obali.

On jednak umrzeć musiał: oczyma, które wszystko widzą, widział człowiecze głębie i dna, całą jego zatajoną sromotę i szpetność.

Jego litość wstydu nie znała: wpęłzał w me najbrudniejsze zakątki. Ten najciekawszy, nad miarę natrętny, ten nadlitościwy umrzeć musiał.

On zawsze mnie widział: na takim świadku zemstę wyrzucić musiałem — lub też sam przestać żyć.

Bóg, co widział wszystko, nawet i człowieka, Bóg ten umrzeć musiał! Człowiek nie ścierpi, aby taki świadek żył.

Tak oto mówił człowiek najszpetniejszy. Zaratustra wszakże powstał w zamiarze odejścia, gdyż mroziło go aż do głębi trzew.

— Ty niewysłowny — rzekł — ostrzegasz mnie przed swoją drogą. W podzięce za to sławię ci swoją drogę. Patrz, tam oto znajduje się jaskinia Zaratustry.

Jaskinia ma jest wielka i głęboka, posiada też i wiele wnęk, najskrytszy znajdzie tam dla się kryjówkę.

Zaś tuż obok niej sto nor i przełazów dla pełzającego, latającego i skaczącego zwierza.

O odrażony, coś samego siebie odrażił, nie chcesz przebywać pośród ludzi i ludzkiej litości? Czyń więc tak, jako ja czynię! I tak oto uczyć się będziesz zarazem ode mnie; tylko działając, uczy się człowiek.

Lecz pomów pierwej i przede wszystkim ze zwierzęty memi. Najdumniejsze zwierzę i zwierzę najprzebieglejsze — one dla nas obu będą snadź najlepszymi doradcami!

Tako rzekł Zaratustra i ruszył w drogę w większej niż przedtem zadumie i powolniejszym krokiem, gdyż zapytywał siebie o wiele rzeczy i niełatwo znajdował odpowiedź.

„Jakże ubogi jest człowiek! — myślał w swem sercu — jakże szpetny, bełkotliwy i jakże pełen ukrytego wstydu!

Powiadają mi, że człowiek samego siebie kocha: och, jakże wielka musi być ta miłość siebie! Ileż wzgardy ma ona przeciw sobie!

I tamten kochał też siebie, zarówno jak i nienawidził się — wielkim miłośnikiem jest mi on i wielkim gardzicielem.

Nie spotkałem nikogo, kto by głębiej gardził sobą: i to jest wyżyną. Biada, byłżeby to ów człowiek wyższy, którego krzyk słyszałem?

Kocham wielkich gardzicieli. Człowiek jest czemś, co przezwyciężonem być musi”.

DOBROWOLNY ŻEBRAK

Gdy Zaratustra opuścił najszpetniejszego człowieka, ogarnął go chłód i poczucie samotności: snuło mu się w myślach tyle rzeczy zimnych i samotnych, że aż członki jego przy tem oziębły. Gdy jednak dalej i coraz dalej przed się kroczył, wspinając się w górę, to znów na dół zstępując, tuż obok łąnów zielonych, to znów poprzez dzikie kamieniste zwały, w których niecierpliwym strumieniu łożę sobie niegdyś słał: w wędrówce tej uczyniło mu się nagle cieplej i serdeczniej na duchu.

„Cóż to się dzieje ze mną? — pytał samego siebie — coś ciepłego i żywego orzeźwia mnie nagle, snadź w pobliżu jest coś takiego.

Mniej samotny czuję się nagle; nieświadomi towarzysze i bracia snują się wokół mnie, ciepłe ich technienie już mą duszę zatrąca”.

Gdy jednak, szukając oczyma tych ukoicieli samotności, oglądał się naokół: patrzy — krów zbity gromada stoi na pagórku; ich to bliskość i woń ogrzały mu serce. Krowy te zdawały się bacznie przysłuchiwać przemawiającemu do nich człowiekowi i nie zwracały uwagi na Zaratustrę. Gdy bliżej przystąpił, usłyszał najwyraźniej głos ludzki, dochodzący z gromady krów; do mówiącego zwracały krowy najoczywiściej łby swoje.

Zaratustra poskoczył wobec tego czem prędzej i rozegnał zwierzęta, obawiając się, że tu przytrafiło się komu coś złego, czemu współczucie krów zaradzić chyba nie zdoła. Omylił się jednak. Na ziemi siedział człowiek i, zdawało się, przekładał zwierzętom, aby się go nie obawiały; człek zgodny, karnodzieja górski, z którego oczu dobroć sama za siebie przemawiała.

— Czegóż ty tu szukasz? — wołał Zaratustra zdumiony.

— Czego szukam tutaj? — odparł — tegoż, czego i ty, który mi spokój oto zakłócasz! Szukam szczęścia na ziemi.

Kwoli temu chciałbym się od tych krów niejednego nauczyć. Wiedz-że, iż pół dnia przemawiam już do nich, i teraz właśnie miały mnie one pouczyć. I po cóżeś im przeszkodził?

Jeśli nie nawrócimy się i nie staniemy jako krowy, nie wnijdziemy do królestwa niebieskiego. Winniśmy nauczyć się od nich jednego: mianowicie przeżuwania.

I zaprawdę, gdyby człowiek cały świat posiadał, a przeżuwania się nie nauczył: na cóż zda mu się to wszystko! Utrapienia swego nie pozbędzie się on — wielkiego utrapienia, a zwie się ono dziś wstrętem. Czyżże bo serce, usta i oczy nie są dziś pełne wstrętu? I twoje! I twoje także! Lecz spojrzuj, proszę, na te krowy!

Tak oto mówił kaznodzieja górski i teraz dopiero zwrócił spojrzenie na Zaratustrę — dotychczas spoczywało ono z lubością na krowach

— spojrzawszy jednak, zmienił się nagle. — Z kimże to ja mówię?

— zawołał przerażony i skoczył na równe nogi. — Wszak to człowiek bez wstrętu, to sam Zaratustra, pogromca wielkiego wstrętu. Zaratustry to oko, jego to usta, jego serce.

Mówiąc to, z załzawionymi oczyma całował dłonie Zaratustry i zachowywał się, jak ktoś, komu drogocenny dar i klejnot niespodzianie z nieba spada. Krowy zaś przyglądały się temu wszystkiemu i dziwiły się niewymownie.

— Nie mów o mnie, ty dziwny! przypochlebny człeczko! — rzeki Zaratustra, broniąc się od tych czułości — powiadaj mi przede wszy-stkiem o sobie! Czy nie jesteś czasami tym dobrowolnym żebrakiem, co niegdyś wielkie bogactwa porzucił — co powstydził się niegdyś i bogactw swych, i bogaczy, i uciekł do biednych, aby mi swą pełnię i serce swe ofiarować? Lecz oni nie przyjęli pono tych darów.

— Lecz nie przyjęli mnie oni — rzekł dobrowolny żebrak — wiesz wszak o tem. Zwróciłem się więc do zwierząt i do tych krów oto.

— Nauczyłeś się snadź tego — przerwał mu Zaratustra — o ile trudniejsze jest właściwe dawanie od właściwego brania, i że umieć dobrze darowywać jest s z t u k ą i ostatniem najprzebieglejszem mistrzostwem dobroci.

— Osobliwie dzisiaj — odparł dobrowolny żebrak — dziś, gdy wszystko niskie staje się buntownicze, trwożliwe i na swój sposób butne: na sposób ciżby mianowicie.

Gdyż nastała, jak wiesz, godzina wielkiego, złowróźbnego, długiego i powolnego buntu motłochu i niewolników: rośnie on i wzmacnia się!

Dziś oburza niskich wszelkie dobrodziejstwo i drobne oddawanie; nad miarę bogaci niech się mają na baczości!

Kto dziś, jak pękata butla z nadto wąskich szyjek sączy — takim butelkom chętnie urywa się dziś szyję.

Lubieżna chciwość, złościowa zawiść, zgryźliwa mściwość, pycha plebejuszowska: wszystko to skakało mi do oczu. Nieprawdą stało się już, że ubodzy są błogosławieni. Królestwo niebieskie jest wszakże pośród krów.

— A czemu nie pośród bogaczy? — rozpytywał Zaratustra badawczo, odganiając krowy, które obwąchiwały poufale pocziwca.

— Czemu doświadczasz mnie? — odparł zagadnięty. — Wszak wiesz o tem lepiej niżli ja. Cóż to przygnało mnie do najbiedniejszych, o Zaratustro? Czyż nie wstręt do naszych najbogatszych?

Do tych więźni bogactwa, którzy swą korzyść z każdego śmietnika podjąć umieją, ludzi o zimnem oku i jurnych myślach, do tej hołoty ku niebu cuchnącej; do tego pozłocistego sfalszowanego motłochu, którego ojcowie byli dhigopalcymi złodziejami, ścierwnymi ptaki lub gałganiarzami — z kobietami dziś tak powolni, lubieżni, tak łatwo zapominający — wszak oni wszyscy są bliscy nierządniczy.

Motłoch w górze, motłoch na dole! Czemu są dziś „ubodzy” i „bogaci”? Tej różnicy odczytałem się już — i oto umknąłem od nich, umykałem coraz dalej, aż wreszcie do tych oto krów trafiłem.

Tak mówił pocziwiec, sapał zaś przy tem i pocił się przy swych słowach tak, że krowy dziwiły się ponownie. Zaratustra wszakże przy tych twardych jego słowach spoglądał mu w twarz z uśmiechem i potrząsał głową w milczeniu.

— Przemoc czynisz ty sobie, kaznodziejo górski, używając słów tak twardych. Do takiej tężyzny nie dorosły twoje usta i oko.

I jak sądzę, nawet i żołądek twój: nie służy j e m u żaden gniew, nienawiść i żadne wzburzenie. Żołądek twój pragnie łagodniejszej stawy: ty nie jesteś mięsożernym.

Wydajesz mi się raczej jaroszem i miłośnikiem korzonków. Może nawet ziarna mielesz. Lecz z pewnością uciechom mięsnym skłonny nie jesteś i bardzo lubisz miód.

— Odgadłeś mnie doskonale — odparł dobrowolny żebrak z uczuciem ulgi na sercu. — Lubię miód, mielę też i ziarna, gdyż poszukiwałem zawsze stawy o miłym smaku i czystem tchnieniu oraz takiej, co długiego potrzebuje czasu jako dzieło ruchu całodziennego dla łagodnych bezczyńców i nicponi.

Najdalej oczywiście zaszły pod tym względem krowy: one wynalazły przeżuwanie i wylegiwanie się w słońcu. Powstrzymują się one również od wszelkich ciężkich myśli, które rozdymają serce.

— Dobrze więc! — rzekł Zaratustra — winienesz wobec tego ujrzeć i m o j e zwierzęta: orła mego i węża, nie masz bo dziś równych im na świecie.

Patrz, tędy oto wiedzie droga do jaskini Zaratury: bądź gościem u mnie tej nocy. I mów ze zwierzęty memi o szczęściu zwierząt, póki ja nie powrócę. Gdyż teraz oto wołanie na ratunek każe mi spieszenie cię opuścić. Znajdziesz i miód świeży u mnie; jak lód świeży plastrowy miód złocisty: jedźże go!

A teraz pożegnaj czem prędzej swe krowy, ty dziwaczny! ujmujący! aczkolwiek niełatwo ci to pożegnanie przyjść winno. Gdyż są to wszak najcieplejsi twoi przyjaciele i mistrze!

— Wyjawszy jednego, którego jeszcze bardziej miłuję — odparł dobrowolny żebrak. — Ty sam jesteś dobry, lepszy nawet niż krowa, o Zaratury!

— Precz, precz ode mnie, nieznośny pochlebco! — wołał Zaratury złośliwie — czemu psujesz mnie tą pochwałą i tym miodem przypochlebnym?

Precz, precz ode mnie! — krzyknął raz jeszcze, wymachując kijem w stronę tkliwego żebraka: ów zaś umykał co tchu.

CIENÍ

Ledwie że dobrowolny żebrak uciekł i Zaratury na chwilę sam pozostał, gdy odezwał się za nim inny głos: — Stój, Zaratury! Po-czekajże chwilę! to ja jestem, Zaratury, ja, twój cień! — Lecz Zaratury nie czekał, gdyż ogarnęła go nagła niechęć do tego zbiegowiska i natłoku w jego górach.

„Gdzie się podziała ma samotność? — rzecze do siebie. — Zaprawdę, nadto mi już tego; te góry roją się od ludzi, me królestwo już nie jest z tego świata, innych potrzebuję gór.

Cień mój woła mnie? Lecz czemuż mi mój cień! Niech mnie goni! ja zaś ucieknę mu”.

Co rzekłszy do swego serca, pobiegł naprzód. Lecz ten, co za nim szedł, przyśpieszył również kroku tak, iż niebawem widać było trzech goniących się: przodem śpieszył dobrowolny żebrak, za nim Zaratury, na ostatku biegł cień jego. Niedługo wszakże gonili się tak, gdyż Zaratury przyszedł wnet do zastanowienia nad własnym szaleństwem, i otrząsnął z siebie natychmiast wszelką niechęć i przesył wszelki.

— Tam do licha! — rzekł — czyż nie działy się z dawien dawna najśmieszniejsze rzeczy pomiędzy nami, starymi pustelnikami i świętymi?

Zaprawdę, nierozsądek mój wyrósł wysoko pośród gór! Oto słyszę, jak sześć starych błazeńskich nóg skrzypi w gonitwie za sobą!

Czyż godzi się Zaratury lękać cienia? I zda mi się wreszcie, że posiada on dłuższe nogi niżli ja.

Tako rzekł Zaratury, śmiejąc się śmiechem oczu i trzewi, po czym zatrzymał się i zawrócił nagle — i omalże nie zwałił z nóg swego naśladowcę i cienia: tak blisko następował mu on na pięty i tak wąty był on zarazem. Gdy Zaratury oczyma go zmierzył, przeraził się jego jak upióra: tak chudy, szerniał, czyży i przeżyty wydał mu się ten jego naśladowca.

— Kim jesteś? — pytał Zaratury gwałtownie — i czego tu się snujesz? I dlaczego zwiesz się moim cieniem? Nie podobasz ty mi się.

— Daruj — odparł cień — że ja to jestem; a jeśli ci się nie spodobał, wiedźże, Zaratury, chwałę za to ciebie i dobry twój smak.

Pielgrzymem jestem, który z dawna już wędruje śladem twoich stóp: zawszem ja w podróży, a zawsze bez celu, i nigdzie nie jestem u siebie: tak iż, zaprawdę, niewiele się różnię od Żyda wiecznego tułacza, prócz tem chyba, że ani wieczny, ani Żyd.

Jakże to? Mamże być zawsze w podróży? Każdym wichrem miotany, chwiejny, przed się party? O ziemio, stałaś mi się zbyt krągła!

Na każdej powierzchni siadywałem już, jako znużony kurz zasypiałem na zwierciadłach i szybach okiennych: wszystko bierze ode mnie, nic nie obdarza, staję się cienki — do cienia jestem nieomal podobny.

Za tobą wszakże, o Zaratury, latałem i krążyłem najdłużej, i aczkolwiek dobrze się przed tobą ukrywałem, byłem wszakże twym najlepszym cieniem: gdzieś ty siadywał, tam siedziałem i ja.

Wraz z tobą obchodziłem najodleglejsze, najmroźniejsze światy, jako upiór, co dobrowolnie po zimowych dachach i po śniegu lata.

Wraz z tobą dążyłem do wszystkiego zakazanego, najgroźniejszego, najdalszego: i jeśli cośkolwiek we mnie cnotą jest, będzie nią snadź ten brak trwogi przed wszelkim zakazem.

Wraz z tobą burzyłem to wszystko, co kiedykolwiek me serce czciło, obalałem wszystkie kamienie rubieżne i posągi, ubiegałem się za najniebezpieczniejszymi pragnieniami — zaprawdę, poprzez wszelaki występki przeskakiwałem ja niegdyś.

Wraz z tobą oduczyłem się wiary w wielkie słowa, wartości i imiona. Gdy dyabeł linieje, czyż nie odpada wówczas i jego imię? I ono jest również wyliną. I dyabeł sam jest może naskórkiem.

Nic nie jest prawdziwe, wszystko jest dozwolone — tak oto przekonywałem siebie. W najchłodniejszej wody rzucałem się głową i sercem. Och, jakże często wystawałem potem nagi jak rak czerwony!

Och, dokądże pierchło wszelkie dobro, wszelki wstyd, wszystka wiara w dobrych! Och, gdzie się zapodziała owa zakłamana niewinność, jaką niegdyś posiadałem, niewinność dobrych i ich szlachetne kłamstwa!

Zbyt często, zaprawdę, prawdzie na pięty następowałem: i oto zwracała się nagle, uderzałem w nią głową. Nieraz zdawało mi się, iż kłamię, lecz oto wtedy dopiero utrafiałem prawdę.

Zbyt wiele wyjaśniło mi się: obecnie nic już mnie nie obchodzi. Nie żyje już nic, co bym kochał — jakżebym miał samego siebie jeszcze kochać?

żyć wedle swych chęci lub wcale nie żyć: tego pragnę, nawet najświętszy człowiek takie ma pragnienie. Lecz, biada mi! skądże wezmę jeszcze chęci?

Mamże ja jeszcze cel? Mamże ja przystań, do której mój żagiel wiezie?

Mamże ja pomyślne wiatry? Och, ten tylko, który wie, do kąd żegluję, wie zarazem, który wiatr jest dobry i dla jego żeglugi pomyślny.

I cóż mi pozostało? Serce znużone i bezcelne; wola niestateczna; skrzydła łopoczące; złamany krzyż.

To szukanie swojej siedziby. O Zaratustro, wierzaj mi, całe to poszukiwanie było tylko siedziby szukaniem i poszukiwaniem mem; trawi mnie ono.

Gdzież jest moja siedziba? O tom pytał, tegom szukał i szukał bez końca — nie znalazłem jej. O wieczne „wszędę”, wieczne „nigdzie”, o wieczne daremnie!

Tak oto mówił cień, a Zaratustry oblicze wydłużyło się przy tych słowach. — Ty jesteś mym cieniem! — rzekł wreszcie ze smutkiem.

Niemale jest twe niebezpieczeństwo, duchu ty wolny i pielgrzymi! Zły miałeś dzień: bacż, aby jeszcze gorszy wieczór po nim nie nastąpił!

Takim niestatecznym zda się wreszcie więzienie nawet błogiem schroniskiem. Czyś widział kiedy, jak śpią schwytni przestępcy? Śpią oni spokojnie: korzystają z nowego bezpieczeństwa.

Strzeż się, aby cię nie zniewoliła w końcu jakaś ciasna wiara, twardy i surowy oman! Ciebie zwodzi i doświadcza obecnie wszystko, co jest zwarte i mocne.

Straciłeś cel: biada, jakże przebolejesz teraz tę stratę lekkomyślną? Wraz z nim zgubiłeś i drogę swą sprzed oczu!

Biedny ty, bałamutnie i kapryśnie bujający, znużony motyłu! Czybyś nie zechciał na ten oto wieczór znaleźć odpoczynek i schronisko? Idźże więc do mej jaskini!

Tędy mknie droga do mej jaskini. A teraz uciekam czem prędzej od ciebie. Legło to wszystko na mnie jako cień.

Sam chcę teraz pobiec, aby znów jasno uczyniło się wokół mnie. Kwoli temu muszę długo i rażno krzątać się na nogach. Zaś dziś wieczorem — tańce będą u mnie!

Tako rzecze Zaratustra.

W POŁUDNIE

Spieszył więc Zaratustra i śpieszył coraz dalej, i nie spotykał już nikogo, i był sam jeden, i raz wraz myślą do siebie powracał, i rozkoszował się samotnością, i chłonał ją, i rozmyślał o wielu dobrych rzeczach całymi godzinami. Czasu południa, gdy słońce wprost nad głową Zaratustry stało, mijał on krzywe, sękaty drzewo, bujną miłością winnego krzewu tak ogarnięte, że aż przed samym sobą ukryte: z krzewu tego zwieszały się ku wędrowcowi obfite żółte grona. Wówczas wzięła go ochota ugasić lekkie pragnienie i zerwać takie grono, gdy jednak ramię już wyciągnął, zrodziła się w nim inna, jeszcze większa chęć: mianowicie leć pod tem drzewem w tę godzinę doskonałego południa, i zasnąć.

Tak też uczynił; i zaledwie legł na ziemię w ciszę i przytulność barwistej murawy, już o swem niewielkim pragnieniu zapomniał i zasnął. Gdyż, jak głosi przysłowie Zaratustry: jedno jest niezbędniejsze od drugiego. Tylko że oczy jego pozostały otwarte: nie mogły się one nasycić widokiem

drzewa i miłości winnego krzewu — nasycić i na-uwielbiać. W zasypianiu jednak przemawiał Zaratustra tak oto do swego serca:

„Cicho! Cicho! Czyż nie doskonałym stał się właśnie świat? Cóż to ze mną dzieje się?

Jak pieściwe wiatru tchnienie po tarłowej morza toni tańczy niewidzialnie, lekko, jak puch zwinnie, tak oto — sen po mnie płąsa.

Oka mi nie zmruży, duszę w jawie pozostawia. Lekki jest, zaprawdę! ten puchowy sen.

Podmawia mnie on, nie wiem, jak to czyni? dotyka mnie wewnątrz przypochlebnią dłonią i zniewala mnie. Zniewala mnie sen, by się dusza wyciągnęła: jak się nuży i wyciąga ma przedziwna dusza! Czyżby dnia siódmego wieczór zaszedł ją w południe? Czy za długo już pośród dobrych, żrzących rzeczy szczęśna się snowała?

Tak się pręży i wyciąga, i wydłuża wciąż! W spokoju już legła ma przedziwna dusza. Za wiele dobrego smakowała już, dławi smutek ją ten złoty, więc się krzywi usta.

Jako nawa, co w swą cichą wpłynęła zatokę, o ziemię wsparła się wreszcie, długą drogą umęczona i niepewną tonią. Wszak ziemia najwierniejsza?

Gdzie się nawa taka do lądu przygarnie, do lądu przytuli, tam pająka z lądu starczy, jednej jego nici. Mocniejszej tu liny zgoła nie potrzeba.

Jak znużona taka łódź w najcichszej zatoce, tak spoczywam ziemi bliski, wierny, ufny, czekający, najniklejszą nicią do niej przywiązany.

O szczęście! Szczęście! Wszak śpiewać chcesz, o duszo moja? W murawie ległaś. Lecz czas to jest tajemny, uroczysty czas, kiedy żaden pasterz fletni się nie ima.

Posz się! Południowy skwar drzemie nad łąkami! Nie śpiewaj! Cicho! Świat jest doskonały. Zamilcz, traw skrzydlaty stworze, nie śpiewaj, duszo moja! I szeptu też zaniechaj! Spójrz — cicho! stare śpi południe, ustami wraz porusza:

czyż nie spija ono właśnie szczęścia jednej kropli — tej brunatnej, starej kropli złocistego szczęścia, złocistego wina? Szczęście po nim się pomyka, szczęście śmieje się. Tak się śmieje Bóg. Cicho!

»Do szczęścia — jakże niewiele do szczęścia potrzeba! Takem mawiał niegdyś i mądrym się mniemałem. Słowa te bluźnieniem były: t e g o m świadom dziś. Sowizdrzały mądre lepiej powiadają.

Owóz to najmniejsze, to najcichsze, to najlżejsze, jaszczurki jednej szmer, jedno tchnienie, jeden mig, oka jedno mgnienie — mało, oto przymiot n a j l e p s z e g o szczęścia. Cicho!

Cóż się dzieje ze mną — bacz! Czyż nie pierzchnął czas? Czy nie spadam ja? Czy nie spadłem — bacz! w studnię wieczności?

Cóż się dzieje ze mną? Cicho! Razi mnie — o biada — w serce? W serce mnie uraża! O, złam się, złam me serce po szczęściu tem, po razie tym serdecznym!

Jakże to? Czyż nie doskonały stał się właśnie świat? Kragły, żrząły? O, ta złota, kragła obręcz — dokąd mknie też ona? Hejże, za nią sam polecę! W mig!

Cicho!" Tu przeciągnął się Zaratustra i poczuł, że śpi.

— Wstawaj! — wołał do siebie samego — ospalcze ty! Ty śpiochu o południu! Hejże, hejże, stare nogi! Czas już na was, czas najwyższy, dobry kawał drogi jeszcze na was czeka — wszak wyspałyście się już, jakże długo trwało to? Połowę wieczności! Hejże, hejże, stare serce! Jakże długo będziesz ty po takim śnie docuwać się?

Lecz tu zasnął Zaratustra ponownie, a dusza przeciwiała mu się, broniła i ułożyła się znów.

— Zaniechaj mnie! Cicho! Czyż nie doskonały stał się właśnie świat? O, ta kragła złota piłka!

Wstawaj — rzekł Zaratustra — ty złodziejko mała, mitrząca dzienny czas! Jakże to? Jeszcze ciągle przeciągać się chcesz, ciągle ziewać, wzdychać i w głębokie studnie padać?

Kimże jesteś! O duszo ma — i tu przeraził się Zaratustra, gdyż promień słoneczny padł mu z nieba prosto w twarz. — O nieba stropie ponad mną — westchnął i przysiadł na ziemi — przyglądasz mi się ty? Słuchasz duszy mej przedziwnej?

Kiedyż spijesz ty tę kroplę rosy, co na wszystkie ziemskie rzeczy spadła? Kiedyż spijesz duszę tę przedziwną — kiedy, studnico wieczności! ty pogodna, dreszczem rozkoszy wstrząsająca przepaści południowa! kiedyż duszę mą spijesz ty z powrotem?

Tak rzeki Zaratustra i podniósł się ze swego leża pod drzewem, jak z nie znanego mu upojenia: patrzy, a tu słońce wciąż jeszcze stoi wprost nad jego głową. Z tego atoli mógłby niejeden słusznie wywnioskować, że niedługo spał wówczas Zaratustra.

POWITANIE

Późno pod wieczór po długim szukaniu i błędzeniu daremnie powrócił Zaratustra do swej jaskini. Lecz gdy znalazł się naprzeciw niej o niespełna dwadzieścia kroków, stało się coś, czego najmniej oczekiwał: usłyszał ponownie wielkie wołanie na pomoc. I, rzecz zdumiewająca! tym razem dochodziło to wołanie z jego jaskini. Był to długi, wieloraki, dziwny krzyk, i Zaratustra odróżniał najwyraźniej, iż składa się on z wielu głosów: aczkolwiek słyszany z dala, mógł się wydawać krzykiem jednych ust.

Poskoczył tedy Zaratustra do jaskini, patrzy! i oto jakie widowisko oczekiwało go po *tym* wstępie dźwiękowym! Siedzieli tam społem ci wszyscy, których za dnia spotkał: król po prawej, król po lewej, stary wiła, papież, dobrowolny żebrak, cień, sumienny z ducha, smutny wróżbiarz i osieł. Najszeptniejszy człowiek zaś wsadził sobie na głowę koronę i zarzucił na siebie dwa płaszcze purpurowe — gdyż lubił, jako wszyscy szpetni, występować w przebraniu i upiększeniu. W pośrodku tego chmurnego towarzystwa stał orzeł Zaratustry, napuszony i niespokojny, gdyż musiał odpowiadać na wiele pytań, na które duma jego nie znajdowała odpowiedzi; mądry wąż zawisał mu na szyi.

Przyglądał się Zaratustra temu wszystkiemu w wielkim zdumieniu; po czym badał jednak każdego ze swoich gości z uprzejmą ciekawością, odczytywał ich dusze i dziwił się ponownie. Zebrani powstali tymczasem z miejsc i oczekiwali w pokorze, póki Zaratustra mówić nie pocznie. Zaratustra zaś rozpoczął temi słowy:

— Wy, rozpaczający! Dziwni wy ludzie! Więc to wasz krzyk słyszałem? Teraz wiem wreszcie, gdzie szukać tego, którego daremnie dzień cały poszukiwał: gdzie szukać człowieka wyższego.

W mej własnej jaskini siedzi ów człowiek wyższy! Lecz czemuż ja się dziwię! Czyż nie przywabiłem go tu sam, obiatą miodową i podstępem wabieniem swego szczęścia?

Lecz zda mi się, że do wspólnego towarzystwa mało wy się nadajecie, serca obciążacie sobie wzajemnie, wy, ratunku wzywający, siedząc tak oto społem? Winien przyjsć tu ktoś, co was znowu śmiać się nauczy, dobry i wesoły kuglarz, tancerz, wietrznik i trzpiot, stary sowizdrzał przyjsć tu winien: i cóż wy na to?

Wybaccież mi, rozpaczający, że tak lichemi przemawiam do was stówy, niegodnemi, zaprawdę, takich gości! Lecz nie odgadniecie chyba, co me serce tak zuchwałem czyni.

Wy to sami sprawiacie i widok wasz, darujcież mi! Każdy bowiem staje się odważnym, gdy na rozpaczającego spogląda. Dodawać otuchy rozpaczającemu — ku temu każdy wydaje się sobie dostatecznie silny.

I mnie oto obdarzyliście tą siłą — dobry to dar, zaprawdę, czcigodni moi goście! Rzetelny gościniec! Nie gniewajcież się więc, że wam swoje ofiaruję dary.

Moje to państwo i moje panowanie: wszakże co mojem jest, tego wieczora i nocy tej do was również należeć winno. Me zwierzęta niech wam usługują, ma jaskinia niech będzie dla was miejscem wytchnienia!

W domu i siedlisku mojem nikt rozpaczać nie powinien, w swojej dziedzinie strzegę każdego od złych jego zwierząt. I oto rzecz pierwsza, którą wam ofiaruję: bezpieczeństwo!

Wtóra zaś jest: mój mały palec. Wszakże, gdy jego już macie, bierzcież i dłoń całą, hejże! bierzcież i serce w dodatku! Witam was, witam, goście i przyjaciele!

Tako rzekł Zaratustra i śmiał się pełen miłowania i złośliwości. Po tem powitaniu skłonili się goście powtórnie i milczeli wciąż przejęci; wreszcie król po prawej odparł w ich imieniu.

— Po tem, o Zaratustro, jakieś podaniem dłoni i ukłonem powitał, poznajemy, żeś Zaratustra. Poniżyłeś się przed nami, nieomalże zadrasnąłeś naszą czołobitność: któż by jednak zdołał z taką jak ty poniżyć się dumą? Tem i nas podźwignąłeś, pokrzepieniem jest to dla oczu i serc naszych.

Ażeby choć to tylko zobaczyć, weszlibyśmy chętnie na wyższe nawet niżli ta. Chciwi widowiska przybyliśmy tutaj, pragnęliśmy ujrzeć to, co zasępione oczy rozjaśnia.

I patrz, już po naszych wołaniach na ratunek. Otworem stanęły już duch i serce, zachwyty je ogarnął. Niewiele brakuje, aby się ta nasza ochoczość swawolą stała.

Nic radośniejszego, o Zaratustro, nie wzrasta na ziemi, ponad wysoką, silną wolę: ona jest najpiękniejszą rośliną. Cały krajobraz orzeźwia się od takiego drzewa.

Do pini przyrównywał tego, kto wyrósł jako ty, o Zaratustro: smukły, milczący, twardy, samotny, o najlepszym, najgiętszym drzewie, świetny, i sięgający wreszcie zielonemi gałęzmi po swoje panowanie,

potężnymi zagadnieniami nagabując wichry i nawałnice oraz to wszystko, co w górach ma swoje siedlisko — potężniej jeszcze odpowiadając na nie jako rozkazodawca i zwycięzca: o, dla oglądania takiej roślinności, któż na wysokie góry wspinać się nie winien?

Twe drzewo, o Zaratustro, orzeźwia nawet chmurnych i nieudanych, na twój widok nawet niestateczny staje się pewnym i serce swe koi.

I zaprawdę, ku twej górze i ku drzewu twemu zwraca się dziś wiele oczu; wielka rozwarła się tęsknica, i niejeden pytać się nauczył: kim jest Zaratustra?

A komu pieśń lub miód w uszy kiedykolwiek wsączyłeś: wszyscy ci ukryci, samotnicy i samowtóry rzekli nagle do swych serc:

„Żyjeż jeszcze Zaratustra? Nie warto już żyć, wszystko jest obojętne, wszystko daremne: lub też z Zaratustra żyć nam chyba jedynie! Czemu nie przychodzi on, który się tak długo zapowiadał? — wielu tak oto zapytuje. — Czy pochłonęła go samotność? Lub winniśmy może my do niego pójść?”

Zdarza, się, że i samotność nawet murszeje, rozpadając się jak grób, co się rozwała i zmarłych swych utrzymać już nie może. Wszędzie widać zmartwychwstałych.

Oto rosną i wzbierają fale wokół twej góry, o Zaratustro! I jakkolwiek wysoka jest twa wyżyna, wiele z tych fal dosięgnąć jej musi: łódź twa niedługo już na lądzie spoczywać będzie

Zaś to, żeśmy, rozpaczający, do twej przyszli jaskini, wróżbą jest i przepowiednią tylko, iż lepsi są już w drodze do ciebie — gdyż owo ciągnie ku tobie ostatnia pozostałość Boga w człowieku: wszyscy ci ludzie wielkiej tęsknoty, wielkiego wstrętu, wielkiego przesytu, ci wszyscy, co żyć nie chcą, chyba że się nauczą n a d z i e j ę mieć, chyba że się od ciebie, Zaratustro, w i e l k i e j nauczą nadziei!

Tak rzekł król po prawej i pochwyił dłoń Zaratustry, aby ją ucałować; lecz Zaratustra wzbraniał się od tego uczczenia i cofnął się przerażony, milczący i jakby nagle w odległe odlatujący dale. Po chwili jednak powrócił duchem do swych gości, spojrział na nich badawczym okiem i rzekł:

— Goście moi, wy ludzie wyżsi, chcę z wami mówić po niemiecku i wyraźnie. Nie na w a s oczekiwałem ja w tych górach.

— Po niemiecku i wyraźnie? Pożal się Boże! — rzekł król po lewej, na stronie — znać, że lubyh Niemców nie zna ten mędrzec ze Wschodu! Lecz on chce powiedzieć „po niemiecku i z prostacka”. Nie jest to dziś w najgorszym jeszcze smaku!

— Możecie wy, zaprawdę, wszyscy społem ludźmi wyższymi: dla mnie nie jesteście ani dość wysocy, ani dość krzepcy.

Dla mnie, znaczy: dla tej nieubłagalności, która we mnie milczy, lecz nie zawsze milczeć będzie. A jeśli przynależycie do mnie, to wszakże nie jako moje prawe ramię.

Albowiem ten, kto, jako wy, na chorych i wątłych nogach stoi, ten chce przede wszystkim wędnie czy skrycie, aby go o s z c z ę d z a n o.

Ramion i nóg swoich nie oszczędzam ja wszakże, nie s z c z ę d z ę wojowników swych: jakżebyście chcieli nadać się do m o j e j wojny?

Z wami zepsułbym sobie każde zwycięstwo. A niejeden z was obaliłby się już, zasłyszawszy tylko moich bębnow łoskot.

Nie jesteście mi też dość urodziwi i dobrze urodzeni. Potrzebuję gładkich zwierciadeł dla swej nauki; na waszej powierzchni wykoszlawia się nawet obraz mój własny.

Na ramionach waszych ciąży niejedno brzemie, niejedno wspomnienie; niejeden zły karzeł przyczaja się w waszych kątach. Tkwi też w was i motłoch ukryty.

I aczkolwiek jesteście ludźmi wysokiego i wyższego pokroju: wiele jest w was krzywego i nieforemnego. Nie masz takiego kowala na świecie, który by was wyprostować i wyrównać zdołał.

Jesteście tylko mostami: niechże wyżsi po was kroczą! Oznaczacie stopnie: nie zlorzeczcież temu, co się po was na swój ą wyżynę wspina!

Z waszego nasienia wyrośnie może i dla mnie prawdziwy syn i dziedzic: lecz przyszłość to daleka. Wy sami nie jesteście ci, do których me dziedzictwo i imię należy.

Nie na was oczekuję w tych górach, nie z wami wolno mi będzie zniść po raz ostatni. Przysłiście tu do mnie jako zwiastuni, że wyżsi są już w drodze — a n i e są to ludzie wielkiej tęsknoty, wielkiego wstrętu i wielkiego przesytu, oraz tego, co szczątkiem Boga nazwaliście.

Nie! Nie! Po trzykroć nie! N a i n n y c h czekam ja w tych górach i bez nich nogą stąd nie ruszę.

Czekam na wyższych, bardziej krzepkich i zwycięskich, bardziej ochoczych, na tych, co są umiernie zbudowani na ciele i duchu: śmiejące się l w y przyjsz tu muszą!

O goście moi i przyjaciele, dziwni wy — czyście nic nie słyszeli o dzieciach moich? Ani o tem, że podążają już ku mnie?

Mówcież mi o moich ogrodach, o mych wypach szczęśliwości, o mym nowym urodziwym gatunku — czemuż nie mówicie o tem?

O ten gościniec dopraszam się od waszej ku mnie miłości, abyście mi o dzieciach mych mówili. Kwoli temu jestem bogaty, kwoli temu stałem się ubogi: czegoż nie oddałem — czegożbym jeszcze nie oddał, w zamian za to jedno: za te dzieci, ten żywy posiew, te drzewa życia mej woli i mej najwyższej nadziei!

Tak rzekł Zaratustra i zatrzymał się nagle w swej mowie, gdyż owładnęła nim tęsknota, zamknął oczy i usta w poruszeniu serdecznym. I goście jego milczeli również: stali niemowni i zmieszani: tylko stary wróżbiarz rękoma i miną dawał jakieś znaki.

WIECZERZA

W tem mianowicie miejscu przerwał wróżbiarz powitanie Zaratustry z gośćmi: przecisnął się naprzód, jak ktoś, co nie ma czasu do stracenia, pochwyił dłoń Zaratustry i zawołał: — Ależ, Zaratustro!

Jedno jest niezbędniejsze od drugiego, sam to powiadasz, a więc jedno jest dla mnie obecnie niezbędniejsze od drugiego.

Słówko w porę: czyż nie zaprosiłeś mnie na posiłek? A jest tu wielu takich, co z długiej podróży przybyli? Chceszże nas mowami nakarmić?

Rozmyślaliście mi również nadto o zamarznięciu, utonięciu, uduszeniu oraz o innych niedolach cielesnych; nikt zaś jeszcze nie wspomniął o mojej niedoli, mianowicie o zagłodzeniu.

Tak mówił wróżbiarz, a gdy zwierzęta Zaratustry usłyszały te słowa, uciekły przerażone. Spozregły one, że wszystko, co za dnia zniosły, nie wystarczy nawet dla zapchania samego tylko wróżbiarza.

— Łącznie z pragnieniem — ciągnął dalej wróżbiarz. — Aczkolwiek słyszę, że woda tu pluska, niby mowy mądrości, równie obficie i niezmordowanie, ja wszakże chcę wina!

Nie każdy jest, jak Zaratustra, urodzonym spijaczem wody. Woda nie zda się wreszcie na nic dla znużonych i zwiędłych: nam należy się wino — ono dopiero darzy nam zdrowieniem i krzepkością pochopną!

Przy tej sposobności, gdy wróżbiarz dopominał się wciąż o wino, stało się, że przemówił także król po lewej, najbardziej ze wszystkich milczący, — O wino — rzekł — dbaliśmy już razem z moim bratem, z królem po prawej: wina mamy dosyć, nasz osieł jest pełen wina. Nie brak więc niczego oprócz chleba.

— Chleba? — odparł Zaratustra i zaśmiał się. — Otóż chleba właśnie nie miewają pustelnicy. Wszelako człowiek nie tylko chlebem żyje, lecz i mięsem dobrych jagniąt, których mam tu dwoje.

Należy je zarznąć czem prędzej i szalwią korzennie zaprawić: tak je lubię spożywać. Nie brak też u mnie korzeni i owoców przydatnych nawet dla łakotnisiów i smakoszów, znajdują się też i orzechy oraz inne zagadki do łuskania.

O CZŁOWIEKU WYŻSZYM

1.

Gdym po raz pierwszy do ludzi przyszedł, szaleństwo pustelnika upehiałem wówczas, wielkie szaleństwo: ustawiłem się na rynku. I przemawiając do wszystkich, nie mówiłem do nikogo. Pod wieczór linokocy byli towarzyszami mymi, oraz trupy; ja sam trupem byłem ieomal.

Wraz z nowym porankiem nawiedziła mnie wszakże nowa prawda: [ówczas nauczyłem się mawiać: „J cóż mnie rynek obchodzi, co motłochu wrzawa i długie jego uszy!”

O ludzie wyżsi, nauczcie się tego ode mnie: na rynku nikt w ludzi wyższych nie wierzy. Gdy jednak przemawiać tam chcecie, baczenie miejcie! Gdyż motłoch pomrukuje oczyma: „Jesteśmy wszyscy równi”.

„Wy, ludzie wyżsi — tak oto pomrukuje ciżba — nie ma ludzi wyższych, jesteście wszyscy równi, człowiek jest człowiekiem, przed bogiem jesteście wszyscy równi!”

Przed Bogiem! Lecz oto Bóg ten umarł. Przed motłochem wszakże równi być nie chcemy. O ludzie wyżsi, opuszczajcie rynki!

2.

Przed Bogiem! Lecz oto Bóg ten umarł! O ludzie wyżsi, ten Bóg był waszem największym niebezpieczeństwem.

Od czasu, gdy on w grobie legł, wyście dopiero zmartwychwstali. Teraz dopiero zbliża się wielkie południe, teraz dopiero człowiek wyższy staje się panem!

Czyście pojęli to słowo, o bracia moi! Jesteście przerażeni: serca wasze zawrót ogarnia? Przepaść wam się tu rozwiera? Pies ognisty, Zda się wam, tu naszczekuje?

Hejże! Hej! Ludzie wy wyżsi! Teraz dopiero rodzi góra ludzkiej przyszłości. Bóg umarł: niechże za n a s z ą wolą nadczałowiek teraz żyje.

3.

Najtroskliwsi pytają dziś: „Jak zachować człowieka?” Zaratustra wszakże pyta, jako pierwszy i jedyny: „Jak przezyciężyć człowieka?”

Nadczałowiek leży mi na sercu, on jest mą pierwszą i jedyną rzeczą, n i e zaś człowiek: nie bliźni, nie najbiedniejsi, nie najbardziej cierpiący, nie najlepsi.

O bracia moi, kochać mogę w człowieku to, iż jest on przejściem i zanikiem. I w was jest wiele takiego, co mnie do umiłowania i nadziei zmusza.

A że gardzicie, wyżsi wy ludzie, to nadzieję mieć mi każe. Albowiem wielcy wzgardziciele są wielkimi czcicielami.

To, że rozpaczacie, w tem wiele uszanować należy. Gdyż nie nauczyliście się ulegać, nie znacie małostkowej przezorności.

Albowiem dziś mali ludzie panami się stali: każą oni wszyscy uległość, przestawanie na małym, roztropność, pilność, oraz to długie „i tak dalej” małych cnót.

Wszystko, co kobiece, co ze służalczego pochodzi rodu, zwłaszcza ta motłochu mieszanina: panem doli człowieczej stać się to wszystko chce — o, wstręt! wstręt! wstręt!

W s z y s t k o to pyta bez końca i nie nuży się tem pytaniem: „Jak zachować człowieka najlepiej, najdłużej, najprzyjemniej?” I tem stają się oni — panami dnia.

Panów dnia dzisiejszego przewyciężcie mi, o bracia moi — tych małych ludzi: oni to są największym niebezpieczeństwem nadczałowie-ka!

Przewyciężcie mi, o ludzie wyżsi, te małe cnoty, małostkową roztropność, te pyłkowe względy, to rojenie się mrówcze, tę żalną błogość, to „szczęście najliczniejszych”!

I raczej rozpaczajcie, niżbyście ulegać mieli. I, zaprawdę, kocham was za to, że dzisiaj żyć nie umiecie, wy ludzie wyżsi! Gdyż to właśnie jest w a s z e m życiem — najlepszym!

Macież wy odwagę, o bracia moi? Zali jesteście krzepcy sercem? i e odwagę przed świadkami, lecz odwagę pustelnika i orła, któremu

len Bóg już się nie przygląda?

Dusze zimne, muły, stępce i opoje krępkimi sercem dla nas nie są. Serce posiada, kto trwogę zna, lecz ją z n i a g a; kto przepaść widzi, lecz patrzy na nią z d u m ą.

Kto w przepaść spoziera, lecz orłowemi oczy, kto orła szponami przepaści się chwyta: ten posiada odwagę.

5.

„Człowiek jest zły” — mówili mi ku pocieszę wszyscy najmędrsi. Och, gdybyż to dziś prawdą jeszcze było! Gdyż zło jest w człowieku największą siłą!

„Człowiek stać się musi lepszy i gorszy” — tak oto ja pouczam. Najgorsze jest w nadczałowieku niezbędne do najlepszego.

Dobre to snadź było dla onego kaznodziei małych ludzi, iż cierpiał on i dźwigał grzech człowieczy. Ja zaś doznaję wielkiego grzechu jako ; największej p o c i e c h y .

Nie powiada się tego wszakże dla długich uszu! Nie każde słowo ! też każdej gębie przystoi. Subtelne to i dalekie rzeczy: niech owiec racice po nic nie sięgają!

Mniemacie wy może, ludzie wyżsi, że na to jest, by poprawiać, coście licho zdziałał?

Lub że pragnę wam, cierpiącym, wygodniej na przyszłość słać? Warn niestatecznym, zbłąkanym, na górnych drogach zaprzepaszczone, nowe lżejsze ścieżki wskazywać?

Nie! Nie! Po trzykroć nie! Coraz to więcej, coraz to lepsi waszego pokroju ginąć mi muszą, gdyż coraz to zgubniejsze i coraz to twardsze winno być dla was życie. Tak jedynie — jedynie tak wyrasta człowiek ku górze, gdzie go grom trafia i łamie: wyrasta dość wysoko dla gromu!

Ku rzeczom nielicznym, długim a odległym zmierzają dумы i tęsknoty me: czemuże mi są wasze małe, liczne i krótkie nędze!

I niedostateczne są mi jeszcze cierpienia wasze! Gdyż wy cierpicie nad sobą, nie cierpieliście jeszcze nad człowiekiem. Kłamałibyście, mówiąc inaczej! Nikt z was nie cierpiał nad tem, nad czem ja cierpiałem.

7.

Nie dość mi tego, że grom szkody już nie czyni. Nie pragnę go odwozić: winien się nauczyć, jakby dla mnie pracował.

Mądrość ma zbiera się już długo, jako chmura staje się cichszą i ciemniejszą. Tak czyni każda mądrość, co kiedyś błyskawice rodzić ma.

Dla tych ludzi dnia dzisiejszego światłem być nie chcę, światłem zwać się nie pragnę. Ich — oślepić chcę: błyskawico mądrości mej! wykluj oczy im!

8.

Nie pragnijcie nigdy ponad to, co zdziałać jesteście w stanie: istnieje niedobry fałsz pośród tych, co ponad swą możliwość chcą.

Osobliwie, gdy pragną rzeczy wielkich! Gdyż oni budzą nieufność do *rzeczy* wielkich, ci zręczni fałszerze i aktorzy — i stają się wreszcie fałszywi przed samymi sobą, to zezujące, szminką pokryte, robaczywe plemie, strojne w płaszcz wielkich słów, cnót okazowych i błyskotliwych, a fałszywych dzieł.

Miejcież to na baczności, ludzie wyżsi! Nie masz bo dziś nic cenniejszego i rzadszego ponad rzetelność.

Czyż to „dziś” nie należy do motłochu? Motłoch zaś nie wie, co wielkie, co małe, co proste, co rzetelne: on jest niewinnie koszlawy, on zawsze łże.

9.

Bądźcie dziś nieufni, wy, ludzie wyżsi, wy serdeczni! Wy otwarci! I ukrywajcie dowody swoje! To „dziś” do motłochu wszak należy.

W co motłoch bez dowodów uwierzył, jakżebyście to chcieli dowodami obalić?

Zaś na rynku przekonywa się gestami. Dowody wszakże budzą w motłochu nieufność.

A jeśli się zdarzy, że prawda zwycięży, pytajcież w słusznym niedowierzaniu: „Jakaż niedorzeczność walczyła za nią?”

I strzeżcież się uczonych! Nienawidzą was oni, gdyż bezpłodni są! Mają zimne wyschłe oczy, ptak każdy bez piór przed nimi leży.

Tacy chełpią się tem, że nie kłamią, wszakże od niemocy kłamstwa daleko do umiłowania prawdy. Miejcież się na baczności!

Niepodleganie febrze nie jest jeszcze poznaniem! Wychłodzonym duchom nie dowierzam ja. Kto kłamać nie umie, nie wie, czem jest prawda.

10.

Jeśli ku wyżynie zmierzasz, własnych używaj nóg! Nie pozwalaj się wnosić, nie siadaj na cudze grzbiety i głowy!

Lecz ty na konia oto wskakujesz? I oto cwałujesz szybko do swego celu? Pięknie, przyjacielu mój! Lecz oto twa chroma noga wraz z tobą na koniu siedzi!

A gdy u celu swego się znajdziesz, gdy z konia zeskoczysz: na swój ej właśnie wyżynie, o człowieku wyższy, potykać się będziesz!

11.

Wy twórcy, wyżsi wy ludzie! Własnym dzieckiem brzemienным się tylko bywa. Nie pozwalajcież wgadywać w siebie niczego i wmawiać! Któż to jest w naszym bliźnim? Aczkolwiek działacie „dla bliźniego”, nie tworzyacie wszak dla niego!

Oduczcież mi się tego „dla”, wy twórcy: cnota wasza właśnie chce, byście żadnej rzeczy nie czynili „dla”, „aby” i „ponieważ”. Na te małe, fałszywe słowa zatykajcie uszy swe.

Owo „dla bliźniego” jest cnotą małych ludzi: u nich to obowiązuje „swój swemu” i „ręka rękę myje”: oni nie mają ani prawa, ani siły do waszego samolubstwa!

W waszem samolubstwie, wy twórcy, jest przezorność, opatrność brzemiennych! Czego oczyma nikt jeszcze nie ujrział, owoc: on to chroni, osłania i żywi całą waszą miłość.

Gdzie jest cała miłość wasza, przy dziecku, tam bywa i całkowita cnota wasza! Wasze dzieło, wola wasza jest w naszym „bliźnim”: nie pozwalajcie wmawiać w siebie fałszywych wartości!

12.

Wy twórcy, wyżsi wy ludzie! Kto rodzić musi, jest chory; kto, zaś porodził, bywa nieczysty.

Pytajcie kobiet: nie rodzi się wszak dla przyjemności. Ból to kurom i poetom gdakać każe.

Wy twórcy, wiele w was nieczystego. Jako że matkami musieliście się stać.

Nowe dziecko!... O, ileż brudu przyszło wraz z niem na świat! Uchodźcież na stronę! Kto zaś porodził, niech duszę swą umywa!

13.

Nie bądźcie cnotliwi ponad własne siły! I nie wymagajcie od siebie niczego nad podobieństwo!

Chodźcie tymi śladami, którymi już cnota waszych ojców chadzała! Jakże to chcecie wysoko się wspinać, gdy wola ojców waszych z wami się nie wspina?

Kto z rodu swego pierwszym być chce, niech baczy, aby się nie stał ostatnim! A w czym nałogi ojców waszych tkwiły, świętymi w tem być nie pragniecie!

Czyi ojcowie zabawiali się kobietami, lęgiem winem i łowami na dziki: jakżeby ten mógł czystoty od siebie wymagać?

Szałeństwem byłoby to! Zaprawdę, wiele, zda mi się, czyni już taki, gdy jest mężem jednej, dwóch lub trzech kobiet.

I choćby klasztory ustanawiał i ponad drzwiami swemi wypisywał: „Droga do świętości”, rzekłbym mimo to: po co! wszak to nowe tylko szaleństwo!

Ustanowił on sam dla siebie więzienie i ucieczkę: niech mu służą! Lecz nie wierzę ja w to.

W samotności wyrasta, co człowiek w nią wniesie, nawet bydlę wewnętrzne. Tym sposobem odradza się samotność wielu ludziom.

Czyż bywało coś niechlujniejszego na świecie ponad świętych pustelników? Wokół nich rozpasywał się nie tylko dyabeł, lecz i świnia.

14.

Spłoszeni, zawstydzeni, niezręczni, podobni do tygrysa, gdy mu się skok nie udał: tak oto wy, ludzie wyżsi, przemykaliście mi się na ubocze. Nie udał wam się rzut.

Aliści, gracze moi, cóż na tem zależy! Nie nauczyliście się grać i szydzić zarazem, jak grać i szydzić należy! Czyż nie siedzimy stale przy wielkim stole gry i szyderstwa?

A gdy wam rzecz wielka chybiła, czyście wy przeto — chybieni? A skoroście wy nawet chybieni, czyż chybnym jest przeto człowiek? Gdy wszakże człowiek jest chybnym: hejże! hejże więc!

15.

Im wyższego rzecz gatunku, tem rzadziej udaje się. O ludzie wyżsi, nie jesteście mi wszyscy nieudani?
 Bądźcie dobrej myśli, bo cóż na tem zależy! Ileż bo możliwości pozostaje jeszcze! Uczcie się śmiać z samych siebie, jako śmiać się należy!
 I cóż dziwnego, żeście się nie udali, lub udali połowicznie, wy na poły rozbici! Czyż nie prze i nie rozpiera się w nas —
 przyszlósć
 ludzka?
 Człowieka dale i głębie największe, wyżyny gwiazdne, jego niesłychana siła: czyż to wszystko nie pieni się i nie burzy niezgodnie w waszym garnku?
 I cóż dziwnego, że niejeden garnek pęka! Uczcie się śmiać z samych siebie, jako śmiać się należy! O ludzie wyżsi, ileż jest jeszcze możliwości!
 I zaprawdę, ileż udało się już! Jakże zasobna jest ziemia w małe dobre doskonałe rzeczy, w rzeczy udane!
 Otaczajcie się ludzie wyżsi, doskonałemi rzeczami! Ich złote obręcze koją serce. Doskonałość uczy nadziei.

16.

Jakież to największy grzech popełniono dotychczas na świecie? Czyż nie były nim słowa tego, który rzekł: „Biada tym, którzy się śmieją!”
 Czyż nie znalazł powodu do śmiechu na ziemi tej? Snadź źle szukał. Dziecko nawet znajdzie tu powody.
 On — nie dość kochał: inaczej ukochałby nas, śmiejących się! Aliści on nienawidził nas i urągał nam, skowity i zębów zgrzytania obiecując nam.
 Czyż należy natychmiast kłać, gdzie kochać nie można? Mniemam, że zły to smak. Lecz tak on czynić zwykł, ten bezwzględny. Z motłochu pochodził.
 Sam on tylko nie dość kochał: inaczej mniej by złorzeczył, że się jego nie kocha. Każda wielka miłość pragnie nie miłości — ona chce czegoś więcej.
 Uchodźcie z drogi wszystkim tym bezwzględnym! Biedny to i chory lud, motłoch rodem: niechętnie na życie on spogląda, złe wejrzenie ma on dla tej ziemi.
 Uchodźcie z drogi wszystkim tym bezwzględnym!
 Ciężkie mają oni nogi i odęte serca — tańczyć nie umieją. Jakżeby im ziemia lekką być miała!

17.

Krzywo zbliżają się do swego celu wszystkie rzeczy dobre. Jako koty wyginają grzbiet, mruczą wobec bliskiego szczęścia — wszystkie dobre rzeczy śmieją się.
 Krok wskazuje, czy ktoś po s w ó j ej drodze kroczy: patrzcież, jak chodzę! Kto zaś do celu swego się zbliża, ten tańczy.
 I, zaprawdę, posągiem nie stałem się ja, jeszcze nie stoję sztywny,
 •ętwiały, kamienny jako kolumna; lubię szybki bieg.
 A choć na ziemi są też i bagniska oraz grząskie posępki: kto lekkie ,a nogi, po mule nawet przebiega prędko i tańczy po nim jak po umiec-ionym lodzie.
 Wznóście serca ku górze, bracia moi, wysoko! jeszcze wyżej! Nie zapominajcie mi też i nóg! Podnoście i nogi, dobrzy tancerze, lub lepiej jeszcze: na głowie też stawajcie!

18.

Tę koronę śmiejącego się, tę koronę z róż, sam włożyłem sobie na skroń, sam uświęciłem śmiech swój. Nie znalazłem nikogo o dostatecznej ku temu mocy.
 Zaratustra tancerz, Zaratustra lekki, skrzydłami powiewający, polotny, wszystkim ptakom pozdrowienia ślący, gotów i ochoczy, lekkoduch ten błogi.
 Zaratustra prawdowrózek, Zaratustra prawdośmieszek, ani niecierpliwy, ani też bezwzględny, jeden z tych, co skoki i uskoki ukochał; sam tę koronę włożyłem sobie na skroń!

19.

W górę serca, bracia moi, wysoko! jeszcze wyżej! A nie zapominajcie też i nóg! Podnoście też i nogi wasze, dobrzy tancerze, lub lepiej czyńcie: na głowie też stawajcie!
Bywają stworzenia ociężale nawet w szczęściu, bywają niezdary od

urodzenia. Przedziwnie mozolą się oni niby słoń, co na głowie stanąć zamierza.

Lepiej oszaleć ze szczęścia, niżli oszaleć z niedoli, lepiej niezdarnie tańczyć, niżli chromo chodzić. Nauczcie się wreszcie mej mądrości: nawet najlichsza rzecz ma dwie dobre strony — nawet najlichsza rzecz posiada dobre nogi taneczne: nauczcie się wreszcie, o ludzie wyżsi, stawiać samych siebie na właściwe nogi!

Oduczcie mi się utrapień i wszelkiej motłochu osmetnicy! O, jakże żalosni wydają mi się dziś kuglarze motłochu! To „dziś” wszakże do tłumu należy.

20.

Czyńcie mi jako wichry, gdy się z górskich czeluści rwie: w takt własnych dud płaść on rad, a morza drzą i skaczą pod jego tapaniem.

Który osłom skrzydła daje, a lwice doi, sławiony niech będzie ten dobry niepohamowany duch, co każde dziś i ciżbę każdą jako burzowy nawiedza wichr.

Wszystkim zrzędom i mitrężnym głowom wrogi, wszystkim liściom zwiędłym i chwastom wszelkim: sławiony niech będzie ten dziki dobry wolny wichrowy duch, który po trzęsawiskach i pognębieniach jak po łąkach płaść!

Który motłochu psiego plemienia nienawidzi oraz wszelkich nieudanych, ponurych pomiotów: sławiony niech będzie ten wolnych duchów duch, ten śmiejący się wichr, co wszelkim czarnowidom i ropiejącym pył w oczy dmie!

O ludzie wyżsi, najlichszem w was jest to, żeście się wszyscy tańczyć jeszcze nie nauczyli, jako tańczyć należy — w płasach poza siebie wybiegać! I cóż z tego, żeście się nie udali!

Ileż bo rzeczy jest jeszcze możliwych! N a u c z c i e ż się więc śmiechem poza siebie wybiegać! Wznóście serca ku górze, dobrzy tancerze, wyżej! jeszcze wyżej! A nie zapominajcie przy tem i o śmiechu!

Tę koronę śmiejącego się, tę koronę z róż, wam przerzucam ja ją, o bracia moi! Uświęciłem śmiech; o ludzie wyżsi, n a u c z c i e ż mi się śmiać!

PIEŚŃ POSEPKU

1.

Gdy Zaratustra te mowy kończył, stanął u wyjścia z jaskini; wraz z ostatnimi słowy wymknął się gościom swoim i uciekł na chwilę w pole.

— O czyste wokół mnie woni — zawołał — o błogosławiona wokół mnie ciszo! Lecz gdzież są zwierzęta moje? Bywaj orle, bywaj wężu mój!

Powiedzcie mi, zwierzęta: ci ludzie wyżsi wszyscy społem — czyżby oni niemiłą wydawali woń? O czyste wokół mnie woni! Teraz dopiero wiem i czuję, jak ja was kocham, zwierzęta moje.

I Zaratustra powtórzył po raz drugi: „Kocham was, zwierzęta me!” Orzeł zaś i wąż garnęły się doń, słysząc te jego słowa, i spozierały ku niemu. I tak oto stali wszyscy troje, chłonęli i spijali społem czyste powietrze. Gdyż tu na zewnątrz jaskini lepsze było powietrze niżli pośród ludzi wyższych.

2.

Zaledwie Zaratustra opuścił swą jaskinię, podniósł się stary wiła, obejrzał się chytrze naokoło siebie i rzekł: — Już wyszedł!

I zaledwie to uczynił, o ludzie wyżsi — gdyż chcę wam tem samem schlebiać imieniem i tą samą chwałbą was łechtać, jak on to czynił — już opada mnie zły mój czar i omam, mój szatan posepny, który Zaratustrze jest przeciw z głębi duszy: wybaczcież mu to!

Oto chce on czary swe przed wami czynić, zbliża się właśnie je go pora, daremnie borykam się z tym złym duchem.

Wam wszystkim, jakąkolwiek cześć słowami sobie oddawać zechcecie, zwąc się „wolnymi duchy”, „rzetelnymi”, „pokutnikami ducha” czy też „rozkutymi” lub „wielkimi marzycielami” — wam wszystkim, którzy na wielki

wstręt cierpicie, którym stary Bóg umarł, a żaden nowy bóg w kołysce i powijkach jeszcze nie spoczywa — wam wszystkim skłonny jest zły mój duch i szatan mój czarnoksięski.

Znam ja was, o ludzie wyżsi, znam też i jego — tego czarodzieja, którego kochać muszę mimo woli, znam ja Zaratustrę: on sam zda mi się nieraz piękną larwą świętego — niby nowe przedziwne zamaskowanie, które upodobał był sobie zły mój duch i szatan mój posepny: Kocham Zaratustrę, i, jak mniemam nieraz, kwoli duchowi swemu złemu.

Lecz oto opada mnie już i zmaga mnie ten duch ciężkości, ten szatan wieczora i mroku: i, zaprawdę, o ludzie wyżsi, zachciewa mu się — rozwierajcie jeno oczy! — zachciewa mu się zjawić nago; czy mężczyzną, czy kobietą, nie przewiduję tego jeszcze: lecz zbliża się on, zmaga mnie — biada! rozwierajcie zmysły!

Przebrzmiał dzień, nastał wieczór rzeczom wielkim; słuchajcież więc i baccie, o ludzie wyżsi, zali mężczyzną, czy też kobietą, jest ten zły duch wieczornego posepku!

Tak oto rzekł stary wiła, obejrzał się chytrze wokół i sięgnął po tę harfę.

Gdy dzienny już przygasa blask,
Gdy rosy ukojenie
Na ziemię sączyć się poczyna,
Niewidocznie, i bezgłośnie —
Łagodnymi bowiem kroki
Stąpa rosy ukojenie jako wszyscy miłośni:
Pomnisz wonczas, pomnisz serce me płomienne,
Jak pragnęłość ongi,
Łez niebiańskich, roś kojących
Wyczerpane i łaknące.
Jak złotym szlakiem po murawie
Wieczornego słońca wejrzenia złośliwe
Skoś czarnych drzew wokół cię padały,
Oślepiające skwarne słońca blaski urągliwe?

Prawdy oblubieniec? Ty? — szczydziły one —
Nie! Poeta tylko!
Zwierzę chytre, łupieżcze, pełzające,
Co kłamać musi,
Z wiedzą, z wolą musi łąć:
Łupu łaknąć,
Za jaskrawą maską tkwić,
Samemu sobie larwą,
Samemu sobie łupem być —
I to — prawdyż to miłośnik?
Nie! Szaleniec tylko! Tylko poeta!
Co od rzeczy gada,
Spoza larw błazeńskich jaskrawe brednie głosi,
Po fałszywych mostach snów ciągle się snujący,
Po barwistych tęczach,
Gdzie fałszywe nieba
I ziemie fałszywe,
Ciągle się snujący, zawsze tułający,
To szaleniec tylko! To tylko poeta!
Więc to prawdy oblubieniec?
Nie cichy, nie drętwy, nie gładki, nie zimny,
I nie sposągowiwały
Jako posąg Boga,
Przed chromami nie stawiany
Jako warta Boża:
Nie! Tyś mi wrogi prawdy tym posągom,
W każdej puszczy bardziej swojski niżli przed świątnią,
Pełen kociej samowoli,
Poprzez każde okno walisz
Skokiem! w każdy spadasz traf,

Każdą knieję rad powęszysz,
 Zadnie — tęsknie w nozdrza chłoniesz,
 Aby w puszczy uroczytku
 Wśród drapieżców gdzieś plamistych
 Biegać piękny, kraśny, grzesznie zdrów,

Z obwisłem! żądzą wargi,
 Błogo szydery, piekielny, błogo krwiożerczy
 W mateczniku krążyć, rabując, pełzając i lżąc -
 Lub jak orzeł, co długo
 W przepaściach drętwy topi wzrok,
 W s w o i c h przepaściach:
 O, jakże się tu one w dół,
 W otchłań, w bezdeń,
 W coraz to głębszą kłębią głąb!
 Potem,
 Nagle, w drżący grot,
 W śmigły lot.
 Już w j a g n i e t a orzeł godzi.
 Gromem spada ptak rozżarty,
 Jagniąt krwi łakomy,
 Jagnięcym zawsze duszom wróg,
 Wróg wszystkiemu, co spoziera
 Sennie, jagnięco, z runy kędzierzawej,
 Co patrzy szaro, owczo, pocziwie, jagnięco!
 Tak oto
 Orle, panterze
 Są tęsknoty poety,
 Są t w o j e tęsknoty pod masek tysiącem,
 Ty szaleńcze! Ty poeto!
 Ty, coś dojrzał w człeku
 Równie Boga, jak i owcę —
 Chcesz Boga r o z s z a r p a ć w człowieku
 Oraz owcę w człeku,
 A rozszarpując śmiać się —
 Oto, oto twa szczęśliwość!
 Szczęśliwość pantery i orla!
 Szczęśliwość błazna i poety!

Gdy dzienny już przygasa blask, Gdy zielony sierp księżycy Pośród nieba już purpury Zawistnie pomyka:
 — wrogi dniowi,
 W każdym kroku skrycie
 Girlandy róż wiszących
 Sierpem zetnie, aż padną
 I blade w nocy runą głębie —
 Tak zapadłem niegdyś ja
 Z obłądu prawdy mego,
 Z moich tęsknot dnia,
 Znużony dniem, od światła chory,
 — runąłem wstecz, w mrok i w cień: Spiekotą jednej prawdy Niegdyś tak spragniony:
 — zali pomnisz, pomnisz jeszcze, serce moje wrzące,
 Jak tużył oś ongi? —
 Żem wygnańcem jest
 Z dziedzin wszelkiej prawdy.
 Szaleniec tylko!
 Tylko poeta!

O NAUCE

Tak śpiewał wiła; zaś wszyscy obecni wplątali się niepostrzeżenie jak ptaki, w sieć jego chytrej i posępnej rozpusty. Tylko sumienny z ducha nie dał się omotać: czem prędzej odebrał wile harfę i wołał:

— Powietrza! Wpuście świeżego powietrza! Niech Zaratustra tu wejdzie! Uczyniłeś tę jaskinię duszną i jadowitą, ty stary wiło!

Tak śpiewał wiła; zaś wszyscy obecni wplątali się niepostrzeżenie jak ptaki, w sieć jego chytrej i posępnej rozpusty. Tylko sumienny z ducha nie dał się omotać: czem prędzej odebrał wile harfę i wołał:

Powietrza! Wpuście świeżego powietrza! Niech Zaratustra tu wejdzie! Uczyniłeś tę jaskinię duszną i jadowitą, ty stary wiło!

Wabisz, przebiegły fałszerzu, w nieznanne pożądanja i puszcze. I biada, gdy tacy jak ty, o prawdzie mówią i świadczą!

Biada wszystkim wolnym duchom, które przed takimi czarownikami nie mają się na bacności! Przepadła ich wolność: ty wabisz z powrotem w więzienia.

Ty stary posępny szatanie, w twej skardze brzmi wabiąca fletnia, jesteś jako ci, co swą pochwałą czystoty zapraszają do rozpusty!

Tak mówił sumienny. Stary wiła spoglądał naokoło, upajał się zwycięstwem i przelknął dzięki temu zgryzotę, którą mu zgotował sumienny. — Bądź cicho! — rzekł skromnym głosem — dobre pieśni chcą dobrze rozbrzmiewać, po dobrych pieśniach należy długo milczeć.

Czynią to wszyscy tu obecni, wszyscy ludzie wyżsi. Tyś jednak na pewno niewiele zrozumiał z mej pieśni? Mało w tobie czarodziejskiego ducha.

— Oddajesz mi pochwałę tem odłączeniem od siebie — odparł sumienny — rad o tem słyszę! Lecz tu obecni, co widzę? Wszak wy wszyscy macie wciąż jeszcze lubieżne oczy.

Dusze wolne, gdzież się wasza wolność podziała! Wyglądacie mi nieomal jak ci, co swawolnym nagim tancerkom przyglądali się zbyt długo: dusze wasze tańczą!

W was, ludzie wyżsi, jest snadź więcej tego, co wiła nazywa swym duchem czarów i omamu: jesteście snadź odmienni.

I zaprawdę, zbyt długo mówiliśmy i rozmyślaliśmy razem, zanim Zaratustra powrócił do swej jaskini, abym tego nie wiedział: jesteście odmienni.

Wy i ja, my poszukujemy rzeczy odmiennych nawet tu na górze. Ja mianowicie szukam więcej pewności i przeto trafiłem do Zaratustry. Albowiem on jest najmocniejszą jeszcze wieżą i wołą — dziś, gdy wszystko się chwieje, gdy cała ziemia drży. Wy zaś, gdy spojrzę w te wasze oczy, jakimi teraz spoglądacie, zda mi się niemal, że wy szukacie więcej niepewności, więcej dreszczów, większego niebezpieczeństwa, większego trzęsienia ziemi.

Zachciewa się wam, ludzie wyżsi, tak mi się nieomal widzi, wybaczyć temu zwidzeniu, zachciewa się wam najgorszego, najniebezpieczniejszego życia, które mnie trwogą najbardziej przejmuje, życia dzikich zwierząt, lasów, jaskiń, stromych gór i błędnych czeluści.

I nie przewodników, wyprowadzających z niebezpieczeństwa, upodobaliście sobie najbardziej, lecz tych, którzy ze wszystkich dróg spro-wadzają, was pociągają, uwodzą. Aczkolwiek takie zachcenia prawdziwe są w was, mnie wydają się one mimo to niemożliwe.

Albowiem trwoga — ona to jest w człowieku uczuciem pierwotnym i zasadniczym; trwogą tłumaczy się wszystko, grzech pierwotny i cnota pierwotna. Z trwogi wyrosła i moja cnota, a zwie się ona: nauka.

Trwoga przed dzikiem zwierzęciem — wszczepiano ją najdłużej człowiekowi, włączając trwogę przed tem bydlęciem, co się w nas samych kryje i trwoży. Zaratustra zwie to: „bydlęciem wewnętrznym”.

Ta długa, stara trwoga, stawszy się wreszcie subtelną, duchową i uduchowioną, zwie się dziś, jak mniemam: nauka.

Tak mówił sumienny. Zaratustra, który w tej właśnie chwili do jaskini wstępował, a ostatnie słowa usłyszał i odgadł, rzucił sumiennemu garść róż i śmiał się z jego „prawd”. — Co takiego! — wołał — co słyszę? Zaprawdę, mniemam i ja z kolei, żeś albo ty szaleniec, albo ja nim jestem: przeto „prawdę” twą różnym chwytem wnet na głowie ci postawię.

Trwoga bowiem jest naszym stanem wyjątkowym. Odwaga wszakże, żądza przygód, ochoczość do wszystkiego, co niepewne, na co nikt się jeszcze nie poważył — odwaga zda mi się człowieka przedhistorią całą.

Najdzikszym, najodważniejszym zwierzętom pozazdrościł on cnót i wydarł je im: i wtedy dopiero stał się człowiekiem.

Ta odwaga, gdy się wreszcie subtelną stała, duchową i uduchowioną, ta odwaga człowieka o skrzydłach orła i roztropności węża, ona to, mniemam, zwie się dziś...

— Zaratustra! — zawołali wszyscy obecni, jakby jednemi usty i wszczęli przy tem wielki śmiech, który wszakże oderwał się od nich jako ciężka chmura. Nawet wiła śmiał się i rzekł przezornie: — Niechże i tak będzie! Już prysnął zły mój duch!

Wszak sam ostrzegałem was przed nim, mówiąc, że to oszust jest, duch ływy i omamny. Osobliwie, gdy się nago ukaże. Lecz cóżem ja winien tym jego podstępom! Czyż j a stworzyłem jego i świat ten? Hejże więc! Bądźmyż znowu zgodni i dobrej myśli! Aczkolwiek Zaratustra gniewnie spojiera — spojrzycieź tylko! dąsa się on na mnie — wszakże zanim noc nadejdzie, będzie mnie kochał i słał, bez takich szaleństw długo żyć on nie może.

O n kocha swych wrogów: tę sztukę posiadał najlepiej ze wszystkich, kogo znałem. Lecz mści się on za to na swych przyjaciółach!

Tak mówił stary wiła, a ludzie wyżsi poklask mu dali: tak iż Zaratustra począł obchodzić swych przyjaciół i ścisnął im dłonie złośliwie i z miłością — czyniąc to jak ktoś, co wszystkim wygodzie w czemś pragnie i przeprosić za coś chce. Gdy znalazł się jednak przy tem u wyjścia z jaskini, już go chęćka porwała, aby na świeże powietrze do zwierząt swych wyskoczyć — chciał się tedy wymknąć.

WŚRÓD CÓR PUSTYNI

1.

— Nie odchodź — rzekł wówczas pielgrzym, zwący siebie cieniem Zaratustry — pozostań z nami, gdyż dawna głucha żałość gotowa nas znów ogarnąć.

Już stary wiła swem najgorszem zadrwił z nas w najlepsze i spojrzij tylko, dobry pobożny papież ma łyzy w oczach i wypłynął już całkowicie na morze posepku.

Ci królowie zaś nadrabiają widocznie miną: pośród nas wszystkich o ni nauczyli się dziś tego najlepiej! Gdyby wszakże świadków tu nie było, trzymam zakład, wszczęłaby się i u nich ta zgubna igraszka — zgubna igraszka przeciągających chmur, wilgotnych smętków, przystoniętego nieba, skradzionych słońc, wyjących wichrów jesiennych.

Zła igraszka naszego wycia i wołania na pomoc: pozostań przy nas, o Zaratustro! Wiele tu utajonej niedoli, co przemówić pragnie, wiele wieczora, chmur, wiele dusznego powietrza!

Karmiłeś nas tęgą męską strawą i krzepkimi przypowieściami: nie dozwoł, aby na zakończenie uczty opadły nas znów gnuśne kobiece duchy!

Ty jeden czynisz wokół siebie powietrze rześkiem i jasnym! Czyż znalazłem gdziekolwiek na świecie tak dobre powietrze jak w twej jaskini?

Wiele krain wszak widziałem, nos mój nawykł rozliczne powietrza badać i oceniać: u ciebie wszakże doznają me nozdrza największej rozkoszy!

Wyjąwszy może, wyjąwszy może, o, daruj stare wspomnienie! Daruj mi starą pieśń poobiednią, którą stworzyłem niegdyś pośród cór pustyni — u nich bowiem powietrze było równie dobre, jasne, wschodnie; tam byłem najdalej od chmurnej wilgotnej posepnej starej Europy!

Wówczas lubiłem takie dziewczęta wschodnie oraz inne błękitne niebo, na którym żadne chmury i żadne myśli nie zawisają.

Nie uwierzycie, jak były stateczne, gdy nie tańczyły, głębokie, lecz bez myśli, jak małe tajemnice, jak uwstężone zagadki, jak orzechy poobiednie — jaskrawe i obce zaiste! lecz niezachmurzone: tajemnicze, lecz dające się odgadnąć. Tym dziewczętom kwoli usnułem wówczas taki oto psalm poobiedni.

Tak mówił pielgrzym i cień; i zanim mu kto odpowiedział, pochwycił harfę starego wiły, podwinął nogi i spojrział dokoła niedbałym i mądrym wejrzeniem, nozdrzami wciągnął powietrze powoli i pytająco jak ktoś, co w nowych krajach nowego kosztuje powietrza. Wreszcie za-ryczał, zda się, tak oto śpiewając:

Pustynia rośnie: biada, w kim się kryje!

Ha! uroczyście!

W rzeczy samej uroczyście!

Godny początek!

Afrykańsko uroczyście!

Godny lwa co najmniej,

Lub moralnego wyjca,

Lecz nie dla was to,

Przyjaciółki me najmiłsze,

U których nóg

Po raz pierwszy,

Mnie Europejczykowi pod pannami,

Sądzono spocząć. Sela.

Przedziwnie zaiste!

Oto siedzę tu,
 Tak bliski puszczy, i zrazu
 Tak puszczy znowu daleki,
 Nadto w nicość spustoszony:
 Mianowicie pochłonięty
 Tą oazą małą —
 ziewając właśnie, rozchyliła
 Pyszczek swój milutki,
 Pyszczek najwonnejszy:
 I oto wpadłem tak,
 W głąb, wskroś — między was,
 Przyjaciółki me najmilsze! Sela.
 Chwała, cześć wielorybowi,
 Skoro swego gościa
 Podjął on tak mile! — pojmujecie
 Me uczone napomknienie?
 Chwała jego brzuchowi,
 Skoro takim był —
 Tak lubą brzucha oazą
 Jako ta: o czym wszakże powątpiewam
 — nie darmo jestem z Europy,
 Co nieufniejsza jest z nałogu niżli wszystkie
 Podstarzałe już małżonki.
 Obyż Bóg naprawił to!
 Amen!
 Oto siedzę tu,
 W najmniejszej tej oazie,
 Niby daktyl jaki.
 Brunatny, przesłodki, swem złotem spęczniały,
 Żądny dziewczęcych krągłych ust,
 Bardziej jeszcze tych dziewczęcych,
 Lodowatych, ostrych i śnieżystych
 Ząbków: jako że za nimi
 Tuży serce wszystkich daktyli gorących. Sela.

Onym owocom południa
 Podobny, nazbyt podobny,
 Spoczywam tu, zaś drobnych
 Chrząszczów roje
 Wciąż mię węższą i igrają.
 A wraz z nimi jeszcze mniejsze,
 Swawolniejsze i grzeszniesze
 Chęci i zachcianki.
 Również przez was oblegany
 Nieme, przeczuć pełne
 Dziewczęta-koty,
 Dudu i Suleika,
 — Osfinkiony, aby w jedno słowo
 Wiele uczuć wepchać:
 (Niech mi Bóg wybaczy
 Ten grzech względem języka!)
 — siedzę tu, chłonąc najlepsze powietrze,
 Powietrze raju zaiste,
 Świetlne, lekkie, złotem prądkowane,
 Najlepsze powietrze, jakie kiedykolwiek
 Z księżycy tu zleciało
 Zrządzeniem przypadku,
 Czy też ze swawoli?
 Jak starzy powiadają poeci.

Ja, sceptyk, podaję to
 W wątpliwość, nie darmo jestem
 Z Europy,
 Co nieufniejsza jest z nałogu niżli wszystkie
 Podstarzałe już małżonki.
 Obyż Bóg zaradził temu!
 Amen!

Powietrze spijając najpiękniejsze, O nozdrzach rozdętych jako czary, Bez przyszłości, bez wspomnienia, Siedzę oto tutaj,

Przyjaciółki me najmilsze,
 I przyglądam się tej palmie,
 Co się kłoni jak tancerka,
 I w swych biodrach się przegina,
 — patrzysz długo, wtórzyć będziesz! Niby tancerka, co, jak mniemam, Już za długo niebezpiecznie Wciąż i wciąż na
 jednej nodze tkwiła?
 — przy czym, zda się, zapomniała O swej drugiej nodze? Ja bo daremnie Szukałem brakującego Bliźniaczego jej
 klejnotu
 — mianowicie drugiej nóżki —
 W świętem pobliżu
 Jej przerozkoszonej, przeuroczej,
 Powiewnej, rozwiewnej i strojnej spódniczki.
 A jeśli mnie, przyjaciółki piękne,
 Całkowicie ufać chcecie:
 Ona ją straciła!
 Przepadła!
 Na wieki przepadła!
 Druga noga!
 O, jakaż szkoda tej drugiej nóżki!
 Gdzież bo przebywa smutna opuszczona?
 Ta noga samotna?
 Może z trwogi drży przed jakim
 Ponurym płowym
 Kudłatym lwem potworem? Lub nawet
 Poszarpana leży obgryziona —
 O żałość i biada! o, biada! obgryziona! Sela.
 Och, nie płaczcież mi,
 Serca czule!
 Nie płaczcież mi,
 Serca daktylowe! Łona mleczne, Lukrecyowe
 Torebki sercowe!
 Przestań płakać,
 Błada Dudu!
 Mężem bądź, Suleiko! Otuchy! otuchy!
 A może jednak
 Coś pokrzepiającego, ku serc pokrzepieniu
 Zdałoby się tutaj?
 Namaszczone słowo?
 Uroczyste pokrzepienie?
 Ha! Bywajże, godności!
 Godności cnoty! Godności Europejczyka!
 Dmijże, dmijże znowu,
 Miechu cnoty!
 Ha!
 Raz jeszcze ryknąć,
 Moralnie zaryczeć!
 Jako lew moralny,
 Przed córami zaryczeć pustyni!
 Gdyż cnoty skowoty,
 O dziewczęta wy najmilsze,
 Ważą więcej niżli wszelki

Europejczyka zapał i żarliwość jego.
 I oto jawię się już
 Jako Europejczyk.
 Inaczej nie mogę, dopomóż mi Bóg!
 Amen!
 Pustynia rośnie: biada, w kim się kryje!

PRZEBUDZENIE

1.

Po pieśni pielgrzyma i cienia rozbrzmiała nagle jaskinia wrzawą i śmiechem; a że wszyscy zebrani goście mówili równocześnie, że i osieł wobec takiej zachęty nie pozostawał milczący, ogarnęła Zaratu-strę szydercza niechęć do tych odwiedzin: chociaż cieszył się ich weselem, gdyż uważał je za znak ozdrowienia. Wymknął się więc z jaskini i rzekł do swych zwierząt.

— Gdzież się podziła ich niedola? — rzekł i wraz pozbył się sam swej przelotnej niechęci — oduczyli się u mnie, mniemani, krzyczenia na ratunek! — wszakże krzyków, niestety, nie oduczyli się jeszcze.

I Zaratustra zatkał sobie uszy, gdyż w tej właśnie chwili mieszał się przedziwnie krzyk osi „ta-ak!” z radosną wrzawą ludzi wyższych.

— Weselą się — rzekł po chwili — i kto wie? może kosztem gospodarza; bo choć się ode mnie śmiechu nauczyli, nie m o j e g o nauczyli się oni śmiechu.

Lecz cóż na tem zależy! Starzy to ludzie: powracają do zdrowia na swój sposób, na swój sposób śmieją się też; uszy me znosiły już gorsze rzeczy i nie stały się przez to odporne.

Zwycięstwem jest ten dzień: ustępuje już i pierzcha d u c h ciężkości, mój stary wróg pierworodny! Jakże dobrze kończy się ten dzień, co rozpoznał się tak dokuczliwie i ciężko!

A kończy się już oto. Idzie już wieczór: poprzez morze cwałuje dzielny jeździec ten! Jakże kołysze się on, powracający jeździec ów błogi, w purpurowym siodle swem!

Niebo spogląda na to jasno, świat w głębiach się nurza: O wy wszyscy dziwaczni, coście mnie nawiedzili, wszak warto ze mną tutaj przebywać!

Tak rzekł Zaratustra. I znowu śmiechy i wrzawa ludzi wyższych dochodzić poczęły z jaskini: wszczął więc ponownie.

„Chwycili wędkę, ma przynęta działa, ustępuje też ich wróg, pierzcha duch ciężkości. Już uczą się oto z samych siebie się śmiać: wszak dobrze słyszę?”

Działa ma strawa męska, me soczyste i krępkie słowo: i zaprawdę, nie żywiłem ich sparciąłą jarzyną! Lecz strawą wojowników, strawą zdobywców: nowe zbudziłem pożądania.

Nowe nadzieje tkwią w ich ramionach i nogach, rozpiera się ich serce. Już nowe znajdują słowa, niebawem duch ich swawolą odetchnie.

Sprawa taka nie jest oczywiście dla dzieci ani dla starych i młodych niewiast tęskniących. Ich trzewia inaczej przekonywać należy; dla nich lekarzem ani mistrzem nie jestem.

Wstręt opuszcza tych ludzi wyższych: hejże! moje to zwycięstwo. W mojem państwie pewności nabywają, wszelki głupi wstyd pierzcha od nich, wywnętrzają się.

Wywnętrzają swe serca, dobre godziny powracają im, świętują i przezuwają — stają się wdzięczni.

To jest mi znakiem najlepszym: stają się wdzięczni. Niezadługo, a uroczystości sobie obmyślą i postawią tablice pamiątkowe swym starym radościom.

To są ozdowieńcy!" — Tak rzekł Zaratustra radośnie do serca swego i poglądał w dal: zwierzęta garnęły się ku niemu ze czcią dla jego szczęścia i milczenia.

Nagle przeraziło się ucho Zaratustry: w jaskini dotychczas pełnej wrzawy i krzyku, zapanowała martwa cisza; nos jego węszył błogo-wonne dymy i kadzidła jakby tłących się szyszek piniowych.

— Cóż się dzieje tam? Co oni tam wyrabiają? — pytał się i przysunął się cichaczem do wejścia, aby móc widzieć swych gości, nie będąc przez nich dostrzeżonym. Lecz, o cudzie! na cóż to patrzeć musiał własnymi oczyma!

— Pobożni stali się znowu wszyscy, modlą się, oszaleli! — rzekł do siebie i dziwił się niepomniernie. I, rzeczywiście! wszyscy ci ludzie wyżsi, dwaj królowie, papież wysłużony, wiła, dobrowolny żebrak, pielgrzym i cień, stary wróżbiarz, sumienny z ducha i najszpetniejszy człowiek: wszyscy oni klęczeli społem na ziemi, jak dzieci i starszki bogobojne, i modlili się do osła. Najszpetniejszy człowiek począł właśnie rzeżić i parskać, jak gdyby coś niewysłowionego dobyć się z niego miało; a gdy się z tych wygiosów słowa wreszcie złożyły, okazało się nagle, że jest to pobożna, dziwna litania ku sławie ubóstwianego i okadzanego osła. I oto jak brzmiała ta litania:

Amen! I chwała, i cześć, i mądrość, i dziękczynienie, i sława, i siła bogu naszemu na wieki wieków!

— A osieł krzyknie na to „ta-ak!”

On dźwiga nasze brzemię, służalczą przybrał postać, cierpliwego jest serca, nigdy nie powiada nie; a kto boga swego kocha, karci go.

— A osieł krzyknie na to „ta-ak!”

I nie mówi on wcale: chyba że światu, który stworzył, przytakuje „tak!” — tak oto sławi świat. Przebiegłością jego jest to, iż nie mówi: w ten sposób rzadko nie miewa słuszności.

— A osieł krzyknie na to „ta-ak!”

Niewidocznie przechodzi on przez świat. Szarą jest barwa jego ciała, która cnoty jego przysłania. Jeśli ma ducha, ukrywa go; każdy wszakże wierzy w jego długie uszy.

— A osieł krzyknie na to „ta-ak!”

Jakaż ukryta prawda tkwi w tem, że ma on długie uszy, na wszystko „tak” powiada i nigdy „nie” nie rzecze! Czyż nie stworzy } on świata na własne podobieństwo, to jest jak najgłupiej?

— A osieł krzyknie na to „ta-ak!”

Chadzasz prostemi i krzywemi drogi, mało cię to obchodzi, co ludziom prostem, co krzywem się wydaje. Poza złem i dobrem twoje jest królestwo. Niewinnością twą jest, iż nie wiesz, co niewinne.

— A osieł krzyknie na to „ta-ak!”

Patrz, jak oto nikogo od siebie nie odrzucasz, żebraków czy króli. Dzieciątkom przychodzić do siebie zezwalasz, a gdy cię zte chłopaki drażnią, powiadasz poczciwie „ta-ak!”

— A osieł krzyknie na to „ta-ak!”

Lubisz oślice i świeże figi, nie jesteś gardzicielem karmu. Oset serce ci łechcze, jeśli właśnie głód odczuwasz. Tkwi w tem mądrość boska.

— A osieł krzyknie na to „ta-ak!”

ŚWIĘTO OŚLE

1.

W tem miejscu litanii nie mógł się Zaratustra dłużej pohamować, krzyknął sam „tak!” jeszcze głośniejszą niżli osieł i poskoczył między swych oszalałych gości. — Ludzie, cóż wy tu wyrabiacie? — wołał, podnosząc klęczących z ziemi. — Biada, gdyby was podpatrzył kto inny niż Zaratustra.

Każdy by myślał, że wraz z tą nową wiarą jesteście najgorszymi bluźniercami lub najgłupszymi staruchami!

Zaś ty, stary papieżu, jakże to się godzi w tobie, to oddawanie boskiej czci osłu?

— O Zaratustro — odparł stary papież — daruj mi, lecz w tych rzeczach jestem bardziej od ciebie uświadomiony. I tak być powinno.

Lepiej tak oto do Boga się modlić, w takiej go czcić postaci niżli w żadnej! Pomyśl nad tem wyrzeczeniem, czcigodny mój przyjacielu, a odgadniesz rychło, że tkwi w niem mądrość.

Ten, co rzekł: „Bóg jest duchem” — uczynił dotychczas na ziemi największy skok ku niewierze: słowo takie niełatwo da się znów naprawić na ziemi!

Stare me serce skacze i płąsa z radości, że na ziemi jest jeszcze coś, ku czemu modlić się można. Daruj to, Zaratustro, staremu pobożnemu sercu papieskiemu!

— A ty — zwrócił się Zaratustra do pielgrzyma i cienia — mianujesz się wszak i mniemasz duchem wolnym? A wyprawiasz tu oto takie bałwochwalstwa i kapłańskie służby?

Gorzej, zaprawdę, sprawujesz się tutaj, niżli nawet pośród swych zgubnych brunatnych dziewcząt, ty nowy lichy wyznawco!

— Cóż czynić — odparł pielgrzym i cień — masz słuszność: lecz cóżem ja temu winien! Stary Bóg ożył, o Zaratustro. Mów co chcesz, o Zaratustro, stary Bóg ożył.

Najszpetniejszy człowiek winien jest wszystkiemu: on go wskrzesił. A jeśli utrzymuje, że go niegdyś zabił: śmierć bogów jest tylko przesądem.

— A ty — rzeki Zaratustra — ty stary wiło, cóż ty czynisz! Któż w tych czasach wolnomyślnych w ciebie będzie wierzył, skoro ty sam wierzysz w takie ośle bałwochwalstwa?

Głupstwo to było, coś popełnił; jakeś mógł, ty rozważny, takie głupstwo uczynić!

— O Zaratustro — odparł mądry wiła — masz słuszność, głupstwo to było, toteż ciężkie wyrzuty czynię sobie za nie.

— Wreszcie i ty — rzekł Zaratustra do sumiennego z ducha — rozważ to z palcem na nosie! Czy nie przeciwna się tu coś twemu sumieniu? Czy twój duch nie jest za schludny na takie modły i otumanienia tego bractwa?

— Jest w tem coś — odparł sumienny z ducha, kładąc palec na nosie — jest w tem widowisku coś, co sumieniu memu rozkosz nawet sprawia.

Być może, iż nie wolno mi wierzyć w Boga: pewnem jest to, że Bóg w tej oto postaci wydaje mi się najwiarogodniejszym.

Bóg ma być wiecznym według świadectwa najpobożniejszycy: kto ma tyle czasu, ten się nie śpieszy. Najpowolniej i najgłupiej, jak tylko można: tą drogą może taki daleko nawet zajść.

Zaś kto ducha ma za wiele, mógłby się łącznie do głupstwa i szaleństwa sam zadurzyć. Myśl o sobie, o Zaratustro!

Ty sam — zaprawdę! i ty byś mógł ze zbytku mądrości osłem się stać.

Czyż najdoskonalszy mędrzec nie chadza chętnie po manowcach? Oczywiście uczy tego, o Zaratustro, twego istnienia oczywistość!

— Zwracam się wreszcie i do ciebie — rzekł Zaratustra do naj-szpetniejszego człowieka, który wciąż jeszcze na ziemi leżał i wyciągał ramię do osła (poił go winem w ten sposób). — Mów, ty niewysłowiony, cóż ty czynisz!

Zdasz mi się przeistoczony, oko twe płonie, płaszcz wzniosłości spoczywa na tobie: cóżes ty czynić?

Zali prawdą jest, o czym oni mówią, żeś ty go do życia powołał? I po co? Czyż nie był on już całkowicie dobity i pokonany?

Sam wydajesz mi się wskrzeszony. Cóżes ty czynić? Po cóżes nawrócić? Po cóżes siebie nawrócić? Mówże, ty niewysłowiony!

— O Zaratustro — odparł najszpetniejszy człowiek — jesteś nicponiem!

Czy ten żyje, czy odżył, czy też umarł całkowicie — któż z nas dwu, pytam się ciebie, lepiej wie o tem?

To tylko wiem, a od ciebie, o Zaratustro, nauczyłem się tego: kto najpewniej zabić chce, ten się śmieje.

„Nie gniewem, lecz śmiechem się zabija” — tak rzekłeś ongi. O Zaratustro, ty skryty, tu burzycielu bez gniewu, niebezpieczny tyś święty! — jesteś nicponiem!

2.

Wówczas Zaratustra, zdziwiony nawałem tych złośliwych odpowiedzi, cofnął się żywo ku wrotom swej jaskini i, zwróciwszy się do gości, krzyknął mocnym głosem:

— O wy sowizdrzały i figlarze! Czemuż to udajecie przede mną i ukrywacie się tak!

Jak to każdemu z was serce teraz dygocze z rozkoszy i złośliwości, że staliście się znowuż jako dzieci, to jest pobożni — żeście robili znów to, co dziatwa czyni, żeście się modlili, ręce składali i „Panie Boże!” powtarzali!

Lecz opuście wreszcie tę bawialnię, jaskinię mą własną, w której rozgościły się dziś wszelkie psoty dziecięce. Ochłódźcie oto tu na dworze swoją swawolę dziecięcą i rozgardyasz serc swoich!

Oczywiście: skoro nie staniecie się jako dzieci, nie wejdziecie do tego królestwa niebieskiego. — I Zaratustra wskazał rękoma ku górze.

— Lecz my nie pragniemy bynajmniej dostać się do królestwa niebieskiego: mężami staliśmy się, przeto chcemy królestwa ziemskiego.

3.

I raz jeszcze jął przemawiać Zaratustra. — O przyjaciele moi — rzekł — dziwni wy ludzie wyżsi, jakże podobacie mi się teraz, odkąd staliście się znowuż radośni! Zaprawdę, rozkwitliście mi wszyscy: zda mi się, że takim kwiatom jak wy, nowych uroczystości potrzeba

— małej krzepkiej niedorzeczności, jakiejś służby bożej i święta osłego, potrzeba wam starego radosnego szaleńca, Zaratustry, wichury wam potrzeba, co dusze wam rozchmurzy.

Nie zapominajcież tej nocy i tego święta osłego, o ludzie wyżsi! Wynaleźliście to sobie u mnie, uważam to jako dobrą wróżbę — takie rzeczy wynajdują tylko ozdrowieńcy!

A jeśli raz jeszcze to osłe święto obchodzić będziecie, czyniąc to dla swojej uciechy, czyńcież to i mnie ku woli! A zarazem i na mój pamiętkę!

Tako rzecze Zaratustra.

PIEŚŃ PIJANA

Tymczasem jeden gość za drugim wymykał się z jaskini w chłodną i zadumy pełną noc; Zaratustra zaś wiódł pod ramię najszpetniejszego człowieka, aby mu pokazać swe królestwo nocy, wielki krągły księżyc i srebrne wodospady wokół jaskini. I oto, skupieni wokoło siebie, zamilkli nagle wszyscy ci ludzie, wiekiem już starzy, wszakże o ukojonych, krzepkich sercach i z tem zdumieniem w duchu, że tak oto dobrze czują się na świecie; przejmujący czar nocy wnikał w ich serca coraz to głębiej i głębiej. Zaratustra zaś rzekł do siebie w duchu:

„O, jakże mi się oni podobają teraz, ci ludzie wyżsi!” — nie wypowiedział wszakże tego w poszanowaniu ich szczęścia oraz ich milczenia.

Wówczas stało się to, co w tym zdumiewającym dniu było najbardziej zdumienia godne: szpetny człowiek począł raz jeszcze, po raz ostatni rzeźić i parskać, i gdy dosapał się wreszcie do słów, nagle krągłe i czyste pytanie wyskoczyło z jego ust, dobre, głębokie i jasne pytanie, które wszystkim, co je słyszeli, poruszyło nagle serca.

Przyjaciele moi, wy wszyscy społem — rzekł najszpetniejszy

człowiek — co sądzicie o tem? Kwoli temu dniu — po raz pierwszy w życiu jestem zadowolony, że całe życie przeżył.

I choć tyle już wyznałem, nie dość mi jeszcze tego. Warto żyć na świecie: jeden dzień, jedna uczta z Zaratustrą nauczyły mnie kochać ziemię.

„Byłóż więc to życiem?” — powiem kiedyś śmierci. — „Hejże więc! Jeszcze raz!”

Przyjaciele moi, cóż wy o tem mniemacie? Nie chceciez wraz ze mną mówić do śmierci: „Byłoz więc to życiem? Kwoli Zaratustrze, hejże! Jeszcze raz!”

Tak mówił najszeptniejszy człowiek; a było to na chwilę przed północą. I jak sądzicie, co się wówczas przytrafiło? Skoro tylko ludzie wyżsi usłyszeli to pytanie, uświadomili sobie nagle swą przemianę i uzdrowienie, oraz kto był sprawcą tych przeistoczeń: garnęli się do Zaratustry z podzięką, uwielbieniem i pieszczotą, całowali go po dłoniach; każdy zachował się wedle swego przyrodzenia: jedni śmieli się, inni płakali. Stary wróżbiarz tańczył z radości; i aczkolwiek był on wówczas pełen słodkiego wina, jak mniemają niektórzy opowiadacze, wypełniała go bez wątpienia jeszcze bardziej słodczyż życia, oraz wyrzeczenie się wszelkiego znużenia. Są i tacy, co opowiadają, jakoby i osieł wówczas tańczył: nie darmo najszeptniejszy człowiek napoił go był winem. Bądź co bądź, jeśli onego wieczoru osieł nawet nie tańczył, działał się wówczas większe i dziwniejsze cuda nad taniec osli. Krótko i węzłowato, jak oto głosi przysłowie Zaratustry: „I cóż na tem zależy!”

2.

Zaratustra jednak, podczas tych wydarzeń z najszeptniejszym człowiekiem, stał jak pijany: wejrzenie jego przygasło, język bełkotał i słaniały się nogi. I któż by wówczas odgadnął, jakie myśli przemykały przez jego duszę? Najwidoczniej jednak duch jego cofnął się, potem przed się wybiegł i w dalekich przebywał dalach, jakoby „na Wysokiem jarzmie, jak stoi pisano, między dwoma morzami, między przeszłością i przyszłością, jako ciężka snując się chmura”. Powoli jednak, podtrzymywany ramionami ludzi wyższych, powracał do siebie i bronił się rękoma od natarczywości uwielbiających, a zaniepokojonych; nie mówi wszakże nic. Nagle zwrócił szybko głowę, jak gdyby coś usłyszał, po czym palec na ustach położył i rzekł: — Chodźcie!

I uczyniło się wokół cicho i tajemniczo; z głębi dochodził powolny głos dzwonu. Zaratustra przysłuchiwał się temu wraz z ludźmi wyższymi; wreszcie po raz drugi położył palec na ustach i rzekł powtórnie:

— Chodźcie! Chodźcie! Północ zbliża się! — a głos jego zmienił się przy tem. Lecz wciąż jeszcze z miejsca się nie poruszał: wówczas jeszcze ciszej i wnekliwiej uczyniło się naokół; nadsluchiwali wszyscy, nawet osieł i honorowe zwierzęta Zaratustry, orzeł i wąż, nadsluchiwała zarówno i jaskinia Zaratustry, i wielki chłodny księżyc, sama noc, zda się, słuchała. Zaratustra położył po raz trzeci palec na usta i rzekł:

— Chodźcie! Chodźcie! Chodźcie! Śród nocy tej pobłądźmy! Nastąła już godzina: chodźmyż tedy w noc!

O ludzie wyżsi, północ się zbliża; chcę wam coś na ucho rzec jak ten stary dzwon, co mi nieraz w ucho szepcze. Tak tajemnie, tak okrutnie, tak serdecznie, jak przemawia ten północy dzwon, co przeżył więcej, niż przeżywa człek: który mierzył już wazych ojców bolesne serc uderzenia — och, och! jakże wzdycha ona, jak we śnie śmieje się! ta stara, głęboka, głęboka północ!

Cicho! Cicho! Tu niejedno słyszy się, co za dnia głosić się nie może; teraz oto w powietrznym chłodzie, gdzie wszystek gwar stał się ciszą wazych serc — teraz ono głosi się, teraz słyszeć da się ono; w ponocne nadczyjne dusze oto wnika już: och! och! jakże wzdycha ona! jak we śnie śmieje się!

Czy słyszysz ty, jak tajemnie, jak okrutnie do ciebie mówi ta stara, głęboka, głęboka północ? Człowiecze, słysz!

Biada mi! Gdzie przysnął czas? Nie zapadtemż w studzien głębie? Już świat śpi.

Och! och! Skowyczy pies, księżyc świeci. Skonać, skonać raczej zechcę, niżli mówić wam, co północne moje serce myśli oto wraz.

Oto zmarłem! Minęło już! Pająku, czemu snujesz wokół mnie? Chcesz krwi? Och! och! Pada rosa, zbliża się godzina — godzina, w której dreszcz i mróz przejmuje mnie, pyta ona, rozpytuje: „Komu serca na to stać?”

Komu ziemi panem być? Kto zechce rzec: „Tak wam biec, wielkie oraz małe, wy strumienie!”

Godzina zbliża się: o człeku ty, człowieku wyższy, bacz! mowa to dla czujnych uszu, dla twoich ona uszu — co brzmi z północnej głuszy wzwyż?

5.

Coś ponosi mnie, płaśa dusza moja. Dzieło dnia! Dzieło dnia! Komu panem ziemi być?

Księżyc mrozi, milczy wiatr. Och, och! Wzlecieliście dość wysoko? Wy płaśacie: jednak noga skrzydłem jeszcze nie jest.

Dobrzy wy tancerze, mija już ochota, wino poszło w męty, każda czara już skruszała, już bełkocze grób.

Wzlecieliście nie dość górnje, już bełkoczą groby: „Zmarłych też wyzwólcie! Czemu taka długa noc? Nie upajaz księżyc nas?”

O ludzie wyżsi, groby też wyzwólcie, zbudźcie też i trupy! Och, czemu robak toczy jeszcze? Zbliża, zbliża się godzina — mruczy ciągle dzwon, skrzypi jeszcze serce, jeszcze toczy drzewny czerw, czerw serdeczny. Och! Och! Świat głębią jest!

6.

Słodka lutni! Lutni słodka! Kocham ja twój ton, twój upojny ton kumaka! — z jak dalekich dziejów, z jak dalekich stron dziś nawiedza mnie twój ton, hen, z oddali, gdzie kochania cichy staw!
 Stary dzwone, słodka lutni! Każdy ból w serceć bil, ojca ból, ojców ból i praojców bóle; tak dojrzała mowa twa.
 Żrzała stała się jak jesień, jako popołudnie, jak me serce pustelnicze — oto głośisz się: żrzałym stał się świat i brunatnem grono.

Oto umrzeć chce, z szczęścia umrzeć pragnie. O ludzie wyżsi wy, nie czujecież nic? Potajemnie woń tu bije — woń i zapach to wieczności różą upojona, złota i brunatna winna woń, co z starego szczęścia bije, z upojnej, północnej szczęśliwości skonu, która śpiewa: „Świat głębin zwał, głębszych, niż, jawo, myślisz, śnisz!”

7.

Puść mnie! Puść! Jam dla ciebie za czysty. Nie tykaj mnie! Czyż nie doskonały stał się owo świat?

Za czysta skóra ma dla dłoni twych dotknięcia. Puść mnie, głupi i prostacki, puść mnie, gnuśny dniu! Zali północ nie jaśniejsza?

Najczystszy panami ziemi być, najbardziej nie poznanym, najsilniejszym duszom północnym: głębsze one i jaśniejsze niżli każdy dzień.

O dniu, omackiem szukasz mnie? Więc szczęścia mego szukasz? Więc jestem dla cię bogaty, samotny, skarbów kopalnią, komorą złotą?

O świecie, chceszże mnie? Jestemż dla ciebie świecki? Jestemż dla ciebie duchowny? Jestemż dla cię boski? Wszakże, dniu i świecie, zbyt ociężałe wy jesteście.

Mieście dłonie tu mądrzejsze, chwycicie głębsze szczęście i głębszą niedolę, chwycicie boga tu jakiego, po mnie nie sięgajcie.

Moje szczęście i nieszczęście głębokie są, o dniu dziwny, wszakże bogiem ja nie jestem ni jaskinią bożą: głębią jest jej ból.

8.

Głębszy Boga ból, ty przedziwny świecie! Po boży sięgnij ból, po mnie ty nie sięgaj! Czemu ja! Upojna, słodka lutnia, pomocnej lutni brzęk, kumakowy dzwon; nikt jej nie rozumie, wszakże mówić musi przed głuchymi, o ludzie wyżsi! Gdyż wy nie rozumiecie mnie!

Pierzchno! Minęło! O młodości! O południe! O popołudnie me! Oto nastał wieczór i noc, i pomoc — wyje pies, wicher.

Nie jestże wicher psem? Oto skomli i skowyczy, oto wyje wciąż. Och! och! jakże ona wzdycha, jak się śmieje, jako rzęzi i jak dysze, ta pomocna pora!

Jak trzeźwo przemawia ta pijana wieszczka! przepiłaż upojenie swe? więc nadczujną już się stała? i przeżuwa znów?

Swój ból przeżuwa we śnie, głęboka stara północ, a bardziej jeszcze rozkosz swą. Albowiem rozkosz już, gdzie głęboki ból: nad ból rozkosz głębiej drga.

9.

Winy krzewie! Czemu sławisz mnie? Wszak nadciąłem cię! Okrutnik ja, oto krwawisz mi: cóż znaczy to sławienie pijanego okrucieństwa?

„Co się stało doskonałe, wszystko żrzałe — skonać chce!” — tak oto przemawiasz. Błogosławion, błogosławion niechaj będzie winobrań-czy nóż! Lecz wszystko nieżrzałe życia chce: o biada!

„Zgiń! — mówi ból — bólu, precz!” Lecz wszystko, co cierpi, żyć chce, aby się stało zrzałe, radosne i tęskne, tęskniące za wszystkim, co dalsze, wyższe i jaśniejsze. „Dziedziców chcę — woła wszystko, co cierpi. — Dzieci pragnę, nie chcę s i e b i e”. Rozkosz wszakże chce nie dziedziców, nie dzieci — rozkosz chce siebie samej, chce wieczności, chce wrotu, chce „wszystkiego, co zawsze jednake”.

Mówi ból: „Łam się, serce, krwaw! Wędruj nogo, skrzydło pływ! Bólu, w górę! bólu, wzwyż!” Hejże! Hej! O stare serce me: „Zgiń!” — mówi ból.

10.

Jak mniemacie, ludzie wyżsi? Jestemż wieszczem? Marzycielem? Upojeńcem? Snów tłumaczem? Czy też dzwonię o pomocy?

Kropłą rosy? Czy wieczności tchnieniem, wonią? Nie czujecie, nie? Świat mój doskonały owo staje się, i północ jest południem, i ból jest ozkoszą, i klątwa błogosławieństwem, i noc jest stońcem — odejdźcie mi, albo nauczę jeszcze was: i mędrzec jest trefnisiem.

Rzekliście kiedykolwiek „tak” rozkoszy swej? O przyjaciele moi, rzekliście zarazem „tak” wszelkiemu bólowi. Wszystkie rzeczy splecione są ze sobą, splecione i zakochane w sobie.

Skoroście chcieli kiedykolwiek „raz” po raz wtóry, skoroście mawiali: „Podobasz mi się szczęście, mgnienie, chwilo!” — tem zapragnęliście też wszystkiego z powrotem!

Wszystkiego od nowa, wszystkiego wiecznie, wszystkiego w splecieniu, splocie i umiłowaniu wzajemnem, o, tem umiłowaliście też i świat.

Wieczni wy, miłujecie go wiecznie i po wszystkie czasy; i do bólu nawet mówicie: „Zgiń, lecz powróć!” Gdyż rozkosz za wiecz-nem życiem łka!

11.

Gdyż rozkosz wszelka chce wieczności rzeczy wszelkich, chce miodu, chce drożdży, chce upojnej pomocy, chce grobów, chce ukojenia łez nagrobnych, zorzy chce pozłocistej.

Czegóż bo rozkosz nie pragnie! bardziej ona spragniona, bardziej serdeczna i głodna, a okrumiejsza, bardziej od wszelkiego bólu wnikliwa, pragnie siebie, wgryza się w siebie, wola koliska boryka się w niej.

Chce miłości, chce nienawiści, jest przebogata, darowyywa, odrzuca precz, żebrze, by ktoś brał, dziękuje biorącym, pragnie, aby ją nienawidzono.

Tak bogata jest rozkosz, że bólu łaknie, łaknie piekła, nienawiści, hańby, sromoty, kalectwa, łaknie świata, gdyż świat ten, och, wszak znacie świat!

O ludzie wyżsi, za wami tęskni ona, rozkosz ta niepoahamowana i błoga — za waszym bólem, wy nieudani! Za nieudanem tęskni wszelka rozkosz wieczna.

Gdyż wszelka rozkosz siebie pragnie, przeto chce też i bólu serdecznego! O szczęście, o bólu! O serce, łam się! Ludzie wyżsi, nauczciez mi się tego: rozkosz wieczności chce! Rozkosz chce wszelkich rzeczy wieczności – wieczności chce bez dna, bez dna !

12.

Nauczyliscie się już pieśni mojej? Odgadliście już, dokąd zmierza? Hejże! Hej! Ludzie wy wyżsi, śpiewajciez mi pieśń mą okrężną!

Śpiewajciez mi tę pieśń, której imię „Jeszcze raz”, a treść „po wieki wiecznie!” — śpiewajcie, o ludzie wyżsi, pieśń okrężną Zaratustry!

Człowiecze! Słysz!

Co brzmi z północnej głuszy wzwyż?

Jam spał, jam spał,

Z głębokich snu się budzę cisz:

Świat — głębin zwał,

Głębszych niż, jawo, myślisz, śniesz.

Ból — głębi król,

Lecz — nad ból — rozkosz głębiej łka:

Zgiń! — mówi ból.

Rozkosz za wiecznem życiem łka —

— wieczności chce bez dna, bez dna!

ZNAK

Rankiem po owej nocy skoczył Zaratustra z łoża, opasał lędźwie i wystąpił ze swej jaskini, płomienny i potężny jako słońce poranne, gdy zza ciemnych wschodzi gór.

„Jasności ty olbrzymia — rzekł, jako niegdyś już przemawiał — ty szczęścia oko głębokie, czemużby było twe szczęście, gdybyś nie miała tych, którym świecisz!

A jeśli w swych komorach pozostają oni jeszcze, podczas gdy ty już czuwasz, już wschodzisz, już darowyywasz i rozdajesz: jakżeby dumny twój wstyd złorzeczyć temu miał!

Owo śpią jeszcze ci ludzie wyżsi, podczas gdy ja już czuwam; nie są to moi prawi towarzysze! Nie na nich czekam ja na górach swych.

Do dzieła swego garnę się, i do dnia swego: lecz nie rozumieją oni, które są znaki mego poranku, krok mój — nie jest dla nich pobudką.

Śpiajeszczycze w jaskini mej, ich sny spijają jeszczycze pijaną pieśń moją. Ucha, które by ku mnie nasłuchiwało — ucha posłusznego brak wśród ich członków".

Mówił to Zaratustra do swego serca, gdy słońce wschodziło: wówczas spojrział ku górze, gdyż usłyszał ostry krzyk swego orła. — Hejże! — zawołał — po mojej to chęci i tak mi przynależy. Me zwierzęta czuwają, ponieważ ja już czuwam.

Orzeł mój czuwa już i wraz ze mną słońcu cześć oddaje. Szponami orła sięga on po nowe światło. Jesteście me prawe zwierzęta; kocham was.

Lecz brak mi jeszczycze swych prawych ludzi!

Tako rzecze Zaratustra; wówczas przytrafiło się nagle, że chmara ptactwa zaroila się wokół niego i zaszumiała mu w uszach, a łopot skrzydeł i natłok wokół jego głowy był tak wielki, że Zaratustra przymknął oczy. I zaprawdę, jako chmura spadło to nań niespodzianie, jako chmura strzał, co nowego osypuje wroga. Wszelako była to chmura miłości, rozpostarta nad nowym druhem.

„Cóż to dzieje się ze mną?” — rzekł Zaratustra do zdumionego serca i osunął się powoli na wielki kamień u wyjścia z jaskini. Wszakże gdy rękoma ponad sobą, wokół siebie i pod sobą chwycił, od tkliwych broniąc się ptaków, w onczas przytrafiło się niespodzianie coś jeszczycze dziwniejszego: zanurzył dłoń niepostrzeżenie w ciepłą gąszcz włochatych kudłów; równocześnie rozległ się ryk wokół niego — łagodny, przeciągły poryk lwa.

— Znak się jawi — rzekł Zaratustra, i przeistoczyło się serce jego. I w rzeczy samej, skoro tylko rozświetliło się nieco wokół, ujrzał u swych nóg żółtego potężnego stworu, przywierającego mu łeb do kolan z miłosnym uporem psa, który starego odnajduje pana. Gołębie świadczyły mu z równą żarliwością miłość swą; i za każdym razem, gdy gołąb chrapy lwa musnął, lew grzywą potrząsał, dziwił się i uśmiechał.

Na to wszystko rzekł Zaratustra jedno tylko słowo: — Dzieci moje w pobliżu są, dzieci moje — i zamilkł zupełnie. Topniało wszakże serce jego, a z oczu poczęły się sączyć łzy kropliste i padać na dłoni. I nie baczył już na nic więcej. Siedział oto znieruchomiały, nie ogarniając się od zwierząt. Wówczas gołębie spłynęły doń, obsiadły mu ramiona, pieściły włos jego siwy, nie nużąc się tkliwością swą i radowaniem. Lew potężny zlizywał wciąż łzy, padające na dłoń Zaratustry, porykiwał i mruczał przy tem nieśmiało. Tak oto zachowywały się te zwierzęta.

Działo się to czas długi lub czas krótki: gdyż, mówiąc po prawdzie, dla takowych rzeczy nie masz czasu ziemi. Tymczasem jednak ludzie wyżsi w jaskini Zaratustry obudzili się wreszcie i ustawiwszy się do pochodu, szli naprzeciw Zaratustry, aby mu pokłon oddać poranny: jako że ocknąwszy się, nie znaleźli go już byli w jaskini. Gdy jednak do wrót jaskini doszli i gdy szelest kroków ich uprzedził, najeżył się lew gwałtownie, odwrócił się nagle do Zaratustry i z dzikim rykiem skoczył do jaskini. Wyżsi zaś ludzie, usłyszawszy ten ryk, krzyknęli chórem jakby jednemi usty, pierzchli z powrotem i w mgnieniu oka zniknęli wszyscy.

Zaratustra wszakże oszołomiony i obcy temu wszystkiemu, powstał z kamienia, obejrzał się wokół, zdumiewał się, pytał się serca swego, rozważał i czuł się samotny. „Cóżem ja to słyszał w tej chwili? — pytał wreszcie powoli. — Cóż to przytrafiło mi się w tej oto chwili?”

Już nawróciło ku niemu wspomnienie, jednym spojrzeniem pojął wszystko, co się między wczoraj i dziś przytrafiło. — Oto kamień — mówił gładząc swą brodę — na którym wczoraj z rana spoczywałem, tu oto przystąpił do mnie wróżbiarz, tu też usłyszałem po raz pierwszy ów krzyk, który teraz właśnie odbił mi się znów o uszy, wielkie wołanie na ratunek.

O ludzie wyżsi, o waszej to niedoli wieścił mi wczoraj rankiem ów stary wróżbiarz.

Ku waszej niedoli zwiścić mnie on chciał i nią kusić: „O Zaratustro, rzekł do mnie, przychodzę, abym cię do twego ostatniego grzechu skusił”.

— Do mego ostatniego grzechu? — wykrzyknął Zaratustra i śmiał się gniewnie z własnych słów — cóż to zachowaniem mi zostało jako grzech mój ostatni?

I raz jeszczycze pogryzył się Zaratustra w siebie, przysiadł ponownie na wielkim kamieniu i rozważał. Nagle skoczył na nogi.

— Współczucie! Współczucie z człowiekiem wyższym! — wykrzyknął i oblicze jego przeistoczyło się w spż. — Hejże! Temu minął już czas!

Moje czucie i współczucie — cóż na tem zależy? Baczęż ja szczęścia? Dzieła mego baczę!

Hejże więc! Przyszedł lew, dzieci me w pobliżu są, Zaratustra żrzałym się stał, godzina ma nadeszła.

Mój to poranek, mój dzień świta: by waj mi, by w a j, wielkie ty moje południe!

Tako rzekł Zaratustra i opuścił swą jaskinię, płomienny i potężny jako stonce poranne, gdy zza ciemnych wschodzi gór.

KONIEC